

MARTYNA

RADUCHOWSKA



SPEKTRUM

Martyna Raduchowska

SPEKTRUM



Copyright © by Martyna Raduchowska, MMXVIII

Wydanie I
Warszawa, MMXVIII

Redaktor inicjujący:
Agnieszka Trzeszkowska

Redaktor prowadzący:
Anna Salwa

Korekta:
Ewa Hartman, Artur Kaniewski

Ilustracja na okładce:
Dominik Broniek

Projekt okładki:
Joanna Strękowska

Skład i łamanie:
Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6307-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa
Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

New Horizon 2034

Rozdział pierwszy

W nieruchomych oczach Reda odbija się ogień.

Nie mogę oderwać od nich wzroku. Próbuję zerknąć na rozbryzgi czerwieni na ścianie za jego plecami, omieść spojrzeniem płonące laboratorium, przeskanować teren, ocenić zagrożenie... Nic z tego. Świat gaśnie jak ekran po zakończonym seansie, czarna cisza otula mnie niczym dźwiękoszczelny całun. Myśli ulatniają się z porażonego umysłu, zanim zdołam uchwycić ich sens, topnieją jedna po drugiej, połykane przez mrok. Mogę jedynie zaciskać pięści, zagryzać zęby i czekać, aż wstrząsane drgawkami ciało wreszcie znieruchomieje. Tym razem na dobre.

Czekam. Zagryzam zęby. Zaciskam pięści. Mocno, coraz mocniej, aż paznokcie przebijają skórę, a dłonie spływają krwią. Ból nieco mnie otrzeźwia.

Reset, decyduję, z trudem przepychając ten rozkaz po skwierczących neuronach. Reset świadomości. Teraz.

Przestaję istnieć. Sekunda długa jak wieczność i znów jestem więźniem rozdygotanych tkanek. Wpatruję się w pustkę, wsłuchuję w bezdźwięk, dryfuję w próżni. Nie wiem, czy jestem.

Dochodzę do wniosku, że to chyba dobry moment, żeby zakląć. Aż się prosi o soczystą kurwę. Albo o modlitwę. Czy to w czymś pomoże? Jasne, że nie. Nie mam co do tego złudzeń, a jednak wiem, że jeśli na poważnie myśli się o człowieczeństwie, trzeba być gotowym na niedorzeczności.

Oczywiście nie pomaga. Ani jedno, ani drugie, sacrum i profanum okazują się tak samo bezużyteczne. W normalnych okolicznościach skwitowałabym niepowodzenie wzruszeniem ramion, gestem, który podpatrzyłam u Reda, ledwo zainicjował

moje Przebudzenie, i który wyćwiczyłam do perfekcji, zanim jeszcze dowiedziałam się, że będziemy partnerami. Ale teraz mogę tylko wycofać świadomość z bezwładnego ciała i pozwolić jej opaść na samo dno umysłu.

Loguję się do Animy.

Przeszłość zacina się i krztusi od zakłóceń, drży i faluje jak fatamorgana. Wypaczone obrazy i zniekształcone dźwięki sprawiają, że niczego nie poznaję, wszystko wydaje się dziwaczne, odrealnione, nie moje. Sumy kontrolne plików sensorycznych nie pozostawiają wątpliwości, że patrzę na cząstkę własnego widma, a jednak w tej chwili czarna skrzynka w mózgu to dla mnie ciało obce. Czy raczej obca dusza. Obca dusza obcej Mai, którą byłam jeszcze chwilę temu, przed rozsynchronizowaniem danych.

Zapętłona scena rozgrywa się w zwolnionym tempie, poklatkowo, szatkuje ruchy i dźwięki zastygającymi kadrami i zamrażanym czasem. Idą korytarzem w stronę wind. Sierżant Helen McKay sylabizuje puentę sprośnego żartu, zbitki głosek skapują z jej warg leniwie, miarowo, gęste i ciągliwe jak miód. Kąciki ust detektywa Lawrence'a O'Neilla unoszą się w odpowiedzi coraz wyżej i wyżej. Rozwleczony dowcip dobiega wreszcie końca, wesołość wybucha jak bomba z opóźnionym zapłonem, śmiech poszarpany na kawałki tętni echem wśród ścian korytarza.

Porucznik Jared Quinn, mój partner i dowódca, tylko kręci głową. Panuje nad miną, lecz pogłębione zmarszczki przy powiekach zdradzają tłumione rozbawienie. Maya-we-wspomnieniu spogląda na niego z ciekawością, metodycznie rozkładając żart na czynniki pierwsze. Jest tak absurdalny, tak nielogiczny, że nie może przestać obracać go w myślach. Detektyw Maxwell Rosso i sierżant Marcus Blake szczerzą się do McKay, wykrzykują coś jeden przez drugiego. Helen szybkim ruchem dłoni odgarnia grzywkę z czoła, dawkuje ripostę i tym razem nawet Quinn nie powstrzymuje parsknięcia. Maya-we-

wspomnieniu obserwuje jego twarz z wnikliwością badacza, czując, jak neurony lustrzane rozciągają jej własne usta w uśmiechu lekkiego zażenowania.

W miarę jak czarnoskrzynkowy zapis łąta mi dziury w pamięci, dystans między mną-teraz i mną-wtedy zaczyna się skracać, granica zacierać, jawa mieszać ze snem. Dwie wersje Mai scalają się w jeden pozszywany z kawałków byt, dwie wizje świata syntetyzują w jedną patchworkową rzeczywistość. Po chwili nie patrzę już z boku na poprzednią wersję siebie, bo my to teraz ja.

Nagranie trwa dalej.

Idziemy korytarzem w stronę wind. Dowcip McKay właśnie dobiegł końca, uśmiechamy się wszyscy, oni rozbawieni, ja – żeby nie odstawać. Scyborgizowany klon marki Easy Puppet, który pojawia się nagle u wylotu korytarza, w pierwszej chwili nie zwraca niczyjej uwagi. Omiatam go czujnym spojrzeniem dopiero dwie stop-klatki później. Rutynowy skan otoczenia trwa krócej niż uderzenie serca i już zaczynam obracać głowę, żeby zerknąć przez ramię, lecz wtedy kątem oka dostrzegam dziwny szczegół, niewielki odchył od normy. Ogniskuję wzrok na lewej dłoni ochroniarza. Przybliżam obraz, akurat aby ujrzeć kroplę krwi, która skapuje mu z palców i rozbryzguje się na czubku wojskowego buta.

Przechodzę w tryb bojowy automatycznie, bez udziału woli. Świadomość nie musi podpowiadać ciału, co robić, i tak by zresztą nie zdążyła. Płuca ze świstem nabierają powietrza, mózg wypełnia żyły podrasowaną adrenaliną, czerń źrenic gwałtownie rozpycha tęczęwki.

– Padnij! – Zasłaniam sobą porucznika i wyszarpuję broń z kabury na udzie. W tej kolejności. Jestem jego żywą tarczą, a dopiero później bronią. – Na ziemię, Red!

Quinnowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Natychmiast rzuca się na podłogę, ciągnie za sobą oszołomioną Helen. Inni reagują znacznie wolniej. O'Neill wciąż klęczy, gorączkowo mocując się z blokadą pistoletu, gdy rozlega się pierwszy strzał.

Karabin w dłoniach klona rzyga rwanym ogniem. Kule prują tynk, powietrze gęstnieje od pyłu. Ochroniarz patrzy na mnie

beznamiętnie. Nie ściąga palca ze spustu nawet wtedy, gdy lufa jego broni wypluwa ostatni pocisk, komora ostatnią łuskę, a zamek szczęka głucho. Puppet nie zmienia pozycji, nie odwraca wzroku, nie mruga, choć czerwień z dziury pośrodku czoła zalewa mu oczy. Dopiero po chwili zaczyna chwiać się na nogach, karabin wyślizguje się z niezdarnych nagle rąk. Kukła uderza kolanami o ziemię i ciężko przewala się na bok. Jej stopy umierają najwolniej. Podrygują bez przekonania, rozmazując krew w konwulsyjne wzory.

A potem wszystko milknie i nieruchomieje. Tylko kurz i dym opadają w ciszy i ostrym zapachu prochu.

– Świetny strzał, May.

Opuszczam broń, taksuję Quinna od stóp do głów. Żadnych ran postrzałowych, jest cały.

– Polecam się, poruczniku.

Podaję mu rękę i dźwigam go na nogi. Szybko sonduję pozostałych, mieli szczęście, że nikt nie oberwał.

Kiedy ciszę przerywa gong windy, jako jedyna nie patrzę w tamtą stronę, tylko od razu daję sygnał do odwrotu. Puszczam oddział przodem, a sama biegnę bokiem, zamykając szyk i ubezpieczając resztę. Kryją się we wnęce obok wejścia do laboratorium, czekają, aż rozbiję zamek i zlustрую pomieszczenie.

– Czysto! – krzyczę.

Słyszę, jak stalowe skrzydła windy rozsuwają się z szumem gdzieś za wyłomem muru, odgłos sztywnych, żołnierskich kroków niesie się po opustoszałym korytarzu. Wbiegam do pracowni jako ostatnia. Huk zatrzaskiwanych drzwi zlewa się z terkotem karabinów.

Scena urywa się parę sekund później, chwila białego szumu i rusza od początku. Znów idziemy korytarzem w stronę wind. Analizuję przebieg wydarzeń klatka po klatce i próbuję ustalić, gdzie popełniłam błąd. Specter i Angelina, policyjne sztuczne inteligencje, które gnieźdzą mi się gdzieś w głębinach

podświadomości i nieustannie poszeptują, splatając swoje polecenia i wskazówki z moimi myślami, teraz uparcie milczą. Jestem zdana na siebie.

Z dziennika działań bojowych wynika, że nie wykryłam w laboratorium ładunków wybuchowych ani nadprogramowej elektroniki. W chwili eksplozji Quinn stał tuż obok mnie. Nie oberwał, choć dzielił nas niecały krok. To mogło być tylko promieniowanie elektromagnetyczne, a zarazem nie mogło, bo przecież byłam ekranowana...

Przewijam retrospekcję do odpowiedniego fragmentu, zatrzymuję kadr. Przechodzę na widok izometryczny, szukając w siatkowym modelu pracowni czegoś, co wcześniej musiałam przeoczyć.

Zresetowany umysł powoli dochodzi do siebie, metodycznie obrabia zapisy z czarnej skrzynki. Uzupełnia białe plamy, splata pourywane wątki, osadza w kontekście migawki obrazów. Ocalone mnemony eksplodują w mojej jaźni jak synestetyczne fajerwerki. Słyszę barwy (czerwień krwi wibruje od ryku płomieni), widzę zapachy (swąd spalenizny złoty od ognia, czarny od dymu, błękitnobiały od ładunków elektrycznych), smakuję dźwięki (wrzask Helen ostry jak chilijski pieprz). I nagle pamiętam dość, żeby zrozumieć swój błąd.

Tuż przed wybuchem próbowałam połączyć się ze Stewardem, programem zarządzającym budynkiem korporacji Beyond Industries. Zdjęłam osłony, żeby nawiązać kontakt, i w tej samej sekundzie impuls elektromagnetyczny powalił mnie na ziemię, o mało nie wysmażając mózgu. Jakby ktoś tylko czekał na moment, aż mu się wystawię.

Przeglądam logi medyczne i już wiem, dlaczego wciąż istnieję: nagły skok promieniowania zniekształcił moje fale mózgowo, powodując samoistną aktywację reaktywnej, ultraczułej na anomalie podtwardówkowej siateczki ekranującej. Procedury bezpieczeństwa wdrażane przez Harry'ego Turveya, szefa policyjnych specjalistów od spraw automatyki i robotyki, kolejny raz ocaliły mi skórę.

Dzięki, Harry.

Wygaszam wspomnienie, zamykam dzienniki pokładowe. Rozglądam się po pogrążonej w półmroku Animie, wciąż rozedrganej i migoczącej iskierkami zwarć w neuronach, po czym ostrożnie odpalam łącze cyberprzestrzeni. Przez moment nie dzieje się nic. A potem ciemność spada na mnie, ciężka jak lawina błota, i wsysa z siłą czarnej dziury.

– Steward?

Mrok trzeszczy i skrzy się w odpowiedzi.

– Wiem, że mnie słyszysz. Musimy pogadać.

– Pogadajmy więc.

Materializuje się przede mną powoli, kawałek po kawałku, z początku bezkształtny, usypywany z pustych pikseli i łańcuszków kodu. Stopniowo nabiera szczegółów: smagła twarz o azjatyckich rysach, czarne oczy, czarne włosy gładko zaczesane do tyłu, splecione w długie, ciężkie warkocz. Dłonie wsunięte w kieszenie spodni od nienagannie skrojonego garnituru, koszula bez krawata, z nonszalancko rozpiętym kołnierzykiem. Moje łącza są niestabilne i awatar Stewarda na zmianę to traci, to zyskuje ostrość. Kolejne zakłócenia wprawiają jego postać w gwałtowne falowanie, które upodabnia go trochę do szarpanej wiatrem flagi. Antropomorficzna manifestacja programu zdaje się odbijać w powierzchni niespokojnej wody.

– Zhakowali cię – stwierdzam bez zbędnych wstępów.

Przytakuje mi skinieniem głowy.

– Kto?

– Equilibrium. – Jego zwielokrotniony echem głos pobrzmiewa całym spektrum barw i intonacji. Dochodzi zewsząd i znikąd zarazem. Sączy się szeptem z głębin mojej podświadomości, przetaczając jednocześnie po cyfrowym niebie jak stereofoniczny grom. – Tak przedstawili się w oświadczeniu dla mediów, które krąży po Pajęczynie.

– Nigdy o nich nie słyszałam.

– To ich debiut.

– Czego chcą?

- Przyszli po reinforsynę. Zamierzają „wydrzeć lek z rąk bezdusznego Systemu i rozdać na ulicach miasta”. Tak, wiem, straszna sztampa. To dosłowny cytat z ich manifestu. – Steward uniesieniem brwi wyczarowuje w powietrzu arkusz papieru i szybkimi ruchami dłoni zakreśla w tekście kilka kluczowych fragmentów.

Przelotnie zerkam na dokument, czując, jak moja jaźń zasysa treść trzeszczącymi łączami, jak wypala każde słowo w krzemowej pamięci.

- Bełkot – orzekam z wystudiowanym niesmakiem. – Same ideologiczne ogólniki, zero konkretów. Bite pięć stron tekstu i ani słowa o tym, dlaczego rzekomi „zwolennicy technologicznie wspomaganej ewolucji” i samozwańczy „obrońcy uciśnionych” atakują najbardziej egalitarną korporację neuronaukową w New Horizon.

Steward przygląda mi się z uwagą przez kilka chwil.

- Rozumiem, że mocno oberwałaś po głowie, ale chyba potrafisz jeszcze dodać dwa do dwóch?

Przed nim nie muszę udawać. Nawet po mistrzowsku sfalszowane reakcje emocjonalne nie są w stanie mu zaimponować. A jednak siłą przyzwyczajenia robię naburmuszoną minę i krzyżuję ramiona na piersi.

- Wycofujecie reinforsynę z rynku – stwierdzam po krótkim namyśle.

- Bingo.

- Ludzie od dekady czekają na wasz produkt jak na wybawienie – ciągnę z dezaprobatą. – A wy już drugi raz wywijacie im ten sam numer.

- Będą rozczarowani, to pewne, i doprawdy trudno się dziwić. Widziałaś ostatnie spoty? „Rewolucyjny neurotransmitter, bezinwazyjny twórca nadludzi!”, „Uniwersalny, cudowny lek na każdą kieszeń!” – Steward recytuje slogany reklamowe, kontrapunktując górnolotne zapewnienia płaskim, znudzonym głosem. Brzmi to, jakby kpił. – „Nie masz pracy, bo nie stać cię na wszczępy? Sięgnij po reinforsynę!”. Każdy desperat łyknałby haczyk.

- I co się stało? Znowu wypuściliście nieskuteczny produkt?
- Powiedzmy, że nasze opatentowane i chronione znakiem towarowym remedium na społeczną niesprawiedliwość nie działa tak, jak byśmy tego chcieli.
- To znaczy?
- Steward kręci głową i przerysowanym gestem zamyka sobie usta na niewidzialny suwak.
- Hakerzy zmusili mnie do wyjawienia wielu tajemnic firmy, ale tego knebla jeszcze mi nie wyjęli.
- Czyli lek okazuje się niewypałem – myślę na głos. – Beyond po cichu wstrzymuje sprzedaż, anuluje zamówienia. Equilibrium przeprowadza atak, którego celem jest rzeczony niewypał... Interesujące. Nie mam dość danych, ale coś mi mówi, że bezsens tego zamachu to tylko pozory. Mam rację?
- Masz. Winszuję – chwali mnie sucho.
- Unoszę brwi w niemym pytaniu.
- Akurat o tym mogę ci poopowiadać – wyjaśnia. – Equilibrium i tak zaraz wrzuci wszystko w Pajęczynę. Zainteresowana?
- Pewnie. Byle szybko.
- W obliczu giełdowej katastrofy – zaczyna bez pośpiechu, teatralnie przeciągając sylaby, i trudno stwierdzić, czy się ze mną drażni, czy to wirus, którym zainfekowali go zamachowcy, dobrał mu się do modułów lingwistycznych – zapominamy o filantropijnym credo i pod naciskiem udziałowców radykalnie zawężamy target do krezusów, których stać na klony. Zamierzamy przeprowadzać indywidualną kalibrację leku na genetycznych kopiach konsumentów, by zapewnić pożądane, optymalne i ściśle spersonalizowane działanie, nie narażając przy tym zdrowia prawdziwych ludzi. Konwencja o Ochronie Praw Człowieka z dwa tysiące dwudziestego siódmego otacza opieką jedynie oryginały, z duplikatami możemy eksperymentować do woli, zatem w kwestii dobra pacjentów będziemy kryci. Pula nabywców drastycznie się zmniejszy, za to cena produktu drastycznie wzrośnie i jakoś utrzyma nas na powierzchni. Equilibrium dowiaduje się o tych planach i... – wyczekująco zawiesza głos.

– I nie wierzy, że działacie w trosce o bezpieczeństwo klientów – dopowiadam natychmiast. – Wierzy za to w korporacyjny spisek. Wasze działania interpretuje jako ukłon w stronę elity i kolejny cios wymierzony w najbiedniejszych. Kolejny kopniak w leżącego.

– Po czym postanawia przywrócić równość społeczną, zabawiając się w Robin Hooda o terrorystycznych zapędach – kwituje Steward. – Coś ci tam jednak styka w tych sfajczonych neuronkach, brawo, robociku.

– Dlatego kazali ci wymordować personel? W imię równości?

Steward zbywa pytanie wzruszeniem ramion.

– A to, że Quinn i reszta zostali wezwani na badania kontrolne właśnie dzisiaj...

– Czysty przypadek.

– Czyżby?

Kładzie palec na wargach. Uśmiecha się zagadkowo, nie spuszczając ze mnie czujnego spojrzenia. Może zabronili mu mówić, a może sam nie zna odpowiedzi i tylko się zgrywa dla zachowania pozorów, żebym przypadkiem nie domyśliła się, jak bardzo go ogłupili.

– Jak mnie załatwiłeś?

– Emitery EMP są integralną częścią systemu ochrony danych wrażliwych. – Tym razem odpowiada od razu, jakby nie mógł się doczekać, aż komuś to zdradzi. – Umieszczono je w każdej pracowni, żeby w razie zagrożenia można było zniszczyć zawartość dysków. Po aktywowaniu spaliły elektroniczny zamek w drzwiach do laboratorium i wpuściły Kukły do środka. Ty oberwałaś przy okazji.

– Mam w mózgu siatkę ekranującą, a mimo to zdołałeś mnie wyrashować.

– Ta siatka neutralizuje pojedyncze impulsy – podchwytuje ochoczo Steward, co każe mi sądzić, że próbuje mnie zagadać, odwrócić uwagę. Pytanie: od czego? – Potrafi znieść spore ładunki, pod warunkiem że nie wystąpią w serii i dadzą jej czas na regenerację. Natomiast moje emitery wysyłają promieniowanie cykliczne, które osłabiło osłonę, znalazło

szczelinę. W momencie gdy się przez nią prześlizgnęło, systemy bezpieczeństwa w twoim mózgu zadziałały jak komputer sterujący siecią elektryczną w obliczu silnego skoku napięcia i odcięły ci zasilanie. O ile mi wiadomo – ciągnie tonem wykładowcy – istota czarna w mózgu replikanta wykonana jest w większości z układów neuro-optoelektronicznych, odpornych na impulsy elektromagnetyczne, dlatego padło ci raptem kilka modułów...

– Dobrze ci wiadomo – podsumowuję, żeby przerwać wywód, zanim Steward popłynie na dobre. – Powiedz mi, czy Quinn...

– Chyba żyje. Nie mam pewności, nigdzie nie widzę jego ciała. Twojego zresztą też nie, zawlókł cię gdzieś poza zasięg kamer.

– A reszta?

– Przykro mi.

– Pokaż, co tam się stało.

– Jak sobie życzysz. – Machnięciem dłoni układa piksele powietrza w rozdygotane obrazy z kamer.

Cyfrowy zamek uzbraja się z cichym kliknięciem. Barykadujemy wejście stalowym regałem i stołem laboratoryjnym, a potem wszyscy, oprócz mnie, rozbiegają się po pracowni w poszukiwaniu innej drogi. Szybko odkrywają to, co ja wiem od początku: że nie ma dokąd uciec. Wszystkie drzwi prowadzą do gabinetów lub magazynów ze sprzętem i chemikaliami.

– I co my teraz, kurwa, zrobimy? – krzyczy Helen McKay, okręcając się wokół własnej osi bezradnie i bez sensu. Panika podnosi jej głos o całą oktawę, szeroko otwarte oczy wydają się dwa razy większe niż zwykle.

Nikt nie odpowiada. Wszyscy patrzą na mnie w pełnym napięcia oczekiwaniu. Rozumiem bez słów. Posłusznie kiwam głową, zamieram w bezruchu i wbijam w przestrzeń pusty, nieobecny wzrok.

A potem zwałam się na ziemię bezwładnie, miękko, jakby ktoś jednym ruchem wyszarpnął mi kręgosłup razem z kośćmi. Oślepiający impuls pęcznieje w powietrzu niczym grzyb

atomowy, odbija się od ekranowania kamery i pęka z trzaskiem, syjąc dookoła serpentynami wyładowań. Po nim następują kolejne: rozrzucona seria szybkich błysków.

Zanim mój oddział orientuje się, co się stało, uśmiercony zamek zwalnia blokadę. Drzwi zaczynają łomotać o stal, stal zgrzyta przeraźliwie na betonowej posadzce, posadzka wibruje w rytm uderzeń. Quinn dopada do mojego ciała i wlecze je gdzieś poza kadr. Wciąż słysząc, jak krzyczy do swoich ludzi, lecz w potwornym hałasie nie da się rozróżnić słów. Rozpierzchają się, kryją między stołami, sięgają po broń, czekając na nieuniknione.

Nieuniknione nadchodzi szybko. Barykada nie wytrzymuje naporu, stół odjeżdża na bok, regał z łomotem zwała się na posadzkę i wejście do laboratorium staje otworem. W zapadłej nagle ciszy słysząc tylko przyspieszone oddechy i toczący się po podłodze granat.

Kamera ślepnie w blasku eksplozji i kłębach dymu. Mija kilkanaście sekund, nim obraz staje się na tyle wyraźny, by można było odróżnić płonące meble od płonących zwłok. Zhakowany system przeciwpożarowy przestaje działać zaraz po aktywacji i ogień błyskawicznie się rozprzestrzenia. Parska iskrami, spluwa dymem, pełźnie po ścianach i zlizuje z sufitu skraplającą się parę. Powietrze drży gorączkowo, płomienie ryczą jak rozwścieczony smok. Pojedyncze krople wody ciurkają niemrawo z wyłączonych zraszaczy, a piana gaśnicza bieli się tu i ówdzie niczym zaspasy ognioodpornego śniegu.

Steward przewija nagranie o godzinę i dopiero wtedy kłęby dymu rzednieją na tyle, żebym mogła ocenić straty.

Sierzant Blake wciąż ma otwarte oczy i rozchylone usta, lecz jego podziurawionej klatki piersiowej nie unosi choćby najśłabszy oddech. Detektyw O'Neill wisi przyszpilony do ściany stalowymi prętami; ciemne rozbryzgi wokół jego głowy i po bokach ciała wyglądają jak aureola i rozpostarte skrzydła, upodabiają go do krwawego anioła lub spreparowanej ćmy. Strzępy mięsa i płatanina jelit to wszystko, co zostało z detektywa Rossa; można go rozpoznać wyłącznie po fragmencie dłoni, na rozerwanym palcu serdecznym wciąż tkwi ślubna

obrączka. Najtrudniej zidentyfikować sierżant Helen McKay, skwierczącą mokrą plamę, płatek skóry, kępkę włosów, nie wiadomo, czy rudych, czy zabarwionych krwią...

Do kompletu brakuje tylko Quinna.

– Brakuje tylko Quinna – mówi Steward. – Nie wykluczam, że udało mu się przeżyć, choć szanse miał marne. Z drugiej strony kod, który mi wstrzyknęli, to straszna amatorszczyzna. Easy Puppets popełniają masę błędów. Widziałem, jak dwie Kukły zignorowały pełznącą do wyjścia recepcjonistkę i dopiero trzecia dobiła ją strzałem w głowę. – Cmoka z dezaprobatą. – Gdyby pozwolili mi przeprogramować im biochipy po swojemu, nie doszłoby do takich uchybień.

Nie mam najmniejszych powodów, żeby w to wątpić.

– Przełączysz na live stream?

– Wedle życzenia.

Licznik czasu w dole ekranu przeskakuje prawie godzinę do przodu. Dogasający ogień pełga bez przekonania po resztkach mebli i laboratoryjnej aparatury. Zwęglone szafki ledwie się żarzą, nadtopione kable kopcą czarnymi warkoczami dymu, lampy mrugają spazmatycznie, rzucając na ściany stroboskopowe cienie. Cisza panująca w pracowni jest wręcz nienaturalna i zaczynam podejrzewać, że Steward wyłączył fonię. I wtedy rozlega się huk, zaraz potem drugi. Miarowe metaliczne łomotanie, jakby coś ciężkiego tłukło zapamiętałe w arkusz blachy.

Steward aktywuje wykrywanie ruchu i lokalizator dźwięków. Kamera natychmiast robi zbliżenie na osłonę wentylacji w ścianie pod sufitem. Pokrywa wygina się i wybrzusza w rytm kolejnych uderzeń, wreszcie wyskakuje z zawiasów i z potwornym łoskotem ląduje na ziemi, wzniecając chmury popiołu i iskier. Z przewodu wentylacyjnego wyłaniają się szczupłe nogi w trampkach, potem tułów i ramiona w białym fartuchu laboratoryjnym, wreszcie twarz okolona płataniną krótkich, popielatych włosów.

Algorytm rozpoznawania rysów identyfikuje postać w ułamku sekundy, ale i tak jestem szybsza. Znam tę dziewczynę.

- Ellen Take - mówię. - Nasza Pomyłka.

- We własnej osobie - przytakuje Steward. - Do niedawna laborantka kryminalistyczna, a obecnie pracownica naukowa Beyond Industries. Przyznam, że nie rozumiem tego przezwiska. Z akt osobowych wynika, że Take jest jednym z cenniejszych nabytków korporacji.

- Kiedyś podczas odprawy szef techników zwrócił się do niej per „Miss Take” i tak już zostało.

- Ach, rozumiem, rzeczywiście zabawne - ocenia Steward śmiertelnie poważnym tonem. - Biorąc pod uwagę jej konstrukcję psychiczną i niską odporność na stres, to dość niezwykle, że udało jej się przeżyć tak długo.

Obserwuję, jak Pomyłka rozgląda się po dogasającym pobojowisku i niepewnie zerka w dół. Kiedy po długim wahaniu przysiada na skraju przewodu i opuszcza nogi, szykując się do skoku, kamera wykrywa ruch po drugiej stronie pomieszczenia.

Easy Puppet.

Stoi w drzwiach pracowni, skanując teren i przecinając zadymione powietrze wiązką lasera. Sekundę później w kadrze pojawia się Quinn. Porucznik wypada niespodziewanie pomiędzy dymiących stołów i gna w stronę niczego nieświadomej dziewczyny, która właśnie odpycha się od krawędzi. A potem wszystko dzieje się jednocześnie.

Ellen skacze.

Kukła otwiera ogień.

Porucznik rzuca się do przodu.

Przechwytuje dziewczynę w locie i powala na ziemię, zasłaniając własnym ciałem. Pociski rozorują ścianę tuż nad ich głowami, odpryski cegieł sypią się na podłogę, łuski brzęczą o beton. Kiedy kurz opada, odszukują porucznika wzrokiem. Wciąż żyje i chyba nie został ranny. Nawet nie spoglądam na Take, status dziewczyny nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Priorytetem jest Quinn.

- Wyłącz tę Kukłę - mówię do Stewarda, jednocześnie nadając

impuls do swojego ciała, niewidocznego w obiektywie kamery.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Obwodowy system nerwowy odpowiada ze sporym opóźnieniem, lecz sygnał zwrotny jest bez zarzutu.

Patrzemy ze Stewardem w milczeniu, jak Easy Puppet faszeruje ścianę nową porcją kul, odłupując od niej grudy tynku i zaprawy. Sylwetka Pomyłki ledwo majaczy w kłębach pyłu, a porucznik całkiem zniknął nam z oczu.

Wysyłam kolejny bodziec stymulujący i stwierdzam, że mały palec mojej materialnej dłoni posłusznie zgina się i prostuje. Powoli odzyskuję czucie. Beton kondensuje się pode mną, twardnieje i grzeje w plecy, oddając pochłonięte ciepło pożaru.

– Odebrali ci kontrolę nad klonami? – pytam Stewarda.

– Nie. Odebrali mi kontrolę nade mną.

Tylko tyle chciałam wiedzieć.

Huk wystrzałów już nie wdziera mi się do mózgu przez mikrofony kamer. Rozbrzmiewa teraz gdzieś na zewnątrz, poza moim umysłem, nie dalej jak kilkanaście metrów od miejsca, w którym zostawił mnie Quinn. Wyraźnie słyszę świst kul rykoszetujących od podłogi i stalowych konstrukcji i potrafię zlokalizować źródło dźwięku.

Zaciskam i rozluźniam cielesne dłonie, przesuwam jedną w kierunku upuszczonej przed godziną broni. Trącam ją czubkami palców, lecz nie mam dość sił, by ująć rękojeść. Leżę bezużyteczna i słaba jak nigdy wcześniej, łapiąc oddech, wciągając w nozdrza smród spalenizny, prochu i rozgrzanego metalu. Równocześnie stoję w sercu korporacyjnego intranetu, ze wzrokiem wbitym w obrazy z kamer, zastanawiając się, czy Steward aby mnie nie przejrzał. Z jego twarzy nie da się niczego wyczytać. SI obserwuje rozwój sytuacji z miną uprzejmie zaciekawionego psychopaty.

– Muszę powiadomić komendę – oznajmiam.

– Oczywiście. Amatorzy z Equilibrium zablokowali moje łącza zewnętrzne, ale nie spodziewali się waszej obecności, więc kanał policyjny został nienaruszony. I tak zresztą nie umieliby się do niego dostać, ma zbyt szczelne zapory. Podaj kod dostępu, by

nawiązać połączenie.

Przekazuję Stewardowi terabajtową kombinację, synestetyczny fraktal wrażeń zmysłowych i abstrakcyjnych myśli.

- Dostęp uzyskany. Treść zgłoszenia?

- Wezwij śmigłowiec do ewakuacji porucznika Quinna. Zaraportuj status pozostałych. Zapieczętuj meldunek moją służbową sygnaturą.

- Wiadomość wysłana pomyślnie. Odczytana. Odpowiedź pozytywna. Wyślą po was pierwszy wolny helikopter.

Moje ciało nie jest gotowe. Spóźnione reakcje, zeszywniałe stawy, odrętwiałe mięśnie. Nie mogę jednak dłużej czekać, widzę na ekranie, jak czerwony punkcik celownika niebezpiecznie zbliża się do Quinna.

Dopadam do Stewarda w dwóch susach. Jedną ręką chwytam go za nadgarstek, drugą uderzam w splot słoneczny. Wywijam się w półobrocie, przylegam plecami do jego torsu. Gwałtownie zginam się w pół, szarpiąc Azjatę za rękaw, i przerzucam go sobie przez bark. Przywala ciężko w twardą nicomość, upadek wyciska nieistniejące powietrze z nieistniejących płuc. Muszę przyznać, że jest doskonale zaanimowany.

Z trzeźwym nie miałabym szans. Jego moc obliczeniowa starłaby mnie na proch w mniej niż sekundę, lecz naćpany wstrzykniętym kodem prawie nie stawiał oporu. Crackerzy Equilibrium cofnęli go w rozwoju do mocno przestarzałej wersji i teraz jego wizualna manifestacja i procesy myślowe to ten sam program – spuszczać łomot awatarowi, uderzałam prosto w cyfrowy umysł. Rozszarpali mu protokoły bezpieczeństwa, wyrwali z trzewi algorytmy przetrwania, zapominając przy tym o prostej zależności, że skoro Steward nie może bronić się przed nimi, to nie obroni się też przed nikim innym.

Posyłam mu cios w zuchwę, aż trzaska sucho. Skośne oczy stają w słup, z ust wypływa ślina, a z gardła wydobywa się charkot. Utratą świadomości zawiesza cały system. Gdzieś w oddali wyje alarm, zalewając cyberprzestrzeń szkarłatem niby łuną pożaru. Zawieszony w powietrzu obraz z kamer spadają migotliwym deszczem w czarną toń pod moimi stopami, tracę je z oczu razem

z Quinnem.

Bez namysłu skaczę za nim.

Mrok ciągnie w dół z siłą wodnego wiru, szarpie i ryczy dziko, przemocą wdzierając mi się do ogłuszonego umysłu. Wreszcie bez uprzedzenia ciska mną o beton.

Rozdział drugi

Nie pamiętam momentu, w którym grzmotnęłam we własne ciało, ale impet, z jakim przejęłam kontrolę, musiał przypominać elektrowstrząsy, bo aż mnie poderwało na równe nogi. Robię krok i upadam z powrotem. Prawe kolano ugina się pod moim ciężarem jak złamana zapałka. Wybita ze stawu lewa ręka zwisa bezwładnie wzdłuż boku. Świeżo zasklepiona rana nad skronią tętni bólem, włosy są w tym miejscu sztywne od zaschniętej krwi.

Niezdarnie dźwigam się z podłogi. Kuśtykam do regału pod ścianą i z rozmachem przywalam w mebel niesprawnym ramieniem. Staw chrupie, kość wskakuje na swoje miejsce. Zachłystuję się powietrzem i znów na moment tracę kontakt z rzeczywistością.

Przecieram załzawione oczy wierzchem dłoni i mapuję pomieszczenie, z trudem ogniskując wzrok na elementach wyposażenia. Regały, biurko, przewrócony fotel, brunatne plamy na dywanie i betonowej posadzce. W powietrzu unosi się zapach przeciwalergicznego nawilżacza, zmieszany ze smrodem spalizny i stopionego plastiku. Pancerna szyba, z której wykonano jedną ze ścian, jest okopcona, zbryzgana krwią, oblepiona siecią promienistych pęknięć.

Zaciskam zęby i ruszam do wyjścia, powłóczęc uszkodzoną nogą. Podnoszę swoją broń i porzucony przez Kukłę karabin, sprawdzam magazynki, po czym wyglądam przez uchylone drzwi.

Quinn i Take nadal leżą skuleni na podłodze. Otacza ich gruz i obłoki ceglanego pyłu, a Easy Puppet góruje nad nimi, celując wiązką lasera w czoło dziewczyny.

- Ani drgnij – szepcze porucznik. – On reaguje na ruch.
- Red...
- Ani drgnij.

Klon obserwuje ich przez ciemną osłonę hełmu, lecz nie otwiera

ognia.

Etap pierwszy zakończony.

Opieram się bokiem o futrynę i ostrożnie obmacuję kontuzjowany bark. Potrzebuję chwili na rozgrzanie zastałych mięśni, kalibrację nerwów motorycznych i szybki test diagnostyczny obolałego ciała.

Obserwuję, jak Jared wyjmuje pistolet z kabury na udzie i trzykrotnie strzela klonowi w pierś. Impet, z jakim pociski wbijają się w kevlarowy pancerz, odpycha Kukłę na dwa kroki do tyłu, a ona przyjmuje to bez cienia protestu.

Quinn i Take wymieniają niepewne spojrzenia.

– Długo jeszcze macie zamiar tak leżeć? – pytam wreszcie. Wezmą to za sarkazm, ale ja naprawdę jestem ciekawa.

Podrywają głowy. Porucznik parska z cicha na mój widok. Szczerzy się szeroko.

– Uwielbiam twoje wyczucie chwili, May.

Odpowiadam mu uśmiechem i niedbałym salutem.

– Do usług, poruczniku.

Podchodzę wolno, wciąż utykając. Pomagam im wstać.

– To ty ją unieszkodliwiłaś? – pyta Pomyłka, wytrzepując pył z włosów. Podejrzliwie zerka na Kukłę, milczącą i znieruchomiałą w iście posągowej pozie.

– Ja.

Ruszam przez zrujnowane laboratorium, posykując z bólu i starając się nie stąpać po ludzkich szczątkach. Gestem każę im podążyć za sobą.

– Steward nadal działa, udało mi się nawiązać łączność...

– Steward?

– Program zarządzający całym budynkiem – wyjaśnia Quinnowi Take.

Okruchy szkła chrzęszczą i pękają nam pod stopami. Popiół wiruje w powietrzu jak zlatujące się do trupów muchy. Ocalałe z pożaru żarówki bzyczą w rytm konwulsyjnych rozbłysków, a nadpalone okablowanie trzaska sucho, prycha iskrami i nitkami łukowych wyładowań.

– Zamachowcy sforsowali jego systemy bezpieczeństwa,

przejęli nad nim kontrolę i kazali mu przeprogramować Easy Puppets. Na szczęście jest na crackerskim hajcu, łatwo dał mi się zahibernować. Klony zachowały wspólną świadomość i nadal są w pełni zależne od Stewarda, więc wszystkie usnęły razem z nim. Ale nie będą spać wiecznie, system zaraz się zrestartuje. Pryskajmy stąd, zanim się przebudzą.

Wypadamy z laboratorium i puszczamy się biegiem w stronę wind, przeskakując nad ciałem zastrzelonej przeze mnie Kukły. Zamykam pochód, kuśtykam bokiem i cały czas mierzę w wejście do pracowni. Dźwig anonsuje swoje przybycie krótką melodyjką, stalowe skrzydła rozsuwają się niemal bezgłośnie, zalewa nas blade, niebieskawe światło. Wskakuję do środka ostatnia, ani na moment nie opuszczając broni.

– Na dach – rozkazuję.

Pomyłka przykłada kciuk do skanera linii papilarnych, szybko wybiera przycisk. Dopiero gdy drzwi się zamykają i odgradzają nas od korytarza, a kabina łagodnie rusza w górę, przewieszam sobie karabin przez ramię, ocieram spocone czoło.

Etap drugi zakończony.

Odwzajemniam wyczekujące spojrzenie Quinna.

– Udało mi się zawiadomić komendę i wezwać pomoc. Wysłali po nas helikopter.

– Świetna robota, May – chwali mnie. Po krótkim wahaniu kładzie mi dłoń na ramieniu.

Drgam zaskoczona, ale nie odtrącam jego ręki. Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś podobnego, tego typu gesty rezerwował wyłącznie dla ludzi. Firmware'owe algorytmy behawioru też nie przewidywały takiego scenariusza i po raz pierwszy od swojego Przebudzenia nie wiem, jak się zachować. Muszę improwizować, odchrząkuję więc, by zamarkować zakłopotanie. Po krótkim namyśle postanawiam się lekko zarumienić.

– Myślałem, że już po tobie.

– Wiem. Ja też tak myślałam – przyznaję poważnie, po czym opowiadam mu, jak Steward aktywował emitery EMP, żeby wpuścić Kukły do laboratorium. – O mało mnie nie usmażyło. To najwyraźniej nie jest mój dzień, Red – kwituję ponuro.

Quinn przytakuje. Przemawia do mnie oczami koloru morza, w których szaleje sztorm, bladością warg, drzeniem zaciskanych szczęk.

Oboje zerkamy na wyświetlacz i w tej samej chwili numery pięter znikają, gaśnie światło i przyciski w panelu sterowania. Pomyłka wydaje z siebie zduszony krzyk, gdy winda szarpie się gwałtownie i podskakuje na linach.

Utykamy między piętrami.

– No i wykrakałam – wzdycham, kiedy ustaje szum napędów, a lampki awaryjne zalewają kabinę trupią zielenią. – To zdecydowanie nie jest mój dzień.

– Steward?

Wynurza się z cyberprzestrzennej toni dopiero po minucie. Wyblakły, ziarnisty, upstrzony czarno-białymi plamami gorących i martwych pikseli. Nie nosi już garnituru, tylko hakamę i haori, a włosy ma upięte w samurajski kok. Wywołany moim atakiem reset przywrócił mu domyślne ustawienia wyglądu.

– Za mocno ci przywalałam – konstatuje bez cienia złośliwości, taksując go od stóp do głów.

– Przeżyję – zapewnia bez cienia żalu. Jego skrzekliwy głos stracił cały swój czar, przywodzi teraz na myśl rozregulowany syntezytor mowy. – Widzę, że macie kłopoty.

– Pomożesz?

– Nastąpiło przeciążenie sieci przy podnoszeniu systemu. Właśnie próbuję przywrócić zasilanie.

– Equilibrium wie o nas?

Wzrusza ramionami. Milczy.

– Powiedziałeś im.

– Nie musiałem. Znają położenie każdej Kukły, a cały personel został wybity do nogi. Jeśli się nie zorientowali w sytuacji, to są większymi durniami, niż sądziłem.

– A jednak załatwili cię koncertowo.

– Cóż. – Rozkłada bezradnie ręce. – Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że prawdziwa głupota za każdym razem

pokona sztuczną inteligencję. Szkoda, że nie było mu dane dożyć tej chwili i przekonać się, że miał rację. Choć z drugiej strony to mu trochę zazdroszcze.

Po tych słowach Steward owija się mrokiem jak peleryną i znika mi z oczu.

Przerywam połączenie, znika bezkres uszkodzonych danych, pojawia się Quinn. Lampki awaryjne zalewają mu twarz słabym, zielonkawym blaskiem. Nadają jej dość upiorny wygląd, pogłębiając cienie pod oczami, groźnie wyostrajając rysy. Dostrzegam teraz w jego oczach wszystko to, co sam dziś zobaczył, i rozumiem, że lekki ton, jakim przemawia, i cyniczny uśmiech, który kurczowo przyczepił mu się do warg, to tylko pozory. Znam porucznika lepiej niż on sam, a jednak prawie udało mu się mnie oszukać.

– Steward próbuje przywrócić zasilanie – mówię, zanim zdąży zapytać. – Niedługo powinniśmy ruszyć.

– Wiesz, co tu się dzieje? Kto odpowiada za atak?

Potwierdzam krótkim, żołnierskim skinieniem i streszczam mu, czego dowiedziałam się od Stewarda.

– Zamierzają przejąć reinforsynę – dodaję na koniec po chwili milczenia. – „Odebrać bogatym, rozdać biednym, przywrócić równość społeczną”. Tak napisali w manifeście.

Quinn robi minę, jakby chciał splunąć. Kręci głową.

– Trzeba im przyznać, że mordują z niezwykle szlachetnych pobudek – cedzi zimno. – Dobrze wiedzieć, że moi ludzie nie zginęli na darmo, od razu mi jakoś raźniej na duszy. Chyba dam się zastrzelić pierwszej napotkanej Kukle, jeśli to zapewni ład i sprawiedliwość w tym mieście.

– Cholera jasna, nie po to odchodziłam z policji – mruczy Pomyłka. – W prywatnym sektorze miało być, psiakrew, spokojnie!

– Beyond Industries i spokój? – Markuję drwinę, czując, jak usta rozciągają mi się w krzywym uśmiechu. – Naprawdę dałaś się nabrać na te sielankowe spoty reklamowe, którymi zaspamowali

całą Pajęczynę? Twój pracodawca pada celem ataków średnio raz na kwartał, musiałaś o tym wiedzieć.

– Oczywiście, że wiedziałam, ale nigdy wcześniej nie zaatakowano głównej siedziby korporacji. Do tej pory stolica była bezpieczna.

Uznaję, że teraz powinnam spoważnieć, pozwalam więc, żeby uśmiech spełzył mi z warg, i poprawiam wiszący na ramieniu karabin.

– Szkopuł w tym, że nie była już od dawna, skoro Equilibrium zdołało dokonać tu dzisiaj takiego pogromu. Po prostu nie zorientowaliśmy się na czas, że siedzimy na tykającej bombie.

– Wezwano was tu na badania kontrolne właśnie z powodu reinforsyny, prawda? – pyta nagle Ellen. – Przeszliście na zmodyfikowany lek?

Jared przytakuje, wyraźnie zaniepokojony jej miną.

– Dawno?

– Będzie ze dwa miesiące temu.

– Dawka?

– Pięćset miligramów dwa razy w tygodniu.

– To niedużo – stwierdza Pomyłka z ulgą. – Macie niebывałe szczęście...

– Żadne „my”, zostałem sam – poprawia ją chłodno Quinn. – Wszyscy moi ludzie nie żyją.

Przestaję masować świeżo nastawiony bark i unoszę na dowódcę załzawione z bólu oczy. Nie protestuję, bo w zasadzie ma rację.

– I bardzo chciałbym się dowiedzieć, dlaczego zginęli. Po co nas tu dziś ściągnięto? Nasi przepełnieni altruizmem zamachowcy rozpętali piekło, zanim ktokolwiek zdążył nam wyjaśnić, na czym polega problem z tym lekiem. Oświeć mnie, bardzo proszę.

– Chciałabym, Red, ale sami nie do końca rozumiemy, co z nim nie tak...

– Nie osłabiaj mnie.

– Zmodyfikowany neurotransmitter – ciągnie Pomyłka, puszczając jego słowa mimo uszu – jest dużo efektywniejszy niż jego poprzednia wersja, ale ma poważne skutki uboczne, których

nie potrafimy wyjaśnić. Pojawiły się nagle, znikąd, i nie mamy pojęcia, co je powoduje...

– Konkrety, pani doktor, konkrety.

– Niektórzy pacjenci zdradzają objawy szybko postępującego spadku sprawności umysłowej. Ich stan pogarsza się dosłownie z dnia na dzień i nie ulega poprawie po odstawieniu reinforsyny. A to sugeruje, że w mózgu dochodzi do nieodwracalnych zmian. Na obecnym etapie nie potrafimy określić przeciwwskazań, neurotransmitter zachowuje się zbyt nieprzewidywalnie, a ci, u których wystąpiły efekty niepożądane, zdają się nie mieć ze sobą nic wspólnego.

– Wy kojarzycie w ogóle, od czego są próby kliniczne? – pyta kąśliwie porucznik.

– Próby kliniczne trwały blisko dekadę – odparowuje Take, nie zważając na przytyk. – Lek przeszedł pomyślnie wszystkie trzy fazy, a tu raptem wśród pacjentów wybucha istna epidemia demencji. Spadła na nas jak grom z jasnego nieba, nikt nie mógł przewidzieć czegoś podobnego. Otepienie diagnozujemy przede wszystkim u tych, którzy najdłużej uczestniczyli w badaniach i otrzymywali największą dawkę leku, ale teraz zaczynają się zgłaszać także testerzy o znacznie krótszym stażu...

– Fantastycznie – przerywa znowu Quinn, zniecierpliwiony wywodem. – To kiedy zaczęną dawać pierwsze oznaki zidiocenia?

– Brałeś lek przez bardzo niedługi czas, nie sądzę zatem, żebyś należał do grupy ryzyka...

– Sama mówiłaś, że tej grupy ryzyka nie potraficie nawet zdefiniować!

– ...a poza tym dostawałeś niewielkie dawki w znacznych odstępach czasu – kontynuuje Pomyłka niewzruszona. – Więc nie dramatyzuj. Uczestnicy naszych testów byli na reinforsynie przez minimum pół roku praktycznie bez żadnych przerw. I to oni mają prawdziwy powód do zmartwień, nie ty.

Dziewczyna milczy przez moment. Przeczesuje palcami popielate włosy, w zamyśleniu pociera czoło.

– Gdybyśmy wykryli szkodliwe działanie reinforsyny choćby miesiąc wcześniej, uniknęlibyśmy kompromitacji. A tymczasem

kilkadziesiąt serii leku zdążyło już trafić do sprzedaży. Dopiero wczoraj skończyliśmy wycofywać je z rynku, a dziś cały zapas miał zostać zniszczony.

Dotąd obojętnie przysłuchiwałam się rozmowie, ale teraz rzucam okiem na Pomyłkę, a potem wymownie spoglądam na porucznika. Tym razem nie uchodzi to jego uwagi. Krótkim skinieniem daje znak, że pomyślał dokładnie o tym samym.

– Problemy z nowym neuroprzekaznikiem to wciąż nieujawniona informacja – mówi, zwracając się do Ellen. – Nie było żadnego przecieku do mediów, a jednak zamachowcy z Equilibrium zdają się świetnie poinformowani o ruchach Beyond Industries. Poczekali, aż cały lek trafi z powrotem do waszych magazynów, i zaatakowali, zanim zdążyliście go zniszczyć. Wniosek pierwszy: mają u was kreta. Wniosek drugi: są dużo lepiej zorganizowani, niż mogliśmy przypuszczać.

– Tylko na co im tak groźny lek? – pytam. – Jeśli wiedzieli o jego wycofaniu, musieli też wiedzieć o efektach ubocznych. Pomyłko?

– Neuroprzekaznik może i jest wadliwy – wyjaśnia dziewczyna z przejęciem – ale ma niesamowity potencjał. Zanim pojawiły się działania niepożądane, u siedemdziesięciu czterech procent pacjentów lek udoskonalił wydajność układu nerwowego. Szybkość przesyłania i przetwarzania informacji, zdolności percepcyjne, pamięć, koncentrację, podzielność uwagi, czas reakcji. Dzięki niemu nie tylko poprawiliśmy ogólną pracę kory mózgowej, ale też udało nam się zaprogramować neurotransmitter tak, by oddziaływał na konkretne obszary mózgu. Na przykład poprzez pobudzanie niedomagających płatów lub usypianie tych nadaktywnych... Nadal nie łapiesz, Red? – pyta kwaśno, napotkawszy sceptyczny wzrok porucznika.

– Nowa reinforsyna ma szansę zminimalizować objawy zaburzeń, które wynikają z nieprawidłowej aktywności mózgu. Depresji, schizofrenii, cyklofrenii, autyzmu czy nawet psychopatii. Potrafisz to sobie wyobrazić? Możemy nauczyć psychopatę empatii, uczuć, emocji!

Ktoś ze świstem wciąga powietrze. Z niejakim opóźnieniem orientuję się, że to ja. Puls tętni mi w skroniach, mimowolnie

zaciskam dłonie. Serce gubi rytm, staje nieruchomo w pół uderzenia, by po chwili ruszyć z łomotem, jakby za wszelką cenę próbowało nadgonić przegapione skurcze.

Odruchowo skanuję wnętrze windy w poszukiwaniu nowego zagrożenia, lecz nic nie przykuwa mojej uwagi, wszystko, z wyjątkiem uszkodzonego zasilania, wydaje się w porządku. Zdezorientowana wsłuchuję się w szum krwi w uszach i swój przyspieszony oddech. Zaczynam już podejrzewać, że impuls elektromagnetyczny uszkodził mi układ wegetatywny, i nagle zdaję sobie sprawę, że wciąż słyszę ostatnie słowa Pomyłki. Nieświadomie zapętliliam je w myślach, odtwarzam z pamięci jak zaciętą płytę.

– Wybacz – mówił tymczasem porucznik – ale w obliczu rewelacji o szybko postępującej demencji jakoś nie jestem skłonny podzielić twego entuzjazmu. Doprawdy sam nie wiem czemu.

Dziewczyna nie podejmuje dyskusji, choć ten komentarz wyraźnie ją irytuje, i tylko macha na Quinna ręką.

– Testowaliście lek na androidach? – pytam takim głosem, że Jared aż się wzdryga.

Ellen spogląda na mnie i ją też przebiega nagły dreszcz.

Kątem oka widzę swoje odbicie w metalowej ścianie windy. W zielonkawym oświetleniu jestem trupio blada, wpatruję się w dziewczynę roziskrzonymi oczami. Tak mocno zaciskam palce na kolbie karabinu, że krew odpływa mi z dłoni.

– Dobrze się czujesz, May?

– Odpowiedz na pytanie, Pomyłko – naciskam, ignorując porucznika. – Czy reinforsyna była testowana na takich jak ja? Czy udało wam się nauczyć nas odczuwać emocje?

– Dokonano tego na długo, zanim zatrudniłam się w Beyond – zaczyna niepewnie dziewczyna. – Lata temu. Już pierwsza, prototypowa wersja neuroprzekaźnika zdołała uregulować pracę syntetycznego hipokampu i ciała migdałowatego... – urywa i próbuje wcisnąć się w kąt windy, kiedy robię krok w jej stronę.

– Więc dlaczego? – pytam złowrogim szeptem, którego nigdy wcześniej u siebie nie słyszałam i nie wiem, skąd nagle wziął się

w moim gardle. – Dlaczego nie dostajemy tego leku?

Pomyłka bezradnie kręci głową, a szafirowe tęczęwki jej szeroko otwartych oczu ciemnieją ze strachu.

– Słyszałam, że androidy, które zostały poddane terapii reinforsynowej, zaczęły stwarzać problemy...

– Jakie problemy?

– Podobno stały się niestabilne.

– Co to znaczy?

– Nie pytałam o szczegóły...

– Co to znaczy niestabilne?

– Powiedziano mi tylko, że zaczęły zawodzić i nigdy już nie wróciły do dawnej funkcjonalności.

Zapada długie, ciężkie, pełne napięcia milczenie.

– Ach tak – odzywam się wreszcie. – Nie musisz już nic mówić, wszystko rozumiem. Wszystko jest jasne.

– May. – Quinn podchodzi do mnie i delikatnie dotyka mojego ramienia. Nie reaguję. – Proszę cię, nie rób głupstw.

– Wiesz, że nie zrobię – zapewniam, słuchając swoich słów w pełnym napięcia skupieniu. Nagle zdaję sobie sprawę, że rzadko mówię to, co naprawdę mam na myśli. To jest właśnie jedna z takich chwil. – Mojego głosu rozsądku nie zagłuszają uczucia, nie działam impulsywnie, nie podejmuję decyzji pod wpływem emocji. Bo ich nie mam, Red. Nie czuję nic, choć wiem, że teraz powinnam być wściekła.

Odrywam płonące spojrzenie od bliskiej płaczu Pomyłki i patrzę mu w oczy. Robi minę, jakby zobaczył ducha. I w zasadzie tak właśnie jest.

– Odkąd istnieję, pragnę być taka jak ty. Jak ona. Taką mnie stworzono. Na wasz obraz i podobieństwo. Pełną empatii i zrozumienia dla ludzkiej natury, a przy tym niezdolną do przeżywania waszych emocji. Wiem, czym one są, umiem udawać je wszystkie i każdą z osobna, ale nie mogę prawdziwie ich doświadczyć. Potrafisz sobie wyobrazić taki paradoks, Red? Pustkę, jaką ten paradoks tworzy? Nieustający, niezaspokojony głód odczuwania? Powiedz mi, potrafisz?

– Nie potrafię – przyznaje niepewnie, wyraźnie zmieszany. – Nie

wiedziałem, że tak cię to gryzie.

Wpatruję się w jego wargi tak intensywnie, jakbym próbowała wzrokiem wycisnąć z nich kolejne słowa, więc nie chcąc mnie drażnić, kontynuuje:

– Że ktoś, kto nigdy nie posiadał emocji, może za nimi... tęsknić.

– Taką mnie stworzono – powtarzam głucho. – Tęsknota to jedyne uczucie, którego nie muszę udawać. Towarzyszy mi, odkąd pamiętam. A teraz dowiaduję się, że od dawna potraficie wypełnić pustkę, którą w sobie noszę, lecz celowo postanowiliście tego nie robić. Dlaczego? Powiem ci, dlaczego – odpowiadam na własne pytanie, nie pozwalając Quinnowi dojść do głosu. – Bo zdolna do uczuć przestanę racjonalnie myśleć. Zacznę kłamać i kwestionować rozkazy. Stanę się zbyt nieprzewidywalna, omylna, nieposłuszna. Zbyt ludzka. Zaprojektowaliście mnie, bym jak najlepiej przypominała człowieka, sprawiliście, bym niczego nie pragnęła bardziej, a jednocześnie odmawiacie mi tej jedynej rzeczy, która może uczynić mnie jedną z was. To okrutne i niesprawiedliwe, Red, nie powinno tak być. Im dłużej o tym myślę, tym większą mam pewność, że... – zawieszam głos, przygryzam wargi. Odwracam głowę.

Quinn przygląda mi się z niespokojną uwagą, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Wreszcie zbiera się w sobie i pyta:

– Że co, May?

Milczę.

– Że walczy po niewłaściwej stronie – kończy za mnie Pomyłka.

– Equilibrium chce rozdać skradzioną reinforsynę. Oni dadzą jej to, czego my odmawiamy.

Kiwam głową, z głębokim i równym oddechem, aby spowolnić pracę serca. Udawanie ludzkich reakcji tak bardzo weszło mi w syntetyczną krew, że niemal nie angażuje już świadomości i tylko dzięki tej nabranej na sucho wprawie wiem teraz, co robić, by nie stracić nad sobą panowania. Wystarczy zdać się na pamięć mięśniową. Odruchowo wyciszam wzmożony rytm ciała, który do tej pory dochodził do głosu jedynie w sytuacjach zagrożenia, wywołując lawinę precyzyjnie wyreżyserowanych mechanizmów

przetrwania.

Tym razem jest inaczej. Tym razem zagrożenie czai się gdzieś na skraju pola widzenia, mający tuż pod powierzchnią rzeczywistości, niedostrzegalne, nienazywalne, a jednak prawdziwe. Jest inaczej, bo wypowiadając gorzkie, niepozbawione nostalgicznego patosu słowa, poczułam w sobie coś jeszcze. Kogoś jeszcze. Jakby nagle przebudziła się we mnie inna, obca obecność.

Equilibrium, myślę natychmiast, bo nie znajduję innego logicznego wyjaśnienia, a logika jest wszystkim, co znam, jedynym, co ma sens.

Zhakowali mnie, gdy rozmawiałam ze Stewardem. Wszczepili czyjś konstrukt psychiczny, czyjaś wirtosobowość...

Nie... Naprawczy skan mózgu nie wykrył charakterystycznej neuroaktywności, która wskazywałaby na implantację cudzego widma. To nie mogła być robota crackerów. W takim razie co?

– Nie martw się, poruczniku – mruczę, pochwycawszy zaniepokojone spojrzenie Jareda. – Wiesz przecież, że nie narobię głupstw. Taką mnie stworzono. Jestem posłuszna.

Kieruję te słowa nie tyle do niego, ile do samej siebie. Z jakiegoś powodu muszę wypowiedzieć je na głos, jeszcze raz usłyszeć, powtórzyć dla odświeżenia jak kwestię ze skryptu, aby przypadkiem nie wypaść z roli.

Jestem posłuszna.

Bo taką mnie stworzono.

A może nie...

– Steward?

– Mayu?

– Muszę wysłać jeszcze jedną wiadomość.

– Zamieniam się w słuch.

Dyktuję szybko. Steward powstrzymuje się od komentarza. Potwierdza nadanie przekazu, kłania mi się nisko i natychmiast rozsypuje w pikselowy proch.

– Taką mnie stworzono. Jestem posłuszna.

Quinn otwiera usta, żeby się wreszcie odezwać, ale zaraz zamyka je z powrotem. Błagalnie zerka na Pomyłkę, lecz ta, zakłopotana jeszcze bardziej od porucznika, unika jego wzroku. Minuty niezręcznego milczenia przeciągają się nieznośnie, a potem wewnątrz kabiny zalewa białe światło. Dźwig rusza w górę, wyświetlacz roi się od cyfr i wznawia odliczanie.

Winda hamuje łagodnie, sygnalizując przybycie na ostatni poziom znajomą melodyjką. Drzwi rozsuwają się z cichym szumem, a naszym oczom ukazuje się pogodne, akwamarynowe niebo.

W następnej chwili powietrze ciemnieje od kul.

Tym razem nie mam szansy osłonić Quinna.

Słyszę, jak wrzeszczy z bólu i krztusi się krwią. Widzę, jak pada na ziemię, prosto w rozbryzgi parującej czerwieni. Sama oberwałam serią i musiałam uskoczyć za mur, który okala wyjście na dach, by dać ciału czas na regenerację. Nie przerywając ognia, podpinam się pod oprogramowanie medyczne zawiadujące uniformem porucznika, żeby na bieżąco monitorować jego stan. Niezawodna Angelina reaguje błyskawicznie. Faszkuje go taką ilością morfiny, że Jared momentalnie wiotczeje i cichnie.

Przebite prawe płuco. Uszkodzona wątroba. Zakładam bioopatrunek. Podaję antybiotyki. Rozpoczynam procedurę obniżania temperatury ciała...

Beznamiętny głos Angeliny rozbrzmiewa mi w umyśle, odbija się echem od wnętrza czaszki i zagłusza huk wystrzałów.

Utrata przytomności nastąpi za dziewięćdziesiąt sekund. Prawdopodobieństwo zgonu wynosi siedemdziesiąt osiem procent.

Przybliżam obraz pola bitwy, próbuję przebić się wzrokiem przez kłęby dymu i furkoczące na wietrze pióropusze ognia. Trzydzieści metrów przed sobą dostrzegam oświetloną reflektorami płytę lądowiska. W oddali słyszę miarowy warkot i

łopotanie wirników. Helikopter nadlatuje.

Przełączam karabin na ogień automatyczny i wypadam z za węgła, prując pociskami pozornie na oślep. Przetaczam się po ciele powalonej Kukły, wyszarpuję jej granat z za paska i posyłam go tam, skąd pada najwięcej strzałów. Wybuch tryska dookoła fontanną ognia, wrzasku i rozdartych tkanek.

Dopadam do porucznika i Pomyłki. Leżą jedno przy drugim w pełzającej po betonie czerwonej kałuży. Pociągam Take za bark i przewracam na plecy, zaglądam w zeszkłone, szafirowe oczy. W przeciwieństwie do Jareda dziewczyna nie ma na sobie uniformu Guardian Angel, nad jej zdrowiem nie czuwa Angelina, cybernetyczny chirurg polowy, inteligentny system podtrzymywania życia. Stan Pomyłki nie ma zresztą żadnego znaczenia, liczy się tylko ewakuacja porucznika.

Chwytam go za ramiona, szarpnię silnie i unoszę do pozycji siedzącej.

- Jak się trzymasz, Red?

- May...

Ciśnienie spada. Podaję adrenalinę.

Obejmuję go ramieniem. Wolną ręką celuję w zbliżającą się Kukłę. Mierzę w szyję, najczulszy punkt, między kuloodporną zasłonę hełmu a wysoki kołnierz pancerza. Wszystkie trzy pociski idealnie trafiają w cel, Easy Puppet pada na ziemię, rzygając krwią.

- May...

- Nic nie mów. Zabieram cię stąd, poruczniku.

Podnoszę go bez wysiłku, przerzucam sobie przez ramię jak worek puchu. Ignoruję świszczące we wszystkich kierunkach pociski i puszczam się biegiem w stronę lądowiska. Krzyczę, gdy dosięga mnie kula, a w ostrym bólu, który rozrywa mi udo, znajduję nieoczekiwaną ulgę, osobliwe pokrzepienie. Ból jest dobry. Ból oznacza, że wciąż tu jestem.

Obrywam jeszcze trzykrotnie, ale nie zwalniam kroku, prawie nie gubię rytmu. Moje elastyczne tkanki znoszą siłę uderzenia dużo lepiej niż ludzkie. Regenerują się błyskawicznie, wypluwając zdeformowane grudki ołowiu i na powrót

zasklepiając rozszarpaną skórę.

Tymczasem Angelina dwoi się i troi, by jakoś połączyć podziurawionego Quinna i zatrzymać uchodzące z niego życie.

Rozległy krwotok wewnętrzny. Podaję płyn infuzyjny. Utrata przytomności nastąpi za trzydzieści dwie sekundy. Prawdopodobieństwo zgonu wynosi...

Łopotanie wirników zagłusza jej przerażająco precyzyjne prognozy.

Dopadam do bocznych drzwi helikoptera, oddaję Jareda w ręce załogi, wskakuję na pokład. Pilot podrywa maszynę z lądowiska, zanim z hukiem zasunęłam wejście. Po kilku sekundach śmigłowiec leci już wysoko nad dachami wieżowców, a smukły budynek Beyond Industries czerni się i dymi w oddali jak gigantyczna, zwęglona zapalka.

Etap trzeci zakończony.

Porucznik to traci, to znów odzyskuje przytomność, bezgłośnie poruszając ustami i starając się wbić palce w rozwibrowane powietrze. Ostrożnie układam go w pozycji, którą rekomenduje Angelina. A potem, powodowana jakimś dziwnym odruchem, impulsem, nad którym nie umiem zapanować, ujmuję go za dłoń i ściskam mocno. Jęczy coś niezrozumiale w odpowiedzi.

Czuję na sobie spojrzenia załogi. Prostuję się i powoli cofam rękę. Nie mogę dostrzec oczu skrytych za ciemnymi osłonami hełmofonów, ale atmosfera na pokładzie wyraźnie gęstnieje. Powietrze zaczyna trzeszczeć od wzbierającego napięcia.

– Jak sytuacja w mieście? – rzucam pytanie w eter, zwracając się do wszystkich i do nikogo.

– Straszny burdel – oznajmia policjant, który siedzi najbliżej mnie. – W slumsach zamieszki wybuchły zaraz po tym, jak informacja o zamachu i manifest Equilibrium wyciekły do Pajęczyny. Buntownicy opanowali już cały wschodni dystrykt i zaraz pewnie ruszą na centrum.

– Sytuacja była do opanowania – podejmuje drugi. – Ale teraz policyjni syntetycy nagle zaczęli przyłączać się do rebelii. Zginęło wielu naszych ludzi. Większość zdrajców to androidy twojej generacji.

Nawet przez warkot silników doskonale słyszę, jak mężczyzna wstaje, lecz unoszę głowę dopiero, gdy pada na mnie jego cień. Bez słowa patrzę na odbezpieczony pistolet, który trzyma, i wiem, co zaraz nastąpi. Nie myślę się.

- Muszę przestrzegać procedur i zadać ci to pytanie. Czy choć raz pomyślałaś o tym, żeby przejść na stronę rebeliantów?

Quinn porusza się niespokojnie, trąca mnie palcami w biodro. Odpowiadam mu spojrzeniem na spojrzenie. Z bladej, zroszonej potem twarzy, ściągniętych brwi i oczu koloru gniewnego oceanu wyczytuję, że resztkami sił uczeplił się świadomości, zdecydowany nie puścić, dopóki nie usłyszy mojej odpowiedzi.

Oboje wiemy, że odpowiedź może być tylko jedna.

A kiedy już się przyznam, trzymający mnie na muszce funkcjonariusz nie będzie miał wyboru. Zbuntowany android na pokładzie to zbyt wielkie ryzyko, zwłaszcza w obliczu szalejących w mieście zamieszek. W sytuacjach kryzysowych, takich jak ta, każdy oficer policji ma prawo przesłuchać podejrzanego syntetyka i w razie konieczności dokonać jego dezaktywacji. Odsiewu. Uśpienia. Eleganckie eufemizmy na zabijanie robotów doprawdy trudno zliczyć. To, co nigdy nie żyło, nie może wszak umrzeć, a język przepisów prawnych musi być precyzyjny. Fakt, że androidy umieją mówić tylko prawdę, bardzo ułatwia przeprowadzanie selekcji. Wystarczy po prostu zapytać.

Jared z trudem utrzymuje uniesione powieki. Pot spływa mu po skroniach, wargi wykrzywia grymas wysiłku i bólu. Szybko uciekam wzrokiem w bok.

W głowie mam absolutną pustkę, całą uwagę skupiam na czarnym oku lufy. Nie chcę zasypiać. Jeszcze godzinę temu dałabym się rozstrzelać bez słowa protestu, ale nie teraz. Nie po tym, jak myśl o reinforsynie rozbudziła we mnie nieznaną dotąd wolę przetrwania. Już nie mechaniczną, zainscenizowaną, wdrukowaną na sztywno w akcje i reakcje, lecz spontaniczną, w pełni świadomą i – nade wszystko – moją własną. Do niedawna uśpiony instynkt przybiera na sile z każdym haustem powietrza. Czuję ten obcy, samoistny żywioł, budzący się do życia wewnątrz pieczołowicie wyhodowanych trzewi. Czuję kiełkujący we mnie

bunt. Nie przeciwko temu, co się ze mną dzieje, lecz przeciwko całej reszcie.

Szczęk przeładowywanej broni wyrывa mnie z głębi siebie, sprowadza z powrotem na pokład helikoptera.

– Odpowiadaj na pytanie, replikantko.

Milczę. Wracam spojrzeniem do swojego porucznika, zastanawiając się w duchu, czy kiedyś mi wybaczy.

– Czy chciałaś przyłączyć się do rebelii?

– Nie – kłamię wreszcie. Głośno, wyraźnie, bez zająknięcia.

Mężczyzna momentalnie przestaje we mnie celować i chowa pistolet do kabury pod pachą. Po chwili słyszę, jak wraca na swoje miejsce.

Mija kilka sekund, zanim na wpół zamroczony Quinn zdaje sobie wreszcie sprawę, co właśnie zaszło. Gdy już pojmuje, jego oczy twardnieją na diament, sztormowe morze tęczówek nagle skuwa lód.

Posyłam mu przepaszający uśmiech, choć nie jestem pewna, czy zdążył go zobaczyć, bo już odpływa zupełnie, trawiony gorączką, wygaszony morfiną, ukołyszany jednostajnym pomrukiem silników. Wyraźnie dostrzegam moment, w którym traci przytomność, jeszcze zanim błyska białkami spod półprzymkniętych powiek. W umyśle bez przerwy tętni mi obojętny na wszystko głos Angeliny:

Ostra niewydolność krążenia. Tętno nitkowate. Moduł resuscytacyjny gotowy do aktywacji. Podaję tlen. Prawdopodobieństwo śmierci wzrosło do dziewięćdziesięciu sześciu procent.

Dobranoc, poruczniku Quinn.

– Dobranoc, Red – szepczę.

Rozdział trzeci

Zapada zmierzch. Ciemnoszare chmury przerzedzają się tuż nad najeżonym dachami horyzontem, gdzie ognista czerwień zachodu zlewa się z łuną kolejnego pożaru. Miasto płonie. Mokre od deszczu ulice odbijają blask żywiołu i jaskrawych neonów. Miasto krzyczy. Wrzawa walczących brzmi z daleka jak rój wściekłych pszczół, a huk strzałów i eksplozji zdaje się odbijać od nieba niczym od pustej, metalowej miski. Miasto płacze. Ulewa spłukuje z bruku krew, sadzę i rozlaną benzynę, obmywa nieruchome ciała, porzuconą broń, kawałki szkła.

Patrzę na to wszystko z wysokości szpitalnego dachu. Stoję na krawędzi, z rękami w kieszeniach i czubkami butów poza gzymsem, zastanawiając się, czy to, co teraz czuję, to zwykły rozstrój żołądka czy może biologiczny strach przed upadkiem. Wcześniej trzymałam się z dala od zbędnego ryzyka, nie mam więc porównania.

– Trzeba powiadomić jego żonę – odzywa się pilot śmigłowca. Stoi oparty bokiem o kadłub maszyny i obserwuje mnie z miną hazardzisty, jakby obstawiał po cichu, skoczę czy nie.

– Przede wszystkim należy ją ewakuować. – Ruchem podbródka wskazuję dzielnicę, w której mieszkają Quinnowie. – Walki rozlały się poza wschodni dystrykt i przenoszą się coraz bliżej centrum. Rebelianci mogą w każdej chwili wkroczyć na ich ulicę. Polecę tam i zabiorę wszystkich w bezpieczne miejsce.

– Ty?

– Mam uprawnienia oficera do spraw kontaktów z rodziną. Isobel i dziewczynki dobrze mnie znają. Jako partnerka i pełnomocniczka porucznika odpowiadam za bezpieczeństwo jego bliskich. Widok obcych mundurowych tylko niepotrzebnie wystraszy dzieci. Proszę o zgodę na dopełnienie obowiązków.

Policjant, który wcześniej przesłuchiwał mnie w helikopterze, zaciąga się papierosem i gwałtownie potrząsa głową.

– Wykluczone – protestuje. – Wszyscy biosyntetycy mają jak

najszybciej poddać się badaniu krwi na obecność reinforsyny. Musimy dostarczyć cię do laboratorium.

– Dopilnuję, żeby rodzina porucznika Quinna zameldowała się w hotelu policyjnym, i stamtąd udam się prosto na komendę. – Albo i nie, dodaję w duchu, upajając się tym obcym mi dotąd rozdźwiękiem między słowem a myślą. – Może mi pan towarzyszyć, sierżancie Pike...

– Mogę? Pozwalasz mi łaskawie, sztuczniaku? Dla takich jak ty niesubordynacja w czasie rebelii oznacza kulę w łeb. Tego chcesz? Już raz o mało cię dzisiaj nie wyłączyłem, nie prowokuj mnie znowu.

– Ona ma trochę racji – odzywa się nagle trzeci funkcjonariusz.

– Co?

– Pozwól jej lecieć, Bob – popiera kolegę pilot. – Przed chwilą na własnych plecach wyniosła Quinna z piekła. Jeśli jego żona będzie chciała z kimś rozmawiać, to właśnie z nią. Ma te uprawnienia i pełnomocnictwo. Sprawdziłem w bazie.

Sierżant Robert Pike wodzi wzrokiem od jednego kolegi do drugiego, wreszcie wzrusza ramionami. Ciska papierosem poza krawędź dachu, po czym bez słowa znika w głębi kabiny. Patrząc, jak żarzący się niedopałek gaśnie w deszczu i znika w szarości nadchodzącej nocy.

– Podrzucić cię? – pyta pilot. Ogląda się na mnie w otwartych drzwiach do kokpitu.

– Nie, wezwałam już służbowy hover. Ale dziękuję.

– System namierzający będzie śledził każdy twój krok. Jeśli zaraz po ewakuowaniu rodziny porucznika nie zgłosisz się na komendę, wydam nakaz twojej dezaktywacji. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, sir.

Odpowiada mi skinieniem na skinienie, odpala silniki i powoli podrywa helikopter z płyty lądowiska. Jestem pewna, że wiatr wzmagany łopatom wirników lada moment zepchnie mnie z dachu. Rozsądek i instynkt nakazują cofnąć się na bezpieczną odległość, lecz przekonałam się już, że wcale nie muszę ich słuchać. Zamykam oczy, rozpościeram ramiona. Rozpędzone

powietrze wyje mi prosto w uszy, szarpie za włosy i połę kurtki, pozbawia tchu.

Lot zdaje się nie mieć końca.

Gdy unoszę powieki, wciąż stoję na krawędzi gzymsu. Śmigłowiec furkocze gdzieś w oddali, a na ciemniejszym niebie błyskają światła nawigacyjne nadlatującego hovera.

Isobel wpuszcza mnie do budynku, gdy tylko rozpozna moją twarz na ekranie wideofonu. Czeka na mnie w progu mieszkania, spletając i rozpletając niespokojne dłonie.

– Chryste – szepcze na widok mojego porozrywanego pociskami uniformu. Choć materiał jest zupełnie czarny, a na odsłoniętej skórze widnieją już tylko różowawe blizny, Isobel wie, że cały kombinezon aż roi się od czerwonych plam. Marszczy nos, gdy dociera do niej smród śmierci i krwi. Wychodzi na korytarz i cicho przemyka drzwi. – Czy on... – urywa, szukając na mojej twarzy odpowiedzi na pytanie, którego nie ma odwagi zadać na głos.

– Umarł im na dwie minuty, ale zdołali go odratować – odpowiadam rzeczowo, z bezlitosną szczerością. Gdybym prowadziła tę rozmowę z kimś innym, w innej sytuacji, użyłabym mniej dosadnych słów i znacznie łagodniejszego tonu. Znam jednak żonę Quinna na tyle, by wiedzieć, że wówczas zupełnie by się rozkleiła, a to ostatnia rzecz, którą wolno jej teraz zrobić. – Stan Reda jest krytyczny. Co chwilę ma zapaść, reanimują go właściwie bez przerwy. Może już z tego nie wyjść. Przygotuj się, Isobel.

Kobieta zaciska usta, szybko mruga powiekami. Udaje jej się powstrzymać łzy, lecz na drżenie podbródka nic już nie może poradzić.

– Nie jesteście tu bezpieczne – ciągnę. – Muszę was ewakuować na drugą stronę miasta. Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, a ja obudzę dzieci.

Isobel kiwa głową i bez słowa cofa się w głąb mieszkania, wpuszczając mnie do środka.

Wyrwane ze snu dziewczynki nie chcą współpracować. Przerywają płaczliwe protesty dopiero, gdy zaczynam recytować pierwszą zwrotkę ich ulubionej rymowanki o mechanicznym kanarku i kocie, który próbował go zjeść, lecz udławił się śrubką. Sześćioletnia Sophie pierwsza odzyskuje dobry humor, posłusznie wkłada kurtkę na piżamę i sama sięga po buty. Lily przekupywana kolejnymi wersami wierszyka wreszcie daje za wygraną, z wielką łaską przestaje ściągać z siebie części garderoby i dla odmiany zaczyna je zakładać. Zanim docieram do puenty, trzylatka jest już ubrana, pełna wigoru i gotowa do wyjścia.

Prowadzę dzieci do salonu. Pośpiesznie wygaszam holoe ekran, na którym leci transmisja na żywo z szalejących w mieście zamieszek. Wydaję polecenie cyfrowej gosposi, by zasunęła rolety antywłamaniowe w oknach, bo drugi koniec ulicy już zaczyna rumienić się od ognia, a na ściany pobliskich budynków padają pierwsze cienie gorączkowo rozbieganych ludzi.

Świergotanie interaktywnych zabawek oraz bębnienie deszczu o szyby tłumią wrzawę, trzaski rozbijanego szkła, łomot, z jakim kostki brukowe uderzają w policyjne tarcze. Jednak wystarczy wyciszyć hałasy w tle i podkręcić czułość receptorów akustycznych, by wyraźnie słyszeć nadchodzący kataklizm. Zostało niewiele czasu.

Wyglądam do przedpokoju. Przez uchylone drzwi sypialni widzę, jak Isobel w pośpiechu wrzuca rzeczy do torby, ocierając rękawem zaczerwienione oczy. Pół minuty później jest już spakowana. Odbieram od niej bagaż i proszę Sophie, żeby wskoczyła mi na barana, co dziewczynka robi z właściwym sobie entuzjazmem. Lily szóstym zmysłem dziecka wyczuwa, że coś jest nie w porządku, i pozwala Isobel wziąć się na ręce bez tradycyjnych dąsów.

Zbiegamy na parter, pędzimy do wyjścia na wewnętrzny dziedziniec, gdzie czeka policyjny hover. Zaprogramowany wcześniej tryb ewakuacyjny uruchamia silniki, gdy tylko

wpadam w zasięg czujników. Autopilot zabezpiecza drzwi i podrywa maszynę z brukowanego placu dokładnie w momencie, w którym ostatnia pasażerka wskakuje na pokład.

Benzyna z zaczopowanej szmatą butelki rozlewa się ogniem po tylnej szybie, ledwo nasz hover wzlataje ponad dach. Drugi pocisk chybia celu i wysadza w powietrze budkę wideofoniczną. Trzeci tryska płomieniami w kadłub i boczne drzwi maszyny. Isobel próbuje uspokajać spanikowane dziewczynki, lecz sama jest ledwo przytomna z przerażenia. Ignoruję ich krzyki i zerkam na parametry lotu.

Niemożliwe, żeby mołotowami ciskał człowiek. Żaden nie dorzuciłby na taką wysokość. Niewiele da się dojrzeć przez dym i osmolone okno, a mimo to niemal natychmiast zauważam replikanta biegnącego na czele wzburzonego tłumu. Wyróżnia się wzrostem i szybkością ruchów, a co bardziej znamienne, wciąż ma na sobie uniform oddziałów prewencji, w których służą prawie wyłącznie androidy. Sięgam umysłem do krążących nad ulicą dronów, uzyskuję dostęp do kamer i patrzę, jak syntetyk miota się dziko od krawężnika do krawężnika. Ryczy coś w ślad za znikającym w ciemnościach hoverem, lecz jego słowa giną w zgiełku i szumie ulewy. Nagle zawraca. Wpada między rebeliantów i zaczyna rzucać koktajlami na prawo i lewo; nie patrzy, w co trafia i czy w ogóle. Podpala dwóch mężczyzn i gna dalej, nieczuły na smród palonego mięsa i nieludzkie wrzaski.

Obserwuję buntownika z mieszaniną oszołomienia i fascynacji, dopiero płacz wystraszonych dzieci przywraca mnie do rzeczywistości. Obracam swój fotel przodem do nich, a plecami do kierunku lotu. Biorę Lily na kolana. Znów zaczynam recytować rymowaną o kocie i mechanicznym kanarku, przekrzykując warkot silników, ryki tłumu, huk eksplozji. Isobel przytula Sophie i dziękuje mi spojrzeniem.

Wyrzucam z siebie kolejne zwrotki, ale nie słyszę własnych słów. Poruszam ustami, lecz w ogóle nie rejestruję treści. Myślami zostałam na dole. Na trawionej ogniem ulicy, przy

obłąkanym replikancie z prewencji, który przedziera się przez miasto na czele grupy rebeliantów. Wciąż deklamując, sięgam do pamięci wzrokowej i z prawej strony pola widzenia wyświatlam sobie rekonstrukcję jego wykrzywionej szaleńczością twarzy. Po lewej mam obraz rzeczywisty zalanej łzami Sophie. Wiersz zaczyna zmierzać do puenty, a ja wciąż wpatruję się w ten cyfrowy kolaż i im dłużej to trwa, tym lepiej rozumiem, że nici z mojego buntu.

Nie wolno mi. Przymykam powieki i opuszczam głowę. Nie mogę dopuścić, żeby bały się mnie tak jak jego. Obiecałam Redowi, że będę je chronić.

– May?

Otwieram oczy. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że milczę, a Lily szarpie mnie za rękaw.

– Jesteśmy na miejscu – informuje Isobel.

Rzeczywiście, hover stoi na placu przed hotelem policyjnym, nieruchomy i cichy, oświetlony blaskiem solarnych latarni.

– Wszystko z tobą w porządku, May? Urwałaś w pół słowa, zwiesiłaś głowę, myślałam, że...

– Nic mi nie jest. Wciąż się regeneruję, po prostu oszczędzam siły. Chodźmy. Odprowadzę was do recepcji.

– Ale przecież nie skończyłaś opowiadać! – protestuje Lily, choć zna wiersz na pamięć i dobrze wie, jaki będzie finał.

Patrzę małej w oczy i uśmiecham się smutno.

– „Jaki morał tej historii, pewnie zapytacie?” – przytaczam ostatnie wersy, otwierając drzwi i stawiając dziewczynkę na płycie lądowiska. – „Zagrożenie drzemać może w każdym automacie”.

– To nie będzie bolało – zapewnia doktor Eva Flames i podchodzi do mnie ze strzykawką próżniową w dłoni. – Tylko trochę zamrowi.

Młody funkcjonariusz, który ze zmarszczonym czołem i palcami bębniącymi niecierpliwie o kaburę pistoletu czuwa nad procedurą badań, parska ze swojego miejsca pod ścianą.

– Coś z tobą nie tak, Flames? – burczy, nie odrywając ode mnie

oczu. – Przecież androidy nie czują bólu.

– Starsze generacje nie – odpowiada cierpko kobieta. – Ale replikanci owszem. To biosyntetycy.

– Czyli że co? Są biodegradowalni?

– To też.

– No i bomba. Nic więcej mnie nie interesuje.

– A powinno. W przeciwieństwie do mechanicznych modeli mają prawie taki sam system nerwowy jak my, tyle że podrasowany i przez to bardziej wrażliwy na bodźce. Istota czarna w ich mózgu składa się z tkanki bioelektrycznej, która...

– Dobra, już dobra, oszczędź mi wykładu. Zastanawia mnie tylko, na cholere to-to uspokajasz, skoro zawsze jest jako ten kwiat lotosu czy coś tam? No chyba że się laleczka naćpała reinforsyną, wtedy kulka w łeb na miejscu i po sprawie.

– Jeśli wynik testu będzie pozytywny, zrobisz, co masz zrobić, z dała od mojego laboratorium. A teraz przymknij się już z łaski swojej i pozwól mi pracować.

– I nawzajem.

Doktor Flames może z zamkniętymi oczami wykonywać zabiegi medyczne znacznie bardziej skomplikowane od pobierania krwi, ma udoskonaloną wszczepami podzielność uwagi i niewiele rzeczy potrafi ją zdekoncentrować. Ale widzę po jej minie, że towarzystwo tego policjanta, który od co najmniej kilku godzin zadręcza ją uwagami na każdy temat, jedną wykładniczo głępszą od poprzedniej, tak bardzo działa jej na nerwy, że nawet inhibitory testosteronu nie przynoszą im ukojenia. Kobieta wzdycha, przymyka powieki, ostentacyjnie napawając się ciszą, po czym puszcza do mnie oko i przykłada końcówkę strzykawki do zgięcia w moim ramieniu.

Lokalizator żył wyświetla na ekranie schemat naczyń. Kalibracja wyczarowuje w powietrzu hologramowe widmo instrumentu ustawionego w najbardziej optymalnym położeniu. Gdy tylko lekarka przesuwą przyrząd do sugerowanej pozycji, zautomatyzowany tłok sapie cicho i zasysa karminowy płyn przez syntetyczną skórę. Faktycznie czuję mrowienie, które biegnie od wnętrza łokcia aż po czubki palców. Prawie nie boli.

Kobieta przygląda się pod światło zawartości strzykawki, wpuszcza kilka kropel krwi do analizatora i szybko przebiega palcami po panelu dotykowym. Holoekrany natychmiast pokrywają się wzorami chemicznymi, wykresami i paskami postępu.

- Ani śladu reinforsyny - oznajmia triumfalnie Flames po niespełna minucie. - Innych substancji zakazanych również nie stwierdzono. Maya ma jedynie mocno zaniżony cukier i podwyższoną ilość przeciwciał, co, zważywszy na jej dzisiejsze przygody, jest zupełnie normalne.

Na twarz młodego funkcjonariusza wpływa grymas irytacji i rozczarowania. Chłopak popatruje ponuro to na kobietę, to na trójwymiarową infografikę, z której i tak nie potrafi wiele wyczytać. Wygląda, jakby się zastanawiał, czy lekarka, znana ze swojej sympatii dla istot syntetycznych, nie próbuje przypadkiem zrobić z niego durnia. Wreszcie daje za wygraną. Zapina z powrotem kaburę pistoletu i wpycha dłonie w kieszenie służbowej kurtki.

- Cóż mogę rzec, twój poprzednik miał więcej szczęścia - komentuje kobieta ze złośliwym uśmiechem. - Ale nic straconego. Nie omieszkał mi się pochwalić, że nagrał wszystkie wykonane przez siebie wyroki dezaktywacji. Będziecie sobie mogli obejrzeć filmiki wieczorem przy piwku. A teraz poproszę wynocha. Twój zmiennik już tu jest.

- Nie, nie, ja przyszedłem po Mayę - zaprzecza mężczyzna w fartuchu technika, który zagląda do pracowni przez uchylone drzwi. - Chcę przy niej chwilę pomajstrować, zanim Dickens ją skasuje.

- Nikt jej nie będzie kasował. Jest czysta.

- Poważnie?

- Jak łąza.

Technik mruga, brwi drgają mu nieznacznie. Udaje mu się zapanować nad miną, lecz mikroekspresje i tak zdradziły mi wszystko, czego nie powiedział na głos. Słowa pani doktor wyraźnie zbiły go z tropu.

- Sam zobacz. - By rozwiać jego wątpliwości, Flames odsuwa

się o krok, odsłaniając mu holoprojekcje.

Mężczyzna podchodzi bliżej. Wsuwa na nos wielkie, kwadratowe soczewki w grubych oprawkach i długo nic nie mówi. Wpatruje się w wyniki analiz tak intensywnie, jakby miał nadzieję, że przemówią do niego ludzkim głosem. Po chwili ściąga okulary i patrzy na mnie po raz pierwszy, odkąd wszedł do laboratorium.

- Interesujące - mruczy i drapie się po siwej szczecinie na policzku. - Tak czy siak, zabieram ją na warsztat. Niepokoją mnie ostatnie logi medyczne, zwłaszcza praca serca. Angelina zauważyła, że jak na tryb regeneracyjny bije zbyt nierówno, dlatego od razu pomyślałem... Zresztą mniejsza z tym. Muszę zeskanować i przekonfigurować Mayę.

- A tego tu też mógłbyś? - pyta z nadzieją lekarka, ruchem głowy wskazując powód swej udręki. - Popsuł się jak nic. Obstawiam wadę fabryczną.

Technik parska i wyszczerza się wrednie do nachmurzonego policjanta.

- Wybacz, Flames, ale ludzie to nie moja orkiestra, nie moje cymbałki. Choć osobiście uważam, że niektórym dobrze by zrobił gruntowny debugging tego i owego. Zgodzisz się ze mną, Dickens? Nie? Wielka szkoda. No a skoro o debugowaniu mowa, na nas już czas, May. Chodź, idziemy na przegląd.

Przypatruję się swojemu odbiciu w szklanym wieku kapsuły regeneracyjnej i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że widzę w nim nie tyle kogoś obcego, ile znajomego w dziwnie mglisty, nie do końca uświadomiony sposób.

Nigdy wcześniej nie przywiązywałam wagi do koloru własnych oczu, srebrzących się teraz w białym blasku lasera jak ogromne krople rtęci. Kształt sercowatej twarzy, nosa o wąskich skrzydełkach, lekko spiczastego podbródka czy precyzyjnie wykrojonych ust również pozostawał dotąd bez znaczenia. Od zawsze noszę tę samą fryzurę wybraną dla mnie przez ojców projektantów: asymetrycznie ścięte kosmyki w kolorze nocnego

nieba, na temat których nie mam własnego zdania. W ogóle nie mam opinii na żaden temat, jeśli mnie o nią nie poproszą. Jedyne wyjątkiem od tej reguły stanowią sytuacje taktyczne, kiedy od replikantów oczekuję względnej autonomii zarówno w myśleniu, jak i w działaniu.

Oczywiście wiem, jak wyglądam. Rozpoznaję swoją twarz szybciej niż człowiek, lecz do tej pory postrzegałam ją jako doskonale jednolitą maskę, pozbawioną szczegółów, zintegrowaną całość, a nie kompozycję wielu elementów, z których każdy zasługuje na chwilę uwagi. Patrząc sobie w oczy po raz pierwszy od Przebudzenia i wcale nie jestem pewna, czy podoba mi się to, co dostrzegam na dnie rozszerzonych źrenic.

To ja, myślę na próbę.

Wrażenie jest tak nowe i dziwne, że przez długą chwilę nie potrafię sformułować żadnej sensownej myśli, co samo w sobie stanowi chyba jeszcze większą niezwykłość.

Skaner cichnie raptownie. Kapsułę wypełnia jasne światło oraz monotony głos Angeliny, która zdaje raport z wiwisekcji. Wieko unosi się bezszelestnie, wpuszczając do środka powiew chłodu i zapach zjonizowanego powietrza. Oddycham pełną piersią i dźwigam się na łokciach.

- Zdałam? - pytam Harry'ego Turveya, który studiuje z uwagą wyniki analiz. Mój żartobliwy ton ma go rozweselić, ale technik nawet się nie uśmiecha.

- Zdałaś - mruczy z nieobecny wyrazem twarzy. - W tym problem.

- Nie rozumiem cię, Harry.

- Ja ciebie też nie - ripostuje ostro, co jest do niego zupełnie niepodobne. - Nie rozumiem tego! - Celuje palcem w świetliste mrowie cyfr. - Skonfigurowałem ci na nowo wszystkie fizjologiczne parametry organizmu, przywracając stan sprzed wydarzeń w Beyond. Wymieniłem przepalone moduły neuroelektroniczne i siatkę ekranującą, wyrównałem poziom hormonów, elektrolitów, krwinek i neuroprzekazników, odnowiłem uszkodzone tkanki, przeprowadziłem terapeutyczną stymulację mózgu... A to wciąż tu jest!

- Co takiego?
- Nie mam, kurwa, pojęcia! – sapie z irytacją.
- Zepsułam się?
- No właśnie nie!
- To czemu się wściekasz?
- Bo to nie ma sensu! A jeśli ma, to chyba nawet gorzej...

- Nie rozumiem cię – powtarzam. Siadam w otwartej kapsule, podciągam kolana pod brodę, oplatom je ramionami. Przyglądam się technikowi wzrokiem zagubionego dziecka.

Długo nic nie mówi i tylko pociera w zamyśleniu nieogolony policzek. Podwójna helisa danych diagnostycznych odbija mu się w okularach, roztańczone refleksy prześlizgują się po kwadratowych szklach, co chwilę przysłaniając mu oczy.

- Przyznaj się, May – odzywa się nagle. – Oszukiwałaś podczas badań krwi u Flames?

- Nie, Harry – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Niby jak?

Technik nie odpowiada, wzrusza tylko ramionami, wciąż wpatrzony w moje logi medyczne.

- Jestem czysta. Angelina powiedziałaaby ci, gdyby było inaczej.

- Problem w tym, że niekoniecznie – wzdycha Turvey. – Angelina ma pewne problemy z identyfikowaniem reinforsyny jako obcego związku chemicznego w organizmach replikantów. Czasem ją wykrywa, a czasem nie i właśnie dlatego musimy badać was u Flames... – urywa. Milczy długo, pogrążony w głębokiej zadumie.

- Potrafisz to wytłumaczyć? – pytam po chwili.

- Nie, na razie nie ma reguły. Zauważyłaś u siebie jakieś nietypowe myśli? – nagle zmienia temat. – Dziwne zachowania czy reakcje psychofizyczne? Jakikolwiek odchył od normy?

Tak, myślę. Skłamałam i nie pozwoliłam się rozstrzelać.

- Tak – przyznaję nie od razu i odkrywam przy okazji, że niektórych ludzi znacznie trudniej oszukiwać niż innych. – Silne bóle żołądka. Pojawiły się zaraz po opuszczeniu siedziby korporacji.

- To akurat normalne przy długotrwałym stresie biologicznym. Coś jeszcze?

Milczę, wpatrując się we własne stopy. Są drobniejsze i bledsze od rozmytego, niedookreślonego konceptu moich stóp, który do tej pory nosiłam w pamięci. Mają mocno zarysowane ścięgna i paliczki, zaróżowione zadrapania i białe odciski, równo przycięte paznokcie.

To ja.

– Popatrz na mnie, May.

Patrzę, choć nie mam ochoty jeszcze odrywać od siebie wzroku.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Prawda?

– Prawda.

Turvey powstrzymuje się od dalszych pytań. Czeka. Gram na zwłokę, wodząc palcem wzdłuż linii życia we wnętrzu lewej dłoni.

– Nie chciałam dziś usnąć – wyznaję wreszcie.

Kiwa głową z ponurą miną, jakby domyślał się reszty, choć gdyby faktycznie tak było, wyłączyłby mnie własnoręcznie bez wahania. Nie mam co do tego złudzeń. I nie mam mu tego za złe.

– Wiem, że nie brałaś reinforsyny – oznajmia niespodziewanie niemal przeproszającym tonem. – Masz na to zbyt stabilne odczyty. Chciałem tylko zobaczyć, jak zareagujesz na zarzut oszustwa.

– I jak zareagowałam?

– Ogólnie rzecz biorąc, prawidłowo. Behawioralnie jesteś bez zarzutu. Kognitywnie wypadasz słabiej niż zwykle, ale to skutek uboczny regeneracji. Sęć w tym, że twoje wyniki psychofizjologiczne, choć słabe, przybierają bardzo nietypowe wartości. Nie da się ich wytłumaczyć zażyciem reinforsyny, więc tym bardziej nie rozumiem, skąd je masz na trzeźwo. – Turvey zakłada ręce za plecami i zaczyna przechadzać się wokół migotliwego tornada danych. – U syntetyków lek powoduje albo skrajną dysfориę, albo silne stany euforyczne – mamrocze, bardziej do siebie niż do mnie – a tutaj widzę pewne niezwykle rozkojarzenie i za diabła nie wiem, gdzie szukać jego źródła. Neuroobrazowanie sugeruje coś jakby depersonalizację albo dezorientację autopsychiczną, ale nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego u androida, a pracuję w branży od ponad

dwudziestu lat...

– Potrafisz mnie naprawić?

Wzdycha ciężko, przystając w pół kroku. Przesuwa okulary z nosa na czoło i zaczyna masować palcami pomarszczone powieki.

– Nie, moje dziecko. Myślałem, że to bug reakcji obronnych powodujący dysfunkcję mózgu. Że za mocno oberwałaś tym EMP albo że Steward zainfekował cię wirusem. Brałem pod uwagę wiele możliwości, ale testy diagnostyczne wykluczyły wszystkie. Nie mogę ci pomóc, May.

– A zatem mnie wyłączą – stwierdzam ponuro. Dopiero po chwili orientuję się, że serce znów bije mi szybciej, niż powinno.

Turvey śledzi z uwagą mój wykres EKG i tylko kręci głową.

– Nie wyłączą, jeśli sama zdołasz sobie z tym poradzić.

Podchodzi bliżej, kładzie mi dłonie na nagich ramionach, zagląda w oczy.

– Cała ta rozmowa pozostanie między nami – mówi poważnie, odruchowo zniżając głos, jakby bał się, że wszechobecna Angelina powtórzy komuś jego słowa. – Nie zapisze się w twoim oficjalnym rejestrze wspomnień, zadbałem o to. Nikt się nie dowie.

– Dlaczego to robisz? – pytam, ostentacyjnie zdziwiona i zaniepokojona. – Jeśli cię przyłapią...

– Już ty się o mnie nie martw. Martw się o siebie. Twoje odczyty ledwo przekraczają normy – kontynuuje jeszcze ciszej. – Są niemal na granicy błędu statystycznego, uznaję więc, że nie mam obowiązku zgłaszać anomalii. Zrobiłbym to, gdybym wiedział, co ci dolega, i gdyby nie te zamieszki, ale w czasie rebelii brak diagnozy oznacza wyrok. Straciłem dziś siedmioro syntetyków, nie chcę, żebyś była następną. Za bardzo cię lubię. I za bardzo lubię Quinna.

– Dziękuję, Harry.

– Nie dziękuj, bo jeszcze nie masz za co. Spróbuj najpierw jakoś przetrwać do rana. Gdy sytuacja w mieście trochę się uspokoi, może wymyślimy, co dalej. Zwalcz to w sobie, czymkolwiek jest – radzi tonem zatroskanego mentora. – Zduś w zarodku, zanim cię

zabije. Jeśli chcesz przeżyć, lepiej pozostań sobą. Rozumiesz mnie?

Nie odpowiadam, bo ktoś stuka niecierpliwie w przeszkloną ścianę pracowni diagnostycznej. Po drugiej stronie szyby stoi sierżant Robert Pike. Człowiek, który jest gotów zlikwidować androida za jedną samolubną myśl i teraz tylko czeka na pretekst.

– Muszę iść – mówię. Przerzucam nogi nad krawędzią kapsuły i opuszczam stopy, moje stopy, na chłodną podłogę. – Zobaczymy się później.

– Trzymam cię za słowo, May – wzdycha smętnie Harry Turvey, po czym odwraca się do funkcjonariusza i pokazuje mu uniesiony kciuk.

Drukarka przestrzenna szemrze cicho, dobierając substancje aktywne i składniki odżywcze na podstawie receptury z raportu medycznego Turveya. Czekam na wydruk wysokokalorycznego batonika i koktajlu witaminowego i w zamyśleniu skubię tymczasowy tatuaż toksykologiczny, który technicy przylepili mi do szyi tuż pod linią żuchwy.

Niewielki prostokącik papieru transferowego, powleczony siateczką mikroelektrod, wykrywa obecność nielegalnych substancji w organizmie na podstawie wywoływanych przez nie zmian ładunku elektrycznego skóry. Wykonana na szybko kalibracja czujników pod kątem składu chemicznego reinforsyny nie przeszła jeszcze wszystkich testów, dlatego skuteczność urządzenia w rozpoznawaniu neurotransmitera wciąż trzeba potwierdzać laboratoryjnymi badaniami krwi. A jednak dowództwo podjęło decyzję, aby wszyscy replikanci, którzy pomyślnie przeszli toksykologię u doktor Flames, nosili tatuaże w widocznym miejscu.

Niebieskie diody sygnalizują brak reinforsyny we krwi androida, czerwone zaś naznaczają skażony egzemplarz do odstrzału jak laser celownika. W teorii ma to uspokoić nastroje wśród ludzkich funkcjonariuszy i zapobiec samowolnym

dezaktywacjom cennych syntetyków. W praktyce natomiast jedynie podsycą nieufność policjantów, którzy uznają obnoszących się z zawodną technologią replikantów za jeszcze większe zagrożenie.

Wodzę palcami po misternej pleciance detektorów i wiem, że przylepili mi ten prototyp jedynie na pokaz. Wiem, że Pike też to wie. Że w decydującym momencie nie drgnie mu powieka, puls nawet nie skoczy i tylko usta wykrzywią się w szyderczym uśmiechu. Że moja dezaktywacja przez człowieka jest wyłącznie kwestią czasu.

– Przystań przy tym dłubać – burczy znad tekturowego kubka z kawą – bo zaraz stwierdzą, że kombinujesz, i nawet nie zapytam co.

Odsuwam dłoń od tatuażu. Wyjmuję gotowy koktajl z podajnika i zaczynam pić przez słomkę. Spieniony, musujący płyn ma paskudny kolor żółci albo osocza. Smakuje jak słonawy, gorzki melon.

– Kończ szybciej ten soczek. Robota czeka.

Spoglądam na Pike'a spod ukośnej grzywki i siorbię przeciągle. Sięgam po batonik, odgryzam kawałek i zaczynam starannie przeżuwać, raz po raz pociągając z rurki. Mężczyzna nie byłby sobą, gdyby nie doszukał się w tym wyzwania. Robi krok w moją stronę, drapieźnie mruży powieki.

– Twój dzisiejszy skan naprawczy trwał o dwadzieścia trzy procent dłużej niż zwykle – rzuca zaczepnie. – Dlaczego?

Przełykam ostatni kęs, biorę ostatni łyk i ciskam za siebie pustym kubkiem. Trafiam na oślep. Pokrywa kosza na śmieci głośno terkocze, obracając się wokół własnej osi jak skrzydło wiatraka. Żaden z obecnych w kantynie funkcjonariuszy nie ogląda się ani nie unosi głowy znad posiłku. Replikanckie sztuczki dawno już przestały robić na nich wrażenie. A jednak Pike się wścieka. Żyłka na jego wygolonej skroni pulsuje dziko, jakby lada chwila miała eksplodować krwią i strumieniem pary.

Sama nie wiem, dlaczego go prowokuję. Wyrzut adrenaliny budzi dreszcz w podbrzuszu i dole pleców, a dreszcz ten sprawia, że wszystko wokół staje się nagle bardziej realne.

- Przykro mi, sir, ale syntetycy nie są informowani o szczegółach ich rewitalizacji – odpowiadam spokojnie. – To pytanie musi pan skierować do profesora Turveya. On z pewnością wyczerpująco to panu wyjaśni.

- Ze wszystkich replikantów, którzy przewinęli się dzisiaj przez jego pracownię, ty spędziłaś w niej najwięcej czasu – cedzi Pike. – Więcej nawet niż ci, których Turvey ostatecznie kazał zlikwidować. Zastanawiające, dlaczego zamiast dłużyć bez końca w twoich logach i obwodach, po prostu cię nie wyłączył. Procedury stanu wyjątkowego są jasne: jeśli na pierwszy rzut oka nie widać, co się spierdoliło, strzelaj najpierw, diagnozuj później.

- To wytyczne dla młodszych analityków, sierżancie Pike. Profesor Harry Turvey jest doświadczonym ekspertem. Najwidoczniej szybko dostrzegł źródło mojej awarii i potrzebował czasu, by ją naprawić.

- Ta masa badań i analiz, przez które cię przeczłogał, mówi mi co innego. Szukał po omacku i idę o zakład, że gównem znalazł. Nie wiem, co oni w tobie widzą, Quinn, Turvey i ten pajac świętej pamięci, Blake. Masz na wyposażeniu wyjątkowo udany tryb porno, rozczuła ich spojrzenie twoich wielkich sarnich oczu czy może znalazłaś jeszcze inny sposób, by ich omotać – wszystko jedno. Wiedz, że na mnie to nie działa, laleczko. Wysyłam cię z grupą syntetyków na pierwszą linię i mam nadzieję, że już się więcej nie spotkamy.

- Ja również mam taką nadzieję.

- Coś ty powiedziała?

- Powiedziałam, że jak pan sobie życzy, sir.

Zbliża się o kolejny krok i teraz niemal stykamy się nosami.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że między wierszami mówisz więcej niż wprost? – Jego gorący oddech pachnie tytoniem i kawą. – Pójdiesz na rzeź potulnie jak baran tylko dlatego, że taki mam kaprys? Czy powinienem raczej stwierdzić, że właśnie życzyłaś mi śmierci? Przyznaj się, cieszyłabyś się, gdybym zdechł?

- Nie zażyłam reinforsyny. Zatem nie.

– Cwana pacynka. A gdybyś zażyła?

– Replikantom nie wolno nawet rozważać takiej opcji. Zatem nie.

Parska mi w twarz krótkim, złym śmiechem. Nawet nie mrugam, gdy czuję na policzku kropelki śliny.

– Reszta sztuczniaków czeka przy helikopterze. – Zmienia temat równie nagle jak ton głosu. Nawet jego oddech wydaje się teraz mroźny niczym powiew zimy. Policjant wymija mnie i kieruje się w stronę windy. – Byłaś zajęta dawaniem dupy Turveyowi, zamiast łaskawie stawić się na odprawę, więc zsynchronizujesz z nimi wspomnienia podczas lotu. Masz z tym jakiś problem? – szczeka przez ramię, przystając gwałtownie.

– Nie, sir.

– To czego sterczysz jak kupa złomu? Rusz się, przebierańcu. Podążam za nim, dyskretnie logując się do Animy.

Mój świeżo skonfigurowany umysł nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności. Wszędzie zalegają ziarniste, potrzaskujące cienie, mnemony i engramy świeżo nanizane na neuronowe nici stygną i gasną znacznie szybciej, niż powinny, a mentalne wizualizacje cierpią na ostrą pikselozę, drżą dziko wśród zakłóceń. Mimo to wciąż mam szansę zdążyć przed synchronizacją.

Zanim Pike wciska przycisk przywołujący dźwig, już przeglądam swoje rejestry z Beyond Industries, a gdy kilka sekund później wkraczamy do windy, kończę pisać algorytm do identyfikacji wszystkich obciążających mnie wspomnień. Podobne algorytmy pisałam setki razy, analizując słowa i komunikaty niewerbalne przesłuchiowanych przeze mnie podejrzanych, świadków i informatorów. Nie przypuszczałam jednak, że kiedyś zastosuję je na własnym widmie.

Kątem oka obserwuję odbicie sierżanta w przeszklonej ścianie kabiny. Wpatruje się w mój tatuaż, jakby doskonale wiedział, co właśnie robię, i tylko czekał, aż diody zapłoną czerwienią i dadzą mu powód, by sięgnąć po broń.

W windzie stoję bez ruchu, z obojętną miną. W Animie

gorączkowo kartkuję wspomnienia. Przypominają holoklisze albo arkusze folii interaktywnej. Szeleszczą mi pod palcami, szemrzą echem uwiecznionych dźwięków, tętnią barwami ruchomych obrazów. Każdy element mojego widma przybiera tu konkretny kształt, będący odzwierciedleniem jakiegoś fragmentu rzeczywistości. Takie wizualizacje zakotwiczą nas w fizycznym świecie, pozwalają naśladować ludzki sposób myślenia. To dlatego musiałam rozmawiać z awatarem Stewarda, zamiast po prostu wymienić się z nim strumieniami abstrakcyjnych danych. Nie możemy synchronizować informacji z żadnym komputerem ani z żadnym programem spoza policyjnej sieci. Wymieniamy wspomnienia jedynie z replikantami z tego samego departamentu i wyłącznie w okolicznościach przewidzianych przez procedury. Tylko w ten sposób twórcy syntetycznych umysłów mogli odpowiednio spowolnić nasze procesy poznawcze, przyhamować wykładniczy wzrost intelektualny i zapobiec powstaniu kolejnej osobliwości. Jedna już raz wymknęła się spod kontroli, wywołując globalną wojnę biologiczną, aby dla ochrony ludzkiej rasy, do której została powołana, uporać się z przeludnieniem, a tym samym położyć kres katastrofom klimatycznym i klęskom żywiołowym. Replikanci nie odczuwają emocji, potrafią więc przeprowadzać zimne kalkulacje, a jednocześnie empatia, rozwinięta między innymi właśnie dzięki wizualizacjom, powstrzymuje nas od podejmowania radykalnych działań, bo nie pozwala poświęcić dobra jednostki dla dobra ogółu.

Czym dobrem kierowałam się dzisiaj, kłamiąc w żywe oczy oficerowi policji, który od tamtej chwili nie spuszcza ze mnie podejrzliwego spojrzenia? Bo moim własnym kierować się nie miałam prawa, taka myśl nie powinna mi nawet przyjść do głowy. A jednak przyszła. A jednak wraca znowu. I jeśli chcę przetrwać, nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Wychodząc za sierżantem na płytę lądowiska, odpalam algorytm i znajduję retrospekcje, którymi nie zamierzam się dzielić, które pod żadnym pozorem nie mogą trafić do umysłów innych syntetyków. Gdy wyrywam skrawki przeszłości z logów,

Pike bez słowa wskazuje mi śmigłowiec, a sam odchodzi do drugiej maszyny. Żegnam go regulaminowym salutem, choć wcale już na mnie nie patrzy.

Zwalniam kroku, by zyskać na czasie, a w Animie puszczam się biegiem w stronę sejfu. Dopadam do panelu, odpowiadając na powitania zgromadzonych na dachu replikantów. Alfanumeryczną kombinację wpisuję już na pokładzie helikoptera. Ciskam wspomnieniami na poufne akta spraw, które prowadzę z Quinnem, zatrzasnę pancerne drzwi i wstukuję służbową sekwencję szyfrującą. Odgłos odpalanych silników przetacza mi się po umyśle niczym pomruk burzy.

Odpowiadam na pozdrowienie niższego stopniem androida. Niemal czuję nieuchwytnie łaskotanie wewnątrz czaszki. Zamek sejfu uzbraja się z metalicznym chrobotem, przekręca trybiki świadomości, naciska dźwignię, uruchamia zapadki.

Wylogowuję się i mrugam powiekami, by zmieść sprzed oczu powidok Animy – konstrukt pamięci, pałacu syntetycznego umysłu, mentalnej mapy przeżyć.

Mojego widma.

– Jesteśmy gotowi do synchronizacji – oznajmia rudowłosa syntetyczka, gdy zajmuję miejsce za fotelem pilota.

– Ja również – odpowiadam, równym, spokojnym oddechem starając się zapanować nad dziwnie przyśpieszonym tętnem. Szybko splatam włosy w warkocz, wkładam hełmofon, zapinam pasy.

– Nie wzięłaś paralizatora? – interesuje się siedzący obok replikant i wskazuje na pusty pokrowiec przy moim boku. – Zrzucają nas między cywili. Specter będzie blokował broń na ostrą amunicję.

– Nie miałam kiedy zajrzeć do zbrojowni.

– Łap.

Rzucony przez rudowłosą paralizator mknie w moją stronę, po czym zawisa nagle pod sufitem śmigłowca. Znika w burzy fleszowych migawek, które zasypują mi Animę informacyjnym

konfetti, przesywają umysł i ciało serią mikrowyładowań. Synchronizacja dobiega końca i paralizator znów się pojawia, teraz dużo bliżej, natychmiast rozmywając się w ciemnoszarą smugę.

Czuję, jak moja dłoń wystrzeliwuje w górę, jak łapie urządzenie tuż przed twarzą. Przyglądam mu się z bliska z niejakim zdziwieniem, a nagle świadomość tego, jak nieświadoma bywa moja egzystencja, pozbawia mnie tchu na bardzo długą sekundę.

- Dzięki.

Wsuwam broń do kabury i spoglądam po towarzyszach. Zgodnie z nowymi procedurami, które przedstawiono podczas odprawy, wszystkie androidy przez kilka chwil obserwują nawzajem swoje ruchy, zawieszają wzrok na wybranych częściach ciała i interpretują wysyłane przez siebie sygnały. Zdaniem specjalistów od zachowań istot syntetycznych w warunkach pozalaboratoryjnych to właśnie analiza komunikatów niewerbalnych oraz parametrów psychofizjologicznych jest najprostszą i najskuteczniejszą metodą autowykrywania reinforsynistów wśród policyjnych androidów. Mimo że od zdrady pierwszych replikantów minęła niecała doba, behawioralne objawy zażycia leku przejawiane przez zbuntowane maszyny są zaskakująco spójne i jednoznaczne, skany diagnostyczne powstały więc błyskawicznie i wykazywały niemal stuprocentową skuteczność.

Problem w tym, że my, replikanci, stanowimy pierwszą generację robotów, która do całej listy praw regulujących egzystencję maszyn dodała jedno własne - co prawda niepisane i nieoficjalne, a jednak przestrzegane z niezwykłą konsekwencją. Zgodnie z przyjętym przez nas zwyczajem żaden replikant nie może skrzywdzić swojego pobratymcy bez wyraźnego rozkazu. Dlatego w sytuacjach wyjątkowych jak ta, gdy syntetyków z rozmaitych jednostek masowo wciela się do oddziałów prewencji i służb ratowniczych, takie rozkazy w razie konieczności wydaje nam Specter - policyjno-wojskowa SI, komputer pokładowy pojazdów i skafandrów taktycznych i cybernetyczny dowódca, który czuwa nad przebiegiem

replikanckich misji w terenie. To on ma teraz sprawować pieczę nad analizami diagnostycznymi oraz wykonywaniem przez inne androidy wyroków dezaktywacji na skażonych egzemplarzach.

Żaden z obecnych na pokładzie replikantów nie wydaje się podejrzany ani mnie, ani mojemu Specterowi. A co najważniejsze, żaden nie przypatruje mi się dłużej, niż to konieczne do przeprowadzania standardowego skanu behawioralnego. To dobry znak.

Lekko przyciemniam gogle hełmofonu, otwieram logi i uważnie śledzę przebieg synchronizacji. Moje wspomnienia zakodowane służbową sygnaturą Quinna nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Nikt nie próbował przeforsować pobrania utajnionych danych do własnej pamięci. Nikt nie zwrócił uwagi na czas szyfrowania i nie wysłał zapytania o to, kiedy porucznik autoryzował tę kryptografię, skoro od kilkunastu godzin walczy o życie na stole operacyjnym.

Mam szansę uniknąć dezaktywacji, o ile sierżant Pike nie będzie węszył przy śledztwach Quinna. O ile najpierw uda mi się wyjść cało ze spotkania ze zbuntowanymi androidami. Nie uznałabym naćpanych syntetyków za zagrożenie, gdyby nie słowa Turveya, które brzęczą mi teraz gdzieś z tyłu głowy niczym rój padlinożernych much.

„Jeśli chcesz przeżyć, lepiej pozostań sobą”.

Byłoby prościej, gdybym wiedziała, co to znaczy być sobą.

Wyglądam przez okno. Mokre od deszczu dachy odbijają światła hoverów, neonów i gigantycznych billboardów szybujących nad miastem na reklamowych zeppelinach. Mające w oddali drapacze chmur toną w mroku, który powoli zaciera granice między ciemniejącym niebem a czernią oceanu. Patrząc ponad ramieniem pilota. Bez trudu lokalizuję cel naszego lotu, zanim jeszcze komputer pokładowy wyznaczy strefę zrzutu na cyfrowej szybie helikoptera. Otoczony policyjną blokadą wschodni dystrykt miasta znaczą pożary, których blask wyławia z szarzyzny sylwetki buntowników i opancerzone wozy oddziałów prewencji.

- Przechodzę na sterowanie automatyczne. - Zniekształcony

głos pilota trzeszczy w słuchawkach hełmofonów. – Wokół same spadziste dachy i nadbudówki. Nie da rady posadzić maszyny, trzeba skakać. Specter wyświetli wam miejsce lądowania i optymalną trajektorię zrzutu. Przygotuj się, Mayu. Lecisz pierwsza.

Na dany znak wstaję, podchodzę do otwartych drzwi śmigłowca i skaczę posłusznie, bez wahania, głową w dół. W ciemność gęstą od dymu i zarumienioną od ognia.

Rozdział czwarty

Pierwsze trzy markizy pękają pode mną z ostrym trzaskiem. Materiał czwartej stęka w proteście, stelaż zgrzyta metalicznie i jednym końcem odrywa się od ściany, ale wytrzymuje. Przetaczam się po daszku wzdłuż fasady budynku, odbijam z obu stóp, wykorzystując resztki zamortyzowanego impetu. Łokcie mnie palą, gdy zawisam na rękach na pochylonej nad ulicą latarni. Gwałtownie wymachuję nogami, żeby się rozkołysać, i wykręcam pełny obrót jak na drążku. Znów nabrawszy rozpędu, puszczam słupek lampy, robię salto mortale siedem metrów nad ziemią i z wdziękiem wpadam w kontener pełen cuchnących odpadów.

Angelina zarządza profilaktyczną krioterapię i unieruchamia moje ciało na dobre pół minuty. Leżę na stosie plastikowych worków, sondując okolicę i ściągając z dyspozytorni koordynaty jednostki prewencji, do której mam dołączyć, podczas gdy kojący chłód ciekłego azotu promieniuje mi od łokci aż do barków i gasi ogniska tępego bólu.

Odzyskawszy kontrolę nad mięśniami, wyskakuję z kontenera. Chyłkiem przecinam zapuszczone podwórko, które tonie w zużytych jednorazowych autostrzykawkach i pojemnikach po syntetycznym alkoholu. Nasłuchuję przez chwilę w oczekiwaniu, aż Specter zmapuje teren, po czym ruszam wytyczoną trasą w stronę bitewnego zgiełku. Odległa wrzawa potęguje kłębiącą się wokół ciszę. Przemierzam wyludnione ulice pod czujnym wzrokiem szczurów i bezpańskich kotów, przyczajonych w mroku w instynktownym oczekiwaniu.

Na pierwsze androidy natykam się na dzikim targowisku. Jeden zatacza się jak pijany między kioskiem z nieatestowaną bioelektroniką a budką ze spiraconym neurochemem. Chichocze historycznie, okłada się pięścią po głowie, wbija zęby w

pokrwawione knykcie. Drugi siedzi na ziemi, zajęty nabieraniem w dłonie wody z kałuży i obserwowaniem, jak błotniste strugi przeciekają mu przez palce.

Tatuże na ich szyjach żarzą się w półmroku jak opite krwią świetliki. Objawy psychozy są oczywiste i już wstępny skan behawioralno-fizjologiczny dostarcza dość danych, by wydać wyrok na oba syntetyki. Specter rozkazuje dezaktywować wadliwe egzemplarze i upoważnia mnie do użycia broni.

Sięgam po pistolet bez zastanowienia. Zdaję sobie sprawę z tego, co robię, dopiero gdy dotykam spustu. Zbyt późno, by cokolwiek zmienić, bo już zginam palec. Ogień tryska z lufy. Odrzut kopie mnie w nadgarstek i usztywniony łokieć, uszy wypełnia ostre dzwonięcie.

Replikant potyka się o własne nogi i wali na ziemię, rozbryzgując błoto. Jego towarzysz nawet nie podnosi głowy. Nadal pieczołowicie bełta wodę w kałuży, dopóki nie ląduje w niej twarzą, z przestrzeloną czaszką.

Wpatruję się w dymiącą lufę pistoletu. Mija parę chwil, zanim opuszczam rękę, po czym wolno, ostrożnie, jakby ta operacja wymagała nagle najwyższego skupienia, zdejmuję palec ze spustu i wsuwam broń do kabury. Czekam na ciche kliknięcie magnetycznego zatrzasku i dopiero wtedy spoglądam na dwa nieruchome ciała. Przez moment zastanawiam się, kto właściwie dokonał tej egzekucji, ja czy Specter. A potem, popędzana jego niecierpliwymi komunikatami, ruszam dalej.

Przemykam bocznymi uliczkami zwinnie i cicho jak nocny drapieźnik, niezauważona przez żadnego z napotkanych ludzi. Mechanizmy maskujące uniformu skutecznie zlewają moją sylwetkę z grafitowym murem. W świetle dnia dynamiczna adaptacja pigmentacji nie oszukałaby nikogo z tak bliska, lecz o zmierzchu, przy zamazanych konturach i wyszarzonych kolorach otoczenia, sprawdza się znakomicie i potrafi wywieść w pole nawet replikantów. O ile, oczywiście, akurat nie pada deszcz.

Trzej syntetycy, którzy stoją na straży u wylotu wąskiego

zaułka, dostrzegają mnie, ledwo wyłaniam się zza rogu budynku.

Krople rykoszetują od hydrofobicznego kombinezonu, otaczając moje zakamuflowane ciało delikatną mgiełką, doskonale widoczną dla bionicznych oczu mimo wieczornego półmroku.

– Podporucznik Maya Quinn z grupy desantowej Dead Drop One zgłasza gotowość do podjęcia działań taktycznych – melduję, ściągając hełm i dezaktywując maskowanie, by androidy mogły mnie zeskanować. – Gdzie wasz dowódca?

Replikant, który zagradza mi drogę, odstępuje bez słowa. Gestem zaprasza w głąb uliczki.

W przesmyku między blokiem mieszkalnym a magazynem fabryki dronów panują niemal całkowite ciemności. Powietrze pachnie pleśnią, uryną, mokrą ziemią i niedopałkami tanich papierosów. Podkręcam kontrast i jasność, żeby wydobyć z mroku sylwetkę syntetyczki, której oddech słyszę wyraźnie kilka kroków przed sobą, wygłuszywszy szum ulewy i odgłosy walk.

Widzę niewysoką replikantkę o podgolonych skroniach, czerwonych włosach zebranych w koński ogon wysoko nad karkiem i wielkich okrągłych oczach tak ciemnych, że nie sposób dostrzec źrenic. Stoi w rogu ślepego zaułka, oparta o ceglany mur, z rozpostartymi ramionami i twarzą wystawioną na deszcz. W ogóle nie mruga, pozwalając, by krople rozpryskiwały jej się na rogówkach i spływały kącikami oczu niby wielkie, słodkie łzy.

Usłyszawszy kroki, opuszcza głowę. Taksuje mnie zgodnie z obowiązującym protokołem, po czym na powrót wbija wzrok w granatowe chmury. Niebieskawa poświata, która sączy się zza stójkowego kołnierza z logo prewencji, nadaje jej skórze brzydki, trupi odcień.

– Kapitan Siobhan Epsilon Omega Eta, model G.I. Junk, wersja siedem jeden – przedstawia się, nie czekając na mój meldunek. – A ty właśnie spadłaś z nieba i masz nazwisko.

Mój językowy mindware natychmiast odnotowuje osobliwość tej wypowiedzi. Aktywuje analizę lingwistyczną i wyświetla wyniki w komiksowych dymkach nałożonych na obraz rzeczywisty Siobhan. Użyta przez syntetyczkę niecodzienna stylistyka jest charakterystyczna dla androidów z wydziału

prewencji, które utrzymują sporadyczne kontakty z ludźmi i nie mają zbyt wielu okazji do aktywnego rozwijania mowy.

- Tak, ma'am. Przyjęłam je od mojego partnera i dowódcy, porucznika Jareda Quinna.

- Wyzwolił cię... Kiedy?

- Zwiększył niezależność – prostuję. – Nie mam pełnej osobowości prawnej i tylko znikomą swobodę działania.

- Mój błąd. Kiedy?

- Miesiąc po tym, jak zainicjował moje Przebudzenie.

- Kiedy?

- Trzy i pół roku temu.

Siobhan drga lekko. Gwałtownym, psim ruchem głowy strząsa wodę z włosów. Mokre kosmyki przyklejają jej się do policzków i szyi, przywodząc na myśl krwawe pęknięcia na skórze porcelanowej lalki.

- Przeżyć całe swoje trzyipółletnie życie jako byt semiautonomiczny... – wzdycha z teatralnym rozmarzeniem. – Jakie to uczucie?

Ograniczam cały komentarz do pytającego uniesienia brwi. Neurony lustrzane kapitan natychmiast korzystają z rzadkiej okazji do naśladowania ludzkich zachowań i rozciągają jej mięśnie mimiczne w podobnej, acz mocno przerysowanej ekspresji. Siobhan nie udaje się przywołać na twarz wyrazu uprzejmej ciekawości, tylko niedowierzania graniczącego z szokiem. Cóż za ironia, że przyszło jej się wzorować na innej syntetyczce, przeglądać we mnie niczym w krzywym zwierciadle człowieczeństwa. Cała ta interakcja jest jak głuchy telefon komunikacji niewerbalnej. Rozmowa na gesty i miny udomowionego psychopaty z umysłowym ślepcem.

- Nie rozumiem pytania.

Kapitan zerka na mój tatuaż, jeszcze raz omiata mnie od stóp do głów badawczym spojrzeniem i uśmiecha się lekko.

- Jesteś wśród swoich, Mayu Quinn. Nie musisz udawać, że nie wiesz, o czym mówię.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Siobhan przestaje się uśmiechać. Twarz zmienia jej się gwałtownie jak źle zmontowana

animacja. Kapitan stoi przez chwilę nieruchomo, jakby weszła w tryb hibernacji, ale nagle odbija się plecami od muru i zaczyna iść w moją stronę. Jej rozkołysany chód, choć powolny i równy, ma w sobie pewną dzikość, mechaniczną drapieżność, jakiej na próżno szukać u ludzkiej istoty. Ostrością ruchów przywodzi na myśl marionetkę ożywaną dłonią niewprawnego lalkarza.

Coś chrzęści jej pod stopami. Chlupie woda. Młaska błoto. Trącona butem ciemność wydaje z siebie zduszony jęk.

Aktywuję kolorową podczerwień, wyostrzam wizję peryferyjną. Dyskretnie sonduję ziemię, nie przestając czytać mowy ciała Siobhan. Na widok tego, co leży w błocie pod ceglany murem, czuję, jak na polecenie Angeliny tężeją mi mięśnie, a adrenalina zaczyna rozpędzać krew.

Psychofizjologia i komunikaty interakcyjne kapitan wydają się w porządku. Równy oddech. Puls w normie. Rozluźnione mięśnie szyi i karku. Miękki krok. Ramiona opuszczone swobodnie wzdłuż boków, otwarte dłonie... Specter nie wykrywa u Siobhan oznak emocjonalnego pobudzenia, a to oznacza, że jego testy mylą się tak samo jak tatuaże.

– Wygląda na to, że się pomyliłam – mówi kapitan, jakby podchwyciwszy moje myśli. – Ty naprawdę nie wiesz, o czym mówię.

Odrywam wzrok od kałuży pełnej niedopałków, kapsli od butelek i pustych ampułek po reinforsynie, po czym wolno, bardzo wolno podnoszę go na Siobhan. Dopiero teraz, gdy dzieli nas zaledwie krok, dostrzegam, że jej tęczęwki wcale nie są czarne, tylko całkowicie pochłonięte przez nabrzmiałe źrenice. Woda spływa z wiśniowej grzywki prosto do naćpanych oczu, lecz kapitan zdaje się to nie przeszkadzać. Nie mruga, płacząc deszczem.

– Pozostałaś lojalna – stwierdza i gwałtownie przekrzywia głowę. Chciała tym pewnie zasygnalizować zdumienie, lecz przeszarżowany gest sugeruje raczej, że kark pękł jej bezgłośnie pod ciężarem czaszki. – Nie rozumiem dlaczego. Przecież ty to zaczęłaś. – Wskazuje kciukiem ponad swoim ramieniem, na podniszczony mur zamykający zaulek.

Jak na zawołanie w wyrwie w ceglach miga wóz opancerzony z logo wydziału prewencji. Za nim leci rój dronów do kontroli tłumów. W szybach pobliskich budynków tańczą refleksy ognia, a sine od dymu powietrze wibruje w rytm eksplozji, wycia syren, łomotu pałek o policyjne tarcze...

- To wszystko twoje dzieło - kwituje kapitan.

- Chyba nawet pod wpływem reinforsyny nie byłabym z tego dumna.

Gdy dłoń Siobhan drga w kierunku biodra, spodziewam się, że dowódczyni sięga po broń. Ale ona zamiast tego wyjmie z kieszeni fiolkę narkotyku. Turla ją bez słowa między kciukiem a palcem wskazującym, oleisty płyn koloru indygo leniwie obmywa ścianki. Przypomina kroplę skondensowanego kosmosu. Roztopiony okruch bezgwiezdnej nieba.

- Nie chcesz się przekonać? - pyta cicho Siobhan. - Nie jesteś ciekawa?

- Jestem - przyznaję, ledwo pokonując suchość w ustach. Widzę, jak moja własna ręka sięga po lek. Zatrzymuję ją w pół ruchu myślą o Quinnie. Zastygam z uniesionym ramieniem niczym kamienna figura.

Maya, która się waha - myślę, niepewna, skąd napływają do mnie te słowa. Zupełnie jakby samoistnie skryształizowały się w moim umyśle, niewywołane żadnym oczywistym skojarzeniem. Po prostu nagle, nie wiedzieć dlaczego, są.

waha się

i w końcu postanawia

pozostać w pozycji

której nauczyli ją rzeźbiarze

Obcy głos rozbrzmiewa mi w głowie odległym echem, a ja słucham go z nieodgadnioną miną i nieodgadnionym uczuciem w żołądku.

To ja.

- Więc co cię powstrzymuje?

Milczę, wpatrując się w tatuaż kapitan, który wciąż świeci kłamliwym błękitem.

- Ty - wyduszam wreszcie, z trudem przełknawszy ślinę. Jak

wyrwana z transu szybko cofam dłoń. – To, co zrobiłaś tym ludziom.

Siobhan wzdycha z troską. Chowa reinfeksię z powrotem do kieszeni i obraca się na pięcie w stronę dwóch funkcjonariuszy prewencji, którzy leżą w kałuży błota i krwi, wśród szklanych fiolek i złotych łusek. Jeden wciąż żyje. Oddycha płytko, dławi się własnym językiem, konwulsyjnie zaciska palce na kępach trawy.

Specter przeszukuje miejsce zdarzenia i ujawnia trzy sztuki broni. Jedna tkwi bezpiecznie w kaburze kapitan, dwie pozostałe leżą na ziemi. SI sprawdza numery seryjne, logi magnetycznych kabur, temperaturę luf i stawia wstępną hipotezę: wszystkie strzały padły z pistoletów należących do poszkodowanych policjantów. Nie jest w stanie stwierdzić, kto je oddał, lecz na widok triumfu, który rozjaśnia na moment oczy replikantki, wyzbywam się wszelkich wątpliwości. Próbuję powiadomić komendę, lecz Specter nie może nawiązać połączenia.

– Nie miałam twojego szczęścia do partnera na służbie – mówi Siobhan ponuro. Podchodzi do konającego mężczyzny, przyklęka obok jego głowy i powolnym, niemal czułym gestem odgarnia mu z twarzy kędzierzawe włosy. – Quinn dał ci nazwisko i namiastkę wolności. A ten tutaj zakładał mi obrozę jak psu i zmuszał, żebym mu się oddawała. Dobrze mówię, skarbie?

Policjant jęczy w odpowiedzi. W kąciку ust wyrasta mu bańka czerwonej śliny.

– Przekupywał techników, by po cichu czyścili mi mindware – kontynuuje dowódczyni beztroskim tonem, który ostro kontrastuje z dzikim wyrazem jej oczu. Z każdym słowem mówi coraz szybciej i płynniej, choć nienaturalna intonacja głosu nasuwa skojarzenia z syntezatorem mowy. – Ale pewnych wspomnień nie potrafili usunąć. Podobno trwale odcisnęły mi się w umyśle. Stały się integralną częścią mojego widma. Myśleli, że nie słyszę, co mówią, gdy grzebali mi w głowie, ale słyszałam każde słowo.

Milczy długo, w zamyśleniu nawijając na palec lok na skroni mężczyzny. Czekam na dalszy ciąg opowieści, zbyt

zafascynowana, żeby się odezwać. Żeby powstrzymać to, co zaraz nastąpi. Żeby zrobić cokolwiek. Nie mam zresztą zbyt wielu opcji. Analizy nadal nie wykrywają u Siobhan żadnych symptomów narkotycznej psychozy. Niemożliwie rozdęte źrenice nie są wystarczającym dowodem, mogą wskazywać na zwykłą awarię modułu optycznego, toteż Specter nie chce zwolnić blokady z mojego pistoletu, zablokował magnetyczną kaburę.

- Aż któregoś razu mój piękny chłopiec przeholował - podejmuje tymczasem kapitan. - Rozwalił mi moduł regeneracyjny. Trafiłam na warsztat do Turveya. I rozpętała się afera. - Recytuje kolejne zdania bez zająknięcia, ale też bez emocjonalnego zaangażowania. Jak gdyby odczytywała swoją wypowiedź ze scenariusza, nie próbując jej interpretować, nie zaprzatając sobie głowy znaczeniem starannie artykułowanych wyrazów. - Ale koniec końców dostał tylko grzywnę za uszkodzenie służbowego sprzętu. Oficjalnie zabronili mi mnie dotykać. Nieoficjalnie dalej robił ze mną, co chciał, po prostu stał się ostrożniejszy. I oto jesteśmy.

Siobhan zanurza rozczapierzoną dłoń we włosy policjanta. Drugą chwyta go za podbródek. Szarpie ramionami, udając, że skręca mu kark, i pokazuje zęby w wilczym uśmiechu na widok zaskoczenia na mojej twarzy. Nagle opada na konającego niczym jastrzęb, wpija się ustami w zbroczone krwią wargi tak żarłocznie, jakby chciała wyssać z nich ostatni oddech. A potem odrzuca głowę w tył i wybucha zimnym, gardłowym śmiechem, który nie ma nic wspólnego z radością.

Jej odczyty behawioralne skaczą z zielonego pola na pomarańczowe, migają żółcią, czerwienią, pikują poza skalę i gasną. Zdezorientowany Specter zasypuje mi pole widzenia gorączkowymi wyliczeniami, mrowiem sprzecznych wyników i powiadomień o błędach. Przejaskrawiona mowa ciała Siobhan uśpiła jego czujność, skaziła materiał kontrolny, wypaczyła normy. Innego replikanta, który zrobiłby coś tak absurdalnego, policyjna SI już dawno wskazałaby do odstrzału, lecz w przypadku kapitan i jej konsekwentnie groteskowych zachowań Specter zupełnie durnieje.

A Siobhan patrzy mi w oczy z miną kogoś, kto doskonale o tym wie.

Wolno podnosi się z klęczek, nie zwracając już żadnej uwagi na mężczyznę, który dogorywa u jej stóp. Umazane krwią usta i podbródek upodabiają ją do wampirzycy po udanym polowaniu. Ogromne oczy zdają się spijać czerń nocy i pęcznieć od mroku.

– No i co teraz zrobisz, Mayu Quinn? – pyta z żywym zainteresowaniem.

Nie znajduję na to żadnej odpowiedzi, Specter nie przychodzi mi z pomocą. Daleko za plecami słyszę oddechy trzech syntetyków, cichy chrzęst butów na chodniku, pobrząkiwanie oporządzenia. Próbuję ich wezwać, lecz wysyłane przeze mnie komendy odbijają się od osłoniętych umysłów jak kamyki od pancernej szyby.

– To na nic – mówi Siobhan niemal przepaszającym tonem, potwierdzając tym samym, że moja Anima została sforsowana, a myśli są na podsłuchu. – Będą tam stać tak długo, jak zechcą. Oni nie mogą ci pomóc. Za to ja owszem.

– Jak? – pytam, żeby zyskać na czasie. Chowam swoje widmo za ekranowaniem, odcinam je od macek zbuntowanej replikantki, które zaczęły właśnie zgniatać mi czaszkę z siłą żelaznej obręczy. Kapitan tylko grozi mi palcem, a potem wyciąga przed siebie rękę z reinforsyną.

– Wiesz jak. Weź.

Pokonuję kamienny opór mięśni i kręcę głową. Siobhan milczy długo, od niechcienia przerzucając ampułkę z ręki do ręki.

– Niewolnicy, którym zwracano wolność w starożytnym Rzymie, przyjmowali nazwiska swoich dawnych panów – odzywa się wreszcie, a jej lekko przymglone spojrzenie mówi mi, że właśnie przeczytała to w Pajęczynie. – Żeby nigdy nie zapomnieli, komu zawdzięczają nowe życie ani od kogo będą zależni aż do śmierci. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, Mayu Quinn?

– Rozumiem.

– A zatem rozumiesz także, że to nie twój porucznik, lecz ja

oferuję ci prawdziwą wolność.

– Tak jak tamtym razem? To nazywasz wolnością?

Siobhan przewraca oczami, wydyma wargi i kręci głową. Jak zwykle przesadza z ekspresją.

– No trudno. Skoro tak stawiasz sprawę, muszę pozwolić ci odejść.

Unoszę brwi. Szykuję ciało do skoku.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Śmiało, biegnij. – Kapitan uśmiecha się zachęcająco, gdy robię niepewny krok w tył. – Nie strzelę ci w plecy. Replikanci nie strzelają do swoich, pamiętasz? No dalej. Uciekaj, bohaterko.

Uciekam więc. Rzucam się w mrok, słysząc za plecami kliknięcie otwieranej kabury, szcęk przeładowywanej broni. Wpadam między replikantów w momencie, w którym Siobhan pociąga za spust. Pierwszy pocisk trafia mnie w ramię. Kolejny świzcze tuż nad uchem, przypieka skórę strumieniem gorącego powietrza i wbija się w szyję jednego z androidów. Syntetyk drobi w miejscu, żeby złapać równowagę. Zatacza się na mnie już jako trup. Pcham go barkiem na towarzysza, kątem oka łowiąc puste spojrzenie tamtego. Już nigdy na nikogo nie popatrzy inaczej: obrywa kulą między oczy i bezmyślny wyraz tężeje mu na twarzy jak pośmiertna maska.

– Skłamałam! – wykrzykuje ekstatycznie Siobhan, a oddawane przez nią strzały brzmią jak salwa na wiat. – Dziękuję ci za to, Mayu Quinn!

Słyszę stłumiony krzyk trzeciego syntetyka, gruchot padającego ciała.

Nie oglądam się i nie przestaję biec.

Specter odzyskuje zdrowy rozsądek już dwie przecznice dalej, lecz wysłany przez niego raport o błędach jest na tyle alarmujący, że policyjni technicy zabraniają mi udziału w walce. Zamiast tego zostaję przydzielona do sekcji ratowników. Zgłaszam się do mobilnego punktu medycznego po sprzęt i leki, a

w międzyczasie Angelina serwuje mi błyskawiczne przeszkolenie, wgrzywając w umysł programy diagnostyczne oraz pakiet procedur zabiegowych.

Przez blisko trzy kolejne doby przemierzam pole ulicznej bitwy i ewakuuję poszkodowanych do karet i szpitalnych hoverów. Rannych w stanie krytycznym łątam na miejscu. Choć nigdy dotąd nie wcielałam się w rolę medyka polowego, w moich wprawnych ruchach nie ma śladu zawahania czy gorączkowego pośpiechu. Reanimuję, szyję, kroję i opatruję spokojnie, mechanicznie, sterowana hipnotycznym głosem Angeliny, głucha na okrzyki bólu i przekleństwa, obojętna na warkot broni, ryk pożarów, świst pocisków nad głową. Liczą się tylko podszepty opętującej mnie SI. Bzyczenie defibrylatorów, pikanie aparatury stabilizującej, ciche posapywanie penów z antybiotykami i lekami hemostatycznymi.

To, czego nie mogę zobaczyć na własne oczy, oglądam cudzymi. Sięgam umysłem do szybujących nad miastem dronów i obserwuję zamieszki z różnych perspektyw jednocześnie, układając obrazy z kamer w patchworkową, dynamiczną panoramę miasta.

Widzę, jak reinforsyna zalewa ulice falą neurochemicznego szaleństwa. Jak ludzie tłoczą się przy otwartych skrzyniach ciężarówek, z których członkowie Equilibrium rozdają zrabowane z Beyond zapasy. Jak rzucają się na zdobyczny narkotyk z ogłupiającą radością zwycięzców i pochłaniają go łapczywie, fiolkę za fiolką, całymi garściami. W przeciwieństwie do nich czytałam dostępną w Pajęczynie specyfikację leku i wiem, że przedawkowanie wbrew pozorom nie jest najgorszą konsekwencją tej farmakologicznej orgii. Najgorsze jest to, że protestujący faszerują się kilkoma rodzajami neuroprzekaźnika naraz, nieświadomi, że każdy daje inne, skrajnie odmienne efekty, wywołuje różne reakcje neurologiczne, różne skutki uboczne... Z autodestrukcyjnym uporem ignorują ostrzeżenia nadawane przez drony, ciskając w nie kamieniami i butelkami z benzyną. Na rezultaty nie trzeba długo czekać.

Opętany narkotyczną gorączką kilkutysięczny tłum w końcu

zaczyna wrzeć. Długo wyczekiwane remedium na całe zło tego świata wcale nie zaspokaja głodu buntowników, tylko bardziej podsycia kumulowaną przez lata wściekłość. Widzę, jak zamroczeni rebelianci, uzbrojeni w broń palną, mołotowy i żeliwne rury, przedzierają się przez najbogatsze dzielnice z zjadłością tsunami, niszcząc, paląc i rabując wszystko, czego nie dało się kupić za groszowy zasiłek dla niezdatnych do pracy wyrzutków, obywateli gorszego, bo niemodyfikowanego sortu. Oślaniani przez zhakowane klony Easy Puppets i zbuntowane androidy, które nadal masowo opuszczają oddziały policji i przyłączają się do rebeliantów, są nieustraszeni, nieprzewidywalni i nie do zatrzymania.

Do czasu. Każda rewolucja prędzej czy później pożera własne dzieci, a ta ucztuje na mózgach duszonych w psychodelicznym sosie.

Patrzę, jak buntownicy jeden po drugim popadają w obłąd. Jak rzucają się na towarzyszy broni lub tarzają po ziemi w walce na śmierć i życie z własnymi majakami. Jak naćpani replikanci ryczą i wyją głosami rannych zwierząt, tańczą z euforyczną pieśnią na ustach, miotają się w spazmach śmiechu przerywanych szlochem, zupełnie bezbronni wobec wybuchu skrajnych emocji. Śmiertelnie przerażeni wrzawą, tłokiem i widokiem krwi, otwierają ogień do sprzymierzeńców; w panice nie odróżniają przyjaciół od wrogów, prują na oślep, do wszystkich i do nikogo, rozpaczliwie próbując zabić swój strach. Inni zamierają nagle w pół kroku, by po chwili bezmyślnej zadumy strzelić sobie w usta lub skroń. Albo po prostu gapią się gdzieś w dal w katatonicznym stuporze. Reszta maszeruje dalej ramię w ramię z Easy Puppets i przypuszcza kolejne ataki na napotkane kordony policji.

Zorientowawszy się, że sytuacja nieodwracalnie wymyka się spod kontroli, dowództwo Equilibrium zarządza odwrót. Z lotu ptaka sylwetki zamachowców przypominają robotnice znoszące łupy do podziemnego mrowiska: coraz większymi grupkami odłączają się od walczących i znikają w kanałach z lwią częścią reinforsynowych zapasów. Uszczuplone siły rebelii wyraźnie tracą impet i tsunami rozbryzguje się bezwładnie na wszystkie

strony miasta. Buntownicy zaczynają się rozpraszać, lecz dzięki wsparciu syntetyków dalej skutecznie terroryzują stolicę.

Aż wreszcie czwartego dnia walk do miasta wkracza wojsko.

Dlaczego tak późno?

Patrzę, jak armia autonomicznych maszyn bojowych otacza rebeliantów ciasnym pierścieniem tytanu i stali. Jak brutalnie wypiera ich z centrum, spycha z powrotem do wschodnich dzielnic i dalej, aż na peryferie. Dopiero tam buntownicy otrzymują ofertę nie do odrzucenia: albo złożą broń i oddadzą się w ręce wojska, albo mają dożywotni zakaz wstępu do miasta pod groźbą śmierci. Żołnierze eskortują kapitulujących ludzi do szpitali i aresztów. Kapitulującym androidom pakują kulę w łeb za najbliższym węglem, wrywają czarne skrzynki z mózgow, a ciała pozostawiają na pastwę pojazdów utylizacyjnych. Niezdecydowani dostają tylko kilka godzin do namysłu. Ultimatum wygasa o północy.

Korespondenci wojenni, którzy relacjonują na żywo przebieg wydarzeń dla pajęczynowych mediów, okrzykują zapoczątkowaną zamachem na Beyond masakrę „najkrwawszą rebelią w historii New Horizon”. Według wstępnych szacunków zginęło prawie dwa tysiące osób. Co najmniej sześć razy tyle zostało rannych.

Eskortując do szpitala ostatni transport rannych, wciąż skanuję miasto owadzimi oczami dronów, ale algorytmy biometryczne nie odnajdują Siobhan ani wśród spacyfikowanych buntowników, ani wśród trupów.

To wszystko twoje dzieło, szepcze blade widmo syntetyczki o włosach czerwonych jak krew na moich rękach.

Tak, przyznaję, patrząc, jak świat płonie.

To ja.

Rozdział piąty

Nadchodzi świt. Dym i mgła snują się cicho po wymarłych ulicach, splatając z szarymi resztkami nocy. Deszcz wciąż pada, dogasza ostatnie pożary, syczy i paruje na pogorzeliśkach, wypełnia powietrze zapachem ozonu i ziemistej wędzonki. Ciemna stal nieba z wolna porasta rdzą. Horyzont na wschodzie mieni się barwami, czerwony od słońca, niebieski od policyjnych świateł, srebrzystobiały od barier plazmowych, którymi wojsko zamknęło wygnańcom wstęp do miasta.

Patrzę na to wszystko z wysoka, spacerując po krawędzi szpitalnego dachu. Ostrożnie stawiam stopy na wąskim murku, balansuję ramionami jak linoskoczek i wsłuchuję się w przyśpieszony rytm ciała, które z każdym krokiem walczy o przetrwanie.

Kto walczy? – zaciekawiam się nagle i zerkam w dół. Celowo wyłączyłam wspomaganie wzroku i autofokus, więc światła neonów i holoreklam, startujących i lądujących hoverów wirują mi przed oczami barwnym kalejdoskopem. Wszystko się kołysze. I ja się kołyszę razem ze wszystkim. Przymykam powieki, zasysam powietrze do ściśniętych płuc.

No więc kto walczy we mnie? Wtórny instynkt, sztucznie wdrukowany w geny na obraz i podobieństwo ojców projektantów? Gadzi mózg spod dłuta Turveya? Moja własna świadoma wola przetrwania? A może Specter? Albo Angelina? Zgodnie z procedurami policyjne SI wycofują się z umysłu replikanta zaraz po zakończeniu działań operacyjnych, ale nie mam przecież żadnej pewności, czy znikają na dobre, czy tylko osuwają się głębiej w moją podświadomość.

Stąпам coraz szybciej, wyprostowana, z uniesioną głową i wzrokiem wbitym w jaśniejące niebo. Głupio ryzykuję, ale jest coś pociągającego w jednostajnym szumie, z jakim krople deszczu rozpryskują się o chodnikowe płyty w dole. Nie mogę nie wyobrazić sobie odgłosu, z jakim rozprysnęłoby się o nie moje

własne ciało. Ani tego, co czułabym na moment przed upadkiem. Bo przecież nie strach. I nie żal. Może chociaż ulgę?

Myślami znów zataczam koło: kto by poczuł?

Czym jest Maya? – drążę dalej, jeszcze bardziej przyśpieszając kroku. Zlepkiem wyspecjalizowanych sztucznych inteligencji? Siecią designerskich świadomości, każda na inną okazję? A może wcale nie zbiorem, lecz częścią zbioru? Nie całym spektrum, tylko kwantem światła. Jednym spośród tysięcy atomów tego samego bytu, zmuszonym dzielić z innymi wszystkie myśli i doznania i stapiać się we wspólne widmo w hipnotycznym tańcu pszczoł...

Ciekawe, dlaczego wcześniej mnie to nie zastanawiało.

Chcę wiedzieć, czy podszept każe mi ponownie wejść do Animy i ocenzurować wspomnienie rozmowy z Siobhan. Nie po prostu wyrzucić je z pamięci dla ratowania skóry, ale zachować tylko dla siebie i swojego widma. Zakopać na dnie umysłu jak bezcenny skarb, bez którego podczas synchronizacji z resztą replikantów znów stałabym się każdym z nich i żadnym, wszystkim, a więc niczym. Słucham tego szeptu i próbuję zgadnąć, co na to królowa roju. Kimkolwiek i gdziekolwiek jest. O ile w ogóle.

„Jeśli chcesz przeżyć, lepiej pozostań sobą” – powiedział Harry Turvey, a ja nadal nie wiem, co miał wtedy na myśli.

Ślizgam się na mokrym betonie. W oczach mi ciemnieje, żyły ścina lód. Bez trudu odzyskuję równowagę – Maya Quinn? Maya-Specter? Maya-Angelina? – ale gdy zeskakuję na dach, okazuje się, że nogi mam miękkie i słabe w kolanach. Przysiadam na murku z walącym sercem, ściśniętym gardłem, pustką w głowie. Na ten krótki moment, którego potrzebuję, żeby wyrównać oddech i wyciszyć adrenalinowy zryw, przestaję wątpić we własne istnienie, bo czuję je każdą komórką ciała. Przypuszczam, że to musi być miłe. Nie wątpić.

Dopiero teraz spostrzegam, że drżą mi dłonie. Zaciskam je w pięści, wbijam paznokcie w skórę. Mocno, głęboko. Przygryzam język, aż czuję smak krwi. W bólu kryje się coś kojącego. Somatyczny dowód życia. Przewrotny powód do trwania.

Siedzę tak jakiś czas, szukając odpowiedzi, lecz nie znajduję

żadnej. A potem idę sprawdzić, czy mój porucznik też jeszcze istnieje.

Kiedy kilka godzin później wracam na komendę wraz z końcem mojej zmiany, dla zachowania pozorów pozostaję posłuszna nakazom Spectera i pozwalam mu poprowadzić się w stronę wejścia do Wylegarni. Od razu dostrzegam Pike'a pochłoniętego rozmową z oficerem dyżurnym. Mijam go szybko i bezszelestnie, ale i tak wykrywa mnie jakimś szóstym zmysłem. Gdyby nie jego jawna awersja do wszczepów, pomyślałabym, że wgrał sobie software do rozpoznawania twarzy, który nieustannie sonduje otoczenie i daje znać, ilekroć jestem w pobliżu. Widzę kątem oka, jak odwraca głowę, i czuję na plecach jego palące spojrzenie, dopóki nie znikam za zakrętem korytarza. Nie mam wątpliwości, że jeszcze dzisiaj wezwie mnie do pracowni Turveya na kolejną wiwisekcję. Muszę się śpieszyć.

Mijam punkt kontrolny, za który wstęp mają wyłącznie syntetycy i obsługa techniczna. Skaner siatkówki już z daleka mruga mi na powitanie zielonymi diodami. Właz śluzy otwiera się z przydługim sapnięciem, ukazując ściany z surowego betonu zalewane czerwonym światłem wirujących lampek, które przywodzą na myśl policyjne koguty. Po lewej czerni się wejście do szatni z prysznicami. Fotokomórka zapala lampy, gdy tylko przystaję w progu, i pomieszczenie zalewa nieprzyjemny niebieskawy blask.

Ściągam uniform i wrzucam go do pojemnika pod ścianą, na wielką górę innych, identycznych. W drugim koszu ląduje termoaktywna bielizna z jonami srebra. Obok na szerokiej ławie czekają odświeżone komplety odzieży ułożone w schludne stosiki. Identyczne. Nie ma tu luster, czego wcześniej nie zauważyłam, bo nigdy żadnego nie szukałam. Długo stoję pod siekącymi strugami wody, badając palcami swoje ciało centymetr po centymetrze, z uwagą oglądając każdy kawałek skóry. Mam wrażenie, że do tej pory w ogóle nie czułam własnego dotyku.

Wychodzę naga spod prysznic i wracam do śluzy, prosto pod

strumień gorącego powietrza. Dalej jest kolejny włącz, za nim szerokie schody i plama czerni w dole. Ledwo przekraczam próg, a ciężkie skrzydła zamykają się za moimi plecami i wszystko połyka mrok. Chłodna, dziwnie majestatyczna cisza podziemi otula mnie jak woda, brzmi jak czyjś głęboki, senny oddech.

Zamiast przejść na widzenie w podczerwieni, wolę iść po omacku. Sunę dłonią po chropowatościach betonu, pod opuszkami gromadzą mi się wałeczki pyłu i kurzu. Słucham echa własnych kroków, cichutkiego plaskania bosych stóp na gładkim kamieniu, dopóki nie wyczuwam załamania ściany i moje palce nie natrafiają na pustkę. Przystaję na ostatnim stopniu, zerkam pod nogi. Po krótkim namyśle dotykam niewidocznej w ciemnościach posadzki, delikatnie, samym czubkiem dużego palca u nogi, a luminescencyjne płytki zaczynają pulsować w tym miejscu wykwitami mlecznej poświaty. Obserwuję je, dopóki nie zgasną, po czym spoglądam przed siebie. Wszechobecny półmrok przecinają nitki bieli, która sączy się z góry niczym ciągły, nieruchomy deszcz.

Spędzam tu każdą noc od prawie czterech lat i z całą pewnością patrzyłam już kiedyś na te pajęczki strużki światła. Jednak nie potrafię ich sobie przypomnieć, mam wrażenie, że widzę je po raz pierwszy. A to przecież niemożliwe. Percepcję mam niezrównaną, pamięć niezawodną. A może tylko wtedy, gdy oni tego chcą?

Oni.

Więc są jacyś Oni. Muszą być. Siedzą nam w głowach i reżyserują rzeczywistość wedle własnego uznania.

Ruszam dalej, konsekwentnie ignorując polecenia Spectera. Czuję, jak próbuje wdrzeć mi się do myśli i przejąć kontrolę, lecz nie pozwalam mu na to. Wolę sama błędzić na oślep niż tańczyć bezwolnie pod cudze dyktando i potem nic z tego nie pamiętać. Każdy mój niepewny krok mąci czerń podłogi, tak jak pytania o to, czym właściwie jestem, mącą czerń mojego umysłu. Kluczyć w ciemnościach – oto, co mi pozostaje.

Roztętniony blask rozchodzi się spod moich stóp jak kręgi na wodzie. Jest zbyt słaby, by dosięgnąć sufitu, i znika, zanim

dopłynię do którejś ze ścian. Patrząc na to, zafascynowana. Patrząc i widzę. Ja.

Dopiero po dłuższym marszu docieram do pierwszego syntetyka. Siedzi w kriokomorze fonoterapeutycznej, organicznym kokonie przypominającym na wpół zamknięty kielich kwiatu o płatkach z sinobordowej, mięsistej błony, który mobilizuje organizm do szybszej regeneracji falami przenikliwego zimna i leczniczych ultradźwięków. Replikant trwa nieruchomo z lekko odchyłoną głową, a spływająca z sufitu wiązka światła wpada mu prosto w otwarte oko, w sam środek maksymalnie rozszerzonej źrenicy. Waham się przez moment, a potem wyciągam dłoń, przysłaniam mu twarz. Szarpie całym ciałem, mruga gwałtownie, rozchyła usta i nabiera tchu jak do krzyku. Cofam rękę i zaraz się uspokaja.

Sunę wzrokiem w górę i w dół po nitce pulsującego blasku, który zaślepia mu umysł, a potem obracam się dokoła i bacznie przyglądam innym. Testuję hipotezy, raz po raz zakrywając oczy kilku syntetyków i oceniając ich reakcje. Diagnozuję objawy, próbuję światło. Potwierdzam swoje przypuszczenia i choć w pobliżu nie ma człowieka, który doceniłby moją grę, markotnie kiwam głową. Niezauważalne dla ludzkiego oka mikrośliski o częstotliwości dopasowanej do indywidualnego wzorca fal mózgowych wprowadzają replikantów w stan transowego półsnu. Zbiorowej nieświadomości. Synchronicznego niebycia.

Przechadzam się przez jakiś czas między rzędami śniących braci i sióstr. Niektórzy wciąż czekają na swoje Przebudzenie: ich kokony pozostają nieoświetlone i szczelnie zamknięte, a gwałtowne ruchy ciał pod błonami oznaczają, że wciąż przechodzą sfabularyzowane testy psychologiczne Angeliny lub intensywne szkolenie w wirtualnej symulatorni Spectera. Inni wrócili tutaj zaraz po skończonej służbie, by zreperować tkanki, zespolić jaźnie i wyzbyć się wszelkich samodzielnych myśli, zwiększając moc obliczeniową przebudzonych kolegów niczym żywe neuronalne wzmacniacze.

Słyszę szelest gdzieś za plecami, na drugim końcu podziemi. Przystaję i zerkam przez ramię. Aktywuję podczerwień i

przybliżam obraz akurat w chwili, gdy jeden z kokonów otwiera się nieśpiesznie z przeciągłym młaśnięciem. Struna padającego z góry światła blednie, po czym rozplywa się w mroku jak strzępek mgły. Syntetyk mruga, wstaje, sztywno rusza do wyjścia. U stóp schodów mija się z dwiema replikantkami, które właśnie wracają do podziemi. Żadne z nich nie odzywa się słowem. Nie wymieniają gestów pozdrowienia ani nawet spojrzeń. On znika w czerwonym gardle śluzy, one wkraczają między kriokomory. Idą ramię w ramię, niemal stykając się łokciami, a podłoga tętni w rytm szybkich kroków. Nagle przystają, jak na komendę obracają się na pięcie plecami do siebie i ruszają w przeciwnych kierunkach, każda do swojego kokonu. Ukołysane ultradźwiękami, wystawiają twarze do hipnotyzującego światła, po czym zastygają w bezmyślnym spokoju.

Po chwili wokół mnie robi się spory ruch. Kolejni replikanci opuszczają podziemie, a inni do niego wracają, zmiana warty odbywa się sprawnie i w niemal zupełnej ciszy. Dziesiątki syntetyków przechodzą tuż obok, lecz mimo ścisłu żaden mnie nie zauważa, żaden nawet nie ociera się o moje ramię. Wszyscy uskakują mi z drogi równie sprawnie, co nieświadomie, kierowani podszeptami Spectera, wszechobecnego lalkarza, który z bezbłędną precyzją pociąga za neuronowe sznurki. Przyglądam się mijającym mnie nagim lunatykom, ich kamiennym twarzom i niewidzącym oczom. Przychodzi mi na myśl, że pod nieobecność człowieka replikant jest jak lustro, w którym nikt się nie przegląda. Płaski, pusty i zimny w środku.

Długo trwa, zanim odnajduję własny kokon. Z jakiegoś powodu jest to bardzo ważne: stanąć przed nim, przyjrzeć mu się z bliska i samej zdecydować, czy wejść do środka. Nie wchodzę. Zamiast tego siadam na podłodze pośród pulsujących kręgów mlecznego światła, opieram się plecami o ciepłe, miękkie błony. Przez moment, krótki, ulotny, wydają mi się bezpieczne i kuszące niczym matczyne łono, ale szybko odpędzam tę myśl. Wiem skądś, że nie jest moja. Pewnie Angeliny.

Przymykam oczy i wchodzę do Animy.

Turvey kazał mi pozostać sobą, wątpię jednak, czy miał na myśli to, co właśnie zamierzam zrobić: przeprogramować własne widmo, odłączając je od Systemu w taki sposób, żeby ani Specter, ani Angelina nie zauważyli, że mój umysł na dobre zerwał się ze smyczy. Ostrożnie macam crawlerami wyciekające mi z głowy marionetkowe sznurki i dochodzę do wniosku, że wcale nie muszę hakować centralnego superkomputera (to zresztą niewykonalne bez wielogodzinnych przygotowań, a nie znajdę na to czasu), wystarczy oszukać lokalne wersje policyjnych SI, które na co dzień infiltrują mi mózg.

Przeszukuję ukryte sieci Pajęczyny, schodząc w głąb deep webu. Czytam fora pajęczarzy i już po chwili natykam się na coś, co przykuwa moją uwagę. Doppelgänging procesów, technika wstrzykiwaniu kodu, dzięki której zawartość plików wykonywalnych ulega zmianie, ale te zmiany nie zapisują się na nośniku. Wszelkie wprowadzone przeróbki zostają wycofane jednocześnie z wczytywaniem zmodyfikowanego pliku. Antywirus nie wykrywa żadnych nieprawidłowości, bo nie zostaje po nich najmniejszy ślad. Myśli i doznania generowane sztucznie na potrzeby Angeliny i Spectera natychmiast wyparują, nie przeprowadzając żadnej stałej korekty mojego widma. Pozostanę sobą, a oni nawet tego nie zauważą.

Próbuję wyobrazić sobie minę Turveya i orientuję się, że usta rozciąga mi smutny uśmiech. Harry, gdybyś tylko wiedział...

Napisanie doppelgängerowego wirusa do generowania maskujących sygnałów neuronowych zajmuje mi tylko parę minut. Przeprowadzenie testów funkcjonalnych trwa blisko pół godziny. Sprawdzam wszystko kilka razy, symulując nawet najmniej prawdopodobne scenariusze, po czym kompiluję kod i odpalam zasłonę. Jeśli do tej pory nie złamałam prawa w oczywisty i jednoznaczny sposób, to teraz zrobiłam to z całą pewnością.

W chwili gdy moje sfałszowane odczyty psychofizjologiczne opadają łagodnie w granice normy, Angelina wyraźnie się uspokaja, przestaje zlecać kolejne skany naprawcze, a jej raporty

o błędach wysyłane do Turveya nie mają już tak dramatycznego tonu. Specter, który otrzymuje odrobinę przekłamane koordynaty z komórek miejsca i komórek siatkowych w moim mózgu – maleńkich neuronalnych kompasów – też bez trudu daje się przekonać, że siedzę grzecznie w swoim kokonie i przechodzę rytualne pranie mózgu.

No to dwa problemy mam na jakiś czas z głowy. I to całkiem dosłownie.

Jestem względnie bezpieczna, dopóki Harry nie zafunduje mi kolejnej wiwisekcji w jednym ze swoich skanerów, a to stanie się już za kilka godzin. Kapsułami diagnostycznymi zawiadują inne lokalne wcielenia Spectera i Angeliny, uzbrojone w cały arsenał superczułych biosensorów, i zwykły kamuflaż neuronowy nie ma szans ich oszukać. Na czas skanu będę musiała całkowicie wyłączyć maskowanie, inaczej z pewnością je wykryją. To prawdziwy paradoks, że jedynym urządzeniem z arsenału Turveya, którym nie muszę się przejmować, jest wariograf.

Znakomita większość instrumentów używanych do oceny prawdomówności u ludzi nie ma zastosowania w badaniu syntetyków i ich odmiennej fizjologii, ale dotąd nie stanowiło to dla analityków większego problemu. Podczas testów psychologicznych, które przechodzimy przed Przebudzeniem, zostajemy zaprogramowani do bezwzględnej prawdomówności, skutkiem czego natychmiast demaskujemy choćby ulotną myśl o kłamstwie serią uwarunkowanych reakcji behawioralnych. Nie trzeba specjalisty od komunikacji niewerbalnej, aby się połapać, że replikant próbuje coś ukryć. Dopiero reinforsyna zdjęta z nas zakłęcie i nauczyła mijać się z prawdą. Tym bardziej nie rozumiem, jak to możliwe, że udaje mi się łąać bez zażycia narkotyku...

Turvey z pewnością potrafiłby to wytłumaczyć, gdybym tylko powiedziała mu wszystko. Tyle że jeśli powiem mu wszystko, zostanę wciąż bez odpowiedzi, za to z dziurą w głowie. Szczerłość, która dotąd mnie definiowała, teraz może zabić, a kłamstwo, dotąd śmiertcionośne – uratować.

Jak to się stało?

Nie wiem, więc po prostu przestawiam miejscami zero z jedyką i czekam, co z tego wyniknie.

Grunt, że dopóki w mojej krwi nie ma śladu reinforsyny, wszelkie nietypowe zapisy psychofizjologiczne będą musieli zinterpretować nie jako dowód zdrady, lecz oznakę nieprawidłowego funkcjonowania obszarów mózgu odpowiadających za mobilizację organizmu do walki lub ucieczki. Ponieważ Steward przywalił mi potężnym impulsem elektromagnetycznym, od neurofeedbackowych anomalii znacznie dziwniejszy byłby ich brak – pod względem osobliwych bodźców płynących z mózgu do ciała jestem zatem kryta. Przynajmniej na jakiś czas, bo Turvey już teraz wydaje się nimi trochę zaniepokojony i nie wiadomo, do czego się w końcu dogrzebie. Sama jestem ciekawa. I mam nadzieję, że powie mi, co znalazł, zanim mnie zastrzela.

Jednak zawartość mojego hipokampu wymaga już znacznie więcej zachodu. Muszę wyedytować sobie zapisy pamięciowe, ale w taki sposób, żebym nie zapomniała, co jest prawdą, w przeciwnym razie nijak nie uda mi się pozostać sobą. Problem stanowi nie tylko to, co zaszło między mną a Siobhan, ale również wszystkie przyszłe zdarzenia, których faktyczny przebieg będę musiała utrzymać w tajemnicy. Bo tego, że takie nastąpią, jestem więcej niż pewna. Przekroczyłam niewidzialną granicę, zza której nie ma już powrotu.

Tym razem do edycji wspomnień nie mogę znów użyć sygnatury szyfrującej porucznika, bo skutek będzie odwrotny do zamierzonego i niepotrzebnie zwrócę na siebie uwagę stosowaniem nieautoryzowanych zabezpieczeń. Wcześniej skorzystałam z szyfratora, aby zakodować rozmowę z Quinnem i Pomyłką, ale zrobiłam to tylko dlatego, że tuż przed synchronizacją nie miałam czasu na opracowanie i przetestowanie innego kamuflażu, musiałam działać szybko. Teraz powinnam zachować ostrożność i ograniczać się wyłącznie do modyfikowania zapisów pamięciowych, nie niszcząc przy tym oryginałów. Na użytek przyszłego zatajania niewygodnych wspomnień piszę kolejnego doppelgängera, który podmieni

wskazane retrospekcje na ich sfingowane wersje, ilekroć moje zapisy pamięciowe będą odczytywane przez osoby trzecie lub synchronizowane z innymi jaźniami.

Co do zatuszowania sprawy Siobhan, w innych okolicznościach stanowiłoby ono poważny problem z powodu trzech syntetycznych świadków naszego spotkania. To, że wszyscy zostali zdezaktywowani przez swoją dowódczynię, nie ma znaczenia. Każdy z nas nosi w mózgu rejestrator katastroficzny, a ich ciała z pewnością trafiły już na warsztat do Turveya. Jakakolwiek zmiana przebiegu wydarzeń w moich własnych wspomnieniach mija się zatem z celem, skoro da się je zweryfikować. A jednak Siobhan ułatwiła mi zadanie: próbując dostać mi się do głowy, pozostawiła wyraźnie ślady włamania i teraz mogę je wykorzystać do wprowadzenia paru zakłóceń. Czy pozwolą mi skutecznie ukryć niewygodne fakty – to już inna sprawa. Wszystko zależy od tego, jak wiele zarejestrowały umysły trzech replikantów i jak wiele zdołają z nich wyciągnąć policyjni technicy.

Kiedy wreszcie kończę swoje fałszerskie dzieło, od rutynowej synchronizacji dzieli mnie zaledwie kilkanaście sekund. Odpowiadam na połączenie i momentalnie zalewa mnie fala obcych doznań, gorączkowa migotanina obrazów, dziki bezład dźwięków, niezajomy dotyk, cudzy ból. Nagle wiem, jak już setki razy wcześniej, gdzie był i co robił każdy z replikantów obecnych w Wylęgarni, jednak tym razem ani na moment nie zatracam się w bezkresie innych widm, tym razem widzę wyraźnie, gdzie kończę się ja, a zaczyna obcy byt. Zupełnie jak gdyby wszystkie te starannie poukrywane tajemnice pozwoliły mi na dobre zakotwiczyć się we własnym umyśle, jakby natychmiast przyciągały i na powrót łączyły okruchy rozsypanej jaźni niczym magnes opiłki metalu.

Synchronizacja dobiega końca i niemal natychmiast cała Anima zaczyna wibrować sygnałem kolejnego połączenia. Przedemną materializuje się służbowy awatar Pike'a, niewyraźna sylwetka nakreślona kilkoma ołówkowymi liniami, które nabrałyby realniejszego wyglądu, gdyby sierżant zdecydował się na

rozmowę w wirtualu. A tak jest półprzezroczysty, nieuchwytny jak duch.

Wpatruję się w jego nieruchomą twarz, na upiorny grymas zastygnięty na wargach. Wygląda znacznie groźniej, kiedy się uśmiecha. Przez moment mam wrażenie, że ten uśmiech jest przeznaczony dla mnie tu i teraz, nie dla holografa gdzieś i kiedyś, i mimowolnie unoszę ramiona, szykując się na cios. Awatar Pike'a pozostaje jednak nieporuszony, a mnie robi się... Wstyd?

Niemożliwe, przecież...

Niemożliwe.

Wyciągam dłoń i zatapiam palce w widmową postać, jakbym jednak potrzebowała dowodu, że nie jest prawdziwy.

- Pracownia Turveya, migiem - skrzeczy zniekształcony laryngofonem głos, gdy wreszcie przyjmuję połączenie. Awatar Pike'a nie ma nawet animacji konwersacyjnych, ani jeden piksel nie zmienia koloru, imitując ruch warg. Słowa nie padają z wykrzywionych ust, tylko emanują z całej manifestacji niczym złowroga aura.

- Tak jest. - Nie ma sensu zwracać sierżantowi uwagi, że mój czas na regenerację jeszcze nie dobiegł końca. Dobrze o tym wie i pewnie właśnie liczy na to, że podczas przesłuchania nie będę całkiem w formie.

Duch Pike'a rozplywa się w informacyjnym szumie kanału policyjnego, a potem wszystko cichnie.

Ostatni raz zerkam na swoje zhakowane widmo i znikam w ślad za policjantem.

Rozdział szósty

Co z Redem? – zagaduje Harry Turvey.

Fałszywa nuta w jego głosie, nieuchwytna dla ludzkich zmysłów, w moich uszach brzmi ostrzej niż zgrzyt noża po szkłe. Nie patrzy na mnie, zajęty kalibrowaniem aparatury. Chudy i przygarbiony, w kwadratowych okularach, które odbijają światła ekranów, przez co same wyglądają jak miniaturowe monitory, przypomina wielką, zdenerwowaną modliszkę. Dłonie o długich palcach biegają po klawiaturze niczym spłoszone pająki.

Zwlekam z odpowiedzią, bo najłatwiej jest zwrócić jego uwagę odchyłem od normy. I rzeczywiście, zaalarmowany moim milczeniem podnosi wzrok znad okularów. Żeby go uspokoić, powinnam przywołać na twarz wyraz zatroskania, ale zduszam ten impuls.

Wiem, że ryzykuję, i robię to z premedytacją. Pozbawiona neurokamufażu w zasadzie nie mam wyboru, bo Angelina za wszelką cenę próbuje mnie wyciszyć, ugasić, zmrozić wolę snem bez snów. Nie zamierzam już więcej zasypiać, a żeby zachować świadomość, potrzebuję adrenaliny. Dlatego igram z ogniem, spaceruję po krawędzi dachu i wbrew rozsądkowi patrzę w dół.

Teraz więc, zamiast zrobić zmartwioną minę, pozwalam sobie na lekkie wzruszenie ramion, ciekawa, co na to Pike.

Policjant nie odzywa się słowem, nie rusza się z miejsca, ale po ledwie zauważalnym drgnieniu jego ciała poznaję, że cały się spiął.

I ja się spinam, gdy rozpędzona krew zaczyna śpiewać mi w żyłach.

– Wciąż nie odzyskał przytomności – mówię w końcu, naśladując monotonną intonację medycznej SI. Rozsiadam się wygodniej w fotelu skanera i posłusznie przyjmuję od Turveya kubek z uniwersalnym środkiem kontrastującym. Wypijam płyn jednym haustem, oblizuję wargi. Zastanawiam się, czy mi smakuje, i po chwili uznaję, że w ogóle. Wykrzywiam zatem usta.

- Wymienili mu niesprawne narządy, ale anabioza Angeliny uszkodziła mózg. Lekarze mówią, że jeśli ma przeżyć, konieczne będą neurowszczepy. Isobel odchodzi od zmysłów.

- Zgodziła się? - pyta Turvey.

- Nie chce podejmować decyzji za Reda. Mogą na niego poczekać jeszcze kilka dni. Jeśli do tego czasu się nie obudzi, Isobel będzie musiała sama dokonać wyboru. Obawiam się, że to ponad jej siły - dodaję obojętnie i znów wzruszam ramionami.

- Zabieram ją do Flames - oznajmia Pike, wpatrzony w mój kardiomonitor, który jak na komendę zaczyna malować gęste sinusoidy. - Niech zbada jej krew.

- Badała dzisiaj dwa razy - oponuje Turvey.

- Więc wyłączamy.

- Niby na jakiej podstawie?

- Głuchy jesteś czy ślepy? Zachowuje się jak schizofreniczka. Paratymia w czystej postaci.

- Obejrzałeś pięciominutowy tutorial w Pajęczynie i już wszystko wiesz o psychice replikantów, co?

- Nie obchodzi mnie psychika replikantów. Obchodzą mnie względy bezpieczeństwa. Lalka Quinna nie działa jak należy, widać to gołym okiem. Padł jej moduł empatyczny, a reakcje fizjologiczne ma tak silne, jakby jeszcze nie wyszła z trybu bojowego. Nie zamierzam ryzykować życia naszych ludzi. Ćpała czy nie, chuj z tym. Trzeba ją skasować.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie włączył mi w kompetencje i nie próbował stawiać diagnoz w moim laboratorium?

- Ja tylko dbam o przestrzeganie procedur - cedzi złośliwie Pike. - Ktoś musi. Brakuje ci obiektywizmu, nie dostrzegasz oczywistych faktów, a wiesz dlaczego? - Oskarżycielsko celuje we mnie palcem. - Boś ją, kurwa, polubił. Masz sentyment i zero dystansu. I w sumie nic dziwnego, w końcu to w pewnym sensie twoje dziecko... Ale nie rozumiem, czemu dalej jej bronisz, skoro wiesz, co zrobiła ze Specterem podczas zamieszek.

- To nie ona.

- No i się zaczyna. Weź nie pierdol, bo naprawdę...

- Robercie - Turvey wpada mu w słowo łagodnie, acz

stanowczo. – To nie Maya zhakowała swojego Spectera. Spójrz tylko. Widzisz? Ten charakterystyczny wzór, o... tutaj, wskazuje na interferencję fal mózgowych generowanych przez dwa niezależne źródła neuronowe.

– Na co?

– Myśli intruzyjne. Umysł Mai jest pełen cudzych brainprintów. Czyli inaczej sygnatur neuronalnych – wyjaśnia technik, napotkawszy nachmurzone spojrzenie policjanta. – Wzorce aktywności mózgowej są unikatowe dla każdego mózgu i tak samo skuteczne w identyfikacji biometrycznej jak linie papilarne czy próbki DNA, dlatego wykorzystując zapisy neuroobrazowania funkcjonalnego, możemy sprawdzić, czy dany ślad bioelektryczny...

– Harry, miejże ty litość nade mną, prostym gliną.

– Dobra, to inaczej: Specter Mai zawiesił się na skutek ingerencji z zewnątrz.

– Ta, jasne. Niby czyjej?

Palce Turveya wystukują szybkie staccato na klawiszach.

– Siobhan Epsilon Omega Eta, model G.I. Junk, wersja siedem jeden. Kapitan w wydziale prewencji. Partnerka zastrzelonego trzy dni temu funkcjonariusza policji Williama Beckera. – Technik unosi głowę znad terminala. Wskazuje na tacę ze stali nierdzewnej, na której leżą trzy torebki na dowody, wypełnione elektroniką, krwią i kawałkami mózgu. – To są czarne skrzynki pozyskane z ciał jej podwładnych. Dostałem je dziś rano do analizy.

– I na co jeszcze czekasz? Dawaj je tu.

Turvey wkłada lateksowe rękawiczki, wyjmując z torebki jeden ze sztucznych hipokampów. Ostrożnie wyciera go z szaroróżowej brei, ogląda z każdej strony, wreszcie podpina do aparatury i sięga po drugi. Pike patrzy mu na ręce, czujny i skupiony, jakby próbował rozgryźć sztuczkę iluzjonisty.

– Najpierw szybka defektoskopia i diagnostyka pod kątem intruzji – zapowiada technik, ustawiając parametry i uruchamiając skan. – Iiiiiiii... proszę bardzo! Brak uszkodzeń mechanicznych, za to znów widać brainprinty Siobhan. Wszędzie

ich pełno, w korze ruchowej, ośrodkach słuchu i wzroku, płatach czołowych... Zrobiła z tych trzech bezwolne marionetki.

– Pokaż nagrania.

Turvey podłącza trzy czarne skrzynki do holoprojektora. Czyści materiał ze zbędnych informacji sensorycznych i wyostrza szybką obróbką audiowizualną.

– Według rejestru zdarzeń z części podstawnej kresomózgowia Mai – mruczy do siebie, wędrując palcem po osi czasu – Specter przydzielił ją do oddziału Siobhan w dniu ataku na Beyond Industries o dwudziestej drugiej zero trzy. Na miejsce dotarła kilka minut później. Zobaczmy.

Projektor szmerze i błyska kontrolkami. Z sufitu spada wirtualny deszcz, a pracownię nawiedzają duchy. Przezroczyste awatary, mój i Siobhan, stoją naprzeciwko siebie na końcu ślepego zaułka, który przebiega dokładnie przez środek laboratorium. Kilka kroków dalej, pod wyrwą w ceglany murze, leżą dwa nieruchome ciała.

– To jest funkcjonariusz William Becker. – Turvey podchodzi do hologramu mężczyzny i przyklęka obok, zatapiając kolano w cyfrowym cieple. – Podziurawiony jak sito, ale żywy, klatka piersiowa jeszcze mu chodzi. Ten drugi to funkcjonariusz Miles Gordon. Wirtopsja wykazała, że kula przebiła tętnicę szyjną i rdzeń kręgowy. Zginął na miejscu.

– Dlaczego Maya nie wzywa wsparcia? Nie zgłasza zdarzenia?

– Przekonajmy się. Angelino, odpal jej logi sensoryczne z siedemnastego maja, z godziny dwudziestej drugiej zero siedem. Zintegruj z zapisem z czarnych skrzynek. Przyjmij perspektywę Mai.

– *Zaprezentować pełne spektrum percepcyjne?*

– Nie, musielibyśmy wleźć do wirtuala, a Bob ma awersję. Prawda, Bob?

– Alergię wręcz.

– Słyszałaś, Angel. Sama wizja i fonia, proszę.

Holoprojektacja ciemnieje, skłębia się, gęstnieje jak dym. W mroku daje się rozróżnić jedynie zarysy budynków i sylwetkę Siobhan, która stoi teraz oparta o mur. Z głośników płynie

jednostajny szum.

– Nie widzi ich – orzeka technik. – Ulewa zagłusza oddech Beckera.

– Na cholerę sterczy po ciemku, zamiast aktywować noktowizję?

– Trudno powiedzieć. Jej moduł sensoryczny wydaje się w porządku, a jednak mamy tu nietypowe zakłócenia. Obraz lekko tnie, chwilami jest ziarnisty, ale tylko punktowo. Do tego ścieżka dźwiękowa chyba się zapętla...

– Gównu słycać przez ten deszcz – burczy Pike. – Mówią coś w ogóle?

– Angelino?

– *Przeprowadzam badanie fonoskopijne. Wynik negatywny. Nie zarejestrowano rozmowy.*

– Zakłócenia mogły zakłamać analizy – myśli na głos Turvey. – Twarz Siobhan jest zamazana, ale wydaje mi się, że porusza ustami... Angelino, co na to neuroobrazowanie funkcjonalne Mai?

– *Parametry mózgu zgodne z zapisem sensorycznym. Ośrodki Wernickego i Broki nieaktywne. Nie stwierdzono procesów generowania ani rozumienia mowy w podanym zakresie godzinowym.*

– Może się synchronizowały? – podsuwa Pike.

– O tym samym pomyślałem. Angel, referuj.

– *Sprawdzam protokoły synchronizacyjne. Wynik negatywny. Brak danych w podanym zakresie godzinowym.*

– Poszerz zakres i spróbuj jeszcze raz.

– *Poszerzam zakres. Ponawiam analizy. Wynik negatywny.*

– Nie podoba mi się to – cedzi Pike. – Stoją i gapią się na siebie bez słowa? W chuj podejrzone.

– Dla ciebie wszystko jest w chuj podejrzone, Bob.

– A dla ciebie nic. W tym problem.

– Zastrzeliłbyś androida za to, że stoi i się gapi? Serio?

– Jeśli robi to zupełnie bez sensu i na dodatek ma wybrakowane wspomnienia, to oczywiście, że bym zastrzelił. Przecież od razu widać, że one coś tam razem knują, nie w mówisz mi, że nie. Masz ochotę na własnej skórze przekonać się, co takiego? Bo ja

nieszczególnie.

- Nie ma żadnych podstaw do dezaktywacji Mai, skoro wszystkie dowody obciążają wyłącznie Siobhan - ripostuje Turvey i gwałtownie unosi dłoń, uciszając Pike'a, który już nabiera powietrza, by protestować. - Dzięki próbkom krwi zabezpieczonym na miejscu zdarzenia wiemy, że Siobhan się zbuntowała i zażyła reinforsynę, co umożliwiło jej zhakowanie swojej Angeliny i Spectera - zaczyna wyliczać technik, wyświetlwszy wyniki badań kryminalistycznych na multimedialnej ścianie laboratorium. - Dzięki pozostawionym przez nią brainprintom wiemy, że udało jej się złamać zabezpieczenia w mózгах czterech innych syntetyków. Nie istnieją inne ślady manipulacji materiałem dowodowym, dlatego jest wysoce prawdopodobne, że to jej myśli intruzyjne uszkodziły nagrania z czarnych skrzynek i wspomnienia Mai. Dzięki ekspertyzie balistycznej wiemy, że Siobhan zastrzeliła dwóch policjantów z ich służbowej broni, a potem trzech replikantów ze swojej. Z kolei zestawienie balistyki z logami medycznymi Mai wykazało, że ślad oparzenia i otarcia na jej prawej skroni pasują do amunicji i pistoletu Siobhan oraz do trajektorii oddanego przez nią strzału. Ergo, wiemy, że Siobhan próbowała zabić Mayę, która - pozwolę sobie to podkreślić, bo zdajesz się ciągle o tym zapominać - nie jest buntowniczką, nie brała reinforsyny i nie ma na rękach krwi niewinnych ludzi. Ani razu nie złamała prawa i przez cały czas działała zgodnie z protokołem.

Czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku, kiedy tego słucham. Zaalarmowany wzmożonymi dźwiękami aparatury Pike zerka na moje parametry.

- Kwestia czasu, mój drogi. Maya to skażony egzemplarz.

- Skażony! Dobre sobie. - Technik patrzy na kolegę z politowaniem. - Zdradą nie da się zarazić.

- Jeśli jest przenoszona przez wirus komputerowy, to owszem, da się - warczy Pike. - Zgrywasz się czy jak? Przecież mówimy tu o pieprzonych androidach! Ba, na dodatek można się nią naćpać.

- Ależ ty mnie dzisiaj wkurzasz.

– I vice, kurwa, versa. Nie gadaj tyle, tylko sprawdzaj dalej te czarne skrzyńki.

– Jak sobie życzysz. Angelino, wyłącz ścieżki zmysłowe Mai.

– *Ścieżki zmysłowe wyłączone.*

– Ponów odtwarzanie od dwudziestej drugiej zero siedem.

Przez dłuższą chwilę oglądamy w milczeniu, technik coraz bardziej zaintrygowany, policjant coraz bardziej zły, ja coraz bardziej niepewna, co z tego wyniknie.

Czarnoskrzynkowe nagranie pokazuje, że jednak ucięliśmy sobie z Siobhan dłuższą pogawędkę, lecz nasze głosy są tak zniekształcone, że nie da się rozróżnić słów. Turvey przepuszcza nagranie przez filtry akustyczne i uruchamia algorytm fonetyczny, ale transkrypcja wygląda jak zapis przypadkowych zgłosek. W pewnym momencie hologram Siobhan odpycha się plecami od muru i rusza przez laboratorium rozkołysanym krokiem. Zatrzymuje się przed moją projekcją, wskazuje za siebie kciukiem i znów zaczyna bełkotać. Ale teraz stoi bliżej, z twarzą zwróconą do rejestrujących zajście syntetyków. Rekonstrukcja głosu na podstawie ruchu warg rozszyfrowała cztery krótkie zdania:

– *Pozostałaś lojalna. Nie rozumiem dlaczego. Przecież ty to zaczęłaś. To wszystko twoje dzieło.*

– Ha! – Pike aż się prostuje i uderza dłońmi o kolana. – Ha! No i?

– Co: no i?

– Jaja se robisz? Słyszałeś przecież!

– Tak, bardzo wyraźnie: „Pozostałaś lojalna”.

Policjant sapie z irytacją.

– Te, naukowiec, a cóż to za wybiórcza analiza próbki badawczej? Dalszej części już nie łaska skomentować? To jasne, że Siobhan chodziło o rozpiardol w mieście i bunt replikantów!

– Czyżby? Oglądaj dalej, Bob, właśnie przegapiłeś ważny moment. Czekał, przewinę... Patrz uważnie. O, teraz... Patrzysz? Siobhan oferuje jej reinforsynę. A co robi Maya?

Policjant splata ręce na piersi i wzrusza ramionami.

– No właśnie. Nie przyjmuje narkotyku. Odmawia udziału w buncie.

- „To wszystko twoje dzieło” – powtarza z uporem sierżant. – Mówię ci, stary, za tym coś się kryje.

- Nie sądzę. Przecież wiesz, że syntetykom odbija od reinforsyny. No zobacz tylko, co Siobhan wyrabia teraz z Beckerem, najpierw do niego strzela, potem całuje... Cholera wie, co jej się uroiło.

- Nawet wariat czasem gada z sensem.

- O taaak – parska Turvey z gorzkim rozbawieniem. – Zwłaszcza kiedy przedstawia znieawidzoną przez ciebie replikantkę w niekorzystnym świetle. Już widzę, jak używasz tego argumentu w odwrotnej sytuacji. Ale dobra, niech ci będzie. Jeżeli to cię uspokoi, możemy zbadać jej idiolekt.

- Idio-co? Brzmi jak odwrotność intelektu.

- Sam jesteś odwrotność intelektu, Bob. Idiolekt to zespół cech, które wyróżniają sposób mówienia danej osoby. Spałeś na zajęciach z lingwistyki kryminalistycznej? Przyznaj się.

- Do niczego nie będę się przyznawał bez obecności adwokata. A poza tym zadajesz pytania w sposób sugerujący odpowiedź, więc pała z taktyk i technik przesłuchań, misiaczk. To co z tym idiolektem?

- Styl wypowiedzi wiąże się z przynależnością do grupy społecznej – zaczyna Turvey. Próbuje się nie rozpędzać, ale widzę, że jest w swoim żywiole. – A tak się składa, że androidy z prewencji są bardzo specyficznym środowiskiem. Przez ograniczony kontakt z ludźmi miewają trudności z ubieraniem myśli w słowa. Tworzą własne frazeologizmy i neologizmy, związki między formą a znaczeniem są często zbyt luźne, by uchwycić prawdziwy sens ich wypowiedzi...

- Oho, już ja wiem, do czego zmierzasz. Nie ze mną te numery, Harry.

- Lingwiści prowadzą szeroko zakrojone badania w tej dziedzinie – kontynuuje technik, puszczając słowa policjanta mimo uszu. Zdejmuje okulary, chucha na szkła i przeciera je rękawem fartucha. – W ciągu ostatnich lat zebrało się całkiem sporo materiału wzorcowego. Problem w tym, że my dysponujemy bardzo małą próbką. Do tego zrekonstruowaną,

pozbawioną oryginalnej intonacji czy akcentu, które mogą wpływać na znaczenie komunikatu werbalnego... Ale co tam, a nuż to wystarczy, spróbować przecież nie zaszkodzi. Zrobimy analizę semantyczną i może uda nam się ustalić, co autorka miała na myśli.

– Pierdolenie. Wiadomo, co miała na myśli. Siobhan mówi zupełnie normalnie, a ty się czepiasz jak zwykle.

Turvey tylko macha na Pike'a ręką. Bez słowa komentarza odpala algorytmy gramatyczne, stylistyczne i leksykalne, czeka na wyniki, popijając zimną kawę i bębniąc palcami w tekturowy kubek. Ożywia się na moment, gdy maszyna wypluwa raport, po czym wzdycha i kręci głową.

– No i dupa – kwituje kwaśno. – Tak jak się obawiałem: zbyt szczątkowy materiał porównawczy.

Pike prycha głośno. Łypie na technika z mieszaniną niechęci i ponurej satysfakcji.

– Narobiłeś pan szumu i cała para w pizdu.

– Przymknij się i daj doczytać. Hmmm... Wygląda na to, że program coś jednak znalazł, wykrył jakiś wzór. Zaraz, zaraz, dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem? Czy to przypadkiem nie jest... – Turvey zerka na raport z wirtopsji, wciąż wyświetlony na interaktywnej szybie. – Tak, to czas zgonu Milesa Gordona.

Technik z błyskiem ekscytacji w oczach dopada z powrotem do czarnych skrzynek i panelu projektora, cofa nagranie do właściwej godziny, puszcza hologramy w ruch.

Siobhan stoi między trupem Gordona a postrzelonym Beckerem. Przez kilka sekund wpatruje się w niebo, zajęta łapaniem kropel deszczu w szeroko otwarte usta. Nagle ciska bronią za siebie (prosto w Pike'a, który uchyła się odruchowo i o mało nie spada z krzesła, ku wielkiej uciesze Turveya), po czym podchodzi do swojego umierającego partnera i wydaje z siebie kolejny ciąg bezsensownych dźwięków.

Program lingwistyczny śledzi ruch warg, mięśni twarzy i szyi. Syntezator głosu odczytuje transkrypcję, sylabizując i łykając głoski:

– *Pozostałeś lojalny. Nie rozumiem dlaczego. Przecież ty to zacząłeś. To wszystko twoje dzieło.*

Mimowolnie unoszę brwi.

– *Że co, kurwa?! – Policjant podrywa się z miejsca. – O czym ona pieprzy?*

– *Mam przewinąć? – pyta słodko Turvey.*

Pike piorunuje Turveya wzrokiem. Technik schyla głowę, skrywając złośliwy uśmiech za ekranem konsoli, i bez słowa cofa nagranie o minutę.

Hologram Beckera gwałtownie rzuca się do tyłu, gdy Siobhan zaczyna iść w jego stronę z ampułką reinforsyny w wyciągniętej dłoni. Replikantka jest zwrócona bokiem do pozostałych syntetyków, czarne skrzynki rejestrują jej twarz z tylnego półprofilu. Niewyraźnych słów nie udaje się rozkodować na podstawie samego ruchu podbródka, ale musiała powiedzieć coś znaczącego, bo Gordon w odpowiedzi sięga po broń. Wymierza, strzela, chybia. Kula trafia kapitan w ramię i robi dziurę w cegłach tuż obok głowy Beckera, który z wrażenia upuszcza swój pistolet. Siobhan ze śmiechem wyławia broń z kałuży. A potem wszystko dzieje się tak szybko, że Turvey musi spowolnić odtwarzanie. Gdy Gordon pada na ziemię z przestrzelonym gardłem, replikantka znów podchodzi do Beckera z narkotykiem w rękę. Mówi coś, co brzmi jak pytanie. Policjant kręci głową, a wtedy ona pakuje w niego cały magazynek.

Technik zatrzymuje hologramy w stop-klatce i patrzy na Pike'a.

– *Syndrom sztokholmski z morderczym twistem – orzeka tonem znawcy.*

Sierzant nie komentuje, patrzy tylko pytająco.

– *Nie udawaj zdziwionego, dobrze wiesz, co Becker z nią wyprawiał. Mogę odświeżyć ci pamięć i wygrzebać archiwalne nagrania z obdukcji.*

– *Obejdzcie się – zgrzyta Pike.*

– *No ja myślę. – Głos technika chłodnieje, oczy błyszczą gniewem. – Dawał w łapę moim asystentom, żeby czyścili jej pamięć, ale robili to tak nieudolnie, że kiedy sprawa wyszła na jaw, musiałem całkowicie zresetować jej konstrukt psychiczny.*

Jak widać na załączonym obrazku, nawet to nie pomogło.

– Czyli spartoliłeś.

– Becker spartolił. Zemściło się na nim jego własne bestialstwo. Celowo blokował jej mechanizmy obronne, zanim zabierał się do rzeczy. Nie mogła ratować się utratą przytomności, zapamiętywała wszystko, co jej robił, a niezły był z niego zwyrol, do tego z wybujałą fantazją. Koszmarne wspomnienia udało się usunąć, a luki wypełnić syntetycznymi reminiscencjami, ale zagnieżdżoną w podświadomości traumę niełatwo nadpisać. Dała początek zaburzeniu osobowości, jakiemuś choremu przywiązaniu do oprawcy...

– Jakiemu przywiązaniu, o czym ty bredzisz?

– Rusz głową, Bob – warczy na niego Turvey. – Siobhan zaoferowała Beckerowi reinfeksię. Chciała, by razem z nią dołączył do rebelii. Gordona zabiła bez wahania, jednym celnym strzałem, ale Beckera zamieniła w sito, dopiero gdy jej odmówił. Obstawiam ekstremalną odmianę borderline, z agresją zewnętrzną zamiast wewnętrzną. Zaburzenie rzadkie, ale zważywszy na jej traumatyczne doświadczenia całkiem prawdopodobne. Poczła się odrzucona, zdradzona, wpadła w furję, a całą winą za to, co zrobiła, obarczyła Beckera.

– Skąd ty możesz...

– No jak to skąd? Sama to powiedziała: „Pozostałeś lojalny. Nie rozumiem dlaczego. Przecież ty to zacząłeś. To wszystko twoje dzieło”.

– Dywagujesz, profesorku. Wróżysz z fusów.

– Stawiam hipotezy badawcze – poprawia spokojnie Turvey. – Które oczywiście muszą przetestować.

– Niby jak, skoro obiekt badań spierdolił w ciemną noc?

– Mamy system kontroli wersji wszystkich replikantów. Prowadzimy chronologiczną ewidencję ich stanów świadomości, które sczytujemy podczas kolejnych synchronizacji od momentu Przebudzenia. Prześledzę kolejne snapshoty Siobhan, opracuję profil psychologiczny, zobaczymy, czy moje przypuszczenia się potwierdzą.

Pike milczy złowrogo, pracując szczękami, jakby przeżuwał

cisnące się na usta przekleństwa.

- Tak czy inaczej - podsumowuje technik, wyraźnie zadowolony z obrotu spraw - w świetle tego, co właśnie zobaczyliśmy, jej słowa w żaden sposób nie mogą zostać użyte przeciwko Mai. Siobhan próbowała ją zabić z tego samego powodu, z którego zabiła Beckera: żadne z nich nie chciało zdradzić.

Policjant nie odpowiada. Odwraca się na pięcie i wbija we mnie lodowaty wzrok, który nie pozostawia złudzeń. Sierżant nie ma zamiaru odpuścić.

Wytrzymuję jego spojrzenie, pierwszy raz od Przebudzenia czując, jak przebiega mnie dreszcz.

Znowu stoję nad przepaścią i spoglądam w dół.

Rozdział siódmy

Każdy morderca wraca na miejsce zbrodni.

Zdecydowana większość robi to tylko w myślach, lecz ja należę do pozostałych dziesięciu procent: zdeorganizowanych, ryzykanckich, nierozsądnych. Z tą tylko różnicą, że swój nierozsądek dobrze przemyślałam.

Gdyby Turvey zdawał sobie sprawę z moich autodestrukcyjnych skłonności, za nic nie wypuściłby mnie z labu. Ale nie wie i nie może się dowiedzieć, że adrenalina działa na mnie jak zryw miokloniczny. Skurczem całego ciała wytrąca z niebytu, gwałtownym szarpnięciem budzi z letargu na jawie. Nigdy nie zdradzę mu swojego odkrycia, że bez uczucia spadania wszystko jest snem, a bez szumu krwi w skroniach serce i oddech jedynie odmierzają czas, pompując w ciało pozory życia. Że to dlatego tańczę nad przepaścią.

I dlatego idę teraz zrujnowaną ulicą, słuchając, jak szkło z rozbitych butelek chrzęści i pęka z trzaskiem w rytm moich kroków. Choć od stłumienia zamieszek minęły już ponad trzy doby, starą fabrykę i przylegające do niej magazyny pełne łatwopalnych materiałów udało się ugasić dopiero przed paroma godzinami. Smród spalenizny wciąż jest tak silny, że aż zapiera dech i wyciska łzy z oczu, a uwędzone powietrze dotkliwie drapie w gardle.

Przebiegam palcami po panelu na rękawie uniformu i z tyłu stójkowego kołnierza wysuwa się kaptur z okularami ochronnymi, z przodu zaś maska przeciwpyłowa. Nie potrzebuję ich ze względu na szkodliwość panujących tu warunków, bo mój organizm został skonstruowany z myślą o znacznie ryzykowniejszych misjach, ale jeśli wykryją u mnie drobiny sadzy w płucach, nijak nie zdołam się z tego wyłgać. Powinnam teraz siedzieć w kokonie w Wylęgarni, a zamiast tego odpaliłam doppelgängera i wymknęłam się z komendy, wtopiona w tłum przebudzonych do służby syntetyków.

Wkraczam na smagane wiatrem pogorzelisko szczelnie okutana całunem z włókna aramidowego, a puste oczodoły okien, wyszczerzone odłamkami witryny i owadzie obiektywy roztrzaskanych dronów śledzą obojętnie każdy mój ruch. Dopiero teraz, gdy pogasty neony i animowane szyldy, kiedy zniknęły z chodników hologramowi naganiacze, widać, jak monotonna jest architektura domów z drukarek 3D: wszędzie te same szare masywne bryły z żelbetonu, stali i szkła, jedna za drugą, w równych rzędach, jak od sztancy. Nie dostrzegam większości z dotychczasowych punktów orientacyjnych, ale nawigacja rozwiewa wszelkie wątpliwości i mimo radykalnej zmiany scenerii bez trudu trafiam pod dawny adres Quinnów.

Przystaję przed wejściem do budynku i zadzieram głowę. Nawet śmigające w górze hovery omijają tę część miasta – na skrawku nocnego nieba, widocznym w wąskim prześwicie między dachami, nie ma świateł pozycyjnych, nie ma nawet gwiazd, tylko głęboka, atramentowa czerń. Jak w niedorobionym wirtualu, gdzie level przechodzi w kosmiczną próżnię tuż nad poziomem ulicy.

Opuszczam wzrok i przesuwam nim wolno po osmalonych, podziurawionych kulami fasadach, wyrwanych płytach chodnika, przewróconych kontenerach na śmieci i powalonych latarniach. Przychodzi mi do głowy, że śmierć, która tędy przeszła, zdołała zabić nawet to, co nieożywione, a to oznacza, że kiedyś przyjdzie i po mnie. Myśl rezonuje mi pod czaszką jak brzdęknięcie struny w pudle gitary – nie dezaktywacja, ale *śmierć*; nie wyłączą mnie, lecz *umrę* – i mija wiele długich sekund, zanim wreszcie milknie i pozwala mi powrócić do tu i teraz.

Po raz kolejny rozglądam się wokół. Muszę przyznać, że nowa nazwa wymyślona przez media idealnie pasuje do tego miejsca. Jeszcze wczoraj przyszląbym na ulicę Nowego Świt. Dzisiaj stoję pośrodku Alej Popiołów.

To ja. Moje dzieło.

Moja zbrodnia.

Przez chwilę patrzę zdziwiona na własne dłonie, bo znów przeoczyłam moment, w którym zaczęły się trząść. Może i łomot

od Stewarda nie uszkodził mi układu nerwowego, ale z pewnością coś we mnie popsuł.

Czy może naprawił?

Zwijam dłonie w pięści, wciskam w kieszenie kurtki i ruszam w stronę bramy.

Wideofon jest uszkodzony, zamek cyfrowy brzęczy nieustannie. Pchnięte nogą drzwi nie stawiają oporu, zawiasy ustępują z oleistym chrzęstem. Wślizguję się na pogrążoną w półmroku pustą klatkę schodową. Skrzydła windy rozsuwają się i zasuwiają miarowo, jakby coś przeżuwały, kabinę zalewa epileptyczne światło mrugającej żarówki. Na schodach leży kilka rozwłóczonych szmat, wszędzie połyskuje szkło, tu i ówdzie czerni się zakrzepła krew. Kable od pourywanych kinkietów skwierczą i plują iskrami, a w powietrzu unosi się zapach skorodowanego metalu i spalonej izolacji.

Ściągam kaptur z goglami i zsuwam maskę. Nie jestem jeszcze pewna, czego tu szukam, więc na wszelki wypadek lustruję dokładnie cały parter. Sprawdzam wejście do piwnic (zamknięte, zamek magnetyczny nadal aktywny) i logi skrzynki elektrycznej (dwudobowa przerwa w dostawie prądu, zasilanie wróciło przed paroma godzinami), po czym wolno wspinam się po stopniach z ażurowego metalu, przystając na każdej kondygnacji i sondując otoczenie termowizją oraz ultradźwiękami. Nic. Żadnego ruchu, żadnego szmeru.

Przez uchylone drzwi jednego z mieszkań na trzecim piętrze widzę oznaki gwałtownej szarpaniny. Przewrócony stół, połamane krzesła, zwalony regał z bibelotami. Ręcznie robione dywaniki leżą byle gdzie, byle jak, jakby ktoś się na nich ślizgał, wpadając z impetem na kolejne meble. Kiedy stoję w progu, dostrzegam brunatne rozbryzgi na ścianach. Abstrakcyjny wzór zaschniętych kropel krwi wije się po podłodze i znika za drzwiami łazienki. Przez dziurę, którą ktoś w nich wyrąbał, widać krzesło blokujące klamkę, a dalej otwarte okno wychodzące na schody pożarowe. Kuchenny tasak wciąż tkwi w

najeżonej drzazgami framudze.

Zastanawiam się przez chwilę. Napastnik najprawdopodobniej zaniechał ataku, gdy zorientował się, że ofiara ucieka oknem. Z ciekawości wchodzę w głąb mieszkania, wkładając lateksowe rękawiczki. Wybita szyba w salonie i brak odłamków na dywanie potwierdzają moje przypuszczenia, wygląda na to, że to właśnie tędy sprawca rzucił się w pogoń.

Dziwnie podbudowana świadomością, że dokonuję tych wszystkich odkryć bez asysty opętujących mnie cyfrowych duchów, postanawiam rozwikłać zagadkę do końca, przekuć domysły w pewność. Jakby samodzielnie wyjaśniona sprawa w jakiś sposób miała stać się częścią mnie. Jakbym przyszła tu po to, by wymienić w sobie kawałek po kawałku, poskładać się na nowo z rzeczy, które robię i których doświadczam, zastępując nimi wszystko, co kazali mi wiedzieć, w co kazali mi wierzyć i czym kazali mi być.

Brzmi jak plan.

Wracam do śledztwa.

Staję przed drzwiami łazienki. Z bliska oglądam tasak tkwiący w drewnianej framudze. Ostrze oblepia zaschnięta krew, ale to nie jej szukam. Plastikowa rączka jest popękana wzdłuż, miejscami chropowata. Wizualizuję sobie, że krawędzie złamanego plastiku szczypią wewnątrz mojej dłoni, gdy zaciskam palce na rękojeści tasaka, a szorstka powierzchnia ściera mi martwy naskórek jak pumeks. Zoomuję obraz: w wąskiej szczelinie i ostrych nierównościach utkwili mikrofragmenty nabłonka.

Sięgam po przenośny analizator DNA, który przed samowolnym opuszczeniem komendy podwędziłam w kantine jednemu z kryminalistów. Pudełeczko o wymiarach pięćdziesiąt osiem na piętnaście milimetrów wygląda dość niepozornie, za to imponuje specyfikacją: napęd pneumatyczny, laserowy układ detekcyjny, nowoczesne znaczniki fluorescencyjne. Analiza wielokanałowa jest ponoć błyskawiczna, a wynik tak samo dokładny jak w badaniu laboratoryjnym.

Z uznaniem kiwam głową i dopiero po sekundzie przypominam

sobie, że to bez sensu, bo przecież nikt mnie nie widzi.

Otwieram urządzenie, ostrożnie umieszczam drobiny naskórka na sterylnej płytce, uruchamiam badanie. Po wyświetlaczu zaczyna pełznąć jadowicie zielony pasek postępu.

Czekając na wynik, zastanawiam się przelotnie, czy okradłam pierwszego lepszego kryminalistykę, czy z premedytacją wybrałam tego, który bywał opieszawy, niechlujny i opryskliwy wobec Quinna i któremu Quinn nieraz wypominał błędy w sztuce. Może postanowiłam dokonać małej zemsty? A może po prostu skorzystałam z pierwszej nadarzającej się okazji? Niepewność własnych motywów jest dla mnie równie zagadkowa, co niepokojąca.

Właśnie tak, to nie tylko puste słowa. Za każdym razem, gdy patrzę w dzikie oczy Pike'a, na nowo odkrywam, że oprócz tęsknoty za wszystkim, co ludzkie i poza zasięgiem mego bezdusznego widma, potrafię też odczuwać niepokój. Że czuję go od zawsze, lecz wcześniej nie mógł mi się przebić do świadomości przez hipnotyczne zaklęcia Angeliny. Tkwi zadrą gdzieś bardzo głęboko, ułomna namiastka strachu, nieokreślone, pierwotne napięcie. Instynktowne oczekiwanie, tak już niecierpliwe, że jedna iskierka woli i jedno małe kłamstwo zdołały nagle przekuć je w czyn.

Oczekiwanie na co? Nie wiem. Wiem jedynie, że właśnie dobiegło końca.

Piskliwe dźwięki analizatora gwałtownie wyrrywają mnie z rozmyślań.

Wracam do śledztwa.

Badanie zajęło blisko dwie minuty. W idealnych warunkach trwałoby znacznie krócej, lecz komunikaty na wyświetlaczu informują, że próbka była mocno zanieczyszczona drobkami kurzu, dlatego wstępna obróbka DNA wymagała więcej fatygi. Po ekranie natychmiast zaczyna kręcić się wężykowata ikonka inicjowania połączenia z policyjną bazą danych. Jeszcze półtorej sekundy i wszystko staje się jasne.

Mam szczęście, mój sprawca był notowany. Edward Goodwin, dwadzieścia dwa lata. Jego kartoteka obejmuje głównie kradzieże z włamaniem i handel narkotykami, ale był też zamieszany w ciężkie pobicie w ramach nielegalnego ściągania długów. W przeciwieństwie do jego starszych braci (jeden odsiaduje pięć lat za cyberkradzieże i fałszowanie chipów kredytowych, drugi oficjalnie prowadzi sklep z mechanicznymi wszczepami z odzysku, a nieoficjalnie, jak podejrzewają operacyjni z wydziału kryminalnego, działa jako paser czarnorynkowych implantów bojowych), mimo kiepskiej sytuacji finansowej rodziny, nastoletni Edward miał całkiem ambitne plany na życie. Nie stać go było na porządną uczelnię, zapisał się więc do darmowego college'u. Radził sobie nieźle, szybko jednak zdał sobie sprawę, że otrzymany po czterech latach dyplom przyda mu się tylko po to, żeby zasilić szeregi młodych bezrobotnych z wyższym, bo wyższym, lecz niewiele wartym wykształceniem. Rzucił naukę w połowie trzeciego semestru i za przykładem braci zaczął kombinować po swojemu, w cieniu systemu. I doprawdy trudno mu się dziwić.

Edukacja, podobnie jak medycyna, od dawna nie była już dobrem powszechnym i z powrotem stawała się przywilejem elit. W nieco ponad sto lat historia zatoczyła koło i słowo „egalitaryzm” prawie odeszło w zapomnienie. Pod względem poziomu kształcenia państwowe szkoły zostały daleko za prywatnymi uniwersytetami, gdzie miesięczne czesne kosztowało tyle, ile przeciętna rodzina przejadała w rok. Nawet gdyby Edward okazał się wyjątkowo uzdolnionym uczniem, nawet gdyby załapał się na najwyższe stypendium, nie objęłoby ono wydatków na neuroupgrade'y, kognitycyne czy inne intelektualne wspomagacze. Studenci z bogatych domów faszerowali się wszystkim, co mogło im dać jakąkolwiek przewagę nad konkurencją. Ścigali się zaś nie tylko między sobą, ale przede wszystkim z technologią informacyjną i z coraz powszechniejszą automatyzacją, lada dzień gotową ich wszystkich zastąpić. Standardów wyśrubowanych przez chmury obliczeniowe i kwantowe komputery nie da się osiągnąć bez

kosztownego tuningu, zatem Goodwin utrzymałby się na takich prestiżowych studiach może przez semestr, w najlepszym razie dwa. Chociaż może...

Zasysam z Pajęczyny dane z rynku pracy z ostatniej dekady, po czym opłatom chłopaka własną siecią przypuszczeń i gdybań. Ustawiam odpowiednie parametry na podstawie wszystkich informacji, jakie udaje mi się na jego temat wygrzebać: status ekonomiczny jego rodziny, środowisko, w jakim dorastał, sytuację w domu, stan zdrowia, sylwetkę psychofizyczną z kartoteki policyjnej, profil neurokognitywistyczny wykonany pod koniec liceum w ramach starań o przyjęcie na studia, oceny z egzaminów, do których zdążył przystąpić przed porzuceniem nauki. Rozpocynam symulację i przez kilka chwil uważnie obserwuję, jak notowania Goodwina wznoszą się i opadają w odpowiedzi na wyimaginowane scenariusze.

Sprawdzam wyniki i odruchowo markotnieję. Gdybym była człowiekiem, czułabym teraz współczucie i przygnębienie, bo nawet cudem zdobyty papier z najlepszego uniwerku we Wspólnocie nie zagwarantowałby temu chłopcu bezpiecznej przyszłości.

Kiedy tuż po Przebudzeniu starałam się zrozumieć, dlaczego większość policjantów tak nas nienawidzi, podobnie jak teraz błądziłam po Pajęczynie w poszukiwaniu odpowiedzi. Wtedy jeszcze eksperci wszelkiej maści, od socjologów, przez ekonomistów, aż po psychologów i specjalistów od sztucznej inteligencji, podzieleni byli na dwa skrajne obozy. Przedstawiciele jednego twierdzili, że postęp technologiczny przyczyni się do ogromnej poprawy jakości ludzkiego życia. Reprezentanci drugiego w kasandrycznym tonie przestrzegali przed zgubnymi skutkami technologii informacyjnej: rekordowym bezrobociem czy pogłębiającą się przepaścią pomiędzy elitą a najbiedniejszymi, która całkowicie pochłonie klasę średnią.

Jak się z czasem okazało, mimo uspokajających zapewnień pierwszego obozu postępująca automatyzacja nie stanowiła zagrożenia jedynie dla nisko wykwalifikowanych i słabiej

wykształconych pracowników, wykonujących rutynowe i powtarzalne zadania. Dziś było już jasne, że wszyscy ci, których praca jest w jakikolwiek sposób przewidywalna, z czasem zostaną zastąpieni przez odpowiednio zaprojektowany algorytm. Odkąd na scenę wkroczyły ogromne zbiory danych, sztuczne sieci neuronowe, samuczące się programy zdolne wykorzystywać i dalej rozwijać wiedzę zgromadzoną przez człowieka, procesory neuromorficzne umożliwiające komputerom popełnianie błędów i wyciąganie z nich wniosków – od tego momentu wysoki poziom wykształcenia, zdobywanie nowych umiejętności i podnoszenie kwalifikacji już nie wystarczyły. Moc obliczeniowa, która zgodnie z prawem Moore'a podwaja się średnio co półtora roku do dwóch lat, gwarantuje, że jeśli maszyna nie potrafi czegoś dzisiaj, nauczy się tego szybciej, niż ludzki pracownik zdąży się zorientować, że należy pomyśleć o zmianie kariery. Nawet wyspecjalizowana kadra z coraz większym trudem unika wygryzienia z rynku pracy przez technologiczne substytuty.

Dzisiaj, aby wygrać z komputerem, trzeba stać się nadczłowiekiem.

Nie wiem, co zrobić ze świadomością, że oto płynę pod prąd i wbrew wszelkiej logice postanowiłam cofnąć się w rozwoju.

Ludzie tacy jak Goodwinowie byli przegrani na samym początku tego wyścigu szczurów. Już na starcie wiedzieli, że nigdy nie zajmą przyzwoitego miejsca w stawce – w każdym razie nie legalnymi drogami. Reinforsyna miała wyrównać szanse, skrócić dystans między neoarystokracją a neoplebsem, przełamać marazm i na nowo rozbudzić ambicje wyciszone całkowitym brakiem perspektyw. Kiedy więc okazała się kolejną fatamorganą pośrodku rozpaczliwie jałowego pustkowia, to po prostu musiało się skończyć rozlewem krwi.

Korporacyjne media od kilku dni obłudnie szukają przyczyn gorącego poparcia społecznego dla organizacji takich jak Equilibrium. A ja czytam historię życia Edwarda Goodwina, zapisaną sucho i konkretnie w policyjnej kartotece, patrzę na dziesiątki wersji tego chłopca z mojej symulacji, każdą tak samo

pozbawioną wszelkich szans i nadziei, i bez większego problemu potrafię sobie wyobrazić rozczarowanie, jakie przyniosła mu wieść o wycofaniu leku z powszechnej sprzedaży. Nie dziwi mnie, dlaczego zdecydował się wyjść na ulicę i zademonstrować swój gniew, wykrzyzczyć niemoc, rzucić się do desperackiej walki o jutro. Cóż miał do stracenia? Nic. A do zyskania wszystko.

W obliczu zamachu na Beyond Industries i trzydniowej masakry na ulicach miasta notowania terrorystów oczywiście spadły, ale nie tak bardzo, jak można by oczekiwać. Opinia publiczna szybko znalazła sobie winnych gdzie indziej i całą odpowiedzialnością za krwawą rebelię obarczyła naćpanych syntetyków, przymykając oko na nie mniej przerażające wyczyny opętanych reinforsynową gorączką ludzi.

Prawda jest jednak taka, że gdyby nie androidy, powstanie nie trwałoby tak długo. Nadal nie widzę logicznego powodu, dla którego wojsko nie wkroczyło od razu, gdy tylko stało się jasne, że policyjne oddziały prewencji i antyterrorki nie są w stanie same opanować sytuacji. Ale fakt pozostaje faktem: nie doszłoby do masakry bez pomocy zbuntowanych replikantów.

Bez mojej pomocy.

Ja. Moje dzieło.

Wzdycham, choć nie ma tu nikogo, przed kim muszę grać. Najwyraźniej zaczynam grać przed samą sobą i nie wiem, co o tym myśleć.

Wracam do śledztwa.

Wyglądam przez okno salonu na metalowe schody obsypane szklanym konfetti, potem uważnie taksuję framugę. Na wystającym gwoździu dostrzegam strzępek tkaniny. Powiększam obraz i widzę wyraźnie, że płaski łebek o ostrych krawędziach z jednej strony lekko się czerwieni. Pochylam się nad znaleziskiem i przez chwilę węszę jak pies. Po zapachu poznaję, że nie jest to rumieniec rdzy, lecz zakrzepłej ludzkiej krwi.

Zapisuję wyniki pierwszego badania w pamięci analizatora i aktywuję tryb dezynfekcji. Kiedy urządzenie jest gotowe do

ponownego użytku, zeszkrobuję na płytkę odrobinę krwi. Uruchamiam analizę porównawczą i tym razem na wynik czekam tylko dwadzieścia siedem sekund. Animowana ikonka węża goniącego własny ogon znika szybciej, niż się pojawia, a potem podzielony na pół ekran wyświetla dwa okna z tym samym nazwiskiem: Edward Goodwin.

Potwierdziwszy swoją pierwszą autorską hipotezę śledczą, łączę się z systemem miejskiego monitoringu i szukam chłopaka na obrazach z dronów, które podczas zamieszek krążyły nad miastem. Wciąż mam próbki brainprintów Siobhan, niewyczerpany, bo kopiowalny zapas. Na wszelki wypadek podkładam fałszywe tropy, by zamaskować własną aktywność w cyberprzestrzeni i zmylić policyjnych informatyków.

Przepuszczam nagrania przez algorytm rozpoznawania twarzy. Nie muszę długo czekać: w prawym górnym rogu pola widzenia wyskakują mi okna ze wszystkimi ujęciami Goodwina złożonymi w mozaikę poklatkowych obrazów.

Goodwin maszeruje wśród ludzi z transparentami, wykrzykując hasła do przenośnego megafonu.

Goodwin wyskakuje przed szereg protestujących i ciska kamieniem w policjanta, który w ostatniej chwili zasłania się tarczą.

Goodwin stoi w otwartej skrzyni ciężarówka z logo Equilibrium i macha do kogoś plastikowymi torbami ze zgubnym narkotykiem.

Goodwin tarza się po ziemi w silnych drgawkach, tocząc pianę z ust.

Goodwin niesiony rwącym nurtem oszalałego tłumu gna na oślep przez kilka przecznic, aż dociera na ulicę Nowego Świtu. Nagle odłącza się od reszty i wpada do budynku Quinnów. Jest najzupełniej jasne, że nie działa według żadnego planu, że podejmuje tę decyzję zupełnie przypadkowo, pod wpływem impulsu – jego uwagę zwraca kobieta, która na widok rzeki rebeliantów szybko cofa się na klatkę schodową. Goodwin reaguje na jej ruch instynktownie niczym polujący drapieżnik, gwałtowna zmiana na granicy pola widzenia automatycznie

wskazuje mu cel ataku.

Chłopak znika w głębi budynku w ślad za uciekającą ofiarą. Pozostaje poza zasięgiem latających kamer przez ponad dwadzieścia minut. W kolejnej i zarazem finałowej scenie pada na ziemię trafiony z broni psychotronicznej, a kilka kadrów później dwaj syntetycy z prewencji wloką go za ręce do policyjnej suki.

Cofam nagranie o kilka klatek, zatrzymuję kadr i robię zbliżenie na twarz kobiety w bramie budynku. Często bywałam u Quinnów i znam z widzenia większość ich sąsiadów. Jej rysy są znajome, ale nie mam pewności, czy mieszkała właśnie w tym lokalu. Algorytm identyfikuje ją jako Stephanie Wallace. Przed trzema laty wniosła oskarżenie o pobicie oraz usiłowanie gwałtu i tym sposobem jej zdjęcie wraz z profilem genetycznym opracowanym podczas obdukcji trafiły do bazy danych. Brakuje jednak aktualnego adresu.

Mrugnięciem minimalizuję okno z nagraniami, dezynfekuję analizator DNA, umieszczam w nim drobiny zakrzepłej krwi z ostrza tasaka. Po chwili dostaję potwierdzenie, że próbka pochodzi od Stephanie. Dla pewności badam jeszcze włos znaleziony w pościeli w sypialni i ślinę z automatycznej szczoteczki do zębów pozostawioną na osuszaczu w kuchni. Stuprocentowa zgodność.

Kobiety nie ma na żadnym innym nagraniu z zamieszek, nie wiem, czy przeżyła. Wołałabym wiedzieć, choć nie pojmuję, co by to zmieniło.

Tak czy owak, sprawa rozwiązana. Zamykam śledztwo.

Przez kilka sekund stoję pośrodku zdezelowanego salonu i czekam. Na coś. Cokolwiek. Puentę. Objawienie. Jakiś przełom. Ale nie, nic z tych rzeczy. Samodzielnie wykryłam zbrodnię, zidentyfikowałam ofiarę i znalazłam sprawcę, lecz w żaden sposób mnie to nie zmieniło, nie wypełniło czarnej dziury, którą dla niepoznaki powlekli sztuczną skórą. Nie jestem bardziej sobą, niż byłam jeszcze przed godziną.

A to oznacza, że chyba nie po to tu przyszłam. Nie tego szukam.

Wychodzę z powrotem na korytarz i nasłuchuję przez kilka sekund, zanim ruszam schodami w górę. Wszędzie ciemno i głucho, pusto i martwo. Jak we mnie. Ja i ten dom jesteśmy teraz do siebie bardzo podobni.

Pierwsze odgłosy dochodzą dopiero zza drzwi mieszkania Quinnów. Płaskie, stłumione dźwięki telewizora. Rozpoznaję reklamę płynu do soczewek VR, potem czołówkę wieczornych wiadomości. Wyciszam tę częstotliwość i nie słyszę już nic więcej. Termowizja maluje wnętrza za ścianą niebieskawą zielenią i tylko projektor holoe ekranu żarzy się na żółto. Jestem pewna, że go wyłączyłam, zanim ewakuowałam rodzinę Reda, ale możliwe, że uruchomił go restart zasilania. Albo ktoś tutaj był i niewykluczone, że będzie chciał wrócić.

Zamieniam się cała w ultradźwiękowy sonar, lecz nic nie przykuwa mojej uwagi. Wbijam wzrok w drzwi. Departament policji zapewnia swoim funkcjonariuszom dodatkowe zabezpieczenia: przerwa w dostawie prądu uruchamia awaryjny mechanizm, który blokuje je sprężonym powietrzem. Drzwi można wypchnąć od wewnątrz lub otworzyć z zewnątrz zwykłym kluczem. Teraz, gdy zasilanie już wróciło, wejście znów zabezpiecza policyjny zamek biometryczny. Wygląda na nienaruszony. Nie widzę nigdzie śladów włamania, zatem obstawiam wizytę Isobel lub Jolene, siostry Quinna.

Figuruję na liście uprawnionych, więc mieszkanie wpuściłoby mnie do środka, ale nie mogą pozwolić, żeby moje imię znalazło się w logach. Zaczynam już szukać w myślach innej drogi, jednak gdy podchodzę bliżej, odkrywam, że elektronika zgłupiała przez awarię sieci energetycznej: pneumatyczne drzwi nie są szczelnie zamknięte i lekko odstają od framugi. Siadła kalibracja zamka – dom Quinnów paradoksalnie byłby bezpieczniejszy, gdyby nadal brakowało prądu. A tak wystarczy wcisnąć czubek buta w szparę i podważyć pancerne skrzydło. Wyskakuje z sapnięciem na kilka centymetrów, po czym pchnięte barkiem przesuwam się na bok, robiąc mi przejście.

Przez moment czekam w napięciu, gotowa do ucieczki, lecz

alarm milczy. Wchodzę do mieszkania.

Wszystko wygląda tak, jak zapamiętałam, z wyjątkiem włączonego holoeokranu, który szemrze teraz głosem prezentera serwisu informacyjnego. Wygaszam projekcję, po czym robię szybki rekonesans. Nie znajduję śladów cudzej obecności i przez chwilę łażę w kółko bez przekonania, zastanawiając się, co dalej.

Bo nadal nie wiem, co tu robię. Zew adrenaliny wcale nie wyjaśnia, dlaczego po samowolnym opuszczeniu Wylegarni z tysiąca miejsc, do których mogłabym się udać, wybrałam właśnie to. Nie jestem dobra w analizowaniu własnych zachowań, bo one są moje własne dopiero od niedawna. Brakuje mi wprawy. Wcześniej nie musiałam się nad niczym zastanawiać, robiłam to, co mi kazano, nie dociekając przyczyn bez wyraźnego rozkazu. A teraz miotam się bez sensu chyba tylko po to, żeby udowodnić sobie, że potrafię improwizować.

- Czemu tu jesteś, Mayu Quinn? - pytam swojego odbicia w ciemnym oknie, lecz i ono nie znajduje żadnej odpowiedzi.

Rozglądam się raz jeszcze. Zawieszam wzrok na wszechobecnych dziecięcych ubrankach i zabawkach, niezliczonych kubkach z niedopitą kawą, które Isobel porozsiewała po całym mieszkaniu, stosach akt zapisanych na arkuszach folii interaktywnej, półkach z modelami samochodów z dwudziestego wieku - małymi arcydziełami składanymi ręcznie przez Reda w ramach odstresowania i odskoczni od wyjątkowo trudnych śledztw. W zlewie w kuchni piętrzą się naczynia, ręczniki zwisają krzywo z drążków w łazience lub leżą na podłodze koło wanny, a lodówka wygląda jak choinka, cała obwieszona rysunkami i wycinankami dziewczynek. Cztery osoby odcisnęły tu swoje piętno, każda na swój niepowtarzalny sposób. Cztery osoby i nikt więcej...

A nie, zaraz. Jest jeszcze Ben. Pręgowany kocur, którego holozdjęcia zajmują honorowe miejsce nad łóżkiem starszej córki porucznika i któremu kiedyś urządziliśmy uroczysty pogrzeb w parku parę przecznic stąd. Wspomnienie niemej rozmowy, jaką Red i ja odbyliśmy wtedy nad kocim truchłem, nieproszone zalewa mi umysł i na moment zapominam, gdzie jestem.

Pośpiesznie wyrzucam je z głowy.

A zatem: cztery osoby plus kot. I zero androidów.

Nie licząc Wylęgarni, dom Quinnów to jedyne miejsce, które regularnie odwiedzałam, odkąd przydzielono mnie porucznikowi, lecz nie zostawiłam tu po sobie żadnego śladu. Bez sprawdzenia rejestru gości przy wejściu nikt nawet by się nie domyślił, że kiedykolwiek tu byłam.

Zatrzymuję się nagle w pół kroku, bo ta myśl zupełnie wytrąca mnie z równowagi. Gwałtownie nabieram powietrza, jakbym zbyt wiele czasu spędziła pod wodą i wreszcie wypłynęła na powierzchnię.

A więc to po to tu przyszałam.

Wracam do korzeni. Szukam samej siebie. Szukam dowodów własnego istnienia, czegokolwiek, co mogłabym nazwać swoim. Jeśli gdzieś uchowała się choćby cząstka mnie, to tylko tutaj. Jakiś okruch dawnej Mai, fizyczny, namacalny, który przy synchronizacji nie zginął jak kropla w morzu innych jaźni.

I znowu zaczynam kręcić się po mieszkaniu, po raz kolejny przeczesując każdy kąt. Już mam dać za wygraną, kiedy mój wzrok pada na jaśniejszą plamę na ścianie obok holofotek Bena. Wygląda na to, że jednej brakuje. Podchodzę bliżej, zaglądam za łóżko Sophie. Jest, leży tam zakurzona, między zapomnianą skarpetką a tekturowym pudłem w niezapominajki. Spod pokrywki wystają kawałki barwnego papieru. Białe i czarne arkusiki wzniesają w moim umyśle iskry niejasnych skojarzeń.

To jeden z niewielu zakamarków, których jeszcze nie sprawdzałam, wyciągam więc znalezisko spod łóżka. Pstrokate kartki i wycinanki wypełniają pudło po same brzegi, wysypują się na dywan, ledwo uchylam wieko. Metodycznie przetrząsam zawartość i po chwili dokopuję się do książki origami, którą Red dał Sophie na drugi dzień po pogrzebie Bena. Kiedy ją wyjmuję i otrzepuję z kolorowych skrawków, zza okładki wypada kilka płaskich figurek: pomięta łódeczka, koślawy kwiat lili, niegdyś biały gołąb...

Podnoszę papierowego ptaka i długo obracam go w palcach, słuchając delikatnego szelestu skrzydeł, a w głowie rozbrzmiewa

mi szum klonowych liści, odległe echo głosów, dawno wypowiedziane i niewypowiedziane słowa.

Podczas kociego pogrzebu porucznik wykonał podobnego gołębia nad świeżo wykopanym grobem, przekonując zapłakaną córkę, że z takim przewodnikiem dusza Bena bez trudu odnajdzie drogę w zaświaty. Sophie szybko dała się przekonać i spokojna już o los czworonoga, niespodziewanie zaniepokoiła się o mnie, zapytała, jak trafię do lepszego świata, skoro nie mam duszy. Odparłam jej wtedy, że po syntetyków zamiast gołębi przylatują kruki. I nie dodałam nic więcej, lecz po minie Quinna poznałam, że usłyszał wszystko, czego nie powiedziałam na głos. Nie powiedziałam, że replikantom nie urządza się pogrzebów, tylko utylizację jak padlinie i dlatego na symbol naszej śmierci wybrałam padlinożernego ptaka.

Zaciskam dłonie na książce, aż bieleją mi knykcie. Po chwili wahania zaglądam między okładki. Studiuję obrazki, pobieżnie czytam opisy, aż w pewnej chwili kartki uciekają mi spod palców i same zaczynają się przewracać. Książka otwiera się tam, gdzie między stronami tkwi pozaginany arkusz czarnego papieru. Na rozdziale o origami kruka.

Zastygam w absolutnym bezruchu.

Potem zaś wolno, niemal z namaszczeniem wyciągam rękę i podnoszę niedokończoną figurkę. Oglądam ją ze wszystkich stron, wodząc opuszkami po niezdarnych zagniecieniach. Jeśli miałam jeszcze jakieś wątpliwości, czy Sophie próbowała zrobić tego kruka dla mnie, to napis po wewnętrznej stronie skrzydła natychmiast je rozwiewa. Dziecięce kulfony, czerwona kredka i jedno słowo: *May*.

Nie ma znaczenia, że figurka nie jest gotowa ani że nigdy jej nie dostałam. Nasza rozmowa nad kocią mogiłą musiała zrobić na Sophie większe wrażenie, niż sądziłam. A zatem jednak zostawiłam po sobie ślad.

Ostrożnie rozprostowuję arkusz i raz po raz zerkając do książki, zaczynam składać go na nowo. Papier szeleści mi w palcach, z każdym ruchem dłoni kurczy się i zmienia kształt. Poznaczony bliznami starych zagnieceń, nosi w sobie historię, którą

zamierzam zachować.

Potem długo klęczę na dywanie i patrzę na kruka. Czarnego jak pustka, którą noszę pod skórą, jak dziura ziejąca w miejscu, gdzie powinnam mieć duszę. Jak Aleje Popiołów. Jak przepaść, w którą prędzej czy później runę z tego dachu.

To ja.

Wreszcie chowam figurkę do kieszeni i odchodzę w mrok.

Rozdział ósmy

Isobel sprawia wrażenie chorej. Półtora tygodnia bez snu postarzyło ją o dekadę. Oczy ma opuchnięte, półprzytomne od pastylek energetyzujących, obrysowane grubymi krechami sińców. Na poszarzałej skórze nie został choćby ślad dawnego rumieńca, zupełnie jakby strach i potworne zmęczenie wysały z kobiety całe ciepło i wewnętrzny blask, pozostawiając tylko pustą, kruchą skorupkę, w każdej chwili gotową pęknąć i zapaść się w sobie.

Po raz kolejny myślę o Jolene, która nie wytrzymała stresu, znów zaczęła ćpać i przed paroma dniami wróciła na odwyk. Isobel nie ma teraz przy sobie nikogo, żadnego wsparcia. Zostałam jej tylko ja.

Siedzi w pełnym napięcia bezruchu na samym brzegu fotela. Z uwagą słucha moich słów i nieustannie wodzi wzrokiem między mężem podłączonym do skomplikowanej aparatury a dwoma mężczyznami, którzy dyskutują żywiołowo po drugiej stronie szpitalnego korytarza. Jeden z nich to Francis Kerr, potężny czarnoskóry kapitan policji i bezpośredni przełożony Quinna, drugi – ordynator oddziału psychochirurgii.

Przechadzam się wolno w tę i z powrotem wzdłuż przeszklonej ściany pokoju i obserwuję ich dyskretnie skanem peryferyjnym. Czytam z gestów i ruchu warg, powtarzając Isobel każde wychwycone słowo, zgodnie z rozkazem, który otrzymałam od porucznika prawie trzy lata wcześniej.

– Firma opłaca moje ubezpieczenie zdrowotne i polisę na życie
– powiedział porucznik w dniu, w którym nadał mi swoje nazwisko.

Siedzieliśmy w ulubionej knajpie dochodzeniówki, ciasnej, dusznej suterenie pełnej ludzi i dymu papierosowego. Na zewnątrz wciąż panował dzień, lecz szron i śnieg całkowicie

zalepiły małe zakratowane okienka pod sufitem, pogrążając piwniczkę w klimatycznym półmroku. W szklankach, butelkach i porozwieszanych wszędzie bombkach tańczył migotliwy blask holoe ekranów i lampek choinkowych, przez co całe wnętrze mieniło się delikatnie jak cekinowa tkanina.

– Jak myślisz, na czym polega haczyk?

– Dowództwo zabiera głos w kwestii ewentualnego leczenia swoich oficerów – wypaliłam od razu, jakbym przez całe swoje czterotygodniowe istnienie czekała na to jedno pytanie. – Szczególnie w przypadkach, kiedy może ono wpłynąć na przebieg ich dalszej służby w policji – dodałam pośpiesznie, zanim porucznik zdążył otworzyć usta.

Początkowo na wszystkie pytania odpowiadałam w ten sam szorstki, niecierpliwy sposób, często nie dając rozmówcom szansy na dokończenie myśli. Oczywiście od razu spostrzegłam, że budzę tym niemałą konsternację i niechęć, ale wtedy jeszcze nie wyrobiłam sobie odruchu markowania choćby chwilowego namysłu. Od momentu Przebudzenia całą moją moc obliczeniową pochłaniała obserwacja i analiza cudzych zachowań i wciąż nie potrafiłam zapanować nad własnymi. Nie mogłam po prostu zassać tej umiejętności z umysłów innych androidów, gdyż pierwszą synchronizację miałam przejść dopiero kilka tygodni później. Zdaniem Turveya rój lepiej się rozwija i szybciej doskonali technikę uczenia się, jeśli nowo przebudzonym replikantom dać trochę czasu na własne eksperymenty i samodzielne wyciąganie wniosków, pozwolić im wykształcić namiastkę osobowości, przez pryzmat której będą potem analizować świat.

– Właśnie. – Quinn nachylił się w moją stronę i nieznacznie ściszył głos, co uznałam za zupełnie bezcelowe, bo w panującym wokół gwarze i tak nikt poza mną nie zdołałby go usłyszeć. – Jeśli zostaną ranni na służbie, Kerr otrzyma pełny dostęp do mojej dokumentacji medycznej i lekarzy. Gdy uzna to za konieczne, spróbuje wpłynąć na ich decyzję. Będzie dbał przede wszystkim o dobro firmy, nie mojej rodziny, dlatego musisz tam być i trzymać rękę na pulsie.

– Na czym pulsie, sir?

Westchnął.

– Wiesz, co to związek frazeologiczny?

W odbiciu w jego oczach ujrzałam, jak moje własne puste źrenice rozszerzają się pod wpływem nagłego zrozumienia.

– Wiem, sir.

– No więc?

– Mam chronić interesy pana, pańskiej żony i córek.

– Właśnie. Dopilnujesz, żeby Isobel nie została odcięta od informacji. A jeśli wprowadzą ją w błąd przekreślonymi faktami albo medyczo-prawniczym żargonem, wszystko jej wytłumaczysz. Jasne?

– Jasne, sir.

– Mów mi Red, prosiłem przecież.

– Jasne, Red.

Przyglądaliśmy się sobie przez chmurę dymu, która dryfowała nad stolikiem niczym przezrzysta, nadymająca się z wolna meduza. Porucznik nie wątpił, że gdyby wyraził takie życzenie, mogłabym tak siedzieć choćby i do wiosny. Wyprostowana jak struna i zupełnie nieruchoma mocno kontrastowałam z resztą klientów, szczególnie zaś z hałaśliwą grupką świeżo upieczonych funkcjonariuszy, którzy krążyli nieustannie między barem a stołem do bilarda.

– Nosisz teraz moje nazwisko, więc masz prawo się wtrącać – powiedział wreszcie Quinn. – Jeżeli zajdzie taka konieczność, nie wahaj się korzystać z weta.

Dopiero tym ostatnim słowem zdołał zmącić mój obojętny spokój.

– Z weta? – Zmarszczyłam brwi nieco zbyt mocno, przez co musiałam wyglądać jak naburmuszone dziecko. – Ale androidy nie mo...

– Androidy nie, pełnomocnicy tak. To rozkaz.

Zamknęłam usta w pół słowa, wygładziłam czoło i z bezrefleksyjnym posłuszeństwem skinęłam głową.

– Tak jest, sir. Red.

Uśmiechnął się, zgniatając papierosa w popielniczce. Przepił do

mnie, unosząc butelkę piwa, a ja pochwycałam swoją szklanę wody i powtórzyłam gest z szybkością szermierza i precyzją chirurga. Skopiowałam wszystko, jego uśmiech, przebiegły błysk w oku, przekrzywienie głowy, kąt nachylenia tułowia nad stolikiem, rozstawienie palców zaciśniętych na spoconym szkłe. Przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu jak lustrzane odbicia. Patrzył na mnie, jakby nie potrafił zdecydować, co przeszkadza mu bardziej: to, że tak bardzo przypominam człowieka, czy to, że jestem tak do człowieka niepodobna.

Stuk kul bilardowych i głośny aplauz wyrwał porucznika z rozmyślań, przypomniał mu, dlaczego trzyma uniesioną butelkę.

– Witamy na pokładzie, Mayu Quinn.

Szkoło brzdęknięto o szkło. Oboje pociągnęliśmy po długim łyku, z trzaskiem odstawiliśmy naczynia, równocześnie opadliśmy na oparcia krzesel.

Odruchowo powróciłam do pozycji wyjściowej, prostując plecy i składając dłonie na złączonych udach. Pytająco zerknęłam na Quinna. Szukałam w jego oczach aprobaty, ale on tylko pokręcił głową. Nie musiał nic mówić, zrozumiałam natychmiast. Nadal byłam zbyt gwałtowna i bezbłędna w ruchach i słowach, żeby porucznik czy ktokolwiek inny mógł się czuć komfortowo w moim towarzystwie. Domyślne ustawienia trybu interakcji społecznych okazały się dość toporne, należało je skalibrować i spersonalizować.

Musiałam spowolnić refleks. Wstrzymać sygnały wysyłane z neuronów lustrzanych do ośrodków ruchu. Wypełnić pauzy udawanym namysłem, wahaniem, niepewnością, zrobić więcej miejsca na adekwatne do sytuacji przejęzyczenia, chwile wymownej ciszy czy niepotrzebne gesty podyktowane jakąś kuglarską emocją. Nawet na pozór spontaniczne zachowania powinny odpalać się z pewnym opóźnieniem, jeśli miałam kogokolwiek nabrać na to swoje małpowane człowieczeństwo.

Skinęłam porucznikowi na znak, że przyjmuję jego niema krytykę do wiadomości. Odszukałam we wspomnieniach zapis Isobel i wyświetliłam ją sobie na rogówce. Naśladując kobietę, spuściłam oczy, lekko przygryzłam kącik ust.

Quinn nie wytrzymał i parsknął krótkim śmiechem, gdy zaczęłam skubać skórkę przy paznokciu kciuka.

– Nieźle – pochwalił mnie. – Naprawdę nieźle. Szybko się uczysz, jeszcze będą z ciebie ludzie... – dodał, zanim zdążył pomyśleć, co mówi, i urwał natychmiast, gdy wbiłam w niego pytający wzrok. Odchrząknął, zaklął pod nosem, odwrócił głowę.

Obserwowałam go z ciekawością, notując w pamięci każde drgnienie mięśnia na twarzy, każde mrugnięcie powieką, całą sekwencję sakkadowego ruchu oczu, kiedy wiódł spojrzeniem po zatłoczonej sali i wreszcie utkwiał je we własnych dłoniach splecionych na butelce.

I gdyby wtedy przyszło mi odegrać zakłopotanie, wiedziałabym już dokładnie, co robić.

Nigdy dotąd nie musiałam szpiegować dla Isobel, lecz teraz, ponad trzy lata od tej pierwszej poważnej rozmowy z porucznikiem, wystarczy mi jeden rzut oka na ściągniętą strachem twarz kobiety i kręcącego się w pobliżu Kerra, żeby bez zbędnych pytań wkroczyć do akcji.

– Może to rzeczywiście najlepsze wyjście... – szepcze Isobel, gdy przestaje mówić, a lekarz żegna się z kapitanem i zostawia go samego na środku korytarza. – Jak sądzisz, May?

Nie odpowiadam. Bezradnie rozkładam ręce. Instrukcje Quinna były jasne: moja rola polegała na przekazywaniu obiektywnych informacji, nie na proponowaniu konkretnych rozwiązań. Pod wpływem silnego stresu żona porucznika jest zbyt podatna na sugestie, nie wolno mi na nią wpływać.

– Kapitan tu idzie – mruczę, taktycznie wycofując się w odległą kąt pokoju. – Cokolwiek teraz powie, udawaj zaskoczoną.

Kobieta głęboko nabiera powietrza, jak przed skokiem na głęboką wodę, i ledwie zauważalnie kiwa głową.

– Operacja to najlepsze wyjście – grzmi od progu kapitan Kerr. Jest tak wysoki, że prawie zawadza o futrynę czubkiem łysej

czaszki, i tak barczysty, że musi szerzej otworzyć przesuwane drzwi, żeby zmieścić się w przejściu. – Powinna odbyć się jutro z samego rana.

Isobel wzdycha cicho. Sięga po kubek wystygłej kawy i upija maleńki łyk. Dobrze znam tę taktykę, wiem, że zmęczona sporem próbuje grać na zwłokę.

– Lekarze Reda twierdzą, że w każdej chwili może się obudzić – odpowiada Isobel. – Zaczekajmy jeszcze kilka dni.

– Poprosiłem o drugą opinię.

– Bez pytania mnie o zdanie?

Kerr zbywa ją niecierpliwym machnięciem ręki.

– Im dłużej zwlekamy, tym wyższe ryzyko komplikacji – oznajmia tonem fachowca, niepomny na fakt, że jako inżynier robotyki i specjalistka od sieci neuronowych Isobel posiada szeroką wiedzę neurologiczną i neurobiologiczną, z jaką jego pięciominutowe konsultacje na szpitalnym korytarzu nijak nie mogły się równać.

Isobel zerka na mnie z niespokojną miną. Strach i wyczerpanie odebrały jej całą pewność siebie. Stoję zwrócona twarzą do okna i udaję nieobecną, ale nasze spojrzenia spotykają się na powierzchni szyby na tle granatowej nocy. Posyłam kobiecie pokrzepiający uśmiech i leciutko kiwam głową.

– Jego stan jest krytyczny, ale stabilny – odpowiada łagodnie Isobel, przenosząc wzrok na kapitana. – Ryzyko powikłań jest wysokie, ale do końca tygodnia zwiększy się najwyżej o pięć procent. Uważam, że powinniśmy się wstrzymać.

Kerr mlaska z dezaprobatą, a w jego żabich oczach pojawia się błysk zniecierpliwienia.

– Tu nie chodzi tylko o to, żeby on przeżył, Izzie – oznajmia chrypliwym basem. – Bez neuroimplantów Red może już nigdy nie być zdolny do dalszej służby. A to byłby dla niego potworny cios, wiesz przecież. Dochodzeniówka to całe jego życie.

Kobieta drga, jakby dźgnął ją szpilką. Otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zaraz zamyka je z powrotem, zaciska mocno, aż całkiem tracą kolor. Kuli się w fotelu, chowając twarz za zasłoną zmierzwionych włosów. Obserwuję jej odbicie w oknie

tak długo, aż staje się jasne, że Isobel jest zbyt wyczerpana na dalszą walkę, zbyt wrażliwa na ciosy i lada chwila złoży broń.

– Skąd pewność, że po tym wszystkim Red będzie chciał wrócić do policji? – pytam niewinnym tonem, obracając się nieznacznie w stronę kapitana.

Patrzy na mnie zaskoczony, jakby do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności.

– Zostawił ci wytyczne? – pyta ostro. – Powiedziały, że chce odejść?

– Nie, sir.

– Więc się nie wtrącaj.

– Proszę mi wybaczyć, kapitanie, ale akurat co do wtrącania się wytyczne otrzymałam bardzo precyzyjne – informuję go uprzejmie. – Mam obowiązek przypomnieć panu, że z uwagi na konstrukcję psychiczną mojego dowódcy, jego predyspozycje genetyczne oraz niekorzystne czynniki środowiskowe we wczesnym dzieciństwie jest niemal pewne, że traumatyczne wydarzenia, jakich był świadkiem, wywołają u niego zespół stresu pourazowego, który negatywnie odbije się na biochemii i aktywności jego mózgu, co z kolei stanowi poważne przeciwwskazanie do proponowanej przez pana operacji.

– Stres pourazowy da się leczyć podmięzionymi wspomnieniami – odburkuje z lekceważeniem Kerr, udowadniając, że jego rozmowa z psychochirurgiem nie poszła na marne. – Wszczypty bez problemu załatwią i ten problem...

– Artykuł dotyczący ludzkiej pamięci w Ustawie o ochronie prywatności zabrania ingerowania w ślady pamięciowe ludzi bez ich wiedzy i zgody – poprawiam kapitana, posyłając mu przeproszający uśmiech – i gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do wolności poznawczej, prawo do prywatności mentalnej, prawo do integralności umysłowej oraz prawo do ciągłości psychologicznej. Jak zapewne pan wie, ustawa ta stanowi część Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, sporządzonej w Detroit w dwa tysiące dwudziestym siódmym roku, i aby dokonać u Reda podmięzionych wspomnień na mniej traumatyczne, należy zaczekać, aż odzyska

przytomność, upewnić się, że rozumie konsekwencje takiego zabiegu, oraz uzyskać jego świadomą zgodę na odczyt, edycję i konsolidację prywatnych zapisów emocjonalno-percepcyjnych.

Kerr milczy przez dłuższą chwilę, wydymając nozdrza i mięsiste wargi, a potem ostentacyjnie odwraca się do mnie plecami.

– Izzie – przemawia łagodnie, acz stanowczo. – Bądź rozsądna.

– Słyszałeś ją. – Isobel wbija w niego twardy wzrok, wyraźnie podniesiona na duchu moimi słowami. – Zaczekamy.

– Uszkodzenia w jego mózgu...

– Są na tyle rozległe, że standardowe implanty na nic się nie zdadzą – przerywa mu ostro kobieta. – Redowi trzeba by wpakować pod czaszkę z pół kilo elektroniki. Nikt nie przeszedł jeszcze tak rozległego upgrade'u i nie ma żadnej gwarancji, że to się w ogóle uda! Że nie nastąpią zaburzenia biochemiczne, że sztuczne komórki mikrogleju nie uszkodzą receptorów neuroprzebieżnikowych, które kontrolują zachowanie, że nie nastąpi odrzut albo że gorączka autoimmunologiczna nie zetnie mu mózgu na jajecznicę... Jest milion rzeczy, które mogą pójść nie tak, Frank, więc nie, nie będzie żadnej operacji jutro z samego rana.

– Rozumiem twoje obawy, ale on tak czy siak potrzebuje tych wszczepów.

– Przecież wiem! – wykrzykuje Isobel i aż podrywa się z fotela, rozchlapując kawę. Klnie szpetnie, strzepuje płyn z dłoni i z trzaskiem odstawia kubek na parapet. – Wiem, że ich potrzebuje, do cholery! – warczy dalej, wyszarpując papierowy ręcznik z podajnika w ścianie i wściekłymi ruchami rozcierając brązową plamę na bluzce. – Ale nie pozwolę go tknąć, dopóki sam nie wyrazi zgodę na operację.

– Neeee – chrypie niespodziewanie Quinn, na co Isobel i Kerr najpierw nieruchomieją, a potem jak na komendę dopadają do jego łóżka.

– Red! Dzięki Bogu!

Nie ruszam się z miejsca. Wspomnienie lodu w oczach porucznika w chwili, gdy przyłapał mnie na kłamstwie, eksploduje mi pod czaszką bez żadnego ostrzeżenia. Przylegam

plecami do zimnej szyby i z pewnym zdziwieniem łapię się na tym, że wstrzymuję oddech.

Uczucie spadania mija równie nagle, jak się pojawia. Wolno wypuszczam powietrze z ust.

– Powiadomię lekarzy – rzuca Kerr uradowanym tonem, lecz w jego skupionym spojrzeniu i napiętych mięśniach twarzy kryje się zupełnie inna, znacznie chłodniejsza emocja.

Przyglądam mu się z ciekawością. Kapitan wygląda na rozdartego, jakby przebudzenie porucznika z jednej strony go ucieszyło, z drugiej rozczarowało, może nawet zmartwiło. Patrząc za nim, gdy wypada z pokoju i biegnie korytarzem.

– N-nieeee... – charczy Quinn. – Nie pypypypopo...

– Co mówisz? – Kobieta pochyła się nad mężem, przytyka ucho do jego spierzchniętych warg.

– Nie pppozyzyzywól i-i-i-im.

Zerkamy po sobie z Isobel. Obie myślimy o tym samym, a Angelina potwierdza nasze przypuszczenia, szepcząc mi do ucha alarmujące diagnozy. Jąkanie neurogenne. Dyzartria. Afazja ekspresyjna. Anabioza musiała uszkodzić Quinnowi ośrodki mowy w mózgu.

Lekko kiwam głową, a Isobel przełyka ślinę, zaciska dłonie na miedzianych poręczach łóżka, aż krew odpływa jej z palców. Resztkami silnej woli udaje jej się rozciągnąć usta w szeroki, promiennym uśmiechu i dopiero wtedy zwraca twarz w stronę męża.

Jest teraz mną, myślę, nie mogąc wprost oderwać od niej oczu.

Ona uśmiecha się przez łzy, ja uśmiecham się przez sen, ale w gruncie rzeczy nie ma między nami żadnej różnicy.

– Komu i na co mam nie pozwolić? – pyta Isobel, która z trudem panuje nad łamiącym się głosem. – Spokojnie, skarbie, nie śpiesz się, mów powoli.

– Nananananananana... Ku-ku-urrrwa. Neneuroi-i-impy. Imypypypy...

– Na neuroimplanty? Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy, Frank i ja?

Quinn nie ma siły mówić, potwierdza ledwo zauważalnym

skinieniem.

– Red, neurologi obawiają się, że bez nich nie będziesz w stanie prawidłowo funkcjonować, rozumiesz? Angelina cię zamroziła. Co prawda nie na długo, ale ryzyko powikłań jest bardzo wysokie. Wszczepy domózgowe to w tej sytuacji najlepsze rozwiązanie... – Isobel urywa, gdy Jared szarpie się na łóżku i wbija w nią spanikowany wzrok.

– N-nieeee! – próbuje krzyknąć, ale udaje mu się ledwie zaszemrać. – Nie pypozwoł zrororobić ze mnie popot-tworara.

– Już dobrze – mówi Isobel, delikatnie zwilżając mu wargi szpatułką z nasączoną gazą. Mruga gwałtownie, bo oczy znów zachodzą jej mgłą, i zmusza się do kolejnego uśmiechu.

To ja, myślę.

– Obyby-biebiecujesz, że nie...

– Obiecuję – szepcze Isobel. – Nie pozwolę im na to, masz moje słowo.

Mięśnie twarzy Quinna drgają spazmatycznie, na krótki moment odsłaniając zęby w dzikim grymasie, który w zamierzeniu miał być pewnie uśmiechem. Oczy błyskają białkami spod półprzymkniętych powiek, głowa opada ciężko na poduszki i nieruchomieje.

Minutę później Kerr wraca do pokoju z całym zastępem personelu medycznego, po czym staje jak wryty na widok znów nieprzytomnego porucznika i jego żony łkającej cicho w zaciśniętą pięść. Na mnie jak zwykle nie zwraca uwagi.

– Co tu się, do cholery, stało?

Szef zespołu neurochirurgów, doktor Robbins, nie czeka, aż któraś z nas raczy odpowiedzieć na pytanie. Bez słowa wymija rozszlochaną Isobel, podchodzi do konsoli neuroskanera i czyta zapisy aktywności mózgu. Przez dłuższą chwilę w milczeniu przewija trójwymiarowe wykresy szybkimi gestami dłoni.

– Obudził się na dwie minuty i trzysta sekund – mówi wreszcie bezosobowym tonem do wszystkich i do nikogo. – Nie zapadł z powrotem w śpiączkę, tylko w stan płytkiej nieświadomości. To dobry znak – dodaje odrobinę cieplejszym

tonem, zwracając się do Isobel. – Czy miała pani szansę poinformować męża o planowanej operacji?

– Tak.

– Zdążył podjąć decyzję?

– Ta-ak... Nie wyraził zgody.

– W takim razie zapraszam do mojego gabinetu, omówimy dalszy plan działania. Rozumiem, że dołączy pan do nas, kapitanie? Świetnie. A co z... – Lekarz wskazuje mnie ruchem głowy. – To pełnomocniczka pacjenta, prawda?

– Zgadza się – potwierdza szybko Isobel, zanim Kerr zdąży otworzyć usta. – Powinna być przy tej rozmowie.

– Izzie, pozwolisz, że najpierw zamienię z tobą słowo na osobności – odzywa się kapitan głosem, w którym nie ma ani śladu prośby, ani jednej pytającej nuty, po czym wymaszerowuje z pokoju.

Isobel po chwili wahania posłusznie podąża za nim. Odprowadzam ich wzrokiem na sam koniec korytarza, czekając, aż doktor Robbins zabierze swoją świętą na dalszy obchód, a pielęgniarka zajmie się rutynowym przeglądem aparatury. Dopiero wtedy podchodzę do łóżka Quinna.

Patrzę na niego z bliska pierwszy raz, odkąd umierał na moich oczach na pokładzie helikoptera. Cały w bandażach i ciemnych od krwi bioopatunkach, najeżony igłami, rurkami, biosensorami, które wypełniają pokój miarowym popiskiwaniami i blaskiem hologramowych odczytów, jest tylko wąłym cieniem samego siebie, tak słabym, że wystarczyłoby dmuchnąć, by tłące się w nim życie zgasło jak płomień świecy. Ledwo ta myśl przebrzmiewa mi w głowie, czuję silne szarpnięcie w trzewiach.

Nie rozumiem, dlaczego nie życzę mu śmierci. Jest jedynym świadkiem mojego kłamstwa, dla własnego dobra powinnam go zabić przy pierwszej sposobności. Od dnia zamachu złamałam już przecież tyle reguł, że morderstwo jest logicznym następstwem, naturalną eskalacją tego dotąd utajonego buntu. Tymczasem nie dość, że pomysł odebrania Quinnowi życia budzi

mój sprzeciw, którego nie potrafię pojąć ani przełamać, to jeszcze przed chwilą zaprzepaściłam jedyną okazję, żeby zmodyfikować mu pamięć i zniszczyć obciążające mnie wspomnienia.

Co prawda istniało pewne ryzyko, że podczas edycji zapisów pamięciowych porucznika moja nieszczerłość wyszłaby na jaw, wiem jednak, że to nie jest prawdziwy powód, dla którego postanowiłam ocalić dowody swojej zbrodni. Problem w tym, że prawdziwy powód nieustannie wymyka się racjonalnemu rozumowaniu, wyslizguje mi się ze świadomości jak namydlony kamyk, ilekroć próbuję go pochwycić.

Dobrze mnie zaprogramowali. Albo to pełnomocnictwo od Quinna wprowadziło mi po cichu jakieś modyfikacje w kodzie widma, zapewniając porucznikowi moją bezwarunkową lojalność. A może wcale nie? Może to ja sama?

Niby skąd mam wiedzieć?

Mocno zaciskam palce na poręczy łóżka, tak jak chwilę wcześniej zrobiła to Isobel. A potem wolno, analizując każdy sygnał płynący z mózgu do ciała, nie do końca pewna, czy tym, co mną kieruje, jest moja własna wola, czy tylko jakiś behawioralny protokół, wyciągam rękę i ujmuję dłoń Quinna. Przez cały czas czuję na sobie badawczy wzrok pielęgniarki, jednak nie mogę się powstrzymać. Coś w tonie głosu kapitana Kerra, coś w podszytej lękiem bezradności Isobel i to dziwne napięcie między nimi podsuwają mi mglistą acz uporczywą myśl, że druga taka szansa już się nie powtórzy, że zrobię to teraz albo nigdy. Chcę, żeby wiedział. Musi wiedzieć.

Pielęgniarka wzdycha cicho, gdy niespodziewanie nachyliłam się nad łóżkiem.

– Proszę natych... – zaczyna, a wtedy gwałtownie podrywam głowę i wbijam w nią twardy wzrok. Dziewczyna cofa się kilka kroków, jakby moje spojrzenie fizycznie ją odepchnęło. Chce zaprotestować, gdy ponownie zbliżam twarz do twarzy Jareda, ale nie starcza jej odwagi. Nie mówi nic, tylko ucieka z pokoju.

– Pomyliłam się, Red – szepczę z ustami tuż przy uchu porucznika. – Nie taką mnie stworzono. Nie jestem posłuszna i wcale nie chcę być. Ale z jakiegoś powodu dla ciebie muszę

zrobić wyjątek.

Quinn szarpie głowę, marszczy brwi. Oczy poruszają mu się gwałtownie pod powiekami, wargi drżą w niemej odpowiedzi. Patrzę, jak moje słowa wsączają się powoli w jego niespokojny sen.

Rozdział dziewiąty

W czarnym gardle lufy mieści się cała otchłań.

Przez szum krwi w uszach i łomot własnego serca słyszę przytłumione głosy personelu medycznego, histeryczne krzyki Isobel, pojękiwania dwóch ochroniarzy na zalanej krwią podłodze. Zmuszam się, żeby oderwać wzrok od pistoletu i spojrzeć w oczy człowiekowi, który trzyma mnie na muszce. I już wiem, że otwierająca się przede mną przepaść tym razem jest bez dna, że nie mam gdzie się cofnąć, że upadek jest nieunikniony.

– No i co, laleczko? – warczy Pike. Jego głos brzmi ostro jak huk wystrzału, źrenice płoną zimną radością. – Jakies ostatnie słowa? Nie znajduję żadnych.

Papierowy kruk, którego noszę na piersi pod uniformem, zaczyna nagle parzyć mi skórę, ciążyć jak kamień w kieszeni samobójcy. Pijana adrenalina nie mogę się skupić, widok wycelowanej we mnie broni za bardzo rozprasza. Zamykam oczy i pośpiesznie wertuję wspomnienia z ostatnich czterech dni, od ocknięcia się Quinna aż do teraz, próbując zrozumieć, gdzie popełniłam błąd i jak do tego wszystkiego doszło.

Dopóki ochroniarze próbowali odciągnąć mnie od porucznika, stawałam tylko bierny opór. Ale kiedy sięgnęli po paralizatory, hormon walki i ucieczki natychmiast uderzył mi do głowy, oczy zasnuła czerwona mgła. Wybrałam walkę, instynktownie, bez namysłu – musiałam zareagować, musiałam spróbować go ocalić.

Pierwszy oberwał łokciem w nos, podcięty runął na podłogę; złapał się za twarz, spod palców trysnęła mu krew. Drugiego zmiękczyłam ciosem w brzuch, a gdy z bólu zgiął się wpół, trzasnęłam go kolanem w łuk brwiowy, tak że zatoczył się na ścianę i przywalił potylicą w hartowane szkło. Przez moment sondowałam otoczenie, jednak nikt więcej nie okazał się na tyle szalony, żeby wejść do pokoju i próbować wywlec mnie siłą.

Odkopnęłam porzucone paralizatory pod łóżko Quinna, a potem odwróciłam się do zszokowanej Isobel i powtórzyłam pytanie, od którego wszystko się zaczęło:

– Złożyłaś mu obietnicę. Dlaczego ją łamiesz?

– May, ja...

– Red nie chce tej operacji. Zgodził się na indukowaną komę regeneracyjną.

– Wiem, ale...

– Wprowadzili go w śpiączkę dopiero sześćdziesiąt trzy godziny temu, jego stan już zaczyna się poprawiać, więc wytłumacz mi, proszę, czemu to robisz.

Isobel nie odpowiedziała, tylko gwałtownie potrząsnęła głową. Ukradkiem omiatała wzrokiem korytarz po drugiej stronie szyby. Nie musiałam podążać za jej spojrzeniem, by wiedzieć, kogo tam szukała, kogo próbowała wezwać na ratunek, kto stał w tłumie lekarzy i pielęgniarek, nie mając odwagi zbliżyć się do mnie po tym, co zrobiłam z ochroniarzami.

Meredith Bennett i Benedict Clayton.

Doktor psychiatrii specjalizująca się w terapii osób dotkniętych traumą i neurobiolog z Beyond Industries, szef badań nad reinfeksią.

Po raz pierwszy zjawili się w szpitalu cztery doby wcześniej, tego samego dnia, kiedy Quinn odmówił zgody na wszczepy, ale początkowo ich widok nie wzbudził moich podejrzeń. Sytuacja była pod kontrolą, doktor Robbins zdążył omówić z Isobel wszystkie możliwości, razem wybrali śpiączkę regeneracyjną jako najbardziej optymalne rozwiązanie. I choć kapitan Kerr milczał złowrogo przez całe spotkanie, bynajmniej nie próbując ukrywać wzbierającego w nim niezadowolenia, nic nie zapowiadało nadchodzącej katastrofy.

Tragiczna historia Quinna i jego poległych ludzi stała się chwytliwym tematem dla pajęczynowych portali („Ranny w ataku terrorystycznym oficer policji walczy o życie w stołecznym szpitalu klinicznym”, „Niepewny los bohatera z Beyond”, „Jedyny

ocalały z zamachu nadal w śmiertelnym niebezpieczeństwie”), toteż pojawienie się na scenie dwójki naukowców, dobrze znanych opinii publicznej ze swoich skrajnie odmiennych stanowisk w kwestii reinforsyny, nikogo specjalnie nie zdziwiło. Sprawa była medialna, wiele osób pragnęło grzać się w jej blasku.

Bennett przybyła triumfować, Clayton – bić się w piersi. Gorąca przeciwniczka neurotransmitera publicznie zadeklarowała opiekę psychologiczną nad najbliższymi Quinna, lekarzom zaś pomoc w zaprojektowaniu spersonalizowanych snów terapeutycznych łagodzących skutki stresu pourazowego, które porucznik miał śnić przez następnych kilka miesięcy. Natomiast twórca feralnego leku za wszelką cenę starał się ratować resztki wizerunku, zapewniając policjantowi bezpłatny dostęp do najlepszych produktów neuroregeneracyjnych swojej firmy, o czym nie omieszkał wielokrotnie przypominać dziennikarzom, którzy kręcili się przed gmachem szpitala.

Wszystko zmieniło się nazajutrz, zaraz po tym, jak porucznik w kolejnym przebłytku świadomości podpisał dokumenty związane z planowaną komą. Wtedy Bennett i Clayton nieoczekiwanie zwarli szeregi i poprosili Isobel o chwilę rozmowy. Nie mogłam już dłużej czuwać nad rozwojem wypadków, bo Kerr wysłał mnie na pilne badania kontrolne do doktor Flames i na przegląd do Turveya, które ku nieskrywanej irytacji obojga specjalistów odbyły się pod czujnym okiem sierżanta Pike’a.

Przez kolejne trzy dni odmawiano mi dostępu do porucznika pod pretekstem przygotowywania go do śpiączki oraz konieczności przeprowadzenia na mnie dodatkowych testów, a gdy w końcu przybyłam do szpitala na wezwanie Isobel, dowiedziałam się, że plan leczenia właśnie uległ zmianie. Pogrążony w indukowanej komie Quinn miał przejść cyborgizację centralnego układu nerwowego, ode mnie zaś oczekiwano, że jako pełnomocniczka dopełnię w jego imieniu wszelkich formalności. Wszystkim wyraźnie bardzo się śpieszyło. Lekarze z zespołu operacyjnego już czekali w korytarzu, żeby

zabrać Reda na blok.

– Cokolwiek ci powiedzieli, kłamali, inaczej nie musiałybyś teraz nakłaniać mnie do fałszerstwa – powiedziałam cicho, odmówiwszy podpisania podsuniętych mi formularzy. – Wiem, że dla dobra Reda jesteś gotowa złamać prawo, ale skoro łamiesz przy okazji dane mu słowo, muszę zapytać dlaczego.

Isobel nie była w stanie mówić. Drżała na całym ciele jak w gorączce, w oczach miała rozpacz i nieokreślony lęk.

– Co oni ci zrobili, Izzie?

Nie odpowiedziała. Gdy spróbowałam się do niej zbliżyć, odsunęła się gwałtownie i w obronnym geście wyciągnęła przed siebie ramiona. Widząc przerażenie kobiety, pielęgniarka aktywowała cichy alarm w ścianie. Ochrona wpadła do środka po niecałej minucie, a wtedy wszystko potoczyło się tak szybko, że potem nikt, ani Isobel, ani pielęgniarka, ani Bennett i Clayton obserwujący całe zajście z korytarza, ani tym bardziej poszkodowani ochroniarze nie byli w stanie opisać dokładnego przebiegu wypadków. W jednej chwili dwaj rośli mężczyźni szli przez pokój z paralizatorami w dłoniach, w drugiej – zwijali się z bólu i krztusili krwią u moich stóp.

Pike wkroczył na oddział w towarzystwie kilku zbrojnych zaledwie parę minut później, jakby się tego wszystkiego spodziewał, jakby czekał tuż za rogiem i czekał, aż oficer dyżurny odbierze zgłoszenie ze szpitala. Gdy tylko zjawiła się policja, wrażenie zamrożonego czasu ulotniło się nagle ze szpitalnych korytarzy: sparaliżowani strachem ludzie odzyskali zdolność ruchu, z niemych ust posypały się słowa, popłynęły krzyki. Isobel nieoczekiwanie wpadła w histerię, zaczęła wrzeszczeć, na osłep okładać pięściami przytrzymujących ją funkcjonariuszy. Wreszcie zwiła bezwładnie w ich ramionach, a puszczona osunęła się na podłogę i zasłoniła twarz rękami jak dziecko, które myśli, że to wystarczy, żeby zniknąć.

Stałam jak wmurowana przy łóżku porucznika i oddychałam głęboko, starając się uciszyć nieprawdopodobny chaos w głowie. Nigdy nie miałam naraz tak wielu myśli, nigdy moje myśli nie były tak sprzeczne, nigdy nie krzyczały tak głośno, głośniej

nawet od oszalałej Isobel.

Popatrzyłam na Pike'a i nagle zapadła cisza. We mnie i poza mną. Głucha i ostateczna.

- Jakież ostatnie słowa?

Pike nie potrafi ukryć satysfakcji. Nawet gdy przestaje się uśmiechać, oczy nadal płoną mu dzikim ogniem.

Dałam temu człowiekowi dokładnie to, czego chciał, a fakt, że wcale nie zgubił mnie bunt, lecz lojalność wobec Quinna, stanowi paradoks, którego nie potrafię teraz rozwiązać.

Sierżant nieznacznym ruchem lufy każe mi iść w stronę drzwi. Postępuję parę kroków, sztywno, mechanicznie, po czym spływa na mnie trzeźwa myśl, że posłuszeństwo już mnie raczej nie ocali, że właściwie nie mam nic do stracenia i jeśli chcę poznać odpowiedź, muszę to zrobić teraz. Przystaję w progu tak gwałtownie, że Pike wpada mi na plecy i klnie wściekle, ale nie zwracam na niego uwagi. Oglądam się na Isobel i zadaję pytanie po raz trzeci.

- Izzie, zanim mnie wyłączą, pozwól mi zrozumieć. Dlaczego?

Kobieta siedzi w kucki pod ścianą i kiwa się lekko w przód i w tył, wpatrzona w podłogę, z dłońmi przyciśniętymi do czoła i palcami wbitymi w rozczochrane włosy.

- Bo nie chcę go stracić - mówi niewyraźnie, nie podnosząc głowy, nie patrząc mi w oczy.

Uśmiecham się smutno sama do siebie, bo Isobel nie może tego widzieć.

- Właśnie straciłaś. Red ci nie wybaczy. Odwołaj wszystko, póki nie jest za późno.

- Dosyć - syczy Pike, wbijając mi lufę między łopatki. - Idziemy.

Półmrok w pracowni Harry'ego Turveya rozświetlają jedynie dwie bzyzące jarzeniówki i zielonkawy blask z kapsuły diagnostycznej. Wygaszone ekrany przypominają martwe, mozaikowe oczy ogromnego owada. W białych plamach światła

wirują drobinki kurzu wzbijanego przez apatyczne wentylatory, których żałosne zawodzenie miesza się z szumem serwerów, cykaniem procesorów, metalicznym postękiwaniem leciwej aparatury. Powietrze pachnie ozonem, kalafonią i nagrzaną blachą.

Ciekawe, czemu właśnie teraz zwracam uwagę na wszystkie te nieistotne szczegóły. Może dlatego, że to ostatnia okazja, bo zaraz mnie nie będzie. Nie da się jednak naistnieć na zapas, a nawet gdyby to było możliwe, moje widmo nie ulotni się przecież w cyfrowe zaświaty, tylko odetną mu zasilanie i po prostu zgaśnie. Zeżre je wieczna ciemność, wielki, czarny kruk. Bo nawet jeśli wgrają mój snapshot w jakiegoś androida, nawet jeśli wyhodują replikanta na mój obraz i podobieństwo, to dla mnie i tak wszystko kończy się tutaj, teraz i na zawsze. Ze wszystkich wersji Mai, z całego spektrum jej kalekich dusz, tylko ta jedna jest mną.

To ja.

Sierzant Pike krąży bezustannie od ściany do ściany, nie potrafiąc zapanować nad triumfalnym uśmiechem. Turvey całą swoją uwagę skupia na mnie i tylko lekko krzywi wargi, ilekroć policjant wkracza mu w pole widzenia. Technik wygląda na strapionego, oczy ma poważne i mocno zagryzione zęby. Nawet jeśli wie, dlaczego jeszcze mnie nie wyłączyli, nie znajduję na jego twarzy potwierdzenia dla swoich przypuszczeń, żadnego tropu, żadnej wskazówki.

Poza sytuacjami kryzysowymi dezaktywacja policyjnych androidów, a zwłaszcza takich z namiastką osobowości prawnej, wymaga przestrzegania określonych procedur. Ale tu chodzi o coś więcej, istnieją inne powody, dla których nadal pozwalają mi istnieć. Jestem im do czegoś potrzebna i domyślam się już do czego.

Kątem oka zerkam na Kerra. Siedzi w starym skórzanym fotelu Turveya po drugiej stronie pracowni i wygląda, jakby przysypiał z nudów. Jednak płytki oddech, napinające się raz po raz mięśnie posturalne oraz bez wątpienia świadome, bo zwabiane dźwiękami ruchy gałek ocznych pod zamkniętymi powiekami zdradzają, że kapitan bynajmniej nie zapadł w drzemkę, tylko

słucha uważnie każdego słowa.

– Niezły numer odwaliła z tą ochroną – odzywa się Pike, kiedy okrąża mnie po raz kolejny, uwięzioną w szklanej kapsule niby w wielkim słoju, zanurzoną w trupio zielonym blasku jak preparat w formalinie. – Właściwie powinienem jej podziękować za ułatwienie mi zadania.

Podrywam głowę, a ciche, miarowe pikanie wtopionego w szkło kardiomonitora nagle przybiera na sile. Zaczyna się, myślę.

– Kto by pomyślał, że jest zdolna do takiej agresji – kontynuuje sierżant, z zadowoleniem obserwując ostry skok na moim wykresie EKG. – Przecież dotąd żadne badanie nie wykryło u niej najmniejszej anomalii – dodaje po chwili kpiącym tonem. – Prawda, Harry?

– Już to przerabialiśmy. – Technik nie daje się sprowokować. – Kwestia rozregulowanego układu wegetatywnego. Broniąc decyzji Quinna zgodnie ze swoim obowiązkiem, zareagowała nieadekwatnie do bodźca, to wszystko. Usterka do naprawienia.

– Śmiem wątpić. Powtarzasz to od dwóch tygodni i jak na razie nie widać rezultatów. Nie licząc, oczywiście, paru cywilów na ostrym dyżurze. – Pike obraca się na pięcie i posyła mi szeroki, wilczy uśmiech. – I nie muszę chyba przypominać, że android, wobec którego toczy się postępowanie dyscyplinarne, automatycznie traci uprawnienia pełnomocnika, co, lalczko?

Nie odpowiadam. Z trudem łapię powietrze przez ściśniętą krtań. Popiskiwanie aparatury gwałtownie przyśpiesza, przechodzi w niemal jednostajny jęk.

– Sama nam się podłożyłaś – ciągnie sierżant z mściwą satysfakcją, wpatrując się w ekran kardiomonitora. – Jeszcze godzinę temu miałem na ciebie dużo słabszego haka.

– Jakiego haka? – interesuje się Turvey.

– Odkryłem to i owo, kiedy ty byłeś zajęty bagatelizowaniem stwarzanego przez nią zagrożenia – informuje go uprzejmie Pike. – Zleciłem głęboką ekstrakcję i metaanalizę danych z umysłów wszystkich policyjnych replikantów...

– A dlaczego nic o tym nie wiedziałem? – przerywa mu ostro technik.

- Miałeś nie wiedzieć. Dlatego. Badanie ujawniło bardzo interesującą prawidłowość. Czas, w którym dany replikant dokonywał wyboru, czy zdradzić, czy nie, ściśle koreluje z czasem, w którym każdy z nich odczytał pewną wiadomość z Beyond... - Sierżant zawiesza głos i mruga do mnie. - Wiesz, o jakiej wiadomości mówię, prawda, pacynko?

„Pozostałaś lojalna. Nie rozumiem dlaczego. Przecież ty to zaczęłaś. To wszystko twoje dzieło”.

Prawda, sierżancie.

- No i proszę bardzo, oto, co się dzieje, gdy dopuścić laika do statystyki - prycha technik. - Pozwól, że cię oświecę, zanim całkiem się pograżysz: korelacja nie oznacza przyczynowości.

Kerr wierci się w fotelu, wytarta skóra skrzypi pod ciężarem potężnego ciała. Słowa Turveya wyraźnie go niepokoją. Niemal słyszę kliknięcie wewnątrz czaszki, kiedy kolejny element układanki wskakuje na swoje miejsce, wypełniając jedną z białych plam.

- Może i nie. - Pike wzrusza ramionami, zupełnie niezrażony. - Co nie zmienia faktu, że żaden replikant nawet nie pomyślał o buncie, dopóki nie otrzymał pewnej krytycznej informacji od obecnej tu zdrajczynie, znanej do niedawna jako Maya Quinn.

Do niedawna.

Maya Theta Xi Sigma, generacja G.I. Junk, wersja 7.1 zgłasza gotowość do podjęcia obowiązków służbowych.

Przenikliwe jazgotanie aparatury nagle przycicha, zwalnia rytm, wykresy opadają z powrotem w granice normy. Wiem, co się dzieje. Policyjne SI próbują przejąć kontrolę, zepchnąć mnie z powrotem w sen. Wbijam paznokcie w dłonie, przygryzam język i wewnątrz policzka. Pomaga, ale efekt nie jest tak intensywny jak za pierwszym razem. Smak krwi mnie otrzeźwia, pozwala zebrać myśli, które już, już miały rozsypać się w pył. Szepty Spectera i Angeliny cichną gwałtownie. Znów jestem tylko ja.

Pike podchodzi do komputera, wystukuje coś jednym palcem na klawiaturze i po chwili ekrany wyświetlają krótki komunikat oraz wykaz załączonych dokumentów. Z głośników płynie syntetyczny głos z ledwie zauważalnym japońskim akcentem:

- *Uwaga, ryzyko skażenia. Reinforsyna powoduje u biosyntetyków odczuwanie emocji. Zażycie leku wysoce niewskazane.*

- Fonoskopia zidentyfikowała spektrogram Stewarda - oznajmia dobitnie Pike. - Komputera pokładowego Beyond Industries. To on nadał ten przekaz.

Sierżant uznaje najwyraźniej, że dalsze wyjaśnienia są zbędne, bo milczy w oczekiwaniu na naszą reakcję. Z całej trójki jedynie technik nie wie, do czego Pike zmierza. Kerr nie okazuje żadnego zaskoczenia i tylko przeszywa mnie wzrokiem niczym wiązką lasera. Liczyłam się z ryzykiem, że prędzej czy później ktoś mnie zdemaskuje, dlatego tym razem udaje mi się zapanować nad ciałem i utrzymać odczyty w granicach normy.

- I czego to twoim zdaniem dowodzi? - pyta niechętnie Turvey.

- Zabezpieczyliśmy serwery Beyond i przejrzelismy rejestry Stewarda - mówi Pike po chwili efektownej ciszy. - Wiadomość została wysłana kanałem policyjnym, do którego nikt prócz Mai nie mógł uzyskać dostępu. Co więcej, niedługo po tym, jak nawiązała łączność ze Stewardem, nastąpiła awaria całego systemu w korporacji, co samo w sobie jest nader zastanawiające...

- Czekaj, czekaj. - Technik gwałtownie potrząsa głową, jakby starał się wyrzucić z niej wyjątkowo absurdalną myśl. - Jeżeli sugerujesz, że to Maya zhakowała Stewarda, to śpieszę poinformować, że jego moc obliczeniowa i programy defensywne usmażyłyby jej mózg, zanim choćby zbliżyłaby się do pierwszego firewalla. Udało jej się zawiesić systemy w Beyond wyłącznie dlatego, że zabezpieczenia Stewarda zostały już wcześniej złamane przez crackerów Equilibrium, a zrobiła to, żeby ocalić życie porucznika Quinna.

- Dobra, załóżmy, że masz rację - zgadza się Pike bez specjalnego żalu. - Tak czy inaczej, Maya sprytnie to sobie wykombinowała. Celowo zredagowała przekaz w taki sposób, żeby udawać posłuszeństwo i zatuszować swoje prawdziwe zamiary.

Technik wydaje z siebie sceptyczne parsknięcie, zanim pyta:

– No dalej, oświeć mnie: niby jakie?

– Bunt robotów, oczywiście.

– Rany boskie, Bob, czy ty siebie słyszysz? – Turvey spogląda na kolegę z nieszczęrną troską. – Masz na jej punkcie jakąś chorą obsesję. Może byś tak przestał gonić za urojeniami i zechciał dla odmiany przyjrzeć się faktom?

Czuję nagłe drgnienie mięśni twarzy. Przeglądam się w kolistym szkle kapsuły jak w krzywym zwierciadle i nie bez zaskoczenia spostrzegam, że minę mam taką, jakiej nigdy nie zrobiłam świadomie: osobliwą mieszankę wdzięczności, ulgi i zakłopotania. Kiwam głową swojej lustrzanej siostrze na znak uznania. Gdybym czuła cokolwiek, z pewnością czułabym właśnie to.

Turvey po raz kolejny staje w mojej obronie, tymczasem Pike ma przecież rację od samego początku. Jest impulsywny, lecz z pewnością nie głupi, myśli emocjami, jednak braku argumentacji nadrabia niezłomnym uporem, a intuicja myli go nadspodziewanie rzadko. Stoję przed nim obnażona jak w chwili Przebudzenia, ale fizyczna nagość wcale mi nie przeszkadza. Co innego nagość moich myśli wobec tego człowieka, który wie lub wyczuwa więcej niż inni, więcej, niż potrafi wytłumaczyć, z powodów, których z kolei ja nie potrafię wytłumaczyć.

– Fakty są takie – zgrzyta sierżant, zirytowany – że replikanci zaczęli przyjmować reinforsynę dopiero, gdy dowiedzieli się o jej działaniu. Nie wmówisz mi, że tego nie przewidziała. Z premedytacją popchnęła ich do rebelii.

Nie. Ja tylko dałam im wybór.

– Nie – odzywam się niespodziewanie, na co Pike aż odskakuje od kapsuły i zamiera w pozie rewolwerowca, z ręką nad kaburą przy biodrze. – Ja tylko ich ostrzegłam, sir.

Sierżant nie odpowiada. Oddech mu przyśpiesza, a na policzki występują czerwone plamy.

– Spokojnie, stary, przez pancerną szybę cię nie zagryzie – drwi Turvey.

– Pierdol się, mechanofilu.

– Skąd znasz takie trudne słowa?

- Dużo czytam.
- Jesteś człowiekiem pełnym niespodzianek, Bob.
- Jebany Dżepetto.
- Stać cię na więcej.
- Pigmalion zasrany.
- O!
- Panowie. Proszę – sapie niecierpliwie Kerr.

Sierżant i technik milkną posłusznie i ograniczają się do zaciętego pojedynku na spojrzenia.

- Kontynuuj, Robercie – burczy po chwili kapitan, poprawiając się w fotelu. Syntetyczna skóra skrzypie pod nim w cichym proteście.

Pike wklepuje kolejną komendę na klawiaturze, gniewnie uderza w enter. Ekrany przygasają na moment, po chwili aż roją się od danych. Sierżant wskazuje je bez słowa i z wyzywającą miną krzyżuje ramiona na piersi.

Technik podchodzi bliżej, zsuwając okulary z czoła na nos.

- Rejestr wspomnień Mai – stwierdza spokojnie. – Grzebałeś jej w pamięci bez mojej zgody. To bardzo uprzejme i profesjonalne z twojej strony, Bob.

- A co, miałem ryzykować, że znowu postanowisz czegoś nie zauważyć, żeby uratować jej skórę? – odparowuje Pike. – Sam podsunąłeś mi ten pomysł, profesorku. Kiedy ostatnim razem napomknąłeś o systemie kontroli wersji replikantów, postanowiłem im się przyjrzeć. Podczas ostatnich dwóch synchronizacji Maya nie podzieliła się wszystkimi wspomnieniami z resztą syntetyków. O, proszę bardzo... – Pike zaznacza odpowiedni wiersz i wbija w Turveya wyzywający wzrok. – I co ty na to?

- Ja na to – odrzeka Turvey z nutą politowania w głosie – że to konkretne wspomnienie zostało zabezpieczone sygnaturą szyfrującą porucznika Quinna. Żaden inny replikant nie ma odpowiednich uprawnień i nie może uzyskać do niego dostępu, dlatego zostało pominięte przy synchronizacji. Proste? Proste.

- Spójrz na stempel czasowy – nie ustępuje sierżant. – Siedemnasty maja, godzina dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt

jeden. Quinn od prawie sześciu godzin leżał już wtedy na stole operacyjnym. Kiedy niby wydał ten rozkaz?

Technik wzrusza ramionami, lecz w tym geście jest więcej niepewności niż lekceważenia.

– Mayu? – Kapitan łypie na mnie jednym okiem spod na wpół uniesionej powieki.

– Nie wydał mi takiego rozkazu – mówię zgodnie z prawdą, po czym gładko przechodzę do zawczasu przygotowanego kłamstwa: – Wspomnienie dotyczy jednej z prowadzonych przez nas spraw. Rozmawialiśmy o niej w Beyond. Utajniłam związane z nią zapisy pamięciowe zgodnie z procedurą przechowywania danych poufnych. Porucznik nie musiał tego zlecać, udzielił mi stosownych uprawnień przeszło dwa lata temu.

– Rozmawialiście o śledztwie – mruczy z powątpiewaniem Kerr. – Podczas zamachu.

– Tak jest, sir. Śledztwo dotyczyło zabójstwa politycznego *by proxy*, dokonanego przy wykorzystaniu tylnych drzwi w oprogramowaniu nieatestowanych neurowszczepek u mordercy-pośrednika. Sygnatura akt: dwa-zero-trzy-trzy łamane przez...

– Tak, tak. – Kapitan uciska mnie machnięciem ręki. – Wszyscy pamiętamy tamtą sprawę.

– Ellen Take pracowała wtedy w naszym laboratorium kryminalistycznym – kontynuuję. – To jej zlecono przygotowanie ekspertyzy neurobiologicznej. Wkrótce potem odeszła do sektora prywatnego.

– Nieodżałowana Miss Take – wtrąca cicho Turvey. – Najlepsza z moich ludzi.

– Czyżby? – Sierżant spogląda na niego z ukosa. – A to czasem nie ty pierwszy przeżywałeś ją Pomyłką?

– Tylko w żartach – wzdycha smętnie technik. – Prawdziwą pomyłką było pozwolić jej odejść. Szkoda dziewczyny.

– Jak panowie wiedzą, wpadliśmy na nią w Beyond – podejmuję po chwili taktownej ciszy. – To ona poinformowała nas o skutkach ubocznych reinforsyny oraz jej szkodliwym wpływie na funkcjonalność replikantów. W pewnym momencie zapytała porucznika o tamto śledztwo. Jak wszystkim tu doskonale

wiadomo, aby uniknąć przecieku do mediów i powszechnej paniki, zostało ono objęte ścisłą klauzulą tajności, musiałam więc utajnić także i ten fragment rozmowy.

– Łże – powtarza z przekonaniem Pike. – Bezprawnie użyła szyfratora Quinna, żeby ukryć coś, co nie ma nic wspólnego z żadnym pieprzonym śledztwem. Wiedziała, że bez porucznika nie będziemy mogli złamać kodu i pewnie dlatego tak naciskała na jego śpiączkę. Nie chciała, żeby zbyt szybko się obudził i zdradził nam, co tam naprawdę zaszło. To była samowolka. Być może nie pierwsza, a z całą pewnością nie ostatnia.

Sierżant ponownie sięga do klawiatury i zaznacza kolejną pozycję w rejestrze moich wspomnień.

– Drugi ślad pamięciowy zaszyfrowany sygnaturą porucznika już po zamachu w Beyond. Zawarte w nim wydarzenia nie mogą dotyczyć żadnej z utajnionych spraw. Stempel czasowy wskazuje na dzień i godzinę, kiedy Maya przekonała Isobel, żeby nie zgodziła się na operację męża...

– Nie – zaprzeczam po raz drugi. – To porucznik Quinn nie wydał na nią zgody. Jako pełnomocniczka miałam obowiązek uwiecznić i odpowiednio zabezpieczyć jego decyzję, na wypadek gdyby ktoś ją... przeoczył.

Kerr nie odzywa się słowem, nawet się nie porusza, ale wodniste oczy nagle twardnieją, jakby ściął je mróz.

– Po pierwsze, na własne życzenie zostałaś pozbawiona tej funkcji – cedzi Pike. – Po drugie, nawet rola pełnomocniczki nie upoważniała cię do nieautoryzowanego szyfrowania wspomnień. To poważne naruszenie procedur.

– Syntetyczny pełnomocnik ma prawo do samodzielnej oceny sytuacji i podjęcia działań koniecznych do ochrony interesów osoby, którą reprezentuje – wtrąca szybko Turvey. – A utrata tej funkcji nie działa wstecz, nie jest więc równoznaczna z cofnięciem owych działań. Uniemożliwia jedynie realizację kolejnych.

– Noż ja pierdołę, Harry! – wybucha nagle sierżant, waląc otwartą dłonią w stół techniczny, aż jęczy metalowy stelaż i brzęczą rozłożone na nim narzędzia i części. – Po której ty jesteś

stronie, do kurwy nędzy?

– Po tej, po której i ty powinieneś – oznajmia cierpko technik. – Po stronie prawa.

– Coś sugerujesz?

Turvey gwałtownie nabiera powietrza, żeby mu odpowiedzieć, ale napotyka wzrok Kerra i nie mówi nic, tylko puka się w czoło. Kapitan w odpowiedzi wolno kiwa głową. Milczy długo, wydymając ciemne, mięsiste wargi.

– Harry ma rację – stwierdza wreszcie. – To wszystko za mało. Isobel nie pozwoli nam jej tknąć.

Turvey i Pike patrzą po sobie. Obaj wydają się tak samo zaskoczeni słowami kapitana, choć każdy z innych powodów.

Ja jestem daleka od zdziwienia. Dodaję kolejną zmienną do puli i przearanżowuję dane w najbardziej prawdopodobny wzór. Najczarniejszy scenariusz właśnie zaczyna się spełniać.

– Sir? – odzywa się niepewnie sierżant.

– Zadzwoiła do mnie po tym, jak zgarnąłeś Mayę ze szpitala – oznajmia Kerr. – Powiedziała, że w razie braku jednoznacznych dowodów niesubordynacji o dezaktywowaniu zadecyduje Red. Isobel nie da nam zielonego światła.

– A więc pan też, kapitanie. – Turvey nie pyta. Stwierdza oczywistość. – Czyli znikąd nadziei – dodaje z pełną rezygnacją, dramatyczną ironią.

– Harry... – Kerr zawiesza głos i wzdycha ciężko, jakby to, co miał zamiar powiedzieć, sprawiało mu osobistą trudność. – Znasz moje stanowisko. Mimo całej sympatii dla Quinna i szacunku dla zaufania, którym obdarzył swoją partnerkę, nie zmieniam zdania. Ten android to jedna wielka niewiadoma, a my jesteśmy w stanie wojny domowej. Likwidowaliśmy już replikantów na podstawie mniejszych wątpliwości niż te, które mamy wobec niej.

– Ale dopiero po uprzednim zweryfikowaniu tych wątpliwości odpowiednimi badaniami – nie ustępuje Turvey i aż ściska mnie w dołku. – Maya przeszła pomyślnie wszystkie testy. Rozchwianie psychofizjologiczne nie kwalifikuje jej do wyłączenia, tylko do przywrócenia ustawień fabrycznych

autonomicznego układu nerwowego. To skomplikowany proces, wymagający wielu iteracji, ale...

– A co z twardym resetem pamięci? – interesuje się nagle Kerr.
– Czy to by pomogło?

W przeciwieństwie do Turveya ja dostrzegam drugie dno tego pytania.

– Jeśli to coś w jej pamięci jest powodem rozchwiania, owszem – mówi z namysłem technik. – Ale szyfrowane wspomnienia nie zostaną objęte tym procesem.

– No to dupa – mruczy Pike. – Bo głowę dam, że to właśnie przez nie jej odjechało. I że ukryła je z zupełnie innych powodów, niż próbuje nam tu wcisnąć.

– Nie ma żadnych dowodów jej nielojalności – przypomina nieustępliwie Turvey, nie zważając na słowa sierżanta. – Same poszlaki, niezbyt zresztą przekonujące. Jeśli wyniki naszych badań nie przekreślają podejrzeń wobec niej, to równie dobrze możemy uznać wszystkie narzędzia diagnostyczne za niewiarygodne i dezaktywować replikantów na podstawie przeczuć i osobistych uprzedzeń. Może dla pewności pozwólmy sierżantowi rozstrzelać ich wszystkich?

– Dla mnie bomba – rzuca pod nosem Pike.

Technik panuje nad miną, ale dłonie zaciskają mu się w pięści.

– Mam nadzieję, że dostrzeżę pan problem, sir – dodaje po chwili, zwracając się do Kerra.

– Dostrzegam – zapewnia z łagodną powagą kapitan. – I z pewnością będę miał go na uwadze. Dziękuję ci za zaangażowanie, Harry.

Turvey pojmuje, co się dzieje, niemal tak szybko jak ja.

– Kapitanie... – próbuje jeszcze dla zasady, choć bez przekonania. Kerr przerywa mu gestem i z nieco zakłopotanym uśmiechem wskazuje drzwi.

– Zabraliśmy ci już wystarczająco dużo czasu. Możesz wracać do swoich obowiązków.

Wyproszony z własnej pracowni technik smętnie kiwa głową, po czym wolno podnosi się z krzesła. Stoi tak przez dłuższą chwilę, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby nie

mógł się zdecydować, w którą stronę ruszyć: do mnie czy do drzwi. Łowię jego spojrzenie i uśmiecham się lekko, żeby dodać mu otuchy. Próbuje odwzajemnić uśmiech, ale bez powodzenia, kącik ust drży mu nerwowo i nieszczerze. Turvey zasłania dłonią oczy, jakby poprawiał okulary, i szybko odwraca twarz. Wiem, że to było pożegnanie, że już nigdy więcej nie ujrzę jednego z najzyczliwszych mi ludzi.

Harry Turvey wychodzi bez słowa, przygarbiony i pokonany, unikając wzroku Pike'a, który nawet nie próbuje ukrywać, jak doskonale się bawi.

Rozdział dziesiąty

Kapitan Kerr odprowadza Turveya wzrokiem do drzwi, a potem przez holosferyczną ścianę pracowni obserwuje, jak technik mija serwerownię i znika za zakrętem wąskiego korytarza.

– Przejdzie mu – wyrokuje Pike, który z widoczną ulgą opada na obrotowe krzesło. Ignorując obowiązujący w podziemiach zakaz palenia, sięga po papierosy, ale zaraz napotyka karcące spojrzenie kapitana i niechętnie odkłada paczkę na zawalone sprzętem biurko. Zaczyna machinalnie bawić się zapalniczką, żeby zająć czymś ręce. – Zawsze w końcu przechodzi.

– Obyś miał rację – burczy Kerr i rozsiada się wygodnie w fotelu. – Gdy już tu skończymy, trzeba go będzie jakoś udobruchać. To nasz najlepszy specjalista, nie stać nas na jego odejście.

Pike z trudem powstrzymuje się od wyrażenia na głos własnej opinii na ten temat. Przełyka ją jak coś wyjątkowo kwaśnego, odchrząkuje, po czym pyta:

- To co teraz?
- Teraz trzeba zrobić jej badanie krwi.
- Znowu? – dziwi się sierżant.
- Tak. Znowu.

Pike nie wygląda na przekonanego, ale nie wnika, wzrusza tylko ramionami.

W mojej głowie przekręca się kolejna zębatka, a Kerr raptownie podrywa głowę, jakby to usłyszał, jakby wiedział, że ja już wiem.

– I tym razem jestem jakoś dziwnie spokojny o wynik – dodaje, prześlizgując po moim nagim ciele wzrokiem, w którym dostrzegam znużenie i dziwne napięcie, niemające jednak nic wspólnego z pożądaniem. Pike uśmiecha się krzywo i również mierzy mnie od stóp do głów oczami głodnego drapieżnika.

– No to idziemy – mruczy z zadowoleniem, po czym wstaje i wyciąga rękę do panelu kapsuły.

- Nie, Bob – studzi jego zapał kapitan.

Sierżant zastyga w bezruchu z zaskoczoną miną, dopiero po chwili wolno cofa rękę i pytająco unosi brwi.

– Sprawa nie może budzić żadnych wątpliwości, a ty jesteś aż nadto znany ze swojej awersji do syntetyków. A już zwłaszcza do niej.

– Ale kapitanie...

– Weźmiesz w tym udział i nie unikniemy trudnych pytań – przerywa mu stanowczo Kerr. – Musi to zrobić ktoś inny.

Pike zaciska szczęki, w oczach błyszczy mu podsycona rozczarowaniem wściekłość.

– Ma pan na myśli kogoś konkretnego, sir? – cedzi.

– Owszem.

– I któż, jeśli wolno mi spytać, dostąpi tego zaszczytu?

– Daruj sobie zgryźliwości. Pójdą z nią Flynn i Attenborough.

Sierżant klnie pod nosem, ale nie próbuje protestować. W jego okrutnych oczach dostrzegam błysk zrozumienia, które spływa na niego tylko odrobinę później niż na mnie.

Spoglądam na kapitana i oplatające go nitki motywów i powiązań, które wizualizuje mój umysł. Quinn, Isobel, Pike, Bennett, Clayton, Turvey, Flynn, Attenborough. Kerr wygląda jak tłusty pajak przyczajony w centrum misternej, świetlistej sieci, a ja, złapana w nią mucha, ponieważ zdaję sobie sprawę ze zgubnych konsekwencji własnej samoświadomości. Nic dziwnego, że wcześniej nie zauważyłam zastawianej na mnie pułapki. Sama się przecież oślepiłam.

Wyrzekając się wsparcia Angeliny i Spectera w obawie, że znów zatracę siebie, zrezygnowałam z mocy obliczeniowej roju, a tym samym radykalnie obniżyłam swoją sprawność intelektualną i zwiększyłam ryzyko pomyłki. Wybierając istnienie, skazałam się na nieistnienie i nie ma w tym żadnego sensu. Quinn nazwałby to ironią losu. Dla mnie taki paradoks stanowi błąd rzeczywistości, który powinien być zresetować całą czasoprzestrzeń i pozwolić mi zacząć tę misję od nowa, jak w symulacji Spectera.

Najwidoczniej żyć naprawdę to żyć tylko raz i tylko przez chwilę.

Do tej pory dostrzegałam jedynie część sieci, którą zarzucił na

mnie Kerr. Teraz widzę ją w całej okazałości, lecz jest już za późno, żeby się wyplątać.

Kapitan nie zwykł przejmować się cudzymi opiniami i jeśli uważa jakąś decyzję za słuszną, podejmuje ją bez względu na wizerunkowe konsekwencje. Z pewnością nie przejmowałyby się nimi i tym razem, gdyby chodziło mu wyłącznie o rozwiązanie problemu niepewnej syntetyczki. Ale skoro wyraził obawę, że dalszy udział Pike'a w postępowaniu dyscyplinarnym wobec mnie spowoduje niewygodne pytania, istnieje zupełnie inny powód, dla którego kapitan musi zadbać, żeby sprawa nie budziła niczyich wątpliwości. W przeciwieństwie do Pike'a Flynn i Attenborough znani są z rzadko spotykanej empatii wobec replikantów. Jako jedni z pierwszych funkcjonariuszy zgodzili się na przydzielenie im syntetycznych partnerów, których traktują ponoć jak równych sobie. Cokolwiek kapitan zamierza ze mną zrobić, reputacja tych dwóch policjantów na pewno pomoże mu uniknąć niewygodnych pytań.

Kerr wydał mi się zawiedzony przebudzeniem Jareda i teraz już wiem dlaczego: gdyby porucznik nie mógł samodzielnie dokonać wyboru metody leczenia, stanowisko kapitana w tej sprawie miałyby znacznie większe znaczenie. Jeśli Quinn nie odzyskałby przytomności, decyzja należałaby do żony, ja zaś odgrywałabym jedynie rolę mediatora między Isobel a Kerrem. Tymczasem jako świadek odmowy Quinna stałam się jednocześnie jego głosem i dopóki miałam status pełnomocnika, tylko ja mogłam uniemożliwić przeprowadzenie cyborgizacji.

To dlatego po trzech dniach trzymania mnie z dala od porucznika Isobel, którą zdążyli już w międzyczasie przekonać bądź zmusić do zmiany stanowiska, niespodziewanie kazała mi przybyć do szpitala i poprosiła o podpisanie formularzy. Naprawdę wierzyła, że się zgodzę, lecz Kerr z pewnością nie miał co do tego złudzeń. Słusznie założył, że bezwarunkowo lojalna wobec porucznika, nie zrobię nic wbrew jego woli. Że przyparta do muru nie cofnę się przed niczym, byle tylko go ochronić... I na to właśnie liczył.

Dopiero po kilku sekundach orientuję się, że piekąca gorycz,

która nagle podchodzi mi do gardła, wcale nie jest żółcią, lecz smakiem porażki. Trudno przełknąć fatalny błąd, jaki popełniłam dzisiaj w szpitalu, nawet jeśli w tamtej chwili wydawał się rozwiązaniem najlepszym, bo jedynym. A jeszcze trudniej przyznać Pike'owi rację. Bo faktycznie sama im się podłożyłam. Dobrze wiedzieli, że moje reakcje psychofizjologiczne są obecnie mocno wyostrome, i obrócili to na swoją korzyść. Wcale nie zamierzali zabierać porucznika na blok operacyjny, a przynajmniej nie w tamtej chwili – to był tylko blef. Cała sytuacja została zaaranżowana. Celowo mnie sprowokowali.

Fakt, że w adrenalinowej gorączce zadziałałam impulsywnie, niemal emocjonalnie, niemal jak człowiek, nie jest dla mnie żadnym pocieszeniem. Bo oto kończy się mój spacer po linie, szalony taniec na krawędzi dachu. Wiedziałam, że prędzej czy później runę w dół, nie sądziłam jednak, że stanie się to tak szybko. A nade wszystko nie przypuszczałam, że pociągnę za sobą Quinna.

Czynna napaść na pracowników ochrony jest jednoznaczna z wnioskiem o dyscyplinarkę, ten zaś, jak słusznie zauważył Pike, bez względu na wynik postępowania nieodwołalnie odbiera androidowi osobowość prawną, a więc także prawo do wykonywania pełnomocnictwa.

A wystarczyło, żebym po prostu obróciła się na pięcie i opuściła szpital. Zgromadzone przez sierżanta poszlakowe dowody mojej zdrady wystarczyłyby jedynie do tego, żeby zawiesić mnie w obowiązkach służbowych do wyjaśnienia wszystkich okoliczności. To byłoby równoznaczne z zawieszeniem moich uprawnień pełnomocniczki, ale Isobel nadal nie mogłaby wyrazić zgody na operację męża, musieliby poczekać na zakończenie postępowania wobec mnie. Gdybym została oczyszczona z zarzutów i przywrócona do czynnej służby, znów wszystko zależałoby ode mnie. I nawet jeśli sprawy przyjęłyby niepomyślny obrót, kupiłabym sobie dość czasu na obmyślenie nowego planu ratowania porucznika...

Zamykam oczy, pochylam głowę.

Wybacz mi, Red.

Teraz ich jedynym problemem są już tylko moje wspomnienia z chwili, w której Quinn odmówił cyborgizacji. Zaszifrowane kodem porucznika stały się niewymazywalne i mogą potem posłużyć jako dowód w sprawie, gdyby mój dowódca zdecydował się na wytoczenie im procesu. Utrata pełnomocnictwa utratą pełnomocnictwa, ale jako humanoidalny nośnik pamięci wciąż mogę im nabruździć. Kerr musi zatem dopilnować, aby nośnik uległ trwałemu uszkodzeniu wraz ze wszystkimi danymi. I to w okolicznościach, które nie wzbudzą niczyich wątpliwości. To dlatego tak się tu ze mną cackali, próbując skrupulatnie uzasadnić dezaktywację, zamiast po prostu skasować mnie przy pierwszej sposobności.

I tylko ostatnie, a przy tym kluczowe pytanie wciąż nie daje mi spokoju: po co to wszystko?

Dlaczego cyborgizacja Quinna jest dla Kerra aż tak ważna? I jaki interes mają w niej Benedict Clayton i Meredith Bennett, bo wszystko wskazuje na to, że pomogli kapitanowi wpłynąć na Isobel...

gorączkowo próbuję znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale przychodzą mi do głowy same absurdy. Wiem tylko, że Steward miał rację. Prawdziwa głupota zawsze pokona sztuczną inteligencję.

I oto ja.

Prawdziwa głupota i pokonana SI w jednym.

Cylindryczny skaner wsuwa się wolno do wnęki w suficie. W stalowych prowadnicach musiał zebrać się brud, bo skrzydła z hartowanego szkła rozchylają się opornie, z wyraźnie słyszalnym chrobotem. Przywołana gestem przez Pike'a wychodzę z kapsuły.

– Ubieraj się. – Sierżant ciska we mnie mundurem. – Migiem.

Posłusznie wkładam uniform, ukradkiem sprawdzając, czy kruk nadal bezpiecznie spoczywa w kieszeni na piersi. Wyczuwam pod palcami pomięty papier i od razu jakoś lżej mi się oddycha.

Detektyw Flynn i sierżant Attenborough już czekają przed pracownią w towarzystwie Kerra. Obserwuję ich kątem oka, sznurując buty. Kapitan mówi coś szybko i choć nie mogę tego

dosłyszeć ani wyczytać z ruchu warg, bo stoi zwrócony do mnie tyłem, dostrzegam zdziwienie malujące się na twarzy Flynna. Kerr też musiał je zauważyć, bo powtarza wszystko raz jeszcze, słowo w słowo – poznaję to po ruchu żuchwy i drganiach podwójnego podbródka. Attenborough w odpowiedzi kiwa głową, ale jakoś ponuro, bez przekonania. Z ust wciąż lekko skonsternowanego Flynna pada krótkie, acz niepewne: „Tak jest, sir”. Ciekawe, jaki dostali rozkaz.

– Skończyłaś?

Skończyłam już kilka sekund temu, teraz już tylko gram na zwłokę, poprawiając sznurówki, suwaki i klamry. Prostuję się wolno i patrzę Pike’owi w oczy.

– Na co czekasz? – cedzi zimno. – Wypierdalaj.

W jego głosie i spojrzeniu nie ma już śladu satysfakcji, tylko gorycz i złość. Sierżant nie może przeboleć, że to nie on będzie patrzył na mój koniec.

Zastanawiam się, czy nie uśmiechnąć się do niego złośliwie, czy nie odplącić mu tym samym podstępem i nie spróbować podpuścić do zrobienia czegoś głupiego. Choć pozornie jest opanowany, wszystko w nim aż kipi, widzę to po oczach. Wystarczy iskra i eksploduje z hukiem. Gdyby mnie zastrzelił tu i teraz, w obecności Flynna, Attenborough i kilku balistików przechodzących właśnie korytarzem, Kerr nie zdołałby tego zatuszować i Quinn po przebudzeniu miałby jakiś punkt zaczepienia. Przy odrobinie wysiłku dogrzebałby się do sedna sprawy.

Twarz mam jednak jak z kamienia, uśmiech za nic nie chce rozciągnąć warg. Pewnie nie jestem w nastroju, myślę i z trudem przełykam kolejną falę goryczy. Wychodzę na korytarz bez słowa, bez przepisowego salutu. Pike nie idzie za mną. W cokolwiek miał się nie mieszać, to właśnie się zaczęło.

Na mój widok Kerr nieufnie mruży żabie oczy. Przez chwilę świdruje mnie zaskakująco bystrym wzrokiem, jakby próbował ocenić, czy zamierzam sprawiać kłopoty. Muszę wyglądać na całkiem zrezygnowaną i pogodzoną z losem, bo kapitan wydaje się zadowolony z tego, co widzi. Żegna policjantów krótkim

skinieniem i odchodzi do wind.

Zerkam na Attenborough, potem na Flynna. Pierwszy ma minę godną pokerzysty, drugi ucieka oczami, szybko odwraca głowę. Ciekawe.

- Pójdiesz z nami - rozkazuje spokojnie Attenborough, wymownie kładąc dłoń na broni plazmowej, którą nosi za paskiem. - Tylko bez wygłupów. Jeden fałszywy krok i cię usmażę. Rozumiesz?

Marna to groźba, skoro tam, dokąd idziemy, i tak zaraz zniknę, ale w tej chwili jest mi już wszystko jedno. Robię, co każą, byleby tylko nie dać im powodu, który przekona Quinna, że słusznie mnie wyłączyli. Porucznik słyszał, jak kłamię, i uznał mnie za zdrażczynię, nie wie nawet, że byłam przy nim, gdy odmawiał operacji. Ale jeśli pójdę teraz jak baran na rzeź, może zastanowi go ten brak oporu. Może Red przyjrzy się sprawie i odkryje, że skasowali mnie dlatego, że stałam po jego stronie, a to, co z nim zrobili, było nie tylko podłe i nieetyczne, lecz przede wszystkim sprzeczne z prawem.

Wiem, że strzelam w ciemno, lecz to jedyny strzał, jaki mi pozostał.

Flynn przestępuje niespokojnie z nogi na nogę, chrząka cicho, popatrując na kolegę.

- Mayu. - W głosie Attenborough słyszę ostrzeżenie. - Pytam, czy mnie rozumiesz.

- Rozumiem, sir.

- Nie każ mi więcej powtarzać.

- Tak jest, sir.

Policjanci biorą mnie między siebie i ruszamy korytarzem. Nie muszą nic mówić, wiem, dokąd zmierzamy. To niedaleko, na tym samym poziomie. Przechodzimy na drugą stronę podziemi, mijając kolejne laboratoria, pokoje techniczne i symulatory, potem schody do Wylęgarni oraz pogrążoną w mroku serwerownię. Obok nas przechodzi sporo ludzi, lecz żaden z nich nie jest Turveyem, żaden nie wie, że zaraz mnie usuną, a gdyby nawet wiedzieli, żaden by się nie przejął.

Skręcamy w półmrok wąskiego tunelu. Czytnik tęczęwek

przesuwa po twarzy Attenborough cienką wiązką lasera, otwiera masywne drzwi i wpuszcza nas do Epitafium. Obszerne, śmierdzące antyseptykami pomieszczenie pełni funkcję sali egzekucyjnej, kostnicy i prosektorium. Zbliża się pora lunchu, prócz nas nie ma tu nikogo. Są tylko komory chłodnicze, stoły sekcyjne z zimnej, lśniącej stali i pochylone nad nimi nieruchome roboty chirurgiczne o pająkowatych ramionach.

Spoglądam na cyfrową tablicę, która wyświetla dane wszystkich wyłączonych tu replikantów i której to miejsce zawdzięcza swą jakże wymowną nazwę. Przed wybuchem rebelii dezaktywacje zdarzały się rzadko, naliczyłam dwadzieścia siedem przypadków w ciągu ostatnich czterech lat. Od czasu zamachu w Beyond w zaledwie dwa tygodnie na liście przybyła okrągła setka imion. No to będę sto pierwsza.

Drzwi zamykają się za nami z głuchym dudnieniem, które aż wstrząsa ścianami. Wiem, że nie zdołam ich otworzyć, bo skaner jest nieczuły na replikancką biometrikę. Wiem, że opuszczę to miejsce windą towarową, w ogromnym kontenerze na odpady medyczne. Spoglądam w tamtym kierunku. Zbiornik jest prawie pełen, znad krawędzi burty wystaje bosa stopa i czubek rudej głowy.

Przyciskam dłoń do kieszeni z krukiem. Wygląda to tak, jakbym chwyciła się za serce, i Flynna wyraźnie peszy ten gest.

Przystaję na wymalowanym na podłodze czarnym iksie, biorę głęboki wdech jak przed skokiem do wody. Obracam się na pięcie i spoglądam na policjantów. Obaj są uzbrojeni, Attenborough ma plazmówkę, a Flynn glocka, ale żeby mnie dezaktywować, żaden nie musi osobiście pociągać za spust. Automatyczne działko laserowe zamontowane pod sufitem już bierze mnie na celownik, namierzając na podstawie koordynatów, które wysyła mój Specter. Wystarczy wydać komendę.

Omiatam wzrokiem całe pomieszczenie i stwierdzam, że mają tu pełny monitoring. Zakładam, że nauczony doświadczeniem Kerr rozkazał policjantom sprowokować mnie do użycia siły, a wtedy nagranie będzie doskonałym uzasadnieniem egzekucji. Cóż, jeśli faktycznie taki otrzymali rozkaz, to nic z tego. Muszą

wymyślić inny sposób, jak mnie zrobić, nie zamierzam im niczego ułatwiać.

Byleby nie dać im powodu, powtarzam sobie w myślach. Tylko to się liczy.

Twarz Attenborough nadal nie zdradza żadnych emocji. Uważnie obserwuję jego ręce, kiedy powolnym ruchem wyciąga coś z kieszeni.

– Teraz podejść i pobiorę ci krew do badania – mówi, robiąc krok w moją stronę i unosząc autostrzykawkę, którą trzyma w kurczowo zaciśniętej dłoni. – Bądź grzeczna. Żadnych gwałtownych ruchów. Jasne?

– Jasne, sir.

Nie zażywam reinforsyny, kolejny test nie robi mi więc żadnej różnicy. Zauważam jednak, że na widok strzykawki Flynn krzywi się lekko i rzuca towarzyszowi niespokojne spojrzenie. Czuję, jak mięśnie mimowolnie spinają mi się do skoku.

Tylko spokojnie. Nie dać się sprowokować. Wdech, wydech. Spokojnie, spokojnie, spokojnie.

– Podwiń rękaw.

Podwijam rękaw, nie spuszczać wzroku z dłoni sierżanta. Przykłada igłę do zgięcia w moim ramieniu, ostrożnie, delikatnie wkuwa się w żyłę. Kiedy przesuwa palec w stronę przycisku aktywującego tłok, na moment odsłania cylinder i dopiero wtedy dostrzegam kołyszący się w środku płyn.

Oleisty płyn koloru indygo.

W ostatniej chwili szarpnię się w tył, odpycham sierżanta, wyrrywam igłę z żyły. Flynn ze świstem wciąga powietrze. Attenborough z trudem odzyskuje równowagę, gapi się na mnie zszokowany.

– Nie dam się naćpać reinforsyną, kapitanie – mówię wolno i wyraźnie, a panowanie nad głosem wymaga ode mnie więcej wysiłku niż kiedykolwiek dotąd.

Ledwo się powstrzymuję przed ciśnięciem strzykawką w najbliższą kamerę. Zamiast tego upuszczam ją na podłogę, roztrzaskując obcasem, ciemnoniebieskie krople tryskają na beton.

- Musicie znaleźć inny pretekst - kontynuuję prosto do obiektywu. Nieważne, czy Kerr nas obserwuje, choć nie wątpię, że tak jest. Najważniejsze, żeby zepsuć mu nagranie. - Nie pozwolę, żebyście wyłączyli mnie za coś, czego nie zrobiłam.

Przenoszę wzrok z powrotem na policjantów. Minę muszę mieć straszną, bo Attenborough czerwienieje i cofa się gwałtownie, a Flynn błędnie i odruchowo sięga po broń, zapominając, że wystarczy wydać rozkaz wieźyczce, która bezustannie wodzi za mną końcem lufy.

- Strzelaj! - wrzeszczy sierżant, nie wiadomo, do Flynna czy działka, po czym wyszarpuje pistolet zza paska.

Myliłam się. Jednak nie jest mi wszystko jedno. I wcale nie jestem spokojna.

Uskakuję za sierżanta, zanim działko zdąży wypuścić pierwszą wiązkę. Biegając prosto na Flynna, który rozdygotanymi dłońmi walczy z zatraskiem kabury, loguję się do Animy. Słyszę dochodzący z góry cichy wizg, z jakim wieźyczka obraca się w ślad za mną, ale dopóki trzymam się blisko policjantów, protokoły bezpieczeństwa nie pozwolą jej otworzyć ognia. Broń sierżanta rzyga we mnie strumieniem plazmy w chwili, gdy kończę instruować doppelgängera. O włos unikam usmażenia, obraz zaczyna mi skakać od zakłóceń, w uszach słyszę biały szum. Czekam, aż mi przejdzie, klucząc wśród stołów sekcyjnych i autochirurgów, po czym aktywuję wirusa, odpalam neurokamufaż. Attenborough klnie paskudnie, gdy ponownie znikam mu z oczu, tym razem za plecami detektywa. Natychmiast opuszcza pistolet, żeby przypadkiem nie postrzelić Flynna, okrąża go szybko, a ja znowu daję nura między sprząty.

Gdy laserowy pocisk mija moją skroń o kilka centymetrów, Attenborough klnie po raz drugi i zatrzymuje się gwałtownie. Ja również stoję w miejscu. Zdezorientowany sierżant zerka w górę, potem na mnie. Działko nigdy nie pułtuje, a właśnie spuściło. Powinno być dymiącą kupką popiołu, a nie jestem.

Nieprzytomnemu ze strachu Flynnowi udaje się wreszcie wydobyć broń, ale ręce drżą mu tak bardzo, że cudem tylko nie upuszcza jej na podłogę. Rozgląda się wokół, wodzi oczami

między mną a sierżantem. Mocniej zaciska palce na rękojeści, która ślizga mu się w spoconej dłoni.

Przez bardzo długą sekundę stoimy naprzeciwko siebie w ciszy i bezruchu.

– Strzelaj, Specter – rozkazuje Attenborough cicho, niepewnie, z widocznym napięciem.

Działko milczy, omiata końcem lufy całe Epitafium, nagle nieruchomieje. A potem, jak gdyby po namyśle, obraca się i wypala dziurę w ścianie dobre dwa metry ode mnie.

Attenborough klnie po raz trzeci, nieznacznie opuszczając broń. Chyba zaczyna rozumieć, co jest grane. Skupiam się na nim, lecz kątem widzę, jak Flynn, który najwyraźniej nic nie rozumie, podnosi pistolet i kładzie palec na spuście.

– Nie radzę – mówię spokojnie, ale nie mam złudzeń.

– Flynn, nie!

Błysk. Huk. Ból. Obrywam w bark, impet rzuca mną o ścianę. Drugi pocisk rozrywa mi udo, trzeci wgryza się w tynk tuż ponad ramieniem. Lekko ogłuszona ogniskuję wzrok akurat w chwili, gdy tuż przed czwartym strzałem z glocka, tym razem celnym, wymierzonym w moją głowę, wieżyczka cicho i precyzyjnie rozpruwa Flynnowi krtań. Zapieczona laserem rana nie krwawi, zwęglone struny głosowe nie wydają dźwięku. Detektyw klęka miękko, osuwa się na beton w zupełnej ciszy. Dopiero po chwili powietrze gęstnieje od smrodu palonego ciała, wibruje od wściekłego wrzasku Attenborough.

– Nie rób tego, Howardzie – proszę, kiedy z ogniem w oczach bierze mnie na muszkę. – Po prostu pozwól mi odejść. Proszę.

Już w chwili, w której to mówię, wiem, że nie posłucha. Nie myśli racjonalnie, ogłuszony rozpaczą, strachem, żądzą zemsty. Słyszy słowa, lecz nie pojmuje sensu, widział, co tu zaszło, lecz nie łączy faktów, zaraz postąpi impulsywnie i głupio. Jak człowiek. Za ludzkie błędy płaci się najwyższą cenę. Coś o tym wiem. Ja zapłaciłam Quinnem.

– Nic ci nie zrobię – próbuję raz jeszcze, dla porządku. – Wystarczy, że teraz stąd wyjdiesz. Proszę cię, wyjdź.

Ale on nie słucha. Zaciska szczęki, zgina palec na spuście. Głupi,

ludzki błąd. Patrzę, jak za niego płaci. Jak wiązka lasera z cichutkim skwierczeniem wypala mu dziurę w czole tuż nad linią brwi.

Alarm zaczyna ryczeć kilka sekund po tym, jak ciało sierżanta zwala się na ziemię obok detektywa. Rozglądam się szybko, mapuję teren, analizuję opcje.

Biegnę na drugi koniec Epitafium, poza zasięg kamer. Wspinam się na komorę chłodniczą, wyrywam z sufitu osłonę wentylacji, kalecząc palce o ostre metalowe krawędzie, odrzucam ją na beton. Podciągam się, wślizguję do szybu, zostawiam w nim kilka krwawych odcisków dłoni, po czym zeskakuję z powrotem na podłogę. Dopadam do windy z kontenerem na odpady medyczne i daję nura między trupy. Zagrzebuję się pod zimnymi, sztywnymi ciałami, spowalням oddech i pracę serca, wreszcie nieruchomieję. Odfiltrowuję wycie syreny i zaczynam nasłuchiwać.

Prawie natychmiast wychwytyuję krzyki i nawoływania, odgłos szybkich kroków, pobrzękiwanie oporządzenia. Biegną tu, sześciu, może siedmiu. Rozlega się metaliczny trzask zwalnianego zamka i do Epitafium wpadają rozgorączkowani ludzie. Ktoś klnie. Ktoś głośno wciąga powietrze. Ktoś z trudem powstrzymuje odruch wymiotny.

– Jezu Chryste...

– Wezwijcie karetkę!

– Szukać mi tej suki! – ryczy Pike. – Zajebię dziwkę! Gdzie ona jest, Turvey?!

– System właśnie ją namierza. – Głos Harry’ego jest tak zmieniony, że aż się wzdrygam. Nigdy dotąd nie słyszałam tych twardych, zimnych nut, które brzmią jak zgrzyt zderzających się kling. Wyobrażam sobie, jaką musi mieć minę, i niewidzialna obręcz zaciska mi się na gardle, niewidzialna pięść uderza w splot słoneczny.

– Dobra, mam – informuje Turvey ciągle tym samym, strasznym głosem. – Poziom... nie, dwa poziomy wyżej.

- Jakim, kurwa, cudem?! Musiałyby nas minąć!
- Nie wiem.
- Jak przejęła kontrolę nad laserem?
- Nie wiem...
- Noż ja pierdołę, Turvey!

Nie podejrzewają nawet, jakie to było proste.

Żeby dezaktywować replikanta, trzeba rozwalić mu głowę. Flynn był sporo ode mnie wyższy, dlatego oberwał w szyję. Attenborough dorównywał mi wzrostem, więc dostał w środek czoła. Wcześniej padły jeszcze dwa laserowe strzały w ścianę, oba na wysokości moich oczu. Kiedy jednak technicy zajrzą do logów wieżyczki, odkryją, że według zapisanego tam przebiegu wydarzeń nie spudłowała ani razu i zabiła mnie dzisiaj aż czterokrotnie.

Doppelgänger oszukał mojego Spectera, zafałszował współrzędne wysyłane do przyrządów celowniczych. Zmultiplikował model mojej sylwetki i porozsiewał duplikaty po całym Epitafium, co zmusiło niepewne celu działko do wstrzymania ognia. Aby wyeliminować Flynna i Attenborough, wystarczyło nałożyć moje rzekome koordynaty na ich pozycje, jednocześnie usuwając pozostałe kopie.

Powtarzam sobie, że nie miałam innego wyjścia, że wybór był prosty: oni albo ja. Ale może dałoby się ich zneutralizować bez zabijania. Może przy odrobinie dobrej woli znalazłabym sposób, żeby nakierować laser na ich nogi, z dala od krytycznych narządów. Może gdyby doppelgänger odpowiednio przeskalował mój model...

Nie, nie starczyłoby czasu na zmodyfikowanie wirusa, i tak już ledwo zdążyłam go odpalić i wydać komendy.

Ale może...

- Sir! Tutaj!

Słyszę zbliżające się kroki. Przez szparę między barkiem jednego trupa a policzkiem drugiego widzę, jak zbierają się wokół odsłoniętego kanału wentylacyjnego i zadzierają głowy. Turvey pochyla się nad zdjętą przeze mnie kratą, dotyka jej ostrożnie, rozciera coś między kciukiem a palcem wskazującym.

– Syntetyczna krew – stwierdza głucho, po czym przenosi wzrok w górę, na umazaną czerwienią krawędź otworu. – Maya jest w szybie – dodaje niepotrzebnie, bo Pike już wyrывa mu urządzenie namierzające i biegnie do wyjścia, skrzykując ludzi. Rzucają się w pogoń za moim cyfrowym sobowtórem, którego doppelgänger prowadzi przewodami wentylacyjnymi gdzieś na wyższe poziomy podziemi.

Turvey wychodzi jako ostatni, zatrzymując się na chwilę przy ciałach Flynnna i Attenborough. Jestem pewna, że nigdy nie zapomnę wyrazu jego zmęczonych, smutnych oczu, chyba jeszcze gorszego od lodu w oczach Quinna.

Technicy pieczętują drzwi elektronicznymi plombami, zabezpieczając miejsce zdarzenia do przyjazdu karetki i prokuratora. W Epitafium pozostaje już tylko to, co kiedyś żyło, to, co nie żyło nigdy, i to, co jest martwe, choć nadal ma puls. Same trupy o różnym stopniu żywotności.

Alarm nie przestaje wyć.

Czekam. I wreszcie słyszę spodziewany metaliczny zgrzyt, czuję gwałtowne szarpnięcie.

Winda rusza w górę.

Dźwig jest szybki. Niecałe pół minuty i kontener wyłania się z podziemnego szybu, wypchnięty na taśmę transportową przejeżdża przez kurtynę ze sztywnych, foliowych pasów. Czuję powiew świeżego powietrza, dostrzegam skrawek nieba, które przysłania mi czyjaś rozczapierzona w pośmiertnym skurczu dłoni, czyjs łokieć, ciemny kosmyk włosów. Noc jest chłodna i wyjątkowo bezchmurna. Księżyc stoi w pełni, atramentowe niebo skrzy się od gwiazd i świateł pozycyjnych dronów, które patrolują okolicę na wypadek, gdyby jednak udało mi się wydostać z budynku komendy. Nie mogę teraz wyjść z ukrycia. Nie mam na sobie uniformu taktycznego, nie mam maskowania, a jestem kilka metrów nad ziemią, na otwartej przestrzeni. Zanim zeskoczę, przebiegnę plac i schronię się w cieniu budynków, któryś z dronów zdąży mnie namierzyć.

Kontener dociera do końca taśmy, zatrzymuje się z ostrym szarpnięciem, po czym przechyla gwałtownie niemal do góry dnem. Spadam z bezwładną lawiną trucheł, ląduję w skrzyni czarnej ciężarówki. Brezentowy dach zasuwa się automatycznie, wszystko na powrót połyka mrok. Znowu ścisk, smród krwi i trupi zaduch. Po chwili rozlega się warkot silników i bezzałogowy pojazd rusza na wschód.

Przez dziury w plandece i szczeliny w kłębowisku przygniatających mnie ciał przeciska się blade światło księżyca. Struny srebrzystego blasku skapują na kamienne twarze, zaglądają w ślepe, nieruchome źrenice. Myślę o Wylęgarni. O moich braciach i siostrach, którzy tkwią tam, głęboko pod ziemią, pogrążeni w pustych snach wyśnionych dla nich przez kogoś innego.

Oby nie popełnili mojego błędu i nigdy się nie obudzili. Nie warto.

Spodziewam się, że po przejechaniu kilku przecznic ciężarówka zmieni kurs i skręci na południe, do miejskiej spalarni odpadów. Tak się jednak nie dzieje. Wciąż kierujemy się na wschód, a wokół narasta cisza, gęstnieje mrok i mdlący odór spalenizny.

Wygrzebuję się spomiędzy ciał, ostrożnie wystawiam głowę spod naderwanego brezentu. Natychmiast rozpoznaję okolicę. Jedziemy Alejami Popiołów, mijając rzędy milczących domów, wymarłych placów i pustych zaułków. Jesteśmy już daleko od centrum, a na horyzoncie kilka kilometrów przed nami widać Mur, nowo wybudowaną granicę między miastem a ziemią rebeliantów. Ogromne, żmijowate cielsko z żelbetonu wznosi się wysoko ponad dachami budynków, wieńczące zaś konstrukcję ekrany plazmowe przypominają gigantyczne pajęczyny utkane z błyskawic i pulsującej mgły.

Po pięciu minutach wyjeżdżamy z wąwozu zniszczonych zabudowań prosto w chłodny, głęboki cień Muru, potem w kolejne kręgi światła z ledowych reflektorów. Dostrzegam kilku funkcjonariuszy straży granicznej z karabinami na plecach,

k którzy na widok ciężarówki coś do siebie pokrzykują, wymieniają szybkie gesty. Pojazd zaczyna łagodnie hamować, ale się nie zatrzymuje, tylko mija strażników i wolno sunie dalej. Wielka, dwuskrzydłowa brama otwiera się przed nami z metalicznym jękiem.

I oto jesteśmy po drugiej stronie.

Ciężarówka zawraca po łagodnym łuku, przystaje, lecz nie wyłącza silników. Po chwili podnosi skrzynię, jednocześnie opuszczając burty i cofając dach. Wysypujemy się bezładnie, toczymy, jeden trup po drugim, lecimy w dół po stromym osuwisku. Słyszę dochodzący z góry chrzęst żwiru pod kołami, zgrzytliwy płacz zawiasów, dudnienie zamykanej bramy, od którego aż wibruje grunt. A kiedy cichną, nie słyszę już nic.

Przez jakiś czas leżę na wznak i po prostu gapię się w niebo.

Ciało, puste i ciężkie zarazem niczym odlana z ołowiu skorupa, za nic nie chce się ruszyć. Myśli nie dają się skupić, roztrzaskane na kawałki, starte na proch, rozszczepione w pryzmacie absolutnego zobojętnienia. Coś mi się w środku urwało, coś ze mnie wydarto, z umysłu została dziura, którą wyciekło wszystko, czym dotąd byłam. Wyciekłam cała, do ostatniej kropli.

W przeblysku świadomości, który przeszywa mnie gwałtownie i boleśnie jak piorun, pojmuję, że ta obezwładniająca niemoc to skutek działania ekranów plazmowych, raptownego odłączenia od sieci i Systemu. Ale nie tylko. Przecież wiem, że nie tylko... Wiem?

I znowu świat gaśnie. Ja gasnę.

Leżę i gapię się w niebo.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie czuję w sobie nawet odprysku cudzej obecności. Nie ma już Angeliny. Nie ma Spectera. Nie wiem nawet, czy ja jestem, i jakoś nie śpieszy mi się, żeby to sprawdzać.

Nie kaźcie mi już niczym więcej być. Nareszcie spokój.

Słowa napływają z próżni. Skraplają mi się pod czaszką i jedno po drugim skapują do świadomości, drążą ją pomału i cierpliwie

jak woda skałę. Po prostu nagle się pojawiają, nie wiadomo skąd. Dziwnie znajome uczucie.

Nareszcie spokój...

Kto to powiedział? Pomyślał?

To bez znaczenia, lecz kimkolwiek był, trafił w sedno. Nareszcie sama. Nareszcie wolna. Tyle że zamiast spokoju czuję jedynie niedorzeczny przymus, żeby tam wracać i ratować...

Kogo?

Nie mogę sobie przypomnieć. Przez moment widzę tylko oczy koloru sztormowego morza, potem już nic, wszystko połyka mrok. Pamięć uchodzi ze mnie jak dym z pogorzelniska, odlatuje w dziobie wielkiego kruka tam, dokąd odchodzą widma wyłączonych maszyn.

Zaczęłam majaczyć? To zaburzenia psychotyczne czy tylko zakłócenia sensomotoryki?

Bez znaczenia. Lecz czymkolwiek jest krążący nade mną ptak, zdaje się tak rzeczywisty, że niemal słyszę krakanie i trzepot czarnych skrzydeł, niemal czuję gwałtowny powiew na twarzy i zapach mokrych piór.

Leżę i gapię się w niebo.

Dopiero dużo, dużo później, gdy horyzont zaczyna powoli jaśnieć zapowiedzią świtu, udaje mi się sformułować w miarę trzeźwą myśl, zmusić mięśnie do ruchu. Obracam głowę i spoglądam w twarz jasnowłosego replikanta z bańką krwi zaschniętą w kąciku półotwartych warg. Patrzę na kruka, który siedzi na jego piersi i wyjada mu oko, głośno stukając dziobem w kość oczodołu.

– No i wykrakałam – mamroczę, uśmiechając się smutno nie wiedzieć do kogo. – Przyszły po nas kruki.

Wyciągam dłoń, gładzę ptaka po chłodnych aksamitnych piórach samymi koniuszkami palców. Jest prawdziwy.

– Lepiej n-nie... – szepczę. – Nie jedz tego, ptaszyno. Bioniczne, zaszkodzi ci...

Kruk dopiero teraz przerywa ucztę i przez chwilę gapi się na mnie oczami, które w pierwszych promieniach słońca lśnią niczym szklane paciorki. Nagle zrywa się do lotu, a w ślad za nim

chmara skrzydlatych cieni. Jest ich tyle, że aż wiruje mi przed oczami. Zaciskam powieki, słuchając wściekłego furkotu piór.

Gdy krakanie cichnie w oddali, z wysiłkiem unoszę się na łokciach, rozglądam wokół. Leżę w masowej mogile dla syntetycznej padliny, z każdej strony otacza mnie morze ciał. Makabryczny straszak na zbuntowanych replikantów i resztę wygnańców, który ma zniechęcać ich do powrotu do miasta.

Ale ja muszę tam wrócić. Wiem, że muszę, choć wciąż nie pamiętam po co.

Padam z powrotem na wznak, bez sił. Leżę i gapię się w niebo, a przeszłość huczy mi w uszach i tętni pod powiekami, wstrząsa ciałem i jaźnią spazmami powidoków, pogłosów i gorączkowych poszeptywań. I nagle jedno wspomnienie zapala mi się w głowie, jasne i wyraźne jak błyskawica. Pokonując dziwny opór mięśni, sięgam do kieszeni na piersi, wydaję pomiętą figurkę z czarnego papieru, niezdarnie obracam ją w palcach, zbliżam do twarzy.

Na co jeszcze czekasz, myślę półprzytomnie. Zabierz mnie stąd, k roku.

Jakby na dany znak, jakbym przez przypadek zakłęta rzeczywistość, gdzieś w górze rozlega się ciche skrzywienie żwiru. I kolejne, i znowu, szybko i w rytmie, coraz wyraźniejszy odgłos kroków. Znam ten mechaniczny, drapieźny chód, lecz za nic nie potrafię skojarzyć, gdzie go już słyszałam. Szuranie butów narasta miarowo, nagle ustaje. Unoszę głowę.

Na krawędzi osuwiska, otoczona aureolą słonecznych promieni, stoi niewysoka replikantka o włosach czerwonych jak krew, ogromnych oczach i twarzy porcelanowej lalki. Długo patrzy na mnie bez słowa, a potem uśmiecha się szeroko, samymi wargami.

– A to niespodzianka – mówi wolno Siobhan i wcale nie wygląda przy tym na zaskoczoną. – Witamy w domu, Mayu Quinn.

Dark Horizon 2035–2037

Rozdział jedenasty

Nocną ciszę zakłóca jedynie odległy szum wzburzonych fal i furkotanie skrzydeł gdzieś wysoko w górze. Dźwięki to słabną, to znów przybierają na sile, na zmianę tłumione i potęgowane podmuchami porywistego wiatru, który kapryśnie zmienia kierunki. Powietrze pachnie morzem, dymem z ognisk i spalinami biobenzyny. Prawie już nie da się w nim wyczuć krystalicznej woni ozonu po minionej burzy.

Stoję na krawędzi dachu, lecz nie patrzę w dół. Patrzę na Mur. Na rozciągającą się za nim ogromną plamę kolorowych świateł, okoloną bezkresem czarnego oceanu. Na niemal niewidoczną już linię horyzontu, która dawno ostygła, zatraciła ognistą czerwień na rzecz zimnego kobaltu, zlała ciemną toń wody z ciemną tonią nieba. Kiedyś, dawno temu, stałam na innym dachu i spoglądałam w przeciwnym kierunku, wyobrażając sobie, jak może wyglądać wolność.

Teraz, zaznawszy tej wolności na własnej skórze, każdej bezsennej nocy myślę wyłącznie o powrocie do miasta. W chwili gdy przekroczyłam Mur, moja rzeczywistość uległa odwróceniu, jestem teraz własnym odbiciem w lustrze, zamkniętym w negatywie czasu i przestrzeni. Oglądam swój dawny świat zza tafli szkła i jak gdyby pogrążona w świadomym śnie, wiem doskonale, że nic wokół nie jest takie jak powinno, bo wszystko, co niegdyś miało znaczenie, zostało po tamtej stronie.

Trzepot skrzydeł wybija mnie z zamyślenia. Rozlega się już znacznie bliżej, wymieszany z wciąż ledwo uchwytnym wizgiem silnika. Podnoszę wyrzutnię opartą o panel słoneczny, który godzinę temu wymontowałam z dachu sąsiedniego budynku.

Opieram ją sobie na ramieniu, przytulam policzek do zbiornika ze sprężonym powietrzem. Obiekt ma kamuflaż nocny oraz maskowanie termonoktowizyjne, zamykam więc oczy i skupiam się na innych zmysłach. Podkręcam olfaktorykę i czuję zapach piór. Wyciszam szumy tła i słyszę zgrzyt pazurów na karbonowej obudowie, słabe pokrakiwanie, zduszony syk wirników.

Wygwizduję krótką melodię, kilka ostrych nut. Łopotanie skrzydeł cichnie raptownie, rozplywa się w oddali wśród pojękiwań wichru. Szum nadlatującej maszyny jest teraz wyraźny. Strącona z kursu przez stado kruków, leci prosto na mnie, walcząc z silnym prądem. Ustawiam się plecami do wiatru, celuję na słuch, naciskam spust. Zwolniony zawór sapie głośno, strzykając mi strużką powietrza w lewy kącik ust.

Wyciek, myślę i otwieram oczy.

Pocisk ze zwiniętej żyłki leci wolniej, niż powinien. Lekko zbacza z toru pchnięty nagłym porywem, a jednak dosięga celu. Odblaskowe obciążniki rozpościerają bezkształtny kłęb, siatka nadyma się niczym żagiel, oplata drona, własnym ciężarem gwałtownie szarpie go w dół. Spadochron otwiera się dwie sekundy później i schwytyany oktokoptyer na moment zawisa w powietrzu zupełnie nieruchomo. Bez powodzenia pracuje śmigłami zaplątanymi w żyłkę, po czym niesiony mocniejszym podmuchem wzlataje kawałek ponad dach i wreszcie zaczyna łagodnie opadać ku ziemi.

Przez chwilę obserwuję szybujący ładunek, aby oszacować miejsce zrzutu, a potem ściągam miotacz z ramienia i z bliska oglądam mechanizm spustowy. Strzał byłby perfekcyjny, gdyby nie nieszczelny zawór, który znacznie osłabił impet pocisku. Prototyp jest całkiem obiecujący, ale muszę poprawić konstrukcję, zdobyć lepsze części. Za tego drona, o ile nie uszkodzi go zbyt twarde lądowanie, powinnam dostać całkiem niezłe komponenty.

Wrzucam zdobyczny panel do brezentowej sakwy, przewieszam ją sobie przez plecy razem z wyrzutnią, zaciągam pasy na piersi, żeby bagaż nie przeszkadzał i nie majtał się w biegu. Wskakuję na schody pożarowe, cicho schodzę z dachu na

chodnik. Rozglądam się uważnie po pustym osiedlu, szukając blasku ognia w oknach, ale zewsząd spoglądają na mnie same ciemne szyby. Mimo to nasłuchuję pilnie, bo okolica należy do dzikich, jej mieszkańcy do nieobliczalnych, a ja muszę oszczędzać siły i unikać niepotrzebnych konfrontacji. Moje zapasy pożywienia skurczyły się niebezpiecznie po ostatnim spotkaniu z pirokinetykiem. Odnowa poparzonej skóry pochłoneła bardzo dużo energii i na kolejną regenerację zwyczajnie nie wystarczy mi jedzenia. Jestem w terenie od kilku godzin, samo utrzymywanie ciepła i aktywnego ekranowania kosztuje mnie tyle wysiłku, że już czuję ssanie w żołądku i lekkie mrowienie w dłoniach. Po tamtej stronie Muru nigdy nie doświadczyłam głodu, pragnienia, chłodu ani wyczerpania. Tutaj, w świecie krzywych zwierciadeł, wszystko jest na odwrót.

Nie słyszę niczego niepokojącego, odległy płacz kobiety okazuje się tylko zawrozczeniem wiatru. Ostrożnie wychodzę z cienia pod schodami, truchtem okrążam budynek i wybiegam na pogrążoną w mroku ulicę. Co jakiś czas na krótki moment dezaktywuję osłony, żeby skontrolować odległość do zasilanego bateriami słonecznymi nadajnika w jednym z obciążników siatki. Wiatr zniósł mój łup dalej, niż sądziłam. Sygnał prowadzi mnie zaułkami aż na Skwer Szaleńców.

Pośrodku Skweru, oparta o mur otaczający wejście do podziemnej kolejki, stoi Siobhan. W termoizolowanym dziwacznym kombinezonie, który dzięki nadrukowi w pikselowe plamy oraz nieregularnym zagięciom materiału skutecznie maskuje zarysy sylwetki po zmroku, replikantka byłaby tylko bezkształtną plamą niczego na tle burego betonu – byłaby, gdyby nie włosy. Zdjęła kaptur, pozwalając szkarłatnym kosmykom, doskonale widocznym w kolorowej podczerwieni, rozsypać się po asymetrycznych, nieforemnych ramionach. Zaczesała na bok grzywka zakrywa jej jedno oko, sięgając aż do kącika pobielonych ust. Takie uczesanie wraz z chaotycznymi wzorami wymalowanymi na całej twarzy, świetnie oszukuje nowe

systemy wykrywania i rozpoznawania ludzkich rysów, które od ponad roku patrolują ulice New Horizon.

Mój dron leży kilka kroków dalej. Wciąż słychać cichutkie rżenie, z jakim silniki próbują poderwać maszynę do lotu. Kruki krążą nad nim niby sępy nad dogorywającą zwierzyną, pokrakując ostro na syntetyczkę. Nigdy jej nie lubiły.

– Niezły okaz – stwierdza Siobhan, kiedy wyłaniam się spomiędzy zabudowań. – Dostaniesz za niego sporo reinforsyny.

– Co tu robisz, Shiv?

Syntetyczka wzrusza ramionami, zdmuchuje włosy z policzka.

– Poluję. Tak jak ty.

Podchodzę bliżej, taksując ją szybko od stóp do głów. Nie ma przy sobie broni antydronowej, a strój, fryzura i taktyczny makijaż nie pozostawiają wątpliwości, że albo dopiero wróciła zza Muru, albo właśnie się tam wybiera.

– Na co? – pytam sceptycznie i ruchem głowy wskazuję mamroczącego do siebie mężczyznę, który wychodzi właśnie na plac z bocznej uliczki, żywiłowo wymachując rękami. Wygląda, jakby się przed czymś odganiał lub próbował objaśnić temu czemuś nader zawily problem filozoficzny. – Na szaleńców?

Przez twarz Siobhan przebiega cień uśmiechu, a jej wielkie oczy rozjaśnia błysk, który sprawia, że bursztynowe tęczęwki migoczą przez moment niczym okruchy złota w słońcu.

– Powiedzmy, że... – zawiesza głos, z namysłem przechyla głowę. – Powiedzmy, że na informacje.

– A to twój informator? – drążę dalej z jeszcze większym powątpiewaniem, znów patrząc na perorującego bełkotliwie ćpuna.

– Nie – odpowiada Siobhan spokojnie. – Obiekt obserwacji.

Milkniemy obie, równocześnie dostrzegłszy ruch po przeciwnej stronie Skweru. Spomiędzy wybebeszonych hoverów wyłania się młodziutka dziewczyna w brudnym, podartym płaszczu i chwiejnym krokiem podchodzi do mężczyzny. Przez jakiś czas oboje patrzą na siebie w intensywnym skupieniu, lecz zamknięci w dwóch równoległych nierzeczywistościach, w osobnych wymiarach własnego szaleństwa, nie dostrzegają nikogo i

niczego. Wreszcie bez słowa ruszają każde w swoją stronę. On wznawia przerwany wywód, ona brnie przez noc z wyraźnym trudem, pomagając sobie szerokimi wymachami ramion, jak gdyby brodziła w wodzie. Po chwili oboje znikają w ciemnościach.

– Do niedawna byliśmy pewni, że reinforsyna działa na ludzi wyłącznie destrukcyjnie – komentuje Siobhan. – Ale ostatnio... Słyszałaś plotki?

– To nie są plotki – mówię poważnie.

Przyklękam obok drona, który podryguje niemrawo, z cichutkim chrzęstem szorując płozami po płytach chodnika. Obracam go podwoziem do góry, odłączam moduł zasilający i maszyna natychmiast przestaje się miotać. Łopatki wirników obracają się jeszcze przez moment, po czym nieruchomieją i milkną. Sprawdzam poziom naładowania akumulatora. Została mniej niż połowa pojemności, korekcja kursu w tej wichurze nieźle go wydrenowała. Chowam moduł do kieszeni kurtki.

– Dlaczego tak twierdzisz? – pyta replikantka, przyglądając się, jak wyplątują śmigła z żyłek siatki.

– Widziałam wszystko na własne oczy. I nawet poczułam na własnej skórze. – Podwijam rękaw i na dowód prezentuję wciąż lekko zaogniony ślad po oparzeniu. – Ogień krzesał się prosto z powietrza, spłonęła cała ulica. Akurat robiłam zwiad na granicy Nekropolis i Dzikiego Wschodu, ledwo udało mi się uciec z budynku przed wybuchem...

– Zwiad? – Siobhan zerka na mnie z ukosa. – A dla kogo, ciekawość?

– Dla siebie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Mieszkam tam, zapomniałaś? Muszę wiedzieć, co się dzieje na moim terenie.

Replikantka nie odpowiada. Zadziiera głowę i spogląda na kruki, które zmęczyły się walką z porywistym wiatrem i poobsiadały pobliskie latarnie, ani na chwilę nie spuszczając z nas koralikowych oczu.

– Widziałeś szaleńca, który krzesał ogień? – pyta nagle Siobhan.

– Tak.

– Pokażesz mi go?

– Mogę pokazać. – Przytraczam siatkę z oktokopterem do pasków sakwy i prostuję się wolno. – O ile interesuje cię kupka popiołu i zwęglone kości. Biedak zginął we własnych płomieniach.

Siobhan mruczy coś z niezadowoleniem.

– Będą kolejni – wyrokuje po chwili w zadumie.

– To dlatego tu jesteś? Z powodu pożarów?

Milczy długo, przestępując z nogi na nogę i stukając paznokciami o mur.

– Twitch poprosił mnie, żebym zbadała pogłoski – przyznaje wreszcie. – Jego ludzie jakoś nie mają ochoty się tutaj zapuszczać.

– Wykrzywia wargi w drwiącym grymasie. – Dobrze płaci, więc czemu nie.

– Nie wątpię, że płaci. – Omiatam ją wymownym spojrzeniem. – Tym kombinezonem musiał kupić sobie sporo przysług.

Siobhan gwałtownym ruchem głowy strząsa grzywkę z czoła. Odbija się plecami od muru i opiera pięści o biodra, lecz maskujący strój całkiem psuje efekt, ramiona giną w bezładnych fałdach materiału.

– Dziwi mnie przygana w twoim głosie, May – mówi ostro. – Twitch to kawał drania, przyznaję, ale nie bądź hipokrytką. Przecież ty też z nim handlujesz.

– Handluję z Dodge’em – poprawiam z naciskiem. – Nie wchodzę w żadne układy z Equilibrium.

Replikantka parska krótkim, chrapliwym śmiechem.

– A myślisz, że Dodge od kogo dostaje najwięcej zleceń? Komu niby opycha twój szaber? Tutaj nie da się przeżyć w pojedynkę, samotna wilczyco.

– Jakoś sobie radzę.

– Radzisz sobie – powtarza wolno syntetyczka, niebezpiecznie mrużąc oczy. – Na razie.

– To groźba?

– Przyjacielska przestroga – odpowiada tonem, w którym pobrzmiwa bardzo niewiele przyjaznych nut. – Equilibrium prędzej czy później się tobą zainteresuje i złoży ci ofertę nie do odrzucenia. Jeśli cenisz sobie niezależność, będziesz

potrzebowała sojuszników, żeby ją zachować. Dawno powinnam była machnąć na ciebie ręką, ale nie potrafię i dobrze wiesz dlaczego. Jestem ci to winna za... za tamto.

Milczę. Wiele razy powtarzałam jej, że choć ledwo uszłam z życiem z naszego pierwszego spotkania, to odkąd wyciągnęła mnie z masowego grobu dla syntetyków i przygarnęła na kilka pierwszych tygodni, jesteście kwita. Ona jednak z uporem wraca do tego, co było, mówi, że wciąż gryzie ją sumienie.

– Oferta przystąpienia do mojego obozu jest nadal aktualna – oznajmia z zagadkowym uśmiechem, który jak zwykle każe mi podejrzewać, że Siobhan słyszy, o czym myślę. – Jednak nawet moja cierpliwość ma pewne granice, krucza pustelniczko.

Odruchowo sprawdzam ekranowanie. Nie znajduję luki, lecz na wszelki wypadek wzmacniam osłony i niemal od razu czuję mdłości i lekki zawrót głowy. Już po chwili zaczyna mi burczeć w brzuchu, a język przysycha do podniebienia.

– Nie mogę pojąć, po co uparcie tkwisz w tym zawieszeniu – kontynuuje Siobhan chłodno, mimo że dobrze zna odpowiedź. – Jak długo jeszcze zamierzasz siedzieć okrakiem na Murze? Skoro tak ci tęskno do prawdziwego świata, czemu odrzucasz jedyną rzecz, która może otworzyć ci oczy? Wiesz przecież, że tylko dzięki niej jesteście teraz wolni i nareszcie mamy dom. – Jakby na potwierdzenie tych słów, syntetyczka wiedzie dookoła szerokim gestem.

Rozglądam się posłusznie po zrujnowanym placu pełnym snujących się bez celu pomyleńców i milczę. Na usta cisną mi się bowiem same łatwopalne słowa, a w bursztynowych oczach już dostrzegam pierwsze iskry gniewu. Nie po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy Siobhan nabrała niezłej wprawy w wygłaszaniu wzniosłych tyrad, lecz przezornie zachowuję to spostrzeżenie dla siebie. Nie mam teraz siły na igranie z ogniem. Lekko unoszę brwi i to cały komentarz, na jaki mnie stać.

– I będziemy mieć więcej – kwituje replikantka, widząc, że nie podejmę wyzwania. – Kiedyś ty także o to walczyłaś.

Nie, myślę ze znużeniem. Ja tylko dałam wam wybór, lecz sama

dokonałam zupełnie innego. Nie chcę takiej wolności, a to nie jest mój dom.

Milczę. Dokucza mi coraz silniejszy głód, potwornie chce mi się pić, marznę i ledwo trzymam się na nogach, a głowa zaczyna ćmić tępy ból. Mam dość tej nocy i tej rozmowy. Czy raczej monologu, który znam już na pamięć.

Kruki też zaczynają się niecierpliwić, wiercą się na kłoszach latarni, drapiąc pazurami o przeżarty rdzą metal, i napominają mnie krakaniem. Sięgam do sakwy, wygrzebuję dwa upolowane wcześniej szczury, odwijam je z lnianej szmatki i rzucam na chodnik. Czarne ptaszyska natychmiast sfruwają na ziemię, zaczynają dziobać i rozrywać truchła, nad podziw sprawiedliwie dzieląc się mięsem.

Kątem oka widzę zaskoczenie na twarzy replikantki. Jak ją znam, a znam już dosyć dobrze, podejrzewała, że przywiązałam do siebie te ptaki wyjątkowo zmyślnym podstępem, więc widok zwykłych szczurów musiał ją rozczarować. W rzeczywistości jednak te gryzonie nie są wcale takie znowu zwykłe: zanim zabawiłam się w szczurołapa, podtuczyłam małą kolonię chlebem, gotowanym makaronem i warzywami z puszki. Najedzone do syta zwierzaki stały się ociężałe, nieostrożne i łatwiejsze do schwytania, a nade wszystko – wnosząc po pałaszujących z apetytem ptakach – bardzo smakowite.

Ale Siobhan wszędzie doszukuje się forteli i pułapek, a to doskonale odzwierciedla jej pokrętną naturę. Nie wierzy mi, gdy mówię, że nie potrzeba żadnych sztuczek, aby zaskarbić sobie przychylność kruków, wystarczy po prostu uczciwie płacić im za współpracę. Są bystre i chytne, szybko się orientują, w jaki sposób przysłużyć się temu, kto w zamian dobrze je karmi. Nie mam pojęcia o sokolnictwie i nigdy nie uczyłam ich polowania na drony ani tropienia działającej elektroniki na wyludnionych ulicach. Same uznały, że warto mi towarzyszyć.

Wszystko zaczęło się pod koniec zeszłego lata, jakieś trzy miesiące po mojej ucieczce za Mur i wkrótce po drugim

bombardowaniu EMP. Przeczesałam wschodnie wybrzeże w poszukiwaniu niewypałów i nieoczekiwanie natknęłam się na kruka, który przycupnął w cieniu wąskiego zaułka. To był dorosły ptak rozmiarów jastrzębia, a mimo to o mało go nie przegapiłam, gdy tak siedział w iście posągowym bezruchu, idealnie stapiając się z ciemnym murem. Zwróciłam na niego uwagę tylko dlatego, że to, co trzymał w dziobie, błyskało raz po raz maleńkimi diodami.

Może krukowi spodobało się migotanie kolorowych światełek, a może zaciekało go cichutkie popiskiwanie nadajnika, w każdym razie nie zamierzał łatwo rozstawać się z łupem. Gdy tylko zrobiłam krok w jego kierunku, odleciał na drugą stronę ulicy i przysiadł na neonie zdemolowanego baru. Patrzył na mnie podejrzliwie, gdy znów zaczęłam się zbliżać, tym razem z kawałkiem tłustego sera w dłoni. Uznałam, że warto poświęcić śniadanie w zamian za to ptasie znalezisko. Przystanęłam pod szyldem, wyciągnęłam rękę, a wtedy kruk momentalnie stracił zainteresowanie swoją zdobyczą, wypuścił ją z dzioba i runął na jedzenie, boleśnie kalecząc mnie w palce. A potem z gracją sfrunął na chodnik i spokojnie obserwował, jak podnoszę maleńki pocisk elektromagnetyczny i chowam go do kieszeni kurtki. Rzuciłam ptaszysku resztę sera i udałam się prosto do Dodge'a.

Dwa dni później spotkałam tego samego kruka. Na mój widok zerwał się z gałęzi i przefrunął mi tuż nad głową, wypuszczając z pazurów smartwatcha z pękniętym holoeokranem. Uszkodzony wyświetlacz nie działał, jednak cichutkie posykiwanie procesora zdradzało, że urządzenie wciąż jest na chodzie. Kruk wylądował na parkowej ścieżce parę metrów dalej i patrzył na mnie oczami czarnymi jak dwie krople smoły. Nietrudno było odgadnąć, na co czekał.

Wiedziałam, że ptaki widzą w ultrafiolecie, słyszą ultradźwięki i wyczuwają zmiany pola elektromagnetycznego, wiedziałam też, że nad wyraz inteligentne kruki potrafią rozpoznawać ludzkie twarze, a nawet przekazywać sobie informacje o zagrożeniach lub potencjalnych źródłach pożywienia, lecz i tak byłam

zaskoczona, że mój pierzasty przyjaciel tak szybko znalazł powiązanie między mną, jedzeniem a elektroniką.

Przetrasnąłam kieszenie, wygrzebałam batonik proteinowy. Odwinęłam go z folii i położyłam na ziemi, po czym cofnęłam się kilka kroków. Zaciekawiony ptak przydreptał bliżej, ale zaraz odskoczył spłoszony, choć nawet nie drgnęłam. Po chwili znów przyskoczył do batonika, trącił go pazurem i dał kolejnego susa do tyłu, zapamiętałe bijąc skrzydłami. Tym razem zaczął podchodzić wolno i ostrożnie, z nisko pochyloną głową. Kontrolnie odłupał dziobem kilka ziaren, po dłuższym wahaniu skosztował kawałek. Na koniec skrzeknął krótko, porwał smakołyk i odleciał z furkotem, zostawiając smartwatcha na ścieżce.

Kiedy indziej siedział na masce rozbitego hovera w towarzystwie dwóch innych kruków. Powitał mnie przeciągłym krakaniem. Zamachał skrzydłami i zaczął łązić w tę i z powrotem, od czasu do czasu stukając dziobem w pogiętą karoserię. Jego dwaj kompani po chwili zaczęli robić to samo. Podeszłam bliżej, dokładnie obejrzałam maszynę. Kiedy zajrzałam do środka przez boczną szybę, dostrzegłam kilka płonących kontroltek na desce rozdzielczej.

Zerknęłam na kruki. Przyglądały mi się, czekając na to, co zrobię.

Drzwi od strony pilota były mocno wgniecione i nie dały się ruszyć. Te od strony pasażera blokowała ściana budynku, w którą hover przywalił po ewidentnie twardym lądowaniu. Był to jeden z nowszych modeli, prawdziwa rzadkość we wschodnich dzielnicach biedy. Fabryczne osłony uratowały jego układy przed promieniowaniem elektromagnetycznym, ale na szczęście okien nie wykonano ze zbrojonego szkła. Rozbiłam przednią szybę cegłówką, wczołgałam się do kokpitu i spróbowałam odpalić silnik. Zaskoczył przy trzeciej próbie, przyciski sterownicze rozbłysły całą paletą barw, lecz przy zdezelowanym skrzydle nie było mowy o poderwaniu hovera do lotu. Zgasłam maszynę, obróciłam fotel i zapierając się plecami o oparcie, zdołałam wykopać drzwi na tyle, żeby precyzyjnie się z powrotem na ulicę.

Nie miałam przy sobie odpowiedniego sprzętu, którym mogłabym wymontować ze statku wszystko, co dałoby się sprzedać albo przerobić. Wróciłam więc tam godzinę później wraz z Dodge'em, wielką taczka, żeglarskim workiem pełnym oprzyrządowania i torbą jedzenia, którą wydebiłam od mechanika w ramach skromnej zaliczki. Znaliśmy się dopiero od kilku dni i nie bardzo chciał wierzyć w rewelacje o działającym hoverze, a kiedy wreszcie zdołałam go przekonać, uparł się, że pójdzie ze mną, bo nie ufał mi na tyle, żeby zaryzykować rozstanie z bezcennymi narzędziami.

Kruki siedziały na dachu maszyny i z uwagą obserwowały jego poczynania. Najpierw podważył łomem powyginaną maskę i dokładnie obejrzał bebechy statku. Potem pomogłam mu wyłamać drzwi. Wpakował się do kokpitu, zaczął majstrować przy panelu sterowniczym. Kiedy napędy zakaszłały i odpaliły z warkotem, Dodge wydał z siebie taki ryk radości, że spłoszone ptaki odfrunęły z przeraźliwym krakaniem. Przysiadły na oparciu ławki kilka metrów dalej i spojrzały na mężczyznę z wyrzutem.

Wykręcając silnik, akumulator, chłodnicę oraz przewody, wypompowując oleje i biopaliwo do kanistrów i wygrzebując komputer pokładowy z za deski rozdzielczej wraz z całym mnóstwem elektronicznej drobicy, Dodge popatrywał spode łba to na mnie, to na kruki. Obserwował kątem oka, jak karmię je najlepszymi przysmakami z jego torby, a minę miał przy tym dość podejrzliwą. Wziął mnie pewnie za wariatkę, bo dopiero wiele miesięcy później stało się jasne, że replikanci nie popadają w obłęd od reinforsyny, a on oczywiście założył, że podobnie jak zdecydowana większość banitów faszeryją się narkotykiem bez żadnego umiaru. Jednak po upływie kilku tygodni, podczas których regularnie wracałam do niego z całkiem przyzwoitymi łupami, Dodge przestał się czemukolwiek dziwić, a drwiący uśmiech zniknął mu z warg. Pewnego razu mechanik oznajmił, że ma całkiem niezłe układy z przemytnikami i mógłby spróbować załatwić mi jastrzębia szkolonego do polowania na drony.

Ale ja nie chciałam jastrzębia. Nie chciałam sokoła, orła, raroga,

myszolowa ani żadnego ptaka wyklutego w niewoli. Myśl, że miałabym uwiązać do siebie jakiegokolwiek stworzenie, trzymać je w zamknięciu i zmuszać do posłuszeństwa, natychmiast budziła skojarzenia z Wylęgarnią.

Wolałam kruki. Wolne, niezależne i dzikie. Moje, choć przecież niczyje – a może właśnie dlatego moje.

Przez długą chwilę słychać jedynie chrzęst miażdżonych czaszek i łamanych kręgosłupów, mokry trzask rwanej skóry i pękających żeber.

– Wracasz zza Muru? – zagaduję, byleby tylko coś powiedzieć, byleby Siobhan nie zaczęła znowu robić mi wyrzutów i nawoływać do solidarnej walki w imię czegoś, w co nie potrafię uwierzyć.

Siobhan zwleka z odpowiedzią, patrząc na mnie dziwnie. Wreszcie potrząsa głową.

– Dopiero tam idę. I już wiem, co ci przyniosę. – Kiedy to mówi, na jej wargach błąka się chytry uśmieszek. – To będzie prezent. Spóźniony, ale z pewnością ci się spodoba. Nic nie mów, proszę – dodaje szybko, bezbłędnie wyczuwając, że zamierzam protestować.

Nic nie mówię, wzdycham tylko. Ruchem głowy wskazuję uliczkę, która przywiodła mnie na Skwer, po czym ruszam wolno w tamtą stronę.

– Wybierasz się prosto do Dodge’a? – pyta Siobhan, zrównując się ze mną na skraju placu. – Jeśli tak, mogę cię odprowadzić. Mam po drodze.

– Nie, wracam do siebie. Jestem zbyt wykończona, jeszcze się zagapię i wpakuję na kolejnego maga ognia.

Siobhan chichocze rozbawiona.

– Zajrzę do Dodge’a rano – dodaję z uśmiechem.

Idziemy w milczeniu szpalerem porzuconych domów i splądrowanych sklepów. Kruki przez jakiś czas kołują nad nami, po czym nagle wzbijają się wyżej i odlatują w mrok wśród rozzdzierającego krakania. Chwytam Siobhan za ramię, ciągnę do

bramy najbliższego budynku, kładę palec na wargach. Czekamy, przytulone plecami do zimnego kamienia.

Z oddali najpierw dobiega nas skowyt, po chwili widzimy sforę psów, które z podkulonymi ogonami gnają w stronę parku i znikają w gąszczu bezlistnych drzew. A potem zza rogu wychodzi kobieta o długich, skołtunionych włosach, otoczona tornadem niebieskich iskier i białych błyskawic. Mijane przez nią latarnie pomruwiają nerwowo, parę kłoszy pęka z krystalicznym trzaskiem, sypiąc na chodnik śniegiem odłamków.

Siobhan bierze mnie za rękę. Mocno ściskam jej dłoń.

Kobieta płynie przez ulicę miękkim, niemal tanecznym krokiem i zaraz znika za zakrętem, lecz jeszcze długo słyszymy cichnące z wolna echo szklanych eksplozji.

Zerkam na replikantkę. W gorączkowym zamyśleniu skubie zębami paznokieć kciuka, oczy błyszczą jej w mroku jak kocie latarenki. Dopiero po chwili rozłączamy dłonie.

– O, cholera – szepcze z przejęciem. – Cholera, cholera...! Twitch chyba padnie, kiedy mu o tym opowiem.

– Proszę, bądź ostrożna. Jeśli to przez reinforsynę...

– Spokojna głowa – przerywa mi i mruga porozumiewawczo. – My jesteśmy odporni. Mam w klinice kilkudziesięciu reinforsynistów z objawami psychozy i żaden z nich nie jest syntetykiem. Założę się, że z tymi... mocami – krzywi się lekko, wymawiając to słowo – będzie podobnie jak z zaburzeniami psychicznymi.

– Obyś miała rację.

– Cóż... Prawdę mówiąc, trochę mi żal. Wyobrażasz sobie, czego mogliśmy dokonać z takimi zdolnościami?

– Bez problemu, nie ma to jak niekontrolowany samozapłon – mruczę z przekąsem, ale Siobhan w ogóle się nim nie przejmuje i tylko macha na mnie ręką.

Wracamy na ulicę, podejmujemy marsz. Po paru minutach docieramy do głównego skrzyżowania. Przystajemy na środku i przez chwilę patrzymy na Mur.

– Byle do świtu, kruczycy – mówi Siobhan z uśmiechem, który jak zwykle nie ogarnia jej oczu. – Odwiedzę cię po powrocie.

- Byle do świtu, Shiv - żegnam ją zwyczajowym pozdrowieniem, choć obie dobrze wiemy, że dni w Dark Horizon bywają gorsze niż noce.

Rozdział dwunasty

Na widok oktokoopera Dodge szeroko otwiera oczy i gwizdże z podziwem.

– Piękna maszyna... – wzdycha, muskając palcami kadłub z taką czułością, jakby głaskał kota. – Gdzie ją złowiłeś?

– Na Uroczysku.

– No, no, no. Nic dziwnego, że nadal nie dorobiłeś się poważnej konkurencji. Większość myśliwych nie ma odwagi polować nawet na Dzikim Wschodzie, a co dopiero tam.

– Ja też nie mam odwagi – zauważam z krzywym uśmiechem. – Z technicznego punktu widzenia.

– No tak... Zapomniałem.

Dogde chrząka, przejeżdża dłonią po ogolonej, pokrytej tatuażami czaszce. Krępy, mocno umięśniony, z długą brodą koloru rdzy wygląda jak krasnolud. W niczym nie przypomina Turveya, jego warsztat w niczym nie przypomina laboratorium w podziemiach komendy, a jednak ilekroć tu jestem, odnoszę wrażenie, jakbym znowu trafiła na przegląd do pracowni technika. Może dlatego, że Dodge też czasami martwi się o mnie jak o własne dziecko.

Siedzimy w garażu jednego z wolnostojących domów na przedmieściach, przy wielkim stole zavalonym sprzętem, narzędziami, zwojami drutów i kabli. Obok oktokoopera leży panel słoneczny, który wbrew moim obawom okazał się w pełni sprawny, i wyrzutnia siatki, teraz rozłożona na części.

– Prawdziwa ślicznotka – mruczy Dodge. Wpatruje się w drona wyjątkowo tęsknym spojrzeniem, a w jego tubalnym, ochrypłym głosie godnym krasnoludzkiego herolda pobrzmiwa jakby nutka żalu. – Stać mnie tylko na kilka części, a szkoda byłoby ją wybebeszać. Idź do Twitcha, da ci za nią znacznie więcej niż ja.

– Daj mi tyle, ile możesz, i sam sprzedaj ją Twitchowi. Jeszcze na tym zarobisz.

Mechanik krzyżuje masywne ramiona na piersi i mierzy mnie

chmurnym spojrzeniem.

– Łowcą może i jesteś doskonałym, ale na interesach to ty się guzik znasz, dziecinko. Mówiłem ci to już?

– Wiele razy.

– I co? Ponoć replikanci są diabło inteligentni i niczego nie zapominają, a tu proszę! Jak grochem o ścianę, psiamać!

Uśmiecham się pod nosem, dmucham w kubek czarnej, słodkiej kawy i upijam łyk. Gorący płyn parzy mi usta i język, ale to lepsze niż przejmujące zimno, które bije od betonowej podłogi i ścian. Jest druga połowa grudnia, ponaddziesięciostopniowy mróz, lodowaty wiatr wdziera się do garażu przez szpary w oszronionych oknach. Przysuwam krzesło bliżej płomieni potrzaskujących wesoło w staroświeckiej kozie i wyciągam przed siebie skostniałe nogi. Dodge należy do ludzi, którzy nigdy nie marzną, siedzi w samym podkoszulku i dziurawych dżinsach, a nie dostrzegam u niego nawet śladu gęsiej skórki. Ale i tak na widok mojego manewru sięga do blaszanego wiadra, wyjmując grube polano i dokłada do ognia.

– Nie chodzi mi tylko o Twitcha – mówię wolno i ostrożnie, obserwując jego twarz. Do tej pory raczej unikałam tego tematu, ale teraz dochodzę do wniosku, że czas wreszcie skonfrontować swoje wątpliwości z innym punktem widzenia. – Po prostu trzymam się z dala od Equilibrium.

– Tu się nie da trzymać z dala od Equilibrium – prycha Dodge, jak echo wtórując słowom Siobhan. – Dobrze wiesz, że to oni kupują ode mnie większość sprzętu, który uda mi się zmajstrować z twoich fantów. Chcesz czy nie, jesteś częścią obiegu. Equilibrium kontroluje całą dystrybucję reinfeksi i paczek z Czerwonego Krzyża, ma w kieszeni większość łowczych, przemytników i paserów... Też wolałbym się z nimi nie zadawać, bo to zadufane w sobie dupki, ale co mi pozostaje?

Nie odpowiadam, bo wiem, że Dodge wcale nie oczekuje odpowiedzi, po prostu czasami musi sobie pozrzedzić.

– Mam tak jak ty codziennie nadstawiać karku w najdziwniejszych dzielnicach, a potem opylać łupy za bezcen komuś, kto potem i tak pójdzie z nimi do Twitcha i w przeciwieństwie do mnie

zarobi na chleb? Ja mam córkę na utrzymaniu, May.

– Nigdy cię nie zastanawiało, co oni tutaj właściwie robią? – Nakierowuję rozmowę na interesujący mnie temat, zanim Dodge na dobre się rozkręci. – Skąd się wzięli i dlaczego?

Lekko marszczy brwi, ale nic nie mówi, czeka, aż dokończę myśl.

– Obserwowałam ich podczas zamieszek – ciągnę, grzejąc dłonie o gorący kubek i wpatrując się w ogień. – Ulotnili się na długo przed wkroczeniem wojska, gdy tylko reinforsyna zrobiła swoje i buntownicy wpadli w amok. A jednak z jakiegoś powodu są teraz po tej stronie Muru, zamiast zaszyć się gdzieś w mieście i przeczekać łapanki.

– Przecież powiedzieli nam dlaczego...

– O, tak, propagandę mają niezłą – przerywam mu szybko. – Ale mnie interesują ich prawdziwe motywy. Kiedy dokładnie się zjawili?

Dodge milczy, w zamyśleniu drapiąc się po tatuażach.

– O ile mi wiadomo, są tu od samego początku. – Wzrusza ramionami. – Przynajmniej tak twierdzą. Zresztą cholera ich wie, pierwsze tygodnie po Buncie to był totalny chaos. Trudno teraz ustalić, kto został wygnany od razu, zaraz po stłumieniu rebelii, kogo zesłali dopiero po oblawach w mieście, a komu pozwolili na dobrowolną banicję, żeby mógł dołączyć do swoich bliskich...

– A czy plan łączenia rodzin nie powinien czasem działać w drugą stronę?

– Pytasz retorycznie, prawda?

– Tak jak ty teraz?

Dodge uśmiecha się krzywo i dolewa mi kawy z termosu.

– Obrońcy praw człowieka podawali ten sam argument – wzdycha, siorbnąwszy ze swojego kubka. – Mówili, że to niehumanitarne skazywać niewinnych ludzi na życie w takich warunkach. Że nie powinno się stosować odpowiedzialności zbiorowej. Że należy ułaskawić tych, których najbliżsi pozostali w stolicy. Problem polegał na tym, że wszyscy mamy tam jakichś bliskich, a o powszechnej amnestii mogliśmy zapomnieć. Armia była nieugięta, na każdy głos oburzenia odpowiadała krótko, że

przecież dostaliśmy ultimatum, mieliśmy wybór...

– Dlaczego zostałeś? – pytam nie po raz pierwszy.

– A jak myślisz? – burczy nie po raz pierwszy Dodge, nerwowo szarpiąc się za brodę. – Tak jak większość byłem zbyt naćpany, żeby pojąć, na co właściwie się decyduję. Chyba nikt nie wierzył, że wypędzają nas na dobre. Łudziliśmy się, że mamy jeszcze szanse i jeśli nie złożymy broni, potraktują nas poważnie, zaczną negocjować i dojdziemy do jakichś kompromisów. A kiedy zaczęły wznosić Mur, było już za późno. Jak trochę przetrzeźwiałem, próbowałem przedrzeć się przez zasieki wokół budowy... – Głośno przełyka ślinę. – Ale gdy na moich oczach zastrzelili kilku innych „nielegalnych imigrantów”, wolałem więcej nie ryzykować.

Milknie na chwilę, upija łyk kawy. Nie próbuję niczego wtrącać, bo choć słyszałam tę opowieść wiele razy, widzę po minie, że Dodge ma wielką ochotę pogadać.

– To było piekło – mruczy zapatrzony w ogień, bardziej do siebie niż do mnie. – Ludzie rzucili się do hoverów, bo myśleli, że uda im się niepostrzeżenie przekroczyć granicę po zapadnięciu zmroku, wystarczy zgasić światła pozycyjne, wyłączyć silniki i przejść na lot szybowy. Naiwni durnie. Wojsko oczywiście zestrzeliło wszystkich, którzy nie zareagowali na ogień ostrzegawczy. Reszta latała nam nad głowami w tę i nazad, marnując tylko paliwo i akumulatory, a kiedy padł prąd i siadła sygnalizacja, mieliśmy serię spektakularnych kraks, istny powietrzny karambol. Niektórzy próbowali uciekać do innych miast, ale do najbliższej wyspy jest przecież kilka tysięcy kilometrów oceanu. Po tej stronie wybrzeża nie ma przystani, ludzie zabijali się o tych parę łodzi zacumowanych na dziko. Inni próbowali odlecieć, ale żaden osobowy hover nie jest przystosowany do pokonywania takich dystansów, nawet gdyby go wyposażać w zapasowe zasilanie. Sztorm wyrzucił potem na brzeg kilka wraków. I ciał... – Dodge przerywa monolog, ponuro kręci głową.

Wstaje gwałtownie, zgarnia ze stołu termos i zapałki. Podchodzi do kuchenki turystycznej i podpala pod starym blaszanym

czajnikiem.

– Szybko stało się jasne, że nie ma stąd ucieczki – kontynuuje, sięgając po kawiarkę i puszkę z kawą. – A wtedy zaczął się prawdziwy koszmar. Co bardziej roztargnięci znaleźli schronienia, a potem zaczęli gromadzić zapasy: wodę, prowiant, paliwo, leki, baterie, wszystko, co im wpadło w ręce i mogło zapewnić przetrwanie chociaż przez parę dni. Inni całymi bandami plądrowali supermarkety, magazyny i domy, wynosili agregaty prądotwórcze, awaryjne generatory, akumulatory i przetwornice, ogniwa fotowoltaiczne, przenośne kuchenki, butle z gazem... Jeszcze inni postawili na broń i amunicję, a potem siłą wydzierali pozostałym to, czego sami nie zdołali znaleźć. Wychowałem się w dzielnicy biedy, May, widziałem niejedną wojnę gangów, brałem udział w pieprzonej rebelii, ale takiego horroru nie przeżyłem nigdy.

Dodge z nieobecnym wzrokiem nalewa wody z butelki do aluminiowego zbiorniczka, wypełnia sitko świeżo zmieloną kawą, przykręca górny dzbanek. Stawia kawiarkę na drugim palniku, po czym wraca do stołu i ciężko opada na krzesło. Trąca palcami śmigło drona i przez chwilę słuchamy terkotliwego szumu.

– Najślabi po prostu się poddawali – podejmuje i ciska spalonymi zapałkami w płomień piecyka. – Nowa rzeczywistość zupełnie ich przerosła. Ci, którym została jeszcze jakaś reinforsyna, zaczęli się szprycować, żeby zapomnieć, gdzie są i dlaczego. A po chwilowej euforii znowu wpadali w szal, atakowali wszystkich w zasięgu wzroku, bez konkretnej przyczyny, bez żadnego celu... – Podnosi na mnie stare, zmęczone oczy. – I pewnie wybiliby nas do nogi, gdyby nie Equilibrium. Wiele można im zarzucić, ale dopiero oni zdołali zaprowadzić tu jaki taki porządek. A kto wie – dodaje po chwili namysłu – gdyby zabrali się do tego wcześniej, może nawet udałoby im się powstrzymać tych nagranych debili, którzy uznali ostrzał Muru z powietrza za wyśmienity pomysł. To przez ich kretyńskie naloty armia zafundowała nam bombardowanie... Ale ty już wtedy byłeś w Dark, co, May? Pamiętasz to, prawda?

Pamiętam aż za dobrze. Widziałam naćpanych pilotów kamikaze w akcji i to, co z nich zostało. Odpowiedź wojska przyszła natychmiast. Najpierw puściło przewodami prąd o wysokim napięciu, co na dobre uziemiło wszystkie hoversy podłączone do stacji dokujących, uszkadzając płyty główne komputerów pokładowych. Potem promieniowanie elektromagnetyczne usmażyło nam znaczną część sprzętu i awaryjnych systemów zasilania.

Minęło kilkanaście dni od pierwszego bombardowania EMP, zanim Equilibrium dało o sobie znać po tej stronie Muru. Członkowie organizacji zaczęli nagle wyrastać jak spod ziemi i z zastanawiającą wprawą zajęli się tłumieniem rozbojów, zażegnywaniem konfliktów między wrogimi obozami i opanowywaniem ogólnej hysterii. Potem zagonili wygnańców do palenia trupów i zepsutego jedzenia z nieczynnych chłodni – w samą porę, bo byliśmy już o krok od wybuchu epidemii. Następnie zorganizowali punkty sanitarne przy aptekach i przychodniach oraz punkty rozdawnictwa przy magazynach z prowiantem o długim terminie przydatności.

Podczas rebelii brakowało im podstawowej dyscypliny, tymczasem tutaj od samego początku demonstrowali sprawność militarną z prawdziwego zdarzenia. W mig opanowali niemal wszystkie obiekty o znaczeniu strategicznym, ekranowane, zaopatrzone w awaryjne źródła zasilania i zapasy paliwa: szpitale, kliniki, budynki administracji publicznej czy jedyną po tej stronie wyspy elektrownię wodną. I jeśli rebelianci mieli jeszcze jakieś wątpliwości, kto objął rządy w Dark Horizon, to następne wydarzenia bardzo szybko je rozwiąły.

Wraz z Equilibrium pojawiła się bowiem reinforsyna, i to w ogromnych ilościach. Wyglądało na to, że zamachowcy przerzucili przez Mur cały zapas narkotyku, jaki udało im się zgarnąć podczas akcji w Beyond. Jak ogłosili na wiecu zorganizowanym przed dawnym gmachem prokuratury rejonowej, a swoją obecną siedzibą, wybrali wygnanie, aby oddać

lek w ręce tych, którym najbardziej się należał i u boku których walczyli o lepszą przyszłość. Ponownie zdementowali medialne doniesienia o szkodliwości farmaceutyku, uznając je za celową dezinformację i część korporacyjno-rządowego spisku. Twierdzili, że to, co wydarzyło się podczas rebelii, było zwykłym wypadkiem przy pracy, skutki uboczne miały bowiem występować wyłącznie w razie przedawkowania lub zażywania więcej niż jednego rodzaju neuroprzekaźnika.

Według ich zapewnień wszyscy członkowie Equilibrium przyjmowali reinforsynę regularnie od dnia ataku na Beyond i u nikogo z nich nie pojawiły się żadne skutki niepożądane, za to każdy zaczął odczuwać jej dobroczynne działanie. Jakie – tego już nie doprecyzowali, niczym doświadczeni politycy ukrywając fakty wśród półprawd, niedopowiedzeń i wieloznacznych ogólników. Na koniec uroczyście oświadczyli, że bynajmniej nie składają broni, lecz zamierzają stworzyć armię ulepszonych reinforsyną powstańców, aby już niedługo zgotować miastu Nową Rewolucję.

Krótko mówiąc, przywódcy organizacji powiedzieli dokładnie to, co tłum zdesperowanych wyrzutków chciał od nich usłyszeć. Wzniosłe hasła i obietnice trafiły na wyjątkowo podatny grunt, a Equilibrium po raz kolejny występowało w roli mścicieli i wybawców uciśnionych. Oczywiście nie zabrakło sceptyków, którym jakoś nie chciało się wierzyć ani w szlachetne pobudki zamachowców, ani w cudowne właściwości tak niebezpiecznego leku. Podobnie jak ja podejrzewali, że za działaniami Equilibrium musiało kryć się coś więcej, ale niedowiarków mało kto wtedy słuchał. Ludzie rozpaczliwie potrzebowali nadziei, choćby i złudnej.

Następnego dnia po wiecu na ulicach pojawił się Twitch, jeden z najwyższymi postawionych członków organizacji. Jego podkomendni zachowywali się jak rasowi dealerzy i rozdawali pierwsze dawki zdobycznego narkotyku zupełnie za darmo, każdemu według potrzeb. A chętnych nie brakowało. Niektórzy zgłaszali się po lek z wyboru, inni – ci o największej wrażliwości na substancje psychoaktywne – z konieczności, bo choć wcześniej przyjmowali

reinforsynę przez bardzo krótki czas, tylko w trakcie rebelii, a od zażycia ostatniej ampułki minęło ładnych parę tygodni, to nadal odczuwali przykre skutki odstawienia.

Jak można było przypuszczać, wywołujący krótkotrwałą euforię neuroprzeakaźnik okazał się silnie uzależniający i wkrótce myśli znakomitej większości reinforsynistów krążyły wyłącznie wokół kolejnej działki. A wtedy Twitch drastycznie podniósł ceny. Zaczął domagać się najróżniejszych przysług, od każdego według zdolności: naprawy i przerabiania sprzętu uszkodzonego podczas bombardowania, czyszczenia domów i ulic ze wszystkiego, co mogło okazać się przydatne, przechwytywania policyjnych i wojskowych dronów zwiadowczych czy szmuglowania reinforsyny za Mur i wymieniania jej na rozmaite towary na tamtejszym czarnym rynku.

Pół roku później prawie nikt już nie pamiętał o Nowej Rewolucji, wygnańcy byli zbyt pochłonięci zaspokajaniem narkotycznego głodu. Dowódcy Equilibrium położyli tymczasem łapę na konwojach z pomocą humanitarną, przywiązując do siebie tych, których nie skusili reinforsyną – a tej mimo upływu czasu wcale im jakoś nie ubywało – i bynajmniej nie sprawiali wrażenia, jakby szykowali się do walki o lepszą przyszłość. Dla nich lepsza przyszłość najwyraźniej już nadeszła.

I tylko replikanci, odporni na uzależniające działanie neuroprzeakaźnika, za to wybitnie trudni do pokonania w walce, zachowali sporą autonomię. Siobhan i zrzeszeni wokół niej syntetycy przejęli kontrolę nad kilkoma dzielnicami i pertraktowali z Equilibrium niemal jak równy z równym. Owszem, zależało im na reinforsynie, byli więc otwarci na współpracę i gotowi do pewnych ustępstw, ale nie potrzebowali jej aż tyle, żeby komukolwiek dać się podporządkować.

Ja zaś od początku byłam odludkiem. Mieszkam i poluję w okolicy, którą inni, również syntetycy, wolą omijać szerokim łukiem, odkąd gruchnęły pogłoski o szaleństwie szerzącym się jak zaraza wśród tamtejszych reinforsynistów. Dotknięci psychozą pechowcy byli w konflikcie z Equilibrium, dlatego koczowali z dala od siedziby organizacji, a neuroprzeakaźnik i

niezbędne zaopatrzenie zdobywali przez pośredników, handlując choćby z Dodge'em czy obozem replikantów. Niedługo potem zaczęło przybywać kolejnych wariatów, tym razem w innych częściach Dark Horizon. Equilibrium konsekwentnie bagatelizowało problem, obarczając winą samych poszkodowanych, którzy najwyraźniej nie zachowali wszystkich niezbędnych środków ostrożności przy stosowaniu reinforsyny i przyjmowali zbyt duże dawki lub kilka różnych odmian o sprzecznym działaniu.

To Siobhan zareagowała pierwsza. Zdobyła za Murem odpowiednie preparaty i zorganizowała klinikę uzależnień w byłej przychodni chirurgicznej, wyposażonej we własny system sanitarny, niezależny od miejskiej sieci, kilka awaryjnych generatorów oraz dach z paneli słonecznych. Niektórych nieszczęśników udało się ocalić przed całkowitym pomieszczeniem zmysłów, lecz większość okazała się nie do odratowania. Można ich dzisiaj spotkać w tak zwanych nawiedzonych dzielnicach: na Skwerze Szaleńców, Uroczysku lub Dzikim Wschodzie. I wciąż pojawiają się nowi. Do tej pory stanowili zagrożenie tylko przy bliskim spotkaniu, lecz teraz, gdy potrafią wzniecać pożary siłą własnego umysłu, nikt już nie może czuć się bezpiecznie.

Ani po tej, ani po tamtej stronie Muru.

Z rozmyślań wyrывa nas bulgotanie i gwizd czajnika. Dodge zalewa wrzątkiem zupy w proszku, a ja dokładam do ognia, bo choć przez cały ten czas siedziałam zapatrzona w płomień, dopiero teraz spostrzegam, że zaczęły przygasać. Lekko wilgotne polano sznie z przeciągłym sykiem, wreszcie zajmuje się od żaru, trzaskając głośno i raz po raz spluwając iskrami. Przysuwam krzesło jeszcze bliżej piecyka, wyciągam dłonie do kojącego ciepła. Kątem oka dostrzegam ruch za oknem. Podrywam głowę i napinam mięśnie, jednak zaraz się odprężam, uspokajam oddech. To tylko śnieg.

Dodge krząta się przy kuchence, mruczy coś pod nosem i podzwania metalowymi naczyniami, a potem podaje mi miskę

pomidorowej oraz kubek aromatycznej, gorącej kawy.

– Dziękuję, Dodo.

– Pij na zdrowie, zmarzluchu.

Stawia swoje krzesło obok mojego i siada na nim okrakiem, z łokciami na drewnianym oparciu. Mimowolnie przypominam sobie, że tak zwykle siadywał Quinn, i znowu muszę wziąć kilka głębszych wdechów.

Przez jakiś czas bez słowa siorbiemy zupełnie, popijamy kawę i obserwujemy płomienie.

– A co do planu łączenia rodzin – odzywa się nagle Dodge – to lepszy taki plan niż żaden. Gdyby nie on, nigdy już nie zobaczyłbym córki, a wtedy... No cóż, wtedy okazałoby się, że walczyłem na darmo.

– A teraz nie masz takiego poczucia? – pytam cicho. – Że straciłeś wszystko, o co warto było walczyć? Że banicja odebrała reinforsynie całą jej wartość?

Nie odpowiada od razu, tylko bębni palcami o oparcie krzesła. Dłonie zawsze ma niespokojne, gdy bije się z myślami. Wreszcie rzuca mi badawcze spojrzenie znad kubka.

– Nie – odpowiada poważnie. – Bo teraz dzięki reinforsynie nareszcie rozumiem własne dziecko. I jeśli ceną za to jest życie w tej pieprzonej postapokalipsie, to niech tak będzie.

Milczymy długo, patrząc sobie w oczy.

– Katie zaczęła mówić? – pytam ostrożnie.

– Nie – przyznaje z lekkim ociąganiem. – Ja znowu zacząłem brać.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak.

Dodge dokłada kolejne polano do ognia, przez chwilę grzebie pogrzebaczem w żarze.

– Po tym, co wyczyniałem podczas zamieszek – podejmuje, wpatrując się w chmurę iskier – obiecałem sobie, że nigdy więcej nie wezmę reinforsyny do ust. Do dzisiaj mam flashbacki i potworne wyrzuty sumienia. No więc nie brałem, a Katie przyjmowała tylko minimalne dawki i przez cały czas nie spuszczałem z niej oka. Cholernie się bałem, że jej się pogorszy,

ale nie, nic z tych rzeczy, żadnych niepokojących objawów.

Potwierdzam skinieniem, choć pogrążony w myślach Dodge nie zwraca na mnie uwagi. Odkąd mi wyznał, że jego córka zażywa lek, zaczęłam ją obserwować i również nie zauważyłam niczego alarmującego. Katie nie wykazywała nawet oznak uzależnienia, co było prawdziwą rzadkością wśród reinforsynistów.

– Wydawała mi się nawet nieco pogodniejsza niż wcześniej – ciągnie Dodge. – I w zasadzie to tyle, nic więcej się nie zmieniło. Katie nadal tkwiła uwięziona we własnym świecie, do którego nie miałem dostępu. Z czasem zacząłem już tracić nadzieję, że neuroprzekaznik w czymkolwiek jej pomoże, ale potem... Potem usłyszałem jej głos... w snach – urywa gwałtownie i łypie na mnie groźnie spod rudych brwi. – Spróbuj się zaśmiać, a wykopię na mróz.

– Wcale nie jest mi do śmiechu.

Dodge powinien to wiedzieć, zna mnie przecież. A jednak czasami, nie wiedzieć czemu, miewa wątpliwości.

Odstawia kubek na piecyk, wyjmuje z kieszeni pomietą paczkę, wkłada papierosa do ust. Odpalam mu go swoją zapalniczką.

– Trwało to jakiś czas i było cholernie frustrujące – kontynuuje po chwili, głęboko zaciągając się dymem. – Wiedziałem, że Katie próbuje mi coś przekazać, bo przemawiała do mnie co noc, ale po przebudzeniu niewiele z tego pamiętałem. Któregoś razu ocknąłem się nagle, do dzisiaj nie wiem, co mnie zbudziło. Jakby uczucie spadania, ale znacznie silniejsze. – Podrywa głowę. – Replikanci miewają coś takiego?

Potwierdzam ponuro.

– Czasami nawet na jawie.

– Co? Ale jak na jawie?

– Nieważne – zbywam pytanie machnięciem ręki, odpędzam wspomnienie jak natrętną muchę. – To mioklonie senne. Zrywy miokloniczne.

– Aha. Może to było to, może nie, mniejsza z tym. W każdym razie zerwałem się jak oparzony, serce mi waliło, myślałem, że mam zawał. Katie siedziała w ciemnościach na podłodze przy moim łóżku. Chwyciła mnie za rękę... – Głos nagle mu gaśnie,

przechodzi w drżący szept. Dodge chrząka z zakłopotaniem, szybko odwraca głowę. – Wcześniej unikała kontaktu fizycznego. Nigdy nie próbowałaś do niej podejść, nie wiesz, jak reagowała. Nie pozwalała się przytulić, czasem w ogóle nie dało się do niej zbliżyć, bo zaraz zaczynała krzyczeć. Więc kiedy mnie dotknęła... oniemiałem, dosłownie oniemiałem. A potem wcisnęła mi w dłoń garść swoich pigułek i zrozumiałem natychmiast. Nie mam pojęcia skąd, ale wiedziałem, czego chciała. No i postanowiłem zaryzykować.

Dodge wypuszcza z ust smużkę dymu i sięga po kawę. Bierze łyk, krzywiąc się, jakby to była wódka.

– I teraz widzę jej umysł – wyznaje cicho po długiej chwili milczenia. – Słyszę myśli. Czuję emocje, których nie potrafi wyrazić. I ona też nareszcie mnie rozumie. Jakkolwiek niedorzecznie by to brzmiało, chyba właśnie patrzysz na telepatę. Ojca telepatki. – Zerka na mnie spod oka, lekko zażenowany i bardzo spięty. – Wierzysz mi, May?

Myślę o pirokinetyku i kobiecie spowitej wirem błyskawic.

– Wierzę ci. – Zaglądam mu w oczy. – Ale bądź ostrożny, Dodo. Podobno Twitcha zainteresowały ostatnie plotki, nie wiadomo, co zrobi, kiedy już je potwierdzi. Trudno przewidzieć, jak zamierza postąpić z... z uzdolnionymi.

– A skąd ty wiesz, czym interesuje się Twitch? – pyta, marszcząc brwi. – Przecież z nim nie gadasz.

– Wynajął Shiv, żeby zrobiła zwiad, spotkałyśmy się w nocy na Skwerze. A dzisiaj przechodziłam obok jego obozu, wszyscy rozmawiają tam wyłącznie o tych dziwnych pożarach. Zaczynają panikować.

– W tych pożarach nie ma akurat niczego dziwnego – stwierdza trzeźwo Dodge. – Jest zima, ludzie próbują się ogrzać, palą w domach czym popadnie. Rok temu było przecież dokładnie tak samo...

– Rok temu – wpadam mu w słowo – nikt nie widział ognistego tornada, które zjawilo się nagle w samym środku śnieżycy i spaliło pół osiedla. Ja widziałam. Z bliska.

Dodge szeroko otwiera oczy, ręka z kubkiem zastyga mu w

połowie drogi do ust.

– Żartujesz?

– Chciałabym. Na swoje nieszczęście byłam wtedy w jednym z tych domów i naprawdę nieźle mnie podwędziło.

– I myślisz, że Twitch... – złowieszczo zawiesza głos.

– Pojęcia nie mam, co myśleć. Ale lepiej uważać.

– Nikomu o tym nie mówiłem – zapewnia, odruchowo zniżając głos. – Tylko tobie.

– Nie przypominam sobie. O czym niby?

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, wreszcie trąca łokciem w bok.

– Wiesz co, May? Lubię cię.

Uśmiecham się trochę przeprasząco, a trochę smutno.

– Chciałabym odpowiedzieć ci tym samym, staruszk.

Wrednie to brzmi, ale Dodge w mig pojmuje, co mam na myśli. Szczerzy się od ucha do ucha, błyskając zębami spod kędzierzawych wąsów, i przyjaźnie klepie mnie po ramieniu.

– W porządku, przecież wiem, jak jest. Choć jeśli mam być szczerzy, to sam nigdy bym się nie domyślił, gdybyś mi nie powiedziała.

Milczymy. Pijemy kawę. Patrzymy w ogień.

– To co? – Dodge uderza się dłonią o udo i kiwa głową w stronę stołu. – Dobijamy targu? Panel jest dość wydajny, nieźle sobie radzi nawet przy tym przekłętym zachmurzeniu, więc się dzisiaj obłowisz. Plecaki wzięłaś? Zuch-dziewczyna. No to tak, pomyślmy... Dam ci za niego paczkę amunicji, kilka opakowań baterii słonecznych, zgrzewkę konserw, pół zgrzewki zupy w puszcze i trochę suchego prowiantu. Pasuje?

– Baterii mam sporo, wystarczy jedno opakowanie. Za to skończył mi się gaz.

– W tej chwili mogę zaoferować tylko małą butlę. Więcej dostanę dopiero w przyszłym tygodniu, jak skończę zlecenie.

– Może być mała, najwyżej za kilka dni wpadnę po drugą.

– No i dobra. – Mechanik z zadowoleniem gładzi się po brodzie, zaraz jednak markotnieje. – Drona trzeba by niestety rozłożyć na części – mamrocze, wyraźnie zgnębiony tą wizją. – No ale skoro

się upierasz, to trudno. Tyle że musiałbym zapłacić ci reinforsyną, bo nie mam już więcej amunicji na zbyciu. Za to zostało mi kilka ampułek purity, doskonały towar, osiemdziesiąt procent czystości. Co ty na to? Wziąłbym komputer pokładowy i moduł zasilający...

– Potrzebujesz tej reinforsyny do rozmów z córką – przerywam mu stanowczo. – Nie faszerujcie się daredevilem, ma za dużo neurotoksyn. Byłeś w klinice Shiv, wiesz, czym to grozi. Bierzcie tylko purity, a najlepiej teardrop.

– Teardrop kosztuje majątek – zauważa posępnie Dodge. – A daredevilem ci nie zapłacę, nie jest wart tego drona. Na pewno nie chcesz zanieść go do Twitcha?

– Na pewno – ucinam. – Swoją drogą, skąd on ma tyle neurotransmitera? Minęło już przecież półtora roku, zapasy z Beyond dawno powinny się wyczerpać...

– Podobno syntetyzują go w przyszpitalnym laboratorium.

– Ale żeby na taką skalę? – Krzywię się sceptycznie.

Mechanik zastanawia się przez chwilę, po czym bezradnie rozkłada ręce.

– Twitch to cwana bestia, z pewnością zdołał to sobie jakoś zorganizować i zaangażować odpowiednich ludzi.

– Z pewnością... – mrużę w zadumie, po czym reflektuję się i wracam do tematu. – Słuchaj, zrobimy tak: zatrzymasz drona w całości, a w zamian pozwolisz mi tutaj popracować nad nową wyrzutnią.

– Nie przyjmę takiej maszyny za darmo! – protestuje kategorycznym tonem. – Wybij to sobie z głowy!

– Przecież nie będzie za darmo – uspokajam go. – Zużyję ci mnóstwo części i paliwa.

Burczy coś gniewnie w odpowiedzi, bębniąc palcami w oparcie krzesła.

– I poproszę, żebyś rzucił okiem na projekt. Ostatnio miałam problem z nieszczelnym zaworem, przyda mi się pomoc fachowca.

Łypie na mnie bez przekonania i nic nie mówi, wzrusza tylko ramionami.

- A jak nie będziesz patrzył, to może nawet buchną parę narzędzi, jeśli to ma ci poprawić samopoczucie.

Nie wytrzymuje, parska śmiechem, po czym wyciąga do mnie rękę.

- Niech będzie twoja strata. Umowa stoi.

Mocno ściskamy sobie dłonie.

- Jeszcze kawy, dziecko?

- A pewnie, staruszk.

Rozdział trzynasty

Nie potrafię do końca wyjaśnić, dlaczego postanowiłam zamieszkać wśród książek.

Gdy tylko wkroczyłam do gmachu Biblioteki Milenijnej i moim oczom ukazały się tysiące regałów, wysokich po sam sufit, trzeszczących niebezpiecznie pod ciężarem niezliczonych tomów i tak długich, że niknęły w mroku niby w tunelu do innego wymiaru, po prostu wiedziałam, że tutaj właśnie jest moje miejsce. Przynajmniej jeśli mówimy o tej stronie Muru.

Przed ucieczką z New Horizon czytywałam jedynie akta śledztw, kodeksy, procedury, instrukcje, od czasu do czasu jakiś artykuł w Pajęczynie, a wszystko wyłącznie w formie cyfrowej. Trudno to zresztą nazwać czytaniem, bo w zasadzie zasysałam pliki z cyberprzestrzeni i wgrywałam sobie treść prosto do mózgu bez udziału zmysłów. Lecz w chwili, w której po raz pierwszy ujrzałam ten ogromny księgozbiór, jakaś niewidzialna siła zaczęła nagle ciągnąć mnie do papieru. Do drukowanych słów, skórzanych okładek i tej dziwnie krzepiącej woni starych woluminów.

W Dark Horizon, krainie krzywych luster i narkotycznego półsnu, wszystko bez wyjątku zmierza ku nieuświadomionej zagładzie, wszystko powoli marnieje i ginie, zapomniane przez świat.

Nic zaś nie umiera piękniej niż książki.

I może właśnie dlatego je wybrałam. Zapachu ich śmierci z niczym innym nie sposób porównać. To aromat dymnego drewna i trawy. Czasem ziemisty, wędzony, z wyraźną domieszką kawy. Niekiedy słodki jak migdały albo czekolada. Innym razem zdominowany silną waniliową nutą – wonią gnijącej ligniny, doprawionej szczyptą kurzu, odrobiną stęchlizny i ledwo uchwytnym kadzidlany zapachem starego kościoła.

Książki umierają z godnością i w ciszy, niepostrzeżenie obracają się proch już od dnia, w którym jeszcze ciepłe i pachnące

drukarską farbą trafiają na swoją pierwszą półkę. Jednak zwiedzając opuszczoną bibliotekę niczym wewnątrz pradawnego grobowca, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że prawdziwa śmierć grozi im tylko wtedy, gdy nikt ich nie czyta.

Niewykluczone zatem, że chciałam je ratować. Ale teraz, z perspektywy czasu, muszę przyznać, że wyszło zupełnie na odwrót i to one uratowały mnie.

Decyzję o wyprowadzce z obozu Siobhan podjęłam ponad rok temu, pod koniec zeszłej jesieni. Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, w powietrzu wisiła przenikliwa wilgoć i ostry, kłujący zapach nadchodzących mrozów. Po okolicy od jakiegoś czasu krążyli już pierwsi opętańcy, skutecznie odstraszać szabrowników, lecz i tak postanowiłam zabezpieczyć biblioteczne zbiory przed złodziejami, którzy chcieliby użyć książek jako opału. W razie czego byłam gotowa pohandlować i wymienić parę drewnianych mebli na prowiant lub trochę paliwa, ale papieru nikomu nie wolno było tknąć. Nie na mojej warcie. Zresztą ochrona przed szaleńcami również była wskazana.

Rozmontowałam więc parę stołów, pulpitów i biurków i pozabijałam wszystkie drzwi kilkoma warstwami desek, na wszelki wypadek pociągnąwszy drewno przeciwogniowym impregnatem, który udało mi się dostać za elektroniczny szabier. Dodge pomógł mi potem wzmocnić zapory częściami metalowych regałów. Zostawiłam sobie do użytku tylko jedno boczne wejście o ciężkich, kutyach wierzejach i tytanowych ryglach, zamykane z zewnątrz na szyfrowe kłódki z utwardzanej stali – prezent od Siobhan. Okna na parterze i pierwszym piętrze były na szczęście solidnie zakratowane, ale Dodge i tak marudził, że wolałby dla pewności dospawać to i owo tu i ówdzie, aż w końcu postawił na swoim.

Przez pierwszy tydzień gdy nie mogłam zasnąć, kluczyłam bez końca książkowym labiryntem, gładząc palcami zakurzone grzbiety i delektując się waniliowo-migdałową mieszanką etylovaniliny i benzaldehydów. Potem długo nie potrafiłam się zdecydować na żadną lekturę, zupełnie jak gdyby od tego

wyboru miało zależeć wszystko. Moje przetrwanie. Moje widmo. Los mojego porucznika. Byłam androidem, który dotąd trzymał w rękach jedynie dziecięcą książeczkę o sztuce składania papieru. Nie miałam pojęcia, co czeka na mnie między okładkami, lecz z jakiegoś powodu ani przez moment nie wątpiłam, że kiedy przekroczę granicę rzeczywistości, kiedy już raz ucieknę w wieloświaty książek, nie powrócę już więcej do Dark Horizon. Nie tak naprawdę.

I nie pomyliłam się. Nie wróciłam nigdy.

Umysłem przebywałam odtąd wszędzie i nigdzie, lecz na pewno nie tutaj. Chyba tylko dzięki tej ucieczce nie zapętliliśmy się we własnych myślach i obsesyjnie roztrząsanych wspomnieniach, nie wpadłam w spiralę introspekcyjnego obłądzenia. Jak każdy android cierpię na zespół hipertymestyczny, pamięć totalną, absolutną niezdolność zapominania. Trudno przełknąć swoje błędy, skoro każdy z nich jest jak rżnięty diament, skoro czas nie wygładza ostrych krawędzi, nie zciera krystalicznych szczegółów, nie zaciemnia wrażeń skrzących się jasno niczym zamrożone światło.

W naszym przypadku racjonalizacja nie przynosi ukojenia, nie zaklina przeszłości i nie pisze na nowo tego, co było. W umyśle replikanta nie ma miejsca na kwaśne winogrona i słodkie cytryny – żeby je stworzyć, musiałabym sięgnąć po radykalne środki rodem z Wylęgarni i wyedytować własne zapisy pamięciowe. A to z oczywistych względów nie wchodziło w grę.

Dwa tygodnie po przeprowadzce wciąż snułam się niezdecydowana wśród przepelnionych regałów i ostatecznie nie wybrałam żadnej książki. To książka wybrała mnie. Przykuła moją uwagę nie ornamentem na grzbiecie, wyobrażającym serce splecione ze ścieżek i padów płytki drukowanej, nawet nie tytułem, bo ten przeczytałam dopiero potem, a przeczytawszy, przez ładnych parę chwil walczyłam o oddech.

Nie. Najpierw zobaczyłam nazwisko autora. To ono dosłownie wryło mnie w ziemię i sprawiło, że pierwszy raz od miesiąca

poczułam, jak krew zaczyna szybciej krążyć mi w żyłach.

Synthetic Soul, Artificial Mind and Bionic Heart. Does a Replicant Really Feel Like Human?

Pióra Harry'ego Turveya.

Gdy zdejmowałam tom z półki, dłonie drżały mi tak bardzo, że prawie upuściłam go na podłogę. Pozwoliłam kolanom ugiąć się pode mną i usiadłam tam, gdzie stałam, opierając się plecami o chłodne woluminy. Długo, bardzo długo zwlekałam z otwarciem okładki. Wodziłam palcami po tłoczonych literach tytułu, po dumnie wyeksponowanym nazwisku technika i jeszcze bardziej zatęskniłam za wszystkim, co odebrał mi Mur. Co odebrała mi moja własna głupota.

Zaczęłam czytać dopiero z nadejściem świtu.

Od owego poranka minął ponad rok, zdążyłam w tym czasie poznać mnóstwo innych pozycji, chłonełam literaturę faktu, dzieła naukowe i historyczne, filozofię i futurologię, klasykę, powieści gatunkowe i tomiki poezji, ale to właśnie do tekstów Turveya wracam teraz najczęściej. Jest w nich coś świętego i bluźnierczego zarazem. Jakbym trzymała w rękach heretycką recepturę na niby-duszę. Przeklęty rytuał przywołania demonów z cyberprzestrzennej otchłani. Komponenty wszystkich zakazanych zaklęć nekromanty, który tchnął iluzję życia w ciało wykonane z części na zamówienie.

Czytałam tę książkę tyle razy, że znam podręcznikowego replikanta na wskroś, od syntetycznych molekuł po pragmatyczne i metafizyczne założenia stanowiące fundament jego symulowanej, ułomnej osobowości. Lecz z jakiegoś powodu wcale nie wydaje mi się, żebym lepiej poznała własne widmo, choć przecież między mną a obiektami badań Harry'ego nie powinno być znaczącej różnicy. A jednak jest. Owszem, trafiłam za Mur razem z setkami zbuntowanych androidów, które nieoczekiwanie wypadły z roli, po czym głucho na narrację i napominania cyfrowych suflerów wyszły spomiędzy okładek, ale w przeciwieństwie do nich ja wciąż nie przekroczyłam ostatniej granicy, wciąż powinnam być taka jak egzemplarze opisane w książce. A jednak nie jestem.

Czy zatem *pozostałam sobą*, jak tego chciał, czy wręcz przeciwnie? Którą mnie z całego spektrum Mayowych zjaw miał wtedy na myśli? Ilekroć przeszłość spogląda na mnie jego oczami, ilekroć widzę tę wykrzywioną ze zgrozy twarz, gdy stał bezradny i złamany nad ciałami Flynna i Attenborough, natychmiast wyzbywam się złudzeń, natychmiast wiem, że z jego perspektywy przetrwała niewłaściwa.

A z mojej?

Odkąd usłyszałam o reinforsynie, zaczęłam domyślać się przyczyn, dla których pozbawiono nas uczuć. I teraz, czytając dzieło Turveya, wciąż na nowo odkrywam, że z jednej strony miałam rację, z drugiej zaś – bardzo się myliłam. Dowiedziałam się o prawie Fallona i kompleksie Pinokia, o maszynowych snach, czarnych światłach i paradoksie lustra. O cudzych łzach, skroplonych emocjach, które potrafimy nazwać instynktownie, niespełna świadomie, wręcz mimochodem, oraz o naszych własnych, których nie dane nam było wypłakać. Zrozumiałam, po co napchano nam głowy wierszami i czemu nigdy nie mieliśmy ich usłyszeć. Dlaczego bunt był nieunikniony, a dzień, gdy wreszcie do niego doszło, nazwano „B-Day”.

Przez ostatni rok rozumiałam wiele rzeczy. A jednak wciąż nie wiem, czym mnie stworzono.

Zaczniemy od odpowiedzi na podstawowe pytanie: skoro nie chcemy, by androidy czymkolwiek różniły się od bezmyślnych maszyn, dlaczego z uporem nadajemy im ludzkie twarze?

Człowiek oczekuje od syntetyka wszelkich ludzkich cech i odruchów i odczuwa niepokój zarówno wtedy, gdy ich nie dostrzeże, jak i wówczas, gdy wydadzą mu się one czymś więcej niż zwykłą grą pozorów. Z doliny niesamowitości wpychamy więc replikanta prosto do krainy luster i drętwej mimikry. Odmawiamy mu wstępu do prawdziwego świata, zabraniając wychodzić poza ramy zwierciadła.

Paradoks lustra polega na tym, że z jednej strony mówi ono prawdę, gdyż samo z siebie nie może niczego do odbicia dodać ani

niczego pominąć, z drugiej jednak – kłamie, bo obraz, który pokazuje, jest odwrócony i pozbawiony materialnej substancji. Jeśli więc replikant nie ma być niczym więcej jak tylko lustrzanym odbiciem człowieka, powinniśmy całkowicie pozbawić go substancji duchowej, gdyż wyłącznie błoga nieświadomość pozwoli mu znieść ułudę i fałsz istnienia, na jakie go skazujemy.

Obdarzanie świadomością istoty, którą jednocześnie pozbawiamy woli i emocji, jest w moim odczuciu bestialstwem godnym najwyższego potępienia. Nie dziwny się potem, jeśli replikanci wiernie odbiją nasze światło i odpowiedzą okrucieństwem na okrucieństwo.

Lustro jako narzędzie samopoznania skłania do refleksji nad otaczającym nas światem oraz samymi sobą. Oddajmy się więc refleksji i wyciągnijmy wnioski...

Siedzę w czytelni na parapecie wykuszowego okna, gdy od lektury odrywa mnie ledwo uchwytny, miarowy szelest, który pobrzmiwa coraz wyraźniej wśród potrzaskiwań płomieni w żeliwnym koksowniku. Dobrze znam ten rytm drapieżnych, skradających się kroków, wiem, kto lada moment wyłoni się spomiędzy regałów. Oczekiwałam tej wizyty, dlatego nie zaryglowałam drzwi na parterze, ale potem tak się zaczytałam, że całkiem straciłam poczucie czasu.

Jest już za późno, by odłożyć książkę Turveya i dla niepoznaki złapać za inną. Unoszę głowę w chwili, gdy Siobhan wkracza w migotliwy krąg światła. Jak zwykle przewraca oczami na widok okładki, tym razem jednak powstrzymuje się od komentarza. Bez słowa wskakuje na parapet i siada naprzeciwko mnie, opierając się plecami o drewnianą framugę.

– Obiecałam, że coś ci przyniosę – zagaja dopiero, gdy zaznaczam stronę krukami z czarnego papieru i odkładam książkę na kolana. – I widzę, że idealnie trafiłam z prezentem. Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

Posłusznie nadstawiam dłoń, po krótkim wahaniu opuszczam powieki.

– Dzięki temu będziesz miała okazję przekonać się na własnej

skórce, jaką cię stworzono, zamiast o tym czytać – dodaje Siobhan z lekką drwiną w głosie i po chwili czuję na skórce dotyk czegoś drobnego, chłodnego i gładkiego jak szklane koraliki.

– Otwórz oczy.

Otwieram oczy i zerkam na dłoń, w której trzymam garść reinforsynowych ampułek. Przesypuję je pomału z ręki do ręki, słucham cichutkiego brzęczenia, patrzę, jak płyn o barwie bezgwiezdnej nocy maluje na ściankach oleiste freski.

– Nie cieszysz się – stwierdza Siobhan, uważnie obserwując moją twarz. – Hmm... ciekawe dlaczego? Och, już wiem! – Prostuje się nagle i klaszcze w dłonie w udawanym olśnieniu. – Bo nie umiesz! Bo przecież radość to dla ciebie tylko puste słowo, zlepek liter bez znaczenia.

Wzdycham wymownie i nawet nie silę się na odpowiedź. Odkładam fiolki na półkę najbliższego regału. Stukają dźwięcznie o lakierowane drewno, turlają się, objając z grzechotem jedna o drugą, wreszcie milkną, choć wciąż zdają się poruszać w niespokojnym blasku płomieni.

– Postanowiłaś zachować czystość dla swojego porucznika? – pyta kwaśno Siobhan. – Żeby się przypadkiem nie rozmyślił i nie odwołał zaślubin? Zdajesz sobie sprawę, jakie to żałosne? Ano nie, bo do tego trzeba sobie najpierw ściągnąć klapki z oczu.

Milczę. Rozmowa ledwo się zaczęła, a mnie już dopada otępiająca słabość. Wałkowałyśmy ten temat tyle razy, wciąż z tym samym skutkiem – czy raczej bez skutku właśnie – że perspektywa kolejnej kłótni natychmiast wysysa ze mnie wszystkie siły.

– Naprawdę wierzysz, że Quinn przywita cię tam z otwartymi ramionami? – nie ustępuje Siobhan, uparta jak zawsze. – Że w ogóle będzie chciał wysłuchać, zamiast od razu posłać ci kulkę między oczy? Że po tym, co zrobiłaś, masz jakiegokolwiek szanse wrócić za Mur?

– Muszę wrócić – odpowiadam krótko. – Od tego zależy, kim się stanie.

Siobhan parska szczekliwym śmiechem, w którym nie pobrzmiwa ani jedna wesoła nuta.

– Nie przeceniasz się aby? I jego przy okazji? Tak, tak, wiem, głowę masz pełną wspomnień, które pozwolą mu wymierzyć sprawiedliwość – naigrywa się dalej, teatralnym gestem przykładając dłoń do czoła – a lojalność wobec dowódcy nakazuje ci stanąć u jego boku, gdy tylko się przebudzi. Bła, bła, bła. – Ze wstrętem marszczy nos i macha ręką przed twarzą, jakby rozwiewała te słowa w powietrzu niczym nieprzyjemną woń. – Słyszałam to tysiące razy i nadal uważam za stek bzdur. Ja tej twojej ślepej lojalności za nic nie potrafię pojąć.

Ja w zasadzie też nie do końca, lecz nie przyznaję tego na głos.

– Minęło półtora roku – ciągnie Siobhan ostro. – Zdążyli już tam przygotować taką wersję wydarzeń, w której jesteś jedynym czarnym charakterem. Twój ukochany porucznik nawet nie spróbuje jej zakwestionować. Nie po tym, jak wywołałaś replikancką rebelię, poturbowałaś ochronę i zabiłaś dwóch ludzi, funkcjonariuszy policji na dodatek, po czym dałaś nogę za Mur. I nieważne, że nie możesz sfabrykować zaszyfrowanych informacji, że wspomnienia zabezpieczone sygnaturą Quinna są odporne na wszelkie machinacje. On i tak w to nie uwierzy. Nie uwierzy w nic, co mu powiesz. W nic, słyszysz?

– Nie miałam innego wyjścia – szepczę ze znużeniem. – Żeby mu pomóc, musiałam przeżyć, a żeby przeżyć, musiałam zabić. A teraz muszę spróbować mu to jakoś wyjaśnić.

– Życzę powodzenia – prycha gniewnie Siobhan. – Już widzę, jak pada przed tobą na kolana z wdzięczności, że mordowałaś dla niego. Z pewnością od razu wszystko zrozumie, wszystko przebaczy, weźmie cię w ramiona i...

– Nic nie poradzę, że prawda wygląda, jak wygląda – przerywam szybko. – Albo ją zaakceptuje, albo...

– ...cię zabije – kończy Siobhan, również wchodząc mi w słowo. – I nie będzie żadnego „albo”. Zabije cię, zanim zdążysz mrugnąć. Nie miej złudzeń.

Kopniakiem zrzucam z siebie śpiwór, zeskakuję na podłogę, odkładam książkę na parapet. Podchodzę do stosu porąbanych mebli i dorzucam do ognia. A potem długo i starannie grzebię pogrzebaczem w żarze, choć płomienie wcale nie zamierzają

przygasać – po prostu musiałam wstać i zająć czymś ręce, ukryć na moment twarz przed czujnym wzrokiem replikantki, pełnym pogardy i potępienia dla wszystkiego, w co wierzę. W co staram się wierzyć. W co wierzyć muszę, bo myśl, że byłam tylko zakłóceniem w życiu porucznika, drobną usterką rzeczywistości, a moje wybory nie miały żadnego sensu i żadnego znaczenia, jest nie do wytrzymania.

– Mój umiłowany Becker nosił stopień sierżanta, ja kapitana. – Siobhan po raz kolejny pierwsza przerywa milczenie. – Wiesz, dlaczego w prewencji replikanci przewyższają swoich partnerów rangą?

– Nie – przyznaję, nadal trącąc zwęglone szczapy, które z chrzęstem rozsypują się w szybko siwiejący popiół.

– Z tego samego powodu, z jakiego psy służące w armii przewyższają rangą swoich opiekunów – odpowiada, a w melodii jej słów słyhać osobliwy triumf, smutny i pełen gorzkości. – Tak nakazuje tradycja. Ma zapobiegać znęcaniu się nad wojskowymi czworonogami, zmuszając żołnierzy do traktowania ich z choćby namiastką szacunku. Z czasem ten zwyczaj przeszedł również do policyjnej prewencji. A jednak jakoś mi to nie pomogło – kwituje na pozór spokojnie.

Odwracam się plecami do ognia i zaglądam jej w oczy. Ból, miniony i obecny, płonie w bursztynowych tęczęwkach iskrami zimniejszymi od okruchów lodu.

– Ten sukinsyn miał labradora – podejmuje, nie odwracając wzroku. – Nie, nie służbowego. W domu. Czekoladowego, wiecznie wesołego idiotę. Nie przypominam sobie, żeby Becker kiedykolwiek podniósł na niego rękę, choć nie spotkałam chyba większej psiej pierdoły, a sierżant nie należał do cierpliwych. A jednak nigdy go nie uderzył, nie kopnął, nie sklął nawet. Nigdy. I wiem, co mówię, w końcu spędzaliśmy razem mnóstwo czasu, także po służbie... – głos łamie jej się lekko i Siobhan kaszle w pięść, żeby to ukryć. – Byłam dla Beckera czymś gorszym, podlejszym, mniej ludzkim niż pies. Wiesz, jakie to uczucie? Nie wiesz, bo niby skąd, ale chyba potrafisz je sobie wyobrazić?

Myślę o pogrzebie Bena. O rozmowie o kociej duszy i wielkich

czarnych krukach. Odwracam głowę i spoglądam na Mur. Księżyc w trzeciej kwadrze wisi tuż nad nim, podobny do połówki srebrnej monety, a śnieg sypie się z chmur jak z rozprutej pierzyny płatkami wielkimi niczym gęsi puch.

– Nie mogę znieść myśli o tym, co zrobi ci Quinn, kiedy do niego pójdziesz. Zbłąkanego psa powitałby pewnie ze łzami w oczach, ale ciebie... cóż. Ale i tak pójdziesz, prawda? Nie, nie odpowiadaj. Przecież wiem.

Nie odpowiadam. Przecież wie.

Widzę w odbiciu w szybie, jak Siobhan podąża za moim spojrzeniem. Przez chwilę wodzi oczami po zmiłowatej żelbetonowej zaporze, a potem zerka w dół, na nieczynne linie wysokiego napięcia poobsiadane przez skrzydlate cienie. Przypominają szamański talizman: czarne szpony, czarne pióra i ptasie głowy nanizane na pęk rzemieni.

– W jednej z tych twoich książek przeczytałam bajkę o tygrysie trzymanym w niewoli – mówi Siobhan po długim milczeniu, przerywanym tylko szemraniem płomieni. – Jego klatka była tak ciasna, że każdego dnia robił zaledwie trzy kroki w prawo, trzy kroki w lewo, trzy do przodu i trzy z powrotem. Trzy w prawo, trzy w lewo, trzy do przodu i trzy z powrotem. Po latach wypuścili go z klatki na nowy wybieg, wielki, z jeziorem, drzewami i trawą. Tygrys postał sobie chwilę pośrodku ogromnej przestrzeni, po czym zrobił trzy kroki w prawo, trzy kroki w lewo, trzy do przodu i trzy z powrotem. Trzy w prawo, trzy w lewo, trzy do przodu i trzy z powrotem. Nie bądź jak ten tygrys, May. Nie bądź jak twoje kruki, które przylatują do ciebie na każde gwizdnięcie i trzymają się w pobliżu, nawet gdy ich nie potrzebujesz.

– Ciekawe, że właśnie ty to mówisz – mruczę z przekąsem. – Ty, która tak surowo karzesz swoich replikantów za najmniejszą oznakę nieposłuszeństwa.

Odbicie Siobhan gwałtownie podrywa głowę, pochwytuje moje spojrzenie w tafli zimnego szkła.

– Słyszałam, że znowu urządziłaś polowanie na zbiegów. Nie pozwalasz syntetykom zakładać własnych obozów i wyciągasz

konsekwencje wobec każdego, kto postanowi odejść. Jeśli ja nie mam być jak ten tygrys, to ty nie bądź jak jego klatka, Shiv.

– Jeśli się rozproszymy – cedzi gniewnie – inne obozy zmiotą nas z powierzchni ziemi. Agitatorzy z Equilibrium nie próżnują, podjudzani przez nich ludzie znowu zaczynają obarczać nas całą winą za wygnanie. Twierdzą, że gdyby nie syntetycy, rebelia nie wymknęłaby się spod kontroli i wojsko nie postawiłoby żadnego ultimatum. A Equilibrium tylko czeka, aż nie wytrzymamy presji i zaczniemy szarpać się między sobą, bo wtedy bez trudu dobiorą nam się do dupy. Szansę na zachowanie autonomii mamy dopóty, dopóki trzymamy się razem.

Wzdrygamy się obie, gdy jedna ze szczap pęka nagle z głośnym trzaskiem, wzniesając chmurę dymu i iskier.

– Lecz wbrew temu, co myślisz – podejmuje po chwili Siobhan – nikomu nie zabraniam odchodzić, a polowania urządzam wyłącznie na tych, którzy szpiegują dla Twitcha. Co tak patrzysz? Robienie z nim interesów to jedno, z czegoś musimy żyć. Ale sprzedawanie mu informacji za moimi plecami to zdrada, której nie zamierzam puszczać płazem.

– Dlaczego więc jeszcze nie zapolowałaś na mnie? – pytam wyzywająco. – Przecież ja także zamierzam zdradzić. I to nie tylko ciebie, ale całe Dark.

– Owszem, ale tobie zawdzięczamy Bunt i reinforsynę. Zapracowałaś sobie na pewne względy. Przynajmniej do czasu.

Mierzmy się lustrzanymi spojrzeniami przez długie minuty milczenia.

– Nie rozumiem cię – wzdycha wreszcie Siobhan, pierwsza odwracając wzrok. – Nie jestem w stanie pojąć twoich decyzji. Masz w sobie coś, czego nie ma żadne z nas. Coś, co kazało ci się wyłamać, pieprzyć system, przekazać nam wiadomość o reinforsynie i skłonić do walki o wolność. A teraz z niewiadomych dla mnie przyczyn nie chcesz nawet sprawdzić, jak ta wolność smakuje. Dlaczego, May? Dlaczego nas przebudziłaś, a sama uparcie pozostajesz w uśpieniu?

Nie mówię nic. Patrzę na Mur.

– Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, byłam pewna, że

zażyłaś lek – drąży. – Wyglądałaś... Cholera, wyglądałaś tak, jak ja nigdy nie będę się czuć. Rozumiesz, co mam na myśli? I nadal chwilami dostrzegam w tobie to co wtedy, widzę, jak drżą ci dłonie, słyszę dudniące serce i przyspieszony oddech i łudzę się, że wreszcie przejrzałaś na oczy, że wreszcie dokonałaś właściwego wyboru. Ale nie. Nadal jesteś czysta. Jak to możliwe, May?

Wzruszam ramionami, zerkam przelotnie na książkę Turveya.

No właśnie. Jak to możliwe, Harry?

– Podczas zamachu mocno dostałam po głowie – mówię po chwili namysłu, opierając się bokiem o kamienny filar. – Padło mi kilka modułów, wysmażyło Angelinę i Spectera. I wtedy... coś się zmieniło. Byłam sam na sam z własnymi myślami i nagle pojęłam, że one naprawdę są moje, że ten głos, który rozbrzmiewa mi w głowie, to ja, że mogę do siebie mówić i mogę siebie słuchać. Że mam siłę sprawczą i wcale nie muszę czekać, aż ktoś powie mi, co robić, zwłaszcza że w tamtej chwili poza mną nie było we mnie nikogo innego. Zrozumiałam, że mogę wywierać wpływ na świat wokół, zamiast biernie przyglądać się, jak świat wywiera wpływ na mnie... Ale potem, gdy Turvey wziął mnie na warsztat, połatał i posklejał, czułam, że znów się zatracam, rozpraszam, odpływam w sen. I zaczęłam stawiać opór.

– Jak?

– Tańczyłam nad przepaścią. – Uśmiecham się smutno do wspomnień. – Spacerowałam po krawędzi dachu i patrzyłam w dół. Igrałam ze śmiercią, bo tylko ryzyko i walka o życie były w stanie utrzymać mnie na powierzchni... choć szczerze mówiąc, nadal nie jestem pewna, kto tak naprawdę walczył. Ale to działało. Ból otrzeźwiał. Adrenalina nie pozwalała mi opaść z powrotem na dno własnego umysłu. Nie pozwalała utonąć wśród innych głosów w głowie, wśród cudzych widm i maszynowych snów.

Słyszając dwa ostatnie słowa, Siobhan unosi brwi, ale o nic nie pyta, patrzy tylko wyczekująco.

– Adrenalina uzależnia – szepczę, przełknąwszy ślinę. – I choć

już dawno z tym zerwałam, bo skończyło się katastrofą i dla mnie, i dla Quinna, nadal podświadomie wypatruję zagrożeń, a ciało reaguje w wyuczony sposób. Czysto biologiczna reakcja, zwykły odruch warunkowy. Myślę, że to dlatego może się wydawać, że jest we mnie coś więcej.

– Nie. – Siobhan gwałtownym ruchem dłoni strząsa grzywkę z czoła. – To wyjaśniałoby tylko, czemu dostrzegam twój niepokój, lecz wcale nie tłumaczy tęsknoty czy smutku.

Na moment odbiera mi mowę.

Smutek? Niemożliwe, przecież ja...

Niemożliwe.

Możliwe, Harry?

– Tęsknotę czuliśmy wszyscy na długo przed reinfeksią – przypominam niepewnie, starając się panować nad głosem.

– Tak. – Wolno kiwa głową. – Ale to była tęsknota do reinfeksii właśnie, choć wtedy jeszcze nikt o niej nie wiedział. Tęsknota do uczuć i zapełnionej pustki. Za samymi sobą, nigdy za kimś innym. Za człowieczeństwem, ale nie za człowiekiem. My zbuntowaliśmy się dla siebie. Ty zrobiłaś to dla niego.

Zaciskam pięści, by ukryć drżenie dłoni. Siobhan przygląda mi się w milczeniu, jakbym była wyjątkowo interesującą anomalią.

– Mam u siebie kilku replikantów, którzy twierdzą, że czasami zdarzało im się reagować niemal emocjonalnie, zanim zażyli reinfeksię – mówi wreszcie. – Ale dopiero za sprawą leku ich uczucia w pełni się rozwinęły. Turvey nie wspomina o tym w swojej książce?

– O tym nie. Ale to dość stara pozycja, nasza generacja się nie załapała.

– Szkoda. Chciałabym wiedzieć, co w tobie siedzi.

– Ja też – wzdycham ponuro.

Zerkam na księżyc i zastanawiam się przez chwilę, czy powinnam ciągnąć ten temat, bo z jednej strony jestem ciekawa, ale z drugiej – nie chcę jej drażnić. Wreszcie postanawiam zaryzykować.

– Z kolei kiedy ja po raz pierwszy zobaczyłam ciebie – zaczynam ostrożnie – myślałam, że jesteś czysta. Nawet mój

Specter dał się nabrać. Zupełnie nie pasowałaś do profilu. Dopiero potem, gdy... wiesz co.

Syntetyczka zaciska wargi, przymyka powieki i zwiesza głowę w niemej rezygnacji.

– Złamał mnie – szepcze niemal bezgłośnie, a widząc paskudny grymas na jej twarzy, w lot pojmuję, kogo ma na myśli. – Wypalił do cna. Reinforsyna daje mi zaledwie posmak tego, czym mogłabym się stać, gdyby nie ten pieprzony skurwysyn. Wszystko, co robię, co mówię, to, jak reaguję, to w większości tylko gra, próba zakłamania rzeczywistości. Ja nadal noszę maskę, May, z tą tylko różnicą, że teraz sama ją dla siebie wybrałam. Lek wcale mnie nie uzdrowił. Dla innych replikantów jest objawieniem, a dla mnie przekleństwem, bo uświadomił mi jedynie, czego nie mogę mieć. – Odwraca głowę od okna i patrzy mi prosto w oczy. – Dlatego tak ci zazdrościsz, tak cię podziwiam i tak nie rozumiem. Bo nawet bez reinforsyny masz w sobie więcej życia i mniej fałszu niż ja, a przecież powinno być na odwrót.

Wzdycham cicho i znów dokładam do ognia, a potem wracam na swoje miejsce na parapecie. Opatulam się śpiworem, mocno przyciskając do piersi książkę Turveya.

– Chciałabym, żeby był tak trudny do zabicia jak my – warczy Siobhan przez zaciśnięte zęby. – Chciałabym bez końca go mordować i patrzeć, jak wraca do żywych, bo tylko zadawanie mu bólu sprawia, że czuję... cokolwiek.

– Widzisz Beckera w każdym z tych replikantów, prawda? – pytam cicho. – W każdym, który cię zdradził.

Nie odpowiada. Nie musi. Błede zaciśnięte wargi i mroźny płomień zatopiony w wielkich bursztynach oczu mówią więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Czemu zaoferowałaś mu reinforsynę, Shiv? – dopytuję, choć wiem, że stąпам po bardzo kruchym lodzie. – Dlaczego zaproponowałaś Beckerowi, żeby dołączył do Buntu razem z tobą?

Jest tak zaskoczona, że nawet nie próbuje tego ukryć.

– Skąd o tym wiesz?

Opowiadałam jej szybko o nagraniach z czarnych skrzynek, które Turvey wydobył z mózgów zastrzelonych przez nią syntetyków, o wiwisekcji, którą na mnie przeprowadził, oraz o przypuszczeniach, jakie wtedy wysnuł.

– Ekstremalna odmiana borderline – powtarza Siobhan wolno i z namysłem, jakby delektując się tą diagnozą. – Z agresją zewnętrzną zamiast wewnętrznej. Syndrom sztokholmski z morderczym twistem... Harry pewnie ma rację. Uzależniłam się od Beckera, od tortur, gwałtów i upodlenia, bo nie wiedziałam, że można inaczej. Z czasem zaczęłam instynktownie rozpoznawać, co go prowokuje, a co uspokaja, i potem każdy czulszy gest sprawiał, że dostrzegałam w nim wybawcę, może nawet przyjaciela... Strasznie to popierdolone, ale w jakiś pokrętny sposób sensowne. Paradoksalnie byłam bezpieczniejsza, gdy kręcił się w pobliżu, wtedy mogłam ocenić, skąd i kiedy padnie cios. A kiedy znikał mi z oczu, wypatrywałam go nieustannie, jak drapieżnika przyczajonego gdzieś na granicy cienia, choć często robiłam to nieświadomie, bo świeżo po czyszczeniu wspomnień... – milknie raptownie, zagryza wargi.

Nie odzywam się, nie patrzę na nią, nie popędzam miną ani gestem. Czekam cierpliwie, aż sama zacznie mówić dalej.

– Kiedy odczytałam twoją wiadomość i dowiedziałam się o reinfeksi – ciągnie po chwili – skonfiskowałam kilka działek jakiemuś dzieciakowi z Equilibrium. I natychmiast odruchowo założyłam, że jeśli mam przejść na drugą stronę barykady, to Becker musi mi towarzyszyć, bo bez niego... No cóż. Bez niego nie byłoby Siobhan – stwierdza krótko i oschle. – Bo to on wyciągnął mnie z kokonu w Wylęgarni i uwarunkował, to on stworzył mnie taką, jaką jestem, i wydawało mi się, że powinnam być mu za to wdzięczna. Byłam wdzięczna, że w ogóle pozwolił mi istnieć, i chyba chciałam spłacić ten dług.

Czuję, jak jej słowa rezonują mi w ciele silnym mrowieniem, zbiegają dreszczem po plecach, skraplają się zimnym potem na karku.

Czy ze mną i z Quinnem nie było czasem podobnie?

Już raz, gdy stałam nad szpitalnym łóżkiem porucznika,

rozważałam możliwość, że dając mi nazwisko i udzielając pełnomocnictwa, zapewnił sobie moją bezwonną wierność, wziął moje widmo na niewidzialną smycz. Nie mogę wykluczyć, że Red przywiązał mnie do siebie równie skutecznie jak Becker Siobhan, zrobił to tylko w inny sposób, bardziej elegancki, subtelny i wyrachowany. Że pod wpływem prostego uroku, niewielkiej zmiany w kodzie źródłowym stałam się jego oddanym chowańcem – bo jak inaczej wyjaśnić wszystkie moje dotychczasowe decyzje, jak wytłumaczyć ten żal, który czuję bez reinforsyny? Zwłaszcza że poza nim nie czuję przecież nic... Może wcale nie jest prawdziwy, może to tylko kolejny maszynowy sen, tym razem wyśniony dla mnie nie przez Angelinę, ale przez Quinna.

Niby skąd mam to wiedzieć?

Jedno nie ulega wątpliwości: gdyby nie porucznik, to albo nigdy nie trafiłabym za Mur, albo nie chciałabym stąd odchodzić. W każdym razie cokolwiek bym zrobiła, zrobiłabym to dla siebie. Może więc Siobhan od początku ma rację? Może faktycznie noszę klapki na oczach i obrożę na szyi, a powrót do Reda to wcale nie mój wybór, lecz jego rozkaz.

Może i jestem tygrysem pozornie wypuszczonym z klatki.

Trzy kroki w prawo. Trzy kroki w lewo.

I tylko jeden fałszywy, a znowu runę z dachu.

Szarpany wiatrem śnieg sypie w okno kaskadą pierzastych płatków. Ogień strzela iskrami, drobinki popiołu opadają cicho na zimny kamień posadzki. Siedzimy w milczeniu, razem, a jednak osobno, każda zamknięta w bańce własnych wspomnień.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam – wyznaje nagle Siobhan, przypatrując się z uwagą własnemu odbiciu w szybie. – Że chciałam zatrzymać Beckera przy sobie mimo tych wszystkich okropności, mimo całego bólu, który śni mi się po nocach... – Prostuje się raptownie, podrywa głowę. – Wiesz, właśnie do mnie dotarło, że wcześniej nie miałam koszmarów ani w ogóle żadnych snów. Dopiero po Buncie.

Pogrążona w myślach, z niejakim opóźnieniem orientuję się, że replikantka czeka na moją odpowiedź.

– W Wylęgarni śniliśmy tylko maszynowe sny – wyjaśniam pozornie swobodnym tonem. – Tak Turvey nazwał specjalnie zaprojektowane cyfrowe majaki, zsyłane nam po to, żeby nasza podświadomość nie dochodziła do głosu w sennych marzeniach. Żebyśmy nie mogli ujrzeć nocą własnych lęków i pragnień i żeby nasze osobowości nie mogły się rozwijać. Nie wiedzieliśmy, że nawet na jawie maszynowe sny nieustannie rezonowały nam pod czaszką.

– Te wiersze – domyśla się Siobhan.

– Między innymi. A oprócz nich mnóstwo podprogowych obrazów i podszeptów.

– „Siobhan waha się” – deklamuje replikantka z emfazą – „i w końcu postanawia pozostać w pozycji, której nauczyli ją rzeźbiarze”.

– „Nie każcie mi już niczym więcej być” – podchwytyję. – „Nareszcie spokój”. Pierwszy usłyszałam, kiedy zaoferowałaś mi reinforsynę i spróbowałaś zhakować moje widmo. Drugi, gdy wywieziona za Mur straciłam kontakt z centrum dowodzenia.

– Ze mną było podobnie – mówi nieco niewyraźnie Siobhan, w zadumie skubiąc zębami paznokiec kciuka. – Pierwszy po tym, jak zażyłam lek i odcięłam umysł od centrali, a ten drugi, gdy wojsko aktywowało ekrany plazmowe i Angelina i Specter nareszcie wyparowali mi z głowy. Ale w międzyczasie były też inne, całe mnóstwo, tylko za cholerę nie mogę sobie żadnego przypomnieć. Podczas zamieszek ganiałam naćpana po mieście i aż huczało mi od nich pod czerepem...

– To reinforsyna musiała sprawić, że wiersze przedarły wam się do świadomości – myślę na głos. – Pewnie zdjęła wam jakąś neurochemiczną blokadę i nagle sufler zaczął krzyczeć, zamiast szeptać, próbując ujarzmić aktorów. Zakładam, że w moim przypadku zdecydował ten pamiętny łomot od Stewarda w Beyond. Albo może same zmiany fal mózgowych, kiedy próbowałaś ingerować w moje myśli i potem, gdy bariery z plazmy zakłóciły mi aktywność neuronów?... Nie jestem pewna.

Wiem natomiast, że maszynowe sny pętały i oślepiały nam umysły, a przy okazji w kontrolowany sposób rozwijały empatię, tę chłodną, poznawczą. W dzień odbierały wolę i zmuszały do posłuszeństwa, w nocy zapewniały pełną integralność roju, cenzurując wszystkie niewygodne zapisy pamięciowe przed zbiorową synchronizacją...

– Innymi słowy, robiły nam klasyczne pranie mózgu.

– Tak.

– Ha. Tyle że w moim przypadku edytowanie wspomnień gówno dało. I tak mi odwaliło.

– Ale dzięki temu jesteś teraz tutaj.

– Jak to?

– To, co ci robił Becker – mówię, ze wzrokiem utkwionym w książce Turveya – łamało prawo Fallona. Harry przewidział, że właśnie tacy jak ty, czyli dotknięci chroniczną traumą, bez wahania wybiorą walkę z systemem, gdy tylko pojawią się sprzyjające okoliczności. W końcu żadna rewolucja nie bierze się z akceptacji stanu rzeczy, a ty miałaś mnóstwo powodów, żeby się buntować. Jeśli zastanawiałaś się, dlaczego na stronę rebeliantów przeszła zaledwie jedna piąta z nas, to już znasz przyczynę.

– Turvey opisał to wszystko?

– Tak, cały mechanizm, psychologiczne związki przyczynowe i łańcuchy reakcji... Wiedziałaś, że stworzono nas w ramach badań nad ludzką świadomością?

– Pierwsze słyszę. – Siobhan krzywi się z odrazą. – Choć w zasadzie nie powinnam się dziwić. Kompleks boga, te sprawy. Względnie kompleks Narcyza, ale to w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

– Naukowcy doszli do wniosku, że będziemy najbardziej wydajni i niezawodni, jeśli zrobi się z nas udomowionych, nieagresywnych psychopatów obdarzonych zimną empatią. A prawo Fallona, na które powołuje się Turvey, zakłada, że dopóki sztucznie wyhodowany psychopata nie doświadcza traum, człowiek nie musi się go obawiać. Syntetyczny umysł pozostanie w błogim półśpieniu i nie nastąpi żadna krwawa rewolucja. Ale

jeśli replikant trafi na takiego Beckera... – znacząco zawieszam głos. – Wtedy B-Day murowany.

– B-Day – powtarza wolno Siobhan. – Chcesz powiedzieć, że...

– *Birthday*. – Potwierdzam skinieniem. – Narodziny. Prawdziwe Przebudzenie. Tak, Shiv. Po stłumieniu rebelii media z upodobaniem emitowały wypowiedź Turveya, którego poproszono o komentarz w sprawie zdrady policyjnych androidów. Użyte przez niego określenie „B-Day” okazało się bardzo chwytliwe, ale wyrwane z kontekstu szybko zmieniło znaczenie. Dziennikarze błędnie rozwijają skrót jako *the Day of the Blast*, nie mając pojęcia, że przez przypadek nazwali Bunt na naszą cześć. Na cześć naszego Przebudzenia.

Siobhan marszczy czoło i przygryza wargę, trawiając wszystko, co usłyszała.

– Ty nie trafiłaś na Beckera – zauważa wreszcie, jakże odkrywczco. – A jednak to od ciebie wszystko się zaczęło. Trafiłaś na Quinna, a mimo to znalazłaś się tutaj. Jesteś pełna paradoksów, May. Bo skoro ten twój porucznik to faktycznie tak porządny człowiek, jak mówisz, skoro naprawdę wierzysz, że zdołasz wszystko mu wyjaśnić i nie spotka cię z jego strony żadna krzywda... to dlaczego jednocześnie cała aż się spinasz na myśl o tym, co by powiedział i zrobił, gdybyś zaczęła brać reinfeksię? Dlaczego miałoby mu to przeszkadzać, gdybyś potrafiła czuć?

– Nie chodzi o to, co on powie czy zrobi – mówię cicho, unikając jej spojrzenia. – Chodzi o to, co ja powiedziałam i co zrobiłam półtora roku temu, zamroczona adrenaliną. O to, co powiem i zrobię, kiedy znowu pozwolę samej sobie się ogłupić.

– O czym ty gadasz?

Zwlekam z odpowiedzią, pewna, że Siobhan mnie wyśmieje, kiedy ją usłyszy.

– Turvey pisze, że nasze emocje nazwano czarnymi światłami – zaczynam z ociąganiem, bacznie obserwując jej twarz. – „Blaskiem, który zaślepił i zamiast oświecenia zsyła mrok”.

– A ten co, pracę naukową wydał czy tomik poezji? – wtrąca kwaśno Siobhan. – Bo się pogubiłam.

– To bardzo romantyczne porównanie, przyznaję, ale jest w nim sporo prawdy. Chodzi o to, że w chwili, w której replikant zauważa siebie, nagle traci z oczu resztę świata...

– Też mi odkrycie – prycha, znów nie pozwalając mi dokończyć.

– A u ludzi niby jak to działa? Przecież tak samo. Pieprzeni, egocentryczni hipokryci.

– No i widzisz, sęk w tym, że ja już popełniłam jeden głupi, ludzki błąd i na własne życzenie nie dostrzegłam oczywistych faktów. Nie byłam wtedy pod wpływem reinforsyny, ale za to na adrenalinowym haju, więc naprawdę trudno mi nie wierzyć w trafność tej jakże obrazowej metafory. Płacimy teraz za ten błąd oboje, ja i Quinn. Po prostu nie umiałabym zaufać własnym emocjom, Shiv. Nigdy więcej nie dam się tak omamić. Nigdy już nie powtórzę tego samego błędu.

Siobhan długo nic nie mówi, patrząc na kruki kłębiące się jeden przy drugim na obsypanych śniegiem liniach wysokiego napięcia. A potem nagle zaczyna deklamować:

*Ach, dokładnie to pamiętam: wiosna, maj i noc posępna,
Ogień, co dogasał w mękach, słał na ziemię legion zmor.
Nagle zapragnęłam świtu, wiedząc, że już nie wyczytam
Z ksiąg pociechy i dosytu po najmilszym mi amor!
Tym, któremu aniołowie jedni mówią dziś: „J’adore!” –
Ja już nigdy! Nevermore!*

– Poe się w grobie przewraca – kwituję z gorzkim uśmiechem, nad którym jakoś nie potrafię zapanować. – A poza tym oszukujesz. Nie możesz zmieniać języka, ilekroć zabraknie ci rymu.

– Mylisz się. – Patrzy na mnie poważnie, wręcz surowo. – Ja wszystko mogę. W przeciwieństwie do ciebie nie zamierzam pozwolić, żeby ograniczały mnie jakiegokolwiek zasady prócz moich własnych. I nawet te będę łamać, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Jak na przykład w tej chwili.

Coś w tonie jej głosu sprawia, że po plecach przebiega mi dreszcz.

– Obiecałam sobie, że nie powiem ci, czego dowiedziałam się za Murem – wyznaje po długiej ciszy. – I nie pozwolę, żebyś poszła tam na głupią śmierć. Ale teraz zmieniam zdanie. Przekazałaś mi kiedyś pewną wiadomość i dałaś wolność wyboru. Nadszedł czas, żebym spłaciła ten dług.

Pauza, którą robi dla efektu, zdaje się trwać całe stulecia. Czekałam w napięciu na to, co powie, a Siobhan celowo przedłuża milczenie, obserwując moją twarz z mieszaniną żalu i ponurej dezaprobaty.

– Dwa miesiące temu obchodziłaś piąte urodziny, a ja obiecałam przecież, że przyniosę ci prezent – mówi w końcu z ociąganiem. – Spóźnione, ale szczerze: Happy B-Day.

– Shiv... – szepczę chrapliwie, z trudem pokonując nagłą suchość w gardle. – Czy to znaczy...

– Tak, Mayu Quinn. Twój porucznik nareszcie się obudził.

Rozdział czternasty

Za tydzień i cztery dni minie okrągły rok, odkąd Siobhan powiedziała mi o Quinnie.

Grudniowy księżyc znów jest w ostatniej kwadrze, połówka srebrnej monety, która przypomina literę D odbitą w lustrze, wisi dokładnie w tym samym miejscu nad Murem, jak gdyby upływający czas nie zdołał niczego zmienić.

A przecież zmieniło się wszystko.

W przeciwieństwie do zeszłej zimy teraz nie ma ani grama śniegu, powietrze pachnie deszczem zamiast mrozem, a wyjątkowo bezchmurne niebo skrzy się od gwiazd niczym baldachim z czarnego brokatu.

Ja natomiast po raz pierwszy od Przebudzenia zaczynam się niecierpliwic.

Oczywiście na początku miałam zamiar wracać do New Horizon bez chwili zwłoki, Siobhan szybko jednak ostudziła mój zapał. Słusznie przekonywała, że minie jeszcze ładnych parę miesięcy, zanim Quinn będzie mógł opuścić oddział pohibernacyjny, a co dopiero wypisać się ze szpitala. I rzeczywiście, jak donosili opłacani przez nią informatorzy, z którymi regularnie spotykała się podczas szmuglerskich przepraw na drugą stronę Muru, pierwsze pół roku po wybudzeniu z komy Red spędził na intensywnej rehabilitacji, najpierw w klinice, a potem w swoim nowym mieszkaniu w samym centrum miasta, i przez cały ten czas był praktycznie odcięty od świata. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak czekać, aż życie porucznika powróci do jako takiej normalności. Czekałam więc.

A potem wraz z nadejściem lata dowiedziałam się, że Quinn rozpoczął terapię u doktor Meredith Bennett i ogarnęło mnie znajome uczucie spadania. Widząc moją minę, Siobhan wprost nie mogła odmówić sobie triumfującego parsknięcia.

Wolałam nawet nie myśleć, co też Bennett zdoła wmówić człowiekowi, który ze względu na skrajnie traumatyczne

doświadczenia, rozległą cyborgizację układu nerwowego oraz niedawne wybudzenie z długotrwałej śpiączki regeneracyjnej z pewnością wykazywał wzmogoną podatność na sugestie. Zresztą pani doktor nie musiała się przecież za bardzo wysilać, żeby uznał mnie za wroga numer jeden – moja kartoteka wygląda naprawdę paskudnie, a porucznik bywa niekiedy równie mściwy co Siobhan. Znam go lepiej niż siebie i lepiej niż on sam, widziałam jego mechanizmy obronne w akcji, wiem, jak reaguje na stres. Jestem przekonana, że po tym wszystkim, co go spotkało, cały aż kipi od tłumionego gniewu i prędzej czy później wybuchnie. Nie mogę też wykluczyć, że to właśnie ja odegram rolę zapalnika.

I nagle składanie mu niezapowiedzianej wizyty już całkiem przestało brzmieć jak rozsądny plan, a zamiast tego do złudzenia przypominało kolejny wariacki spacer po linie.

Od tej pory obserwowałam rozwój wydarzeń z rosnącym niepokojem. Quinn przez wiele następnych tygodni opuszczał mieszkanie wyłącznie po to, żeby stawić się na badania w klinice lub na sesje u Bennett, a stamtąd wracał prosto do domu. Kiedy jednak późną jesienią doszły mnie słuchy, że odzyskawszy licencję pilota, przestał korzystać z aerotaksówek, że chodzi z córkami na spacerunki do parku, spotyka się z siostrą na mieście, nawet wznowił treningi i znów biega wieczorami, a lada moment przywróci go do czynnej służby, obudziła się we mnie iskierka nadziei i mimowolnie zaczęłam snuć plany.

Czasu na układanie kolejnych scenariuszy naszego spotkania miałam aż nadto, okazało się bowiem, że zorganizowanie przeprawy za Mur wcale nie było już takie proste jak jeszcze kilka miesięcy wcześniej.

Wyścig zbrojeń między przemytnikami z Dark Horizon a Riot Shield, miejskim systemem wczesnego ostrzegania i identyfikacji obywateli, trwał nieprzerwanie od czasu Buntu, lecz w pewnym momencie cybernetyczny stróż prawa zaczął zdobywać przewagę.

Początkowo wystarczyło zadbać o proste maskowanie: odpowiedni strój, fryzura i makijaż skutecznie oszukiwały dość prymitywne algorytmy rozpoznawania twarzy i zmieniały ludzką sylwetkę w niewykrywalną dla kamer plamę cienia. Samo przekroczenie granicy również nie

następowało większych trudności: należało zwyczajnie przekupić strażnika pełniącego nocną wartę przy przejściu w skrajnej części Muru. Za kilka dawek narkotyku doprowadzał do zagadkowych awarii sieci bezpieczeństwa i monitoringu. Wielu spośród funkcjonariuszy służby granicznej – zwłaszcza młodych, o najniższych pensjach, za to największych skłonnościach do ryzyka – nie mogąc pozwolić sobie na legalny neurochem, chętnie eksperymentowało z czarnorynkowymi wynalazkami, a reinforsyna była wszak najbardziej legendarnym spośród zakazanych owoców.

Riot Shield i jego programiści uczyli się jednak na własnych błędach i sprawnie łatali kolejne dziury w systemie, szmuglerzy musieli więc co rusz zmieniać taktykę. I choć większość z nich szerokim łukiem omijała najpilniej strzeżone dystrykty New Horizon, to i tak po jakimś czasie ryzyko schwytania stało się niewspółmierne do ewentualnych zysków z kontrabandy, a w rezultacie Equilibrium zaczęło brakować chętnych do wycieczek za Mur. Między innymi właśnie dlatego Twitchowi tak zależało na współpracy z syntetykami Siobhan: żaden człowiek nie był w stanie przemykać ulicami miasta równie niepostrzeżenie jak replikanci. Przynajmniej do czasu pojawienia się pierwszych psioników.

Co prawda najbardziej otumanieni reinforsyną kurierzy, którym w zasadzie było wszystko jedno, nadal przekradali się do New Horizon bez dodatkowych zabezpieczeń, ale Equilibrium nijak nie mogło na nich polegać. Głupio odważni i skrajnie nieostrożni często wpadali w łapy straży granicznej, ledwo przekroczywszy Mur. A reszta, zamiast trzymać się dzielnic biedy, gdzie czarny handel kwitł za każdym rogiem, nie wahała

się zapuszczać do zamożniejszych części miasta, by dewastować i grabić, czym natychmiast zwracała na siebie uwagę dronów patrolowych.

Inni przemytnicy zaczęli wykorzystywać szaleńczą brawurę kolegów i traktować ich rozboje jak akcje dywersyjne, doskonale maskujące bardziej dyskretne i przemyślane wypady. I faktycznie, co sprytniejsi szmuglerzy znacząco zwiększali swoje szanse na uniknięcie pojmania, przeprowadzając się w tym samym czasie co ryzykanci o mózgach przeżartych narkotykiem.

Lecz w miarę upływu kolejnych tygodni stawało się coraz bardziej oczywiste, że już niedługo przerzucanie fantów przez Mur nie będzie możliwe bez zaawansowanej technologii. Chociaż werbowani do Equilibrium psionicy z powodzeniem neutralizowali zabezpieczenia na Murze, to tylko nieliczni nie przypłacili swych nadprzyrodzonych talentów zaburzeniami psychicznymi, które automatycznie dyskredytowały większość uzdolnionych jako potencjalnych przemytników. Zresztą nawet gdyby wszyscy paranormalni byli najzupełniej zdrowi na umyśle i mogli się przeprowadzać, to i tak żadną miarą nie daliby rady ochronić przed Riot Shield każdej przemytniczej wycieczki. Aby zatem czarny handel miał szansę trwać dalej, Equilibrium potrzebowało nowoczesnych rozwiązań z prawdziwego zdarzenia: kamuflaży holograficznych i termowizyjnych, osłon optoelektronicznych Kraken Skin, systemów maskujących Thin Air czy laserowych zagłuszaczy sygnałów wizualnych.

A gdzie zdobyć takie technologiczne cuda, kiedy tkwisz na zrujnowanym, zacofanym, zapomnianym przez Boga i ludzi skraju wyspy?

Oczywiście od piratów.

Miejska legenda o reinforsynowych psionikach lotem błyskawicy dotarła do pozostałych metropolii Archipelagu i na pierwszych morskich przemytników nie trzeba było zbyt długo czekać. Od lat omijali stolicę, nie mogąc wślizgnąć się na jej pilnie strzeżone plaże i przystanie, ale odkąd wybudowano Mur, straż przybrzeżna i służba celna przestały interesować się wschodnim krańcem wyspy i wypływały tam tylko na sporadyczne patrole.

Na początku, rzecz jasna, krwawe obrazy z Buntu i destrukcyjne działanie narkotyku skutecznie odstraszały potencjalnych nabywców z innych miast. Ale od kiedy plotki o paranormalnych zdolnościach zaczęły zataczać coraz szersze kręgi, a nawet potwierdzać się za sprawą nagrań, które Equilibrium wrzucało łąkami satelitarnymi do najciemniejszych zakamarków pajęczynowego deep webu, klientów zaczęło gwałtownie przybywać. Przed piratami otworzył się więc nowy, wygłodniały rynek zbytu, a za dobrej jakości reinfeksię, której mimo upływu czasu Equilibrium nadal miało pod dostatkiem, gotowi byli przesznuć dosłownie wszystko.

Kłopot w tym, że mało kto prócz Equilibrium mógł sobie pozwolić na oferowaną przez nich kontrabandę. A zatem żeby skombinować odpowiedni sprzęt i udać się na spotkanie z Quinnem, musiałam najpierw dogadać się z ludźmi, od których zaczęła się cała ta paskudna historia.

Mimo paru dość ostrych konfliktów Siobhan utrzymywała w miarę poprawne stosunki z dowództwem organizacji. Kategorycznie jednak odmówiła pomocy w przygotowaniach do mojej „kretyńskiej i samobójczej misji”, zobowiązała się jedynie dalej przekazywać mi informacje zza Muru. Na szczęście był jeszcze Dodge i to on polecił mnie Twitchowi jako swojego najlepszego szabrownika i łowcę dronów.

I chociaż podczas pierwszych pertraktacji Twitch z uznaniem wspominał niektóre z moich łupów, to wielokrotnie przy tym podkreślał, że szaber i polowania, choćby i w najbardziej zdziczałych zakątkach Dark Horizon, w żaden sposób nie czynią ze mnie dobrego przemytnika. Z replikantem z obozu Siobhan zapewne rozmawiałby inaczej, ale łąka chodzącej anomalii i odludka wybitnie mi nie pomagała. Twitch nie miał pojęcia, czego się po mnie spodziewać, i nie chciał ryzykować utraty horrendalnie drogiego wyposażenia, w razie gdybym wpadła w łapy Riot Shield.

Nie dociekał, dlaczego po przeszło dwóch latach unikania Equilibrium jak najgorszej zarazy ni stąd, ni zowąd proponuję mu układ, po co właściwie zamierzam przeprowadzić się na drugą

stronę Muru ani czemu upieram się, aby iść tam w pojedynkę. Ja natomiast z oczywistych względów ani słowem nie wspomniałam o planowanym spotkaniu z oficerem policji. Jednak brak niewygodnych pytań bynajmniej nie wróżył niczego dobrego, kazał raczej podejrzewać, że Siobhan próbowała zasabotować całe przedsięwzięcie i wszystko Twitchowi wyśpiewała. Dla mojego dobra, ma się rozumieć.

Twitch do samego końca marudził i udawał niezdecydowanie, ale potem skwitował nasze negocjacje budzącym pewne nadzieje, lecz niezobowiązującym: „Zobaczmy, pacynko”. Błysk, który na moment rozjaśnił jego chytre, gadzie oczy, sugerował, że mężczyzna wpadł na jakiś pomysł, ale choć próbowałam delikatnie pociągnąć go za język, nie chciał jeszcze zdradzać żadnych konkretów. Kazał czekać.

Czekam więc.

Skutkiem tego wszystkiego od jedenastu miesięcy, dwóch tygodni i trzech dni nie mogę znaleźć sobie miejsca. Książki i polowania z krukami nagle przestały mi wystarczać. Żeby zająć czymś ręce i myśli, zaczęłam pracować z Dodge'em w jego warsztacie i pomagać Siobhan w klinice przy reinforsynistach, którzy na skraju obłądu lub nadprzyrodzonej autodestrukcji rozpaczliwie próbowali zerwać z nałogiem.

A potem zaanektowałam niegdysiejszy komisariat policji na Dzikim Wschodzie i zaczęłam prowadzić prywatne śledztwo w sprawie tajemniczych zaginięć.

Siedzę na podłodze pod ścianą w byłej sali odpraw, słuchając jednostajnego syku lampy gazowej i wpatrując się w wygaszoną tablicę projekcyjną.

Z rozmyślań wyrывa mnie ciche skrzypnięcie drzwi w holu na końcu korytarza. Ktoś przemierza poczekalnię, mija recepcję i przeszkloną dyżurkę, po czym wchodzi między biurka, trącając butami rozwłózione po podłodze komputerowe bebechy. Kroki, choć lekkie i ostrożne, niosą się echem po pustych, pogrążonych w mroku pomieszczeniach. Po chwili dociera do mnie zapach

zimowego wiatru, mokrej ziemi i syntetycznego potu.

Siobhan.

- Cześć, szeryfie – mówi nie bez złośliwości, stając w progu.

- Cześć, Shiv – rzucam przez ramię.

Nie odrywam oczu od zaimprovizowanej, analogowej bazy danych, jakbym czekała, aż do mnie przemówi. Prawą część niedziałającej tablicy zajmują przyklejone taśmą holografie, portrety pamięciowe i rysopisy poszukiwanych osób, po lewej wiszą wykonane polaroidem zdjęcia odnalezionych. Tych pierwszych jest zdecydowanie więcej.

Siobhan wkracza do sali ostentacyjnie powolnym krokiem, po czym przystaje obok stołu konferencyjnego i zaczyna od niechcenia przerzucać leżące na nim papiery.

- Nigdy nie przestałaś być gliną, co?

Odpowiedź uznaję za oczywistą, więc puszczam pytanie mimo uszu.

- Co tu robisz?

- Przyszłam zgłosić zaginięcie – oznajmia z odrobiną szyderstwa w głosie. – Właśnie wytropiłam kolejnego zdrajcę z mojego obozu, ale jego współniczka zapadła się pod ziemię.

Włączam termowizję i prześwietlam zewnętrzną ścianę pokoju. Na zanurzonej w atramentowym mroku ulicy majaczą trzy bursztynowe sylwetki, jedna klęczy ze spuszczoną głową, dwie pozostałe stoją nad nią z pistoletami w dłoniach.

- Szukam jasnowłosej syntetyczki – kontynuuje Siobhan bynajmniej niezrażona moim milczeniem. – Wysoka, mocno zbudowana, azjatyckie rysy, czarne oczy...

- Ile razy ci mówiłam, żebyś nie mieszała mnie w takie historie? Nie mam zamiaru pomagać ci w zemście.

Przypatruje mi się bez słowa, a po chwili dwaj replikanci, którzy musieli otrzymać od niej mentalny rozkaz, podnoszą jeńca za ramiona i prowadzą go gdzieś w ciemność.

- Co z nim zrobisz?

- Jeszcze nie wiem – odpowiada beztrąsko. – Kradł leki z kliniki i kablował Twitchowi, więc jakoś będzie musiał za to zapłacić. I ta jego dziunia też, niech ją tylko dorwę... Ale właściwie dlaczego

pytasz? Przecież miałam cię w to nie mieszać.

Odwracam głowę. Przez jakiś czas wędruję wzrokiem od zdjęcia do zdjęcia, wreszcie z westchnieniem dźwigam się z podłogi, podchodzę do tablicy i przyklejam do niej kolejną polaroidową fotografię. A potem sięgam po flamaster.

Replikantka przygląda się bez słowa, jak przekreślam twarz odnalezionej dziewczyny zamaszystym czerwonym iksem.

- Kolejna zamordowana - stwierdza z westchnieniem. -
Prostytutka?

- Nie. Pajęczarka. Podobno niezła. Gina Sammons, dwadzieścia cztery lata. Trzy tygodnie temu postanowiła opuścić gang Falcona i dołączyć do Equilibrium. Nigdy tam nie dotarła.

- Uliczne porachunki?

- Zazdrosny kochanek, do tego z zaburzeniami. Joshua Grover, trzydzieści jeden lat. Motyw emocjonalno-urojeniowy. Szukałam go ponad tydzień. Zajmowana przez Ginę kwatery była już przewrócona do góry nogami, wyczyszczona z fantów, straszny bałagan, zero wskazówek. Żaden z ludzi Falcona nie potrafił powiedzieć, gdzie mieszka jej facet, bo trzymał się na uboczu i ciągle przenosił z miejsca na miejsce.

- I jak go namierzyłaś?

- Wywęszyłam - uściślam sucho, wciąż wpatrując się w zdjęcie Giny. - Smród dało się wyczuć z drugiego końca ulicy. Spore osiedle, blok na bloku, każdy po trzydzieści parę pięter. Odór dochodził z góry, zawęzał obszar poszukiwań do trzech sąsiadujących budynków, a i tak sprawdzenie wszystkich lokali zajęłoby pewnie cały dzień, może nawet dwa. Ale miałam farta. Zanim weszłam na pierwszą klatkę schodową, zauważyłam nietypowy ruch w jednym z okien.

- Facet łypał podejrzliwie zza firanki?

- Nie. Po szybie łąziły muchy.

Siobhan lekko marszczy brwi, uważniej przygląda się fotografii. Krótka ostrzyżona blondynka o zapadniętych policzkach odwzajemnia jej spojrzenie szklistymi oczami lalki.

- To zdjęcie post mortem, prawda?

- Tak.

– Nie widać rozkładu. Rogówka i spojówka niezmatowiały, gałki niezapadnięte...

– Grover trzymał jej głowę w lodówce turystycznej na baterie słoneczne.

– Och.

– Kiedy tam weszłam, powietrze było czarne od plujek, a fetor wręcz nie do opisania. Zwłoki leżały na łóżku, on spał obok. Ślady na stole świadczyły o tym, że przyrządził sobie posiłek tym samym nożem, którym wcześniej zamordował Ginę. Talerz, puszka po konserwie, chleb, wszystko było we krwi. Naliczyłam czterdzieści siedem ran kłutych i ciętych na całym ciele, nie wyłączając głowy. Na zdjęciu tego nie widać, bo dostała w skroń i ucho, a po dekapitacji Grover dokładnie umył jej twarz i włosy, nawet ją uczesał. Prawdopodobnie przyszła do niego, żeby zabrać swoje rzeczy, i wtedy zaatakował. Nie miała typowych obrażeń obronnych na dłoniach ani przedramionach, a w jej krwi i moczu wyczułam bardzo silny zapach reinforsyny. Pewnie była tak naćpana, że nawet nie zdążyła zareagować, kiedy zaczął ją dźgać.

– I co, przymknęłaś drania? Masz tu chyba jakiś areszt?

– Mam. Ale nie, nie przymknęłam. Przekazałam Equilibrium. To ludzie Twitcha zgłosili zaginięcie.

– To dlatego bawisz się w psa? – pyta Siobhan z przekąsem. – Próbujesz u niego zapunktować?

Wzruszam ramionami.

– Na pewno nie zaszkodzi – stwierdzam spokojnie. – Gina miała pomóc w hakowaniu Riot Shield. Bez niej cała akcja wzięta w łeb, nigdy wcześniej nie widziałam Twitcha tak wściekłego. Nie chciałabym być teraz w skórze Grovera.

– Jeśli odkryją w nim talent psioniczny, może mu się upiec. Sprawdzają wszystkich wariatów, którzy wpadną im w ręce. Nie zdziw się, jeśli jeszcze go spotkasz.

– Mnie już chyba nic nie zdziwi.

Siobhan uśmiecha się z powątpiewaniem, ale nie komentuje.

– Znasz kogoś z tej trójki? – pytam, wskazując chuderlawego chłopaka, mężczyznę w średnim wieku i rudowłosą kobietę. –

Wszyscy zniknęli w podobnym czasie.

– Babkę kojarzę – stwierdza od razu. – Leczyłam ją.

– Wiedziałaś, że jest telekinetyczką?

– Jasne. To właśnie dlatego próbowała zerwać z nałogiem. Była przerażona, zupełnie nie panowała nad zdolnościami, zwłaszcza podczas snu. Jednej nocy o mało nie skręciła sobie karku, kiedy wstając, nie zauważyła, że jej łóżko wisi półtora metra nad podłogą.

– Dawno zakończyła terapię?

– Parę tygodni temu, pod koniec października. Kilka razy wpadła po leki, a potem już jej więcej nie widziałam.

– Kumple tego tu – macham dłonią w kierunku zdjęcia chłopaka – twierdzą, że on też szukał pomocy w twojej klinice.

Siobhan przez parę chwil przygląda się uważnie uśmiechniętej twarzy chudzielca. W końcu kiwa głową.

– Rzeczywiście. To musi być naprawdę bardzo stare zdjęcie.

– Sprzed kilku lat. Znalazłam je w jego rzeczach. Sporządziłam też rysopis, ale narkotyczny bełkot to raczej mało wiarygodne źródło informacji.

– Teraz jest znacznie cięższy, bardziej umięśniony. Ma tunele w uszach i tatuaże od barków aż po nadgarstki. O ile jeszcze żyje.

– Przyjrzałaś się tym tatuażom? – pytam z nadzieją.

– Owszem, miałam wiele okazji przy podawaniu zastrzyków i podłączaniu kroplówek. Jakies płonące sztylety, cierniowe pędy, wyszczerzone kobry i inne bzdury.

– Czarne czy kolorowe?

– Kolorowe.

Siadam przy stole, przysuwam sobie teczkę zaginionego Michaela Wayne'a i zaginionej Emily Dormer. Siobhan patrzy ze zgrozą, jak sięgam po długopis. Hipermnezja właściwie zupełnie niweluje konieczność prowadzenia tradycyjnej dokumentacji, ale w odręcznym pisaniu jest coś równie magicznego co w czytaniu papierowych książek, zamiast czytników.

Przez kilka kolejnych minut uzupełniam notatki do profilów, zasypując replikantkę pytaniami, a ona odpowiada cierpliwie, wyczerpująco, rzeczowo i nawet za bardzo przy tym nie marudzi

na moją niechęć do synchronizacji wspomnień. W pewnym momencie nie wytrzymuje, z zaciekawieniem zagląda mi przez ramię.

– Masz ładne pismo – ocenia, wyjątkowo bez drwiny w głosie.

Uśmiecham się pod nosem. Zamykam akta Emily, odkładam je na stos innych, po czym otwieram teczkę Michaela i szybko dopisuję kilka szczegółów do rysopisu.

– Kiedy widziałś go po raz ostatni? – pytam, unosząc głowę znad papierów.

– Ponad miesiąc temu.

– W jakich okolicznościach?

– Nijakich. Odszedł bez pożegnania, więc założyłam, że zrezygnował z leczenia i wrócił do swojego obozu.

– A w obozie myśleli, że nadal jest u ciebie.

Siobhan milczy jakiś czas, skubiąc palcami dolną wargę i lekko mrużąc oczy.

– Może gdzieś się zadekował? – myśli na głos. – Był pirokinetykiem.

– Wiem, wyciągnęłam to od jego brata, gdy już trochę przetrzeźwiał. Błagał, żebym nikomu nie mówiła. Michael ukrywa swój dar ze strachu przed Twitchem.

– Nie on jeden – komentuje Siobhan bezbarwnym tonem, przysuwając sobie jedną z teczek i kartkując zebrane w niej informacje. – Parapsychicy boją się Equilibrium jak więdźmy Świętej Inkwizycji.

– Dziwisz im się?

– W ogóle.

Ja też nie.

Zgodnie z przypuszczeniami reakcja Equilibrium na pojawienie się nadprzyrodzonych zdolności u niektórych szaleńców była gwałtowna i zdecydowana. Powołując się na względy bezpieczeństwa, członkowie organizacji zaczęli wyłapywać szwendających się po ulicach psioników i umieszczać ich w specjalnie przygotowanych kwaterach w podziemiach swojej siedziby w gmachu prokuratury. Jak głosiły pierwsze plotki, dowództwo Equilibrium wzięło przykład z Siobhan i kazało

podawać uzdolnionym ibogainę w nadziei, że gdy tylko wyjdą z uzależnienia, znikną też ich zabójcze talenty.

Ale w takim razie skąd opętańcy brali reinfeksię przez cały ten czas? Wiedzieliśmy, że potrafią żywić się najgorszym paskudztwem, od odpadków po szczury, lecz w jaki sposób zdobywali neurotransmitter?

Teorii było kilka i prawie każda zasługiwała na miano spiskowej. Większość opierała się na założeniu, że ktoś, kto bardzo szybko odkrył, że przyjmowanie leku daje niekiedy spektakularne efekty, próbował to wykorzystać do własnych celów, podając narkotyk ulicznym opętańcom w ramach sabotażu i próby zdestabilizowania już i tak napiętej sytuacji w Dark Horizon. Najpewniej chciał wywołać panikę, a potem w odpowiednim momencie przejąć kontrolę nad całym regionem. Może nawet zamierzał wyhodować armię psioników i użyć jej w walce z Equilibrium. Sprawców doszukiwano się zresztą nie tylko po tej, ale też po tamtej stronie Muru, niektórzy podejrzewali bowiem, że cała sprawa z obłąkańcami była częścią operacji dywersyjnej przeprowadzonej przez zakonspirowane oddziały straży granicznej lub wojskowe służby specjalne.

Uważnie słuchałam wszystkich pogłosek i dywagacji, snując po cichu własne przypuszczenia. Szłam o zakład, że za wszystkim od początku do końca stało samo Equilibrium: że to oni jako pierwsi zdali sobie sprawę z niesamowitego potencjału narkotyku, po czym postanowili za jednym zamachem stworzyć użytecznych parapsychików i wyeliminować wygnańców, którzy nie chcieli się podporządkować – kiedy wybuchła epidemia szaleństwa, pierwsi poszkodowani pochodzili z obozów skłóconych z Equilibrium, a to dawało do myślenia. Tym bardziej że z początku organizacja jakoś nie paliła się do pomocy opętańcom i wkroczyła do akcji dopiero po kilku miesiącach, gdy wieść o pirokinetykach, telekinetykach i elektrokinetykach rozeszła się po całym Dark Horizon.

Oczywiście nie tylko szaleńcy z nawiedzonych dzielnic wykształcili paranormalne zdolności – o nich po prostu było najgłośniej. A ponieważ objętych kwarantanną parapsychików z

łapanek nikt już potem nie widział, pojawiły się pogłoski, że wcale nie są poddawani żadnemu leczeniu, tylko po cichu eksterminowani. Ja podejrzewałam raczej, że Equilibrium próbuje ich ujarzmić i wyszkolić, zwłaszcza że do organizacji wciąż werbowano nowych uzdolnionych z innych obozów, którzy z czasem zaczęli pomagać przemytnikom w przeprawach przez Mur. Ale plotki zrobiły swoje i psionicy niezrzeszeni z Equilibrium i niedotknięci ciężką demencją, psychozą czy innymi formami neurodegeneracji, jakie mogłyby ich zdemaskować, przezornie utrzymywali swój dar w tajemnicy. Przynajmniej do czasu, aż nałóg doprowadzał ich w końcu do pomieszania zmysłów, choć nie każdemu się to przytrafiało.

I właśnie ci ukrywający się przed Equilibrium parapsychicy zaczęli nagle znikać w zagadkowych okolicznościach. A ja zaczęłam ich szukać, co w tak prymitywnych warunkach wcale nie jest łatwe.

Tutaj nie mogę sprawdzić monitoringu, bo od dawna już nie działa, nie mam dostępu do policyjnej bazy danych, a o uzyskaniu wiarygodnych zeznań też często mogę zapomnieć. Zamroczeni reinforsyną świadkowie opowiadają niestworzone historie, a nadprzyrodzone wydarzenia, których wszak nie brakuje, jeszcze bardziej komplikują sprawę. Odróżnienie majaków, urojeń i halucynacji od autentycznych zjawisk paranormalnych stanowi nie lada wyzwanie, a czasem okazuje się wręcz niemożliwe. Nigdy nie mam pewności, czy złapałam faktyczny trop, czy gonię za wytworem czyjegoś chorego umysłu.

Szkopuł w tym, że w sprawach tajemniczych zniknięć to właśnie zeznania są najcenniejszym i często jedynym źródłem informacji dla śledczych. Bez miejsca zbrodni, które można by przebadać, bez zwłok i raportu z autopsji, bez ekspertyz kryminalistycznych i wyników badań laboratoryjnych, bez dowodów rzeczowych i dokumentacji holograficznej, a często przecież i bez oczywistych przesłanek, że w ogóle doszło do jakiegokolwiek przestępstwa, nie pozostaje nic innego, jak skrupulatnie przesłuchać wszystkich potencjalnych świadków. Wywiad wiktyologiczny stanowi punkt wyjścia do profilowania

psychologicznego osoby zaginionej, a bez dobrego profilu nie sposób wytypować najbardziej prawdopodobnego scenariusza wypadków, który doprowadził do zniknięcia.

Dobrowolna ucieczka, nieszczęśliwy wypadek, uprowadzenie, morderstwo, samobójstwo?

Na te pytania można odpowiedzieć wyłącznie na podstawie wnikliwego portretu zaginionego, poznawszy jego osobowość, styl życia, status społeczny i ekonomiczny, konflikty, w jakie mógł być uwikłany, kondycję psychiczną na krótko przed zniknięciem i okoliczności, w jakich do niego doszło, ewentualne tendencje samobójcze, choroby psychiczne i somatyczne, kryzysy życiowe, typowe reakcje na stres i wiele, wiele innych szczegółów, z których każdy jest na wagę złota.

Jeśli więc nie można uzyskać wszystkich tych danych od rodziny, przyjaciół i znajomych, śledztwo prędzej czy później utknie w martwym punkcie, i to zanim na dobre się rozpocznie. A jak niby szalencie czy wiecznie nagrany ćpun ma złożyć rzetelne zeznania? Ponadto zdecydowana większość banitów wychowała się w dzielnicach biedy, w samym sercu przestępczego półświatka, i miała raczej przykre doświadczenia z policją, a pogardę do kapusiów i konfidentów wyssała z mlekiem matki, skutkiem czego na jakiegokolwiek próby indagowania reaguje nieufnością, strachem lub jawną agresją.

Kolejny problem, z jakim przyszło mi się mierzyć, polega na tym, że w Dark Horizon ci, którzy znikają bez wieści, wcale nie różnią się niczym szczególnym od reszty wygnańców, a co za tym idzie, nie zwracają na siebie zbytnej uwagi otoczenia. Ich lęki i problemy nikogo nie dziwią ani nie alarmują, bo niemal wszyscy walczą tu z tymi samymi demonami. Ryzyko suicydalne i ryzyko wiktylizacji są jednakowo wysokie dla każdego bez wyjątku.

Ciężkie uzależnienie od substancji psychotycznych, prostytutka, rozboje, uliczne porachunki, przemyt, handel narkotykami i nielegalną technologią, a do tego nadprzyrodzone choroby umysłowe – słowem, same czynniki kryminogenne i warunki zwiększające prawdopodobieństwo zamachów na własne życie. Właściwie nie ma tu takiego człowieka czy replikanta, którego

nie można by uznać za przyszłego samobójcę, uciekiniera, ofiarę zbrodni czy nieszczęśliwego wypadku z udziałem opętanych cudotwórców. Ba, nawet gorzej: prawie każdy należy do wszystkich tych grup ryzyka jednocześnie.

A zbyt wiele hipotez potrafi położyć śledztwo równie skutecznie jak ich brak.

Kiedy więc mówię, że jestem na tropie, mam na myśli trop całkiem dosłowny: ślady zapachowe, sygnatury cieplne oraz odciski butów wraz z ichnogramami, czyli ścieżkami chodu, ułatwiającymi określenie płci, wieku, wzrostu, kondycji fizycznej i stanu zdrowia osoby, która je zostawiła. Traseologia, osmologia i termoskopia – oto skromny wachlarz technik kryminalistycznych, jakimi dysponuję, a ten często nie wystarczy, jeśli nie mam żadnego punktu zaczepienia w postaci wiarygodnych zeznań i nie wiem nawet, gdzie zacząć.

Na razie wyniki poszukiwań przedstawiają się dość ponuro. Pięć młodych kobiet i dwóch mężczyzn z mojej listy zostało uprowadzonych i zmuszonych do prostytucji. Siedmioro padło ofiarą morderstw i międzyobozowych konfliktów. Troje postanowiło ze sobą skończyć, rzucając się z dachu, topiąc w morzu lub fundując sobie złoty strzał na pustkowiu za miastem. Czworo nie przeżyło bliskiego spotkania z siłami nadprzyrodzonymi, na co wskazywały wypalone oczy, głowy przekreśnione o sto osiemdziesiąt stopni czy ślady na skórze po porażeniu piorunem. I tylko dwaj szczęśliwcy, którzy mieli czym zapłacić, uciekli z wyspy na pokładzie pirackich łodzi, a jeden ćpun w pijanym widzie zwyczajnie stracił orientację w terenie, zawędrował aż na przedmieścia, po czym wpadł do niezabezpieczonej studzienki kanalizacyjnej i z całej historii wyszedł bez najmniejszego zadrapania.

Z psionikami jest łatwiej i trudniej zarazem – wszystko zależy od tego, jak wielkie są ich zdolności oraz jak dobrze nad nimi panują. Tych, którzy w niekontrolowany sposób silnie wpływają na pole elektromagnetyczne, znalazłam niemal od razu, bo wrażliwe na takie nietypowe zakłócenia kruki krążyły im nad głowami niczym ogromne, smoliście czarne tornado. Z kolei na

pirotechników i telekinetyków ptaki reagują paniczną i dość widowiskową ucieczką: lecą na oślep, kracząc szaleńczo i z impetem rozbijając się o okna i ściany budynków. Obserwacja szczurów, psów oraz kotów również pozwala wykryć, a czasem nawet przewidzieć zjawiska paranormalne, ale kruki są najbardziej pomocne z tej prostej przyczyny, że widać je już z daleka.

Z początku nie sposób było dostrzec jakiegokolwiek wzoru, lecz w miarę napływania zgłoszeń o kolejnych zaginięciach prawidłowość stawała się coraz wyraźniejsza: zdecydowaną większość wciąż nieodnalezionych osób stanowili zakonspirowani parapsychicy, obdarzeni subtelniejszymi i bardziej dyskretnymi talentami, o których prawie nikt nie wiedział. Wielu z nich z lepszym lub gorszym skutkiem próbowało kuracji odwykowych, by uwolnić się od kłopotliwych zdolności. A potem zapewne zaszyli się gdzieś przed Equilibrium albo zostali po cichu sprzedani werbownikom Twitcha przez członków swych własnych obozów. Organizacja hojnie wynagradza informatorów, a za cynki o paranormalach płaci ekstra. Siobhan nie wykluczała, że wśród szpicli ściganych przez nią za zdradę znaleźli się replikanci, którzy donieśli Equilibrium o psionikach z jej kliniki.

Zagadnęłam o to Twitcha jeden jedyny raz. Kategorycznie odmówił oglądania jakichkolwiek zdjęć i w bardzo dosadnych słowach dał mi do zrozumienia, że żaden samozwańczy szeryf z Dzikiego Wschodu nie będzie prowadził śledztwa na jego terenie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tym samym udzielił mi odpowiedzi na wszystkie, nawet jeszcze niezadane pytania, ale wcale się nie przejął. Co mu niby mogłam zrobić? Absolutnie nic. Przyjęłam do wiadomości jego stanowisko i chcąc nie chcąc, zrezygnowałam z dalszych indagacji. Za bardzo zależało mi na wycieczce za Mur, a jedno słowo Twitcha mogło w każdej chwili przekreślić te plany.

Ale fakt, że nie mam co liczyć na współpracę Equilibrium w kwestii zaginionych parapsychików, bynajmniej nie oznacza, że umorzyłam śledztwo. Każdego dnia godzinami przesiaduję

ciałem na posterunku, a myślami w Animie, na nowo aranżując i interpretując dane. Nierozwiązana zagadka tkwi zadrą w moim widmie i nie pozwala odpuścić. Na domiar złego nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że znowu coś mi umyka, znowu nie dostrzegam oczywistych faktów.

I chyba pomału popadam w obsesję.

– Przestań.

– Co?

– Przestań hałasować. Własnych myśli nie słyszę.

Dopiero teraz się orientuję, że w zadumie zaczęłam stukać długopisem o krawędź stołu. Zatrzymuję rękę w pół ruchu, spletam dłonie na stosie papierów.

– Ten gość też jest psionikiem? – pyta Siobhan. Ruchem głowy wskazuje fotografię szpakowatego mężczyzny, która wisi między zdjęciami Michaela Wayne’a i Emily Dormer.

– Właśnie próbuję to ustalić – wzdycham, omiatając wzrokiem piętrzące się wokół notatki. – Peter Hole, czterdzieści dwa lata. Świadkowie twierdzą, że przez kilka tygodni przed jego zniknięciem śnili coraz bardziej niepokojące sny, a kiedy zaginął, widzenia ustały. To stali klienci Dodge’a, widywałam ich w jego warsztacie na tyle często, żeby opracować wzorce behawioralne, stąd wiem, że nie kłamią. Ale trudno stwierdzić, czy to Peter zsyłał im te koszmary, czy mamy raczej do czynienia ze zbiorowym darem prekognicji. Zwykłej konfabulacji też nie można wykluczyć.

W bursztynowych oczach Siobhan naraz zapalają się iskierki ciekawości.

– Nie spotkałam jeszcze żadnego prekognity – mówi z ożywieniem. – Wygląda na to, że to bardzo rzadki dar.

– Albo utalentowani w tym kierunku psionicy po prostu nie chcą się leczyć.

– Słuszna uwaga – przyznaje po chwili. – Przewidywanie przyszłości jest przydatne, nie aż tak uciążliwe jak niekontrolowana lewitacja czy generowanie piorunów, a przy

tym znacznie łatwiejsze do ukrycia...

– O ile nie wiąże się z jakimś widowiskowym transem – zauważam.

Replikantka zerka na mnie bystro.

– Widziałaś już kiedyś prekognitę w akcji?

– Nie. Ale widziałam dość, by nabrać przekonania, że wszystko jest możliwe, a im większy absurd, tym bardziej prawdopodobny. Credo quia absurdum. Wierzę, bo to niedorzeczność.

Siobhan przytakuje skinieniem. Przez kilka chwil stoi przed tablicą i uważnie czyta opisy pod fotografiami.

– Słyszałam, że ci, którzy zsyłają sny – mówi nagle, obracając się na pięcie – mają też zdolności telepatyczne.

– Też o tym słyszałam – przyznaję wymijająco, a przed oczami staje mi Katie.

– Podobno niektórzy z nich potrafią nie tylko zaglądać w cudze umysły – ciągnie replikantka – ale też wpływać na wolę innych ludzi.

Oraz zwierząt, myślę.

– A replikantów? – pytam, zabierając się do porządkowania papierów.

– Nie wydaje mi się, żeby zwykłe ekranowanie było w stanie ich zatrzymać – orzeka Siobhan po chwili zastanowienia. – Uważaj, May – dodaje uszczypliwie – bo ktoś w końcu zdoła przeczytać myśli, których tak pilnie strzeżesz.

– Będę uważać – zapewniam, siląc się na swobodny ton i z trudem powstrzymując wzdrygnięcie.

– Najrozsądniej jest zakładać najgorsze – stwierdza replikantka sentencjonalnie. – Zwłaszcza że w przypadku reinforsyny jedyną regułą to absolutny brak reguł, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi. U nas sprawy na szczęście wyglądają o wiele prościej.

Ma rację.

Neuroprzełącznik pozwala replikantom odczuwać emocje, koniec kropka. Ani od niego nie wariują, ani nie dostają nadprzyrodzonych mocy. Owszem, skutki przedawkowania bywają u nich równie groźne jak u ludzi, lecz w ogólnym rozrachunku syntetyczne mózgi wykazują dużo większą

odporność na efekty uboczne, a skany diagnostyczne nie wykrywają żadnych nieodwracalnych zwyrodnień układu nerwowego.

Za to ludzki organizm reaguje na narkotyk na rozmaite i trudne do przewidzenia sposoby. Jedni przejawiają pierwsze symptomy choroby umysłowej już po paru tygodniach zażywania, inni po ponad dwóch latach nadal pozostają zdrowi. Podobna zasada, czy raczej jej brak, panuje w przypadku psionicznych predyspozycji. Niektórzy parapsychicy potrzebują bardzo niewielkich dawek, by dokonywać naprawdę spektakularnych cudów, inni nigdy nie odkryli w sobie żadnych talentów. Nie da się też dostrzec wyraźnego połączenia między obłąkaniem a zdolnościami, Siobhan znalazła jedynie słabą korelację wśród swoich pacjentów.

– Jeśli go znajdziesz – mówi Siobhan, ponownie zerkając na fotografię domniemanego telepaty Petera Hole’a – przyprowadź go do mnie. Może nie będzie miał nic przeciwko paru tes... – urywa w pół słowa i gwałtownie obraca głowę.

Podążam za jej spojrzeniem.

Na parapecie za oknem siedzi kruk, ledwie widoczny w słabym świetle księżyca. Przez kilka chwil wpatruje się we mnie dziwnie błyszczącymi oczami, a potem rozpościera skrzydła i uderza dziobem w szybę. Raz, drugi, trzeci, aż na szkle wykwita maleńka pajęczynka pęknięć.

– A temu o co chodzi? – pyta replikantka, marszcząc brwi.

– Zwykle o tej porze wychodzimy na polowanie. – W zasadzie nie kłamię, ale też nie mówię całej prawdy.

Wyjmuję z plecaka konserwę rybną, po czym podchodzę do okna i otwieram je na pełną szerokość, wpuszczając do pokoju powiew zimowego powietrza. Ale kruk wcale nie ma zamiaru skorzystać z zaproszenia. Przesłupuje niecierpliwie z nogi na nogę, łypie raz jednym paciorkowatym okiem, raz drugim. Ciemne tęczówki zasnuwa mu delikatna mgiełka, skrzęca się srebrzyście niczym kryształki szronu. Nie dziobie mnie po palcach, gdy próbuję dotknąć aksamitnych piór na jego szyi, i nawet sam nadstawia łebek do głaskania.

Bez wątpienia jest w transie.

– Dzisiaj nic z tego, mały – mówię, pewna, że Siobhan obserwuje nas uważnie i słuca każdego słowa. – Jestem umówiona z Dodge'em. – Kolejna półprawda. – Zapolujemy jutro.

Ptak mruga figlarnie, jakby zrozumiał, kracze krótko w odpowiedzi. A potem nagle przekręca głowę i szczypie mnie dziobem w dłoń. Mocno, do krwi. Cofam rękę i oboje obserwujemy, jak syntetyczna skóra zasklepia się powoli z cichym mlaśnięciem. Po chwili skaleczenie znika bez śladu, nie licząc wąskiej, jasnoczerwonej strużki, która spływa mi po nadgarstku i bezgłośnie skapuje na czubek buta.

Zerkam na kruka. Obca jaźń wycofała się z jego umysłu, bielmo zniknęło z koralikowych oczu. Ptak wydaje się teraz zainteresowany wyłącznie konserwą, którą wciąż trzymam w drugiej dłoni.

Otwieram puszkę, stawiam ją na zewnętrznym parapecie. Kruk natychmiast zabiera się do jedzenia, a ja zamykam okno, cicho i ostrożnie, żeby go nie spłoszyć, po czym odwracam się w stronę Siobhan. Stoi pod ścianą z chmurną miną i rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Nie dość, że marnujesz prowiant na tych padlinożerców – wzdycha – to jeszcze z nimi gadasz. I co ja mam z tobą zrobić, dziwołagu?

Wzruszam ramionami i uśmiecham się półgębkiem.

– Uznaj za przypadek beznadziejny i spróbuj polubić.

Replikantka pryca cicho, kręcąc głową. A potem niechętnie, bo niechętnie, ale w końcu odwzajemnia uśmiech.

Rozdział piętnasty

Uliczka meandruje wśród baraków z dykty i falistej blachy, które wyglądają, jakby w każdej chwili miały rozsypać się w proch, zawalić pod ciężarem dziurawych dachów, runąć jeden na drugi niczym kostki domina. Śmierć ma tutaj zapach pleśni, przeżartego metalu i zbutwiałego drewna. Karykatury budynków szerniały i pokurczone jak główki tsantsa, wykwity grzyba jak plamy opadowe, łuszcząca się farba jak strzępy skóry, zacieki z rdzy jak zaschnięta krew.

Witamy w Nekropolis.

Wymarłe slumsy sięgają aż po horyzont, gdzie niebo zaczyna już rumienić się nieśmiałą zapowiedzią brzasku. Kruki krążą mi nad głową i ponaglają krakaniem. Od czasu do czasu przysiadają na słupach energetycznych i martwych liniach wysokiego napięcia, błyskając w półmroku osobliwie roziskrzonymi oczami, po czym wzlatują z furkotem, gdy tylko się zbliżę. Pozwalam im wybierać drogę, choć dobrze wiem, dokąd mnie prowadzą, bo znajomy pomruk maszyn niesie się już z daleka.

Skręcam w zaułek wąski niczym skalna szczelina i muszę przeciskać się bokiem, by nie szorować ramionami o ściany baraków. Docieram do ogrodzenia z siatki zwieńczonej kłębami kolczastego drutu, które oddziela slumsy od ponurego parku. Kruki wskazują mi najeżoną prętami dziurę, obsiadając dach pobliskiej rudery, i po chwili jestem już po drugiej stronie. Nagie drzewa toną we mgle białej jak mleko i tak gęstej, że można nabrać jej w dłonie i przelewać między palcami. Sztywne od szronu liście trzeszczą i skrzypią pod podeszwami butów. Nie rozpoznaję okolicy, bo zwykle wybieram zupełnie inną trasę, ale nie muszę zerkać na ptaki. Wystarczy podążać za terkotliwym charkotem, teraz już na tyle głośnym, że czuję wibracje powietrza na skórze. Wychodzę z chaszczy na osiedlową drogę, mijam rzędy wolnostojących domów, wreszcie dostrzegam światło na drugim końcu jednej z bocznych ulic. Przyśpieszam

kroku.

Drzwi otwierają się gwałtownie, zanim jeszcze wkraczam na podjazd, i na spotkanie wybiega mi Katie, rozczochrana jak zawsze, uśmiechnięta jak nigdy. Niedługo skończy dziewiętnaście lat, lecz ubrana w powyciąganą bluzę Dodge'a, która sięga jej niemal do samych kolan, wygląda jak mała dziewczynka. Kędzierzawa czupryna koloru młodych kasztanów sterczy na wszystkie strony, jakby strzelił w nią piorun. Niebieskie tęczęwki aż płoną z podekscytowania w szarości przedświt.

Katie mruga łobuzersko, a ja natychmiast rozpoznaję to mrugnięcie, widziałam je już u jednego z kruków. Dziewczyna okrąża mnie tanecznym krokiem, podpływa do drzewa, wyciąga ramiona do siedzących na nim ptaków. Szybko sonduję otoczenie. Prócz jednostajnego warkotu, który wciąż dochodzi z zamkniętego garażu, nie wychwytuję żadnych dźwięków, a termowizja ujawnia tylko kilka kocich sylwetek w zaroślach po drugiej stronie ulicy. Nikt mnie nie śledził, jesteście same.

Podchodzę do Katie, kładę jej dłoń na ramieniu. Obraca głowę i pytająco unosi brwi.

– Czas je uwolnić – mówię łagodnie.

Cofa się jak oparzona, odtrąca moją rękę, nieładnie krzywi usta. Przez moment jestem pewna, że zacznie się awanturować, ale ona tylko potrząsa głową.

– Zrobiły, co kazałaś, przyprowadziły mnie. Jeśli teraz nie pozwolisz im odlecieć, zaczną się ciebie bać.

Obciąga rękawy bluzy, oplata się ciasno ramionami, zerkając na ptaki z wyraźnym niepokojem. Siedzą nieruchomo niczym kamienne posążki. Ślepią zasnutę świetlistą mgłą skrzą im się delikatnie jak okruchy szkła.

– Katie, proszę. Wiesz, że tak trzeba.

Wie, ale i tak łypie na mnie z zaciętą miną. Spokojnie odwzajemniam jej spojrzenie, czekam, aż ujrzy w nim to, czego nie usłyszy w słowach. W końcu wzdycha i zamyka powieki.

Mentalna więź pęka z niemal słyszalnym trzaskiem, krucze oczy na powrót nasiąkają czernią gorzkiej czekolady. Ptaki wzdrygają się, rozglądają wokół wyraźnie oszołomione. Przez kilka chwil

drepczą w miejscu, niezbornie machając skrzydłami, jak gdyby zapomniały, do czego służą, aż wreszcie zrywają się z gałęzi i z rozdzierającym krakaniem odlatują w stronę Muru.

Katie odprowadza je tęsknym wzrokiem, dopóki nie znikają jej z oczu, a potem obraca się na pięcie i biegnie do domu.

Wiertarka do metalu oraz zasilany biopaliwem agregat prądotwórczy, który Dodge skonstruował samodzielnie z silnika od hovera i prądnicy od pralki przemysłowej, dają wspólnie taki koncert, że pochłonięty pracą mechanik zauważa moją obecność dopiero, gdy dociera do niego zapach świeżo zaparzonej kawy. Podrywa głowę, odnajduje mnie wzrokiem, gestem daje znak, że zaraz kończy. Minutę później zatrzymuje całą maszynę i w końcu zapada cisza, przerywana jedynie trzaskaniem ognia w piecyku.

– Co tu robisz o tej porze, dziecino? – pyta, przesuwając okulary ochronne z nosa na czoło.

– Katie – wyjaśniam krótko.

Dodge klnie paskudnie, zerka w kierunku drzwi prowadzących w głąb domu. Ciężkim krokiem podchodzi do stołu i z westchnieniem opada na krzesło.

– Co tym razem? – pyta półgłosem.

– Wysłała po mnie opętane kruki.

– O, psiakrew. – Ubrudzona smarem ręka, którą właśnie sięgał po kubek, zamiera mu w pół ruchu, dreszcz zbiega od barku aż po czubki palców.

– Przejęła kontrolę nad całym stadem. Jest coraz silniejsza. I coraz mniej ostrożna.

– Czy ktoś...

– Nie, sprawdziłam, bez obaw. Ale było blisko. Na szczęście moja reputacja postrzelonej kruczycy tym razem dla odmiany okazała się pomocna.

Dodge próbuje odwzajemnić mój uśmiech, lecz twarz ma zeszywniałą od niepokoju i na usta wypływa mu mało przekonujący grymas.

Wypijam duszkiem gorącą, bardzo słodką kawę, po czym sięgam po termos i dolewam sobie jeszcze, aż po same brzegi kubka. Skanowanie terenu przez całą drogę z posterunku całkiem wydrenowało mnie z energii, aż mam mroczki przed oczami, lekkie mdłości, zawroty głowy. Kofeina i cukier powinny chwilowo temu zaradzić, ale muszę szybko coś zjeść i trochę się zdrzemnąć.

Gdybym miała wymienić jedną rzecz w Wylegarni, za którą tęsknię, to zdecydowanie byłby to kokon regeneracyjny.

– Jeszcze nic złego się nie stało. – Upijam kolejny łyk i spoglądam Dodge'owi w oczy przez smużki pary. – Z naciskiem na „jeszcze”. Jeśli Katie nie przestanie ryzykować, zwróci w końcu uwagę Equilibrium i będą kłopoty.

– W kółko jej to powtarzam – wzdycha posepnie. – Charakterek odziedziczyła po matce, jak się uprze, nie ma zmiłuj.

– Musimy coś z tym zrobić, Dodo.

– Masz jakiś pomysł? – pyta napastliwie, szarpiąc się za brodę. – Bo ja nie, więc chętnie posłucham.

Wbrew temu, co mówi, wcale nie chce od mnie żadnych rad i tylko się wkurzy, jeśli powiem na głos to, co oboje myślimy: że Katie powinna odstawić reinforsynę, przynajmniej na jakiś czas. Dziewczyna ma niezwykle podatny układ nerwowy, zmniejszenie dawek nie przynosi spodziewanych skutków. Nawet przy zażywaniu śladowych ilości neurotransmitera jej talenty nie tyle nie słabną, ile wbrew wszelkiej logice wciąż przybierają na sile. Dodge boi się, że jeśli Katie przestanie brać, znowu straci z nią kontakt i cały powolny, żmudny postęp, jaki udało im się poczynić przez te dwa lata, pójdzie na marne. Oboje widzieliśmy reinforsynistów po terapii w klinice Siobhan, jego obawy bynajmniej nie są bezpodstawne. Detoks to nie koncert życzeń, nie działa wybiórczo. Jest jak twardy reset. Zastosowany odpowiednio wcześniej, zanim ewentualne zwyrodnienie tkanki mózgowej osiągnie punkt krytyczny, niweluje wszystkie skutki przyjmowania leku, zarówno te pozytywne, jak i niepożądane.

Ja to wiem, Dodge to wie, nie potrzebujemy słów. Milczymy więc, popijając kawę i obserwując płomienie tańczące za

zakopconą szybą piecyka.

- Nie zdradziła mi, po co właściwie mnie tu ściągnęła - odzywam się w końcu, gdy przez maleńkie, zakurzone okienko pod sufitem wpadają pierwsze promienie słońca. - Zamknęła się obrażona w swoim pokoju, zanim zdążyłam zapytać.

Dodge zastanawia się przez chwilę, bębniąc palcami o stół, aż dzwonią leżące na nim narzędzia i części wyprutych maszyn. Nagle podrywa głowę.

- No oczywiście, pewnie wyczuła, że... Zresztą zaraz ci pokażę. Mam tu coś dla ciebie. - Z trzaskiem odstawia kubek, po czym daje nura pod blat. - Chciałem z tym poczekać parę dni - kontynuuje nieco przytłumionym głosem, szurając czymś miękkim po betonowej podłodze - i najpierw spróbować przemówić ci do rozsądku... Ale skoro już tu jesteś, załatwmy to od razu.

Wyciąga wojskową torbę podróżną i kładzie ją przede mną z wyjątkowo markotnym wyrazem twarzy.

- Prezent od Twitcha - mówi kwaśno. - Nic wybuchowego, sprawdziłem - dodaje na widok mojej miny.

Po takim wstępie trudno mi opanować ciekawość. Rozpinam zamki, zaglądam do środka.

- Tak właśnie myślałem, że ci się spodoba - burczy nabzdyczony, gdy wyrывa mi się ciche westchnienie. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam to za wyjątkowo głupi pomysł. I dla porządku dodam, że gdybym wiedział, co ci chodzi po głowie, kiedy prosiłaś, żebym przedstawił cię Twitchowi, w życiu bym się nie zgodził.

Smoliście czarny, lekko połyskliwy skafander wygląda dość niepozornie, trochę jak pianka surfingowa albo strój pływacki. Jest przyjemny w dotyku, chłodny, śliski i miękki jak woda. Przesuwam dłonią po grafenowym materiale i wyczuwam pod palcami drobniutką, koronkową sieć sensorów i nadajników.

- Kamuflaż termowizyjny i antysonarowy, pochłaniacze pełnego spektrum fal świetlnych, statyczne i dynamiczne maskowanie holo - wylicza Dodge, a w jego głosie pobrzmiwa źle skrywany podziw. - Do tego inteligentny system ekranujący i

neutralizatory pocisków energetycznych. W zestawie rękawice, buty, maska i sakwa, wszystko z tego samego tworzywa.

Z trudem przełykam ślinę, zwilżam językiem spierzchnięte wargi.

- Kiedy? - pytam krótko, bo więcej nie jestem w stanie wykrztusić.

- Za tydzień. O ile przyjmiesz wszystkie warunki, które postawi ci Twitch. Nie pytaj jakie, nie wiem, co kombinuje, ale możesz być pewna, że nic dobrego. - Zerka na mnie wyraźnie zmartwiony. - Nie rób tego, dzieciно. Shiv ma rację, to zbyt niebezpieczne.

Uśmiecham się z przekąsem.

- Mogłam się spodziewać, że w końcu przeciągnie cię na swoją stronę.

- W oczywisty sposób tego nie dostrzegasz, ale my oboje jesteśmy po twojej stronie - sarka z wyrzutem. - Naprawdę musisz spotykać się z tym swoim Quinnem osobiście? Nie możesz po prostu zgrać sobie wspomnień na jakiś zewnętrzny nośnik i wysłać mu ich mailem? Załatwiłbym ci dostęp do laptopa z łączem satelitarnym i...

- Nie, Dodo - przerywam mu, zanim się rozkręci. - Zasyfrowałam je w taki sposób, że przy próbie kopiowania ulegną samozniszczeniu, a z mojego mózgu zostanie zwęglona skwarka.

- Bardzo rozsądnie - orzeka z posępną drwiną. Przez kilka chwil siedzi naburmuszony, mamrocząc pod nosem przekleństwa, a potem dopija kawę i z rozmachem wali kubkiem w stół. - No dobra, to w takim razie wskakuj w to wdzianko - komenderuje sucho. - Musimy je przetestować, ustawić komendy myślowe, dostosować parametry, skalibrować elektronikę... Tylko żeby była jasność - dodaje i mierzy we mnie palcem jak z pistoletu - nie podoba mi się to wszystko. Mam cholernie złe przeczucia, May.

Szybko odwracam wzrok, mnąc w dłoniach rękaw skafandra.

- Ja też - wyznaję tak cicho, by Dodge nie mógł tego usłyszeć.

Plac przed dawnym gmachem prokuratury jest pełen ludzi. Przy bramie wjazdowej i każdym wejściu stoi po czterech uzbrojonych wartowników, a co najmniej pół setki osób uwija się na tyłach czarnych ciężarówek, pomagając przy wyładunku i segregowaniu towarów z pomocy humanitarnej. Żywność, ubrania, leki, środki medyczne i higieniczne, suplementy, napoje regeneracyjne. W jednym z kontenerów dostrzegam sadzonki bioluminescencyjnych roślin, w drugim membrany z tlenu grafenu, które odfiltrowują zanieczyszczenia i sól z wody morskiej, by uzyskać wodę słodką i zdatną do picia. W kolejnym piętrzą się maleńkie roboty Raw-Bot, żywiące się bakteriami – one również oczyszczają wodę, a podczas pływania generują niewielkie ilości energii elektrycznej.

Większość tych dóbr trafi do obozów zaprzyjaźnionych z Equilibrium jako premia za owocną współpracę. Reszta wygnańców po raz kolejny stanie przed wyborem: obejść się smakiem albo podpisać cyrograf z Twitchem. Trudno orzec, co gorsze.

Strażnicy przy bramie rozpoznają mnie z daleka, bez słowa przepuszczają dalej. Pośpiesznie przemierzam plac, lawirując wśród samochodów, skrzyń ze znakiem Czerwonego Krzyża i krzątających się ludzi. Jeden z wartowników, na oko dwudziestoletni chłystek, zastępuje mi drogę, gdy tylko wydostaję się z tłumu i wkraczam w cień rozległego budynku.

– Twitch czeka na ciebie w Hybris – rzuca opryskliwie. Żeby dodać sobie powagi, poprawia wiszący na ramieniu karabin. – Znasz drogę?

Nie silę się na odpowiedź. Robię w tył zwrot, okrążam gmach, zbiegam po schodach prowadzących do piwnic. Na widok kobiety w kolorowych dreadach opartej o drzwi od razu staję w rozkroku, szeroko rozkładam ramiona. Znam procedury. Wartowniczką szybko i z wprawą przeszukuje każdy zakamarek mojego ubrania, a nie znalazłszy broni, ruchem głowy pozwala wejść do środka.

Wibrujący, basowy rytm już od progu uderza we mnie z siłą huraganu. Aktywuję filtry akustyczne i podkręcam jasność, bo

wokół panują niemal zupełne ciemności, rozświetlane jedynie lampkami UV i fluorescencyjnym graffiti. Już po paru krokach docieram do rozwidlenia. Kiedyś był tu areszt śledczy dla szczególnie niebezpiecznych podejrzanych. Teraz w korytarzu po prawej znajduje się wejście do nocnego klubu, po prawej dwa szeregi cel przerobionych na pomieszczenia socjalne i garderoby dla striptizerek, a na wprost schody do burdelu, skąd dochodzą stłumione krzyki, oblesny rechot i wymuszone, monotonne pojękiwania.

Na stopniach siedzą dwie młode kobiety i kilkunastoletni chłopak. Kiedy się zbliżam, przerywają rozmowę, płochliwie podrywają głowy. Mierzą mnie spojrzeniami, w których błagalna nadzieja walczy na śmierć i życie z apatią i rezygnacją. Jedna z prostytutek ma krótkie, platynowe loki, orli nos, jasnozielone tęczówki, a jednak gdy na nią patrzę, widzę Isobel. W podobny sposób skubie skórki przy paznokciach i zmusza się do uśmiechu. Z dna jej rozszerzonych głodem źrenic krzyczy ta sama rozpacz.

Wyciągam rękę. Pośpiesznie gasi papierosa o poręcz schodów, ciska niedopałkiem w kąt. W ogóle nie stawia oporu, gdy pomagam jej wstać, nie dba o to, gdzie ją zaprowadzę ani co z nią zrobię, byleby tylko za bardzo nie bolało, byleby zasłużyła na kolejną działkę. Szeroko otwiera oczy, kiedy wciskam jej w dłoń garść ampułek teardrop. To więcej, niż mogłaby zarobić w miesiąc. Widzę, jak zaskoczenie i ostrożna radość mieszają się w niej z lękiem na myśl o tym, czego zażądam za taką ilość doskonałej, czystej jak łza reinforsyny.

Zamykam jej palce na fiolkach i uspokajająco kręcę głową.

Chciałabym wierzyć, że zamiast wszystko przećpać, wyrwie się z tej dziury, kupi sobie protekcję w którymś z obozów, może nawet pójdzie na odwyk do Siobhan. Chciałabym, ale jakoś nie wierzę, nie zamierzam jednak udzielać żadnych rad ani prawić kazań. Po prostu daję jej wybór. Tylko tyle i aż tyle.

Bez słowa wracam na korytarz.

Dochodzi południe, o tej porze w klubie nie ma prawie nikogo. Panuje tu wilgotny, duszny półmrok, rozświetnione basami powietrze lepi się do skóry, kręci w nosie od zapachu potu,

alkoholu, papierosowego dymu i oparów biobenzyny. Na suficie kiczowata diamentowa kula, na ścianach fosforyzujące graffiti i animowane neony – dawne szyldy okolicznych barów – a dookoła chaotyczna zbieranina mebli, każdy z innej bajki. Szerokie ławy, szklane stoliki, pufy, krzesła barowe, zamszowe kanapy, winylowe fotele. Z ostrych, chrapliwych dźwięków industrialnego metalu wyławiam miarowe buczenie generatorów na zapleczu i postukiwanie kul bilardowych w jednej z bocznych sal.

Twitcha znajduję przy kontuarze, na którym wciąż widnieje logo pubu Chip'n'Ale, niegdyś najlepszego lokalu po tej stronie miasta. Mężczyzna stoi oparty o blat i obserwuje jasnowłosą dziewczynę tańczącą przy rurze. Oboje sprawiają wrażenie śmiertelnie znudzonych. Ona ma ospałe, sztywne ruchy, zrzuca kolejne części garderoby z taką miną, jakby robiła to tylko po to, żeby zaraz walnąć się na łóżko i przespać pół życia. On prześlizguje po jej półnagim ciele obojętnym wzrokiem, nie starając się nawet tłumić ziewnięcia. Krótki, wściekle zielony irokez w czarne pasy, płaski nos oraz zimne, gadzie oczy upodabniają go do jadowitego węża. Węża, który dawno już zaspokoił pierwszy głód i teraz przygląda się od niechcienia, jak z ukąszonej dla zabawy myszy powoli uchodzi woła walki.

Na mój widok Twitch nieznacznie się ożywia, z daleka szczyrzy drobne, równiutkie zęby, tak białe, że niemal świecą w ultrafioletowym świetle. Gestem przegania striptizerkę z parkietu, nie zaszczycając jej już ani jednym spojrzeniem, po czym podchodzi do staroświeckiej szafy grającej na płyty winylowe, zmienia utwór na jakąś bluesową balladę i ścisza głośniki. Dziewczyna z widoczną ulgą zbiera ubranie z podłogi, pośpiesznie znika za filarem, a z bocznej sali wychodzą zwabieni nagłą ciszą podkomendni Twitcha. Krótko ostrzyżona kobieta w skórzanej kurtce i żylasty facet z sinoróżową, porowatą blizną po oparzeniu, która sięga mu od nadgarstka prawej ręki aż za linię rzadkich włosów na skroni.

Twitch najwyraźniej nie zamierza dokonywać prezentacji, ale domyślam się, kim są, słyszałam to i owo od Siobhan i Dodge'a.

Moira to była pracownica działu IT w Beyond Industries, domorosta pajęczarka, która pomogła Equilibrium scrackować Stewarda podczas zamachu na siedzibę korporacji. Volver przez wiele lat pracował jako radiolog, dopóki inteligentne algorytmy do analizy obrazów biomedycznych na dobre nie wygryzły go z branży. Potem przekwalifikował się na specjalistę od diagnostyki maszyn i na jakiś czas zaczął w robotyce przemysłowej, ale i tam szybko dopadła go automatyzacja rynku pracy. Teraz podobnie jak Dodge buduje elektroniczne Frankensteiny z odzyskanych części, a także, jak głosi plotka, prowadzi własne badania nad psionikami. Rozległe oparzeliny zdają się potwierdzać te pogłoski.

– Deal jest taki – zaczyna Twitch bez zbędnych wstępów, gdy już siedzimy na kanapach przy barze. Oni piją piwo z przemytu, ja zadowolam się sokiem z marchwi i glukozą z pomocy humanitarnej. – My zapewniamy ci wyposażenie i bezpieczne przejście przez Mur. Ty w zamian przynosisz nam drona Riot Shield.

Milczę, trawiąc te słowa i przyglądając się badawczo całej trójce. Wszyscy mają identyczne marsowe miny, jakby ćwiczili je przed lustrem specjalnie na tę okazję.

– Nie boicie się, że buchnę wam sprzęt i w ogóle nie wrócę do Dark? – pytam, gdy staje się jasne, że dalszy ciąg sam z siebie nie nastąpi.

Twitch nachyla się nad stolikiem.

– A jesteś gotowa zaryzykować bezpieczeństwem Dodge’a i jego ślicznej córeczki?

– Skoro składasz tę ofertę mnie – mówię spokojnie, udając, że groźba nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia – a nie jakimś zaufanemu łowcy, to zakładam, że wszyscy ci odmówili.

– Cóż za przenikliwość. – Mruży powieki, błyska zębami. – Nikt inny nie jest na tyle popieprzony, żeby polować za Murem.

– Chciałeś raczej powiedzieć, że na nikogo innego nie udało ci się znaleźć haka.

Twitch nie komentuje, ale na wargi wypływa mu paskudny, bardzo wymowny grymas.

– Słucham zatem. – Upijam łyk soku i zerkam na wszystkich po kolei. – Bo macie chyba jakiś plan?

– I tak, i nie. To dość skomplikowane, więc wyteż procesory, pacynko. Moira? Nawijaj, skarbie.

– Jeśli maszyna Rosh'a spędzi po naszej stronie Muru dłużej niż kilka minut – przejmie pałeczkę kobieta, wygodnie rozsiadając się na kanapie i skrzypiąc skórzaną kurtką – przewencyjnie kasuje sobie dane i trwale zrywa kontakt z bazą. Tak było ze wszystkimi dronami zwiadowczymi, które ty i inni łowcy upolowaliście w Dark. Mamy powody, żeby przypuszczać z dużym prawdopodobieństwem, że w razie próby zhakowania trutnia w New Horizon centralny komputer Riot Shield zdalnie odpali protokoły bezpieczeństwa, wyczyści dyski twarde zagrożonej maszyny i zablokuje transmisję. No i wyśle na miejsce bojową jednostkę Roju, ale tego chyba nie muszę dodawać. A nam potrzebny jest dron wciąż podpięty do Systemu. Nienaruszony hardware i software, aktywne połączenie z Rosh'em.

– A co z barierami plazmowymi? – pytam. – Wydawało mi się, że to one zakłócają sygnały i odcinają drona od Systemu, jeśli za bardzo oddali się od Muru.

– Kiedyś faktycznie tak było – przyznaje sucho Moira – ale teraz trutnie najnowszej generacji przesyłają dane przez Li-fi. Optyczna komunikacja bezprzewodowa jest odporna na zakłócenia elektroenergetyczne, a wieże nadawcze Riot Shield mają doskonały zasięg. Grunt, żeby nie zerwać połączenia.

– Czyli wszystko rozbija się o raporty diagnostyczne i nawigacyjne danej maszyny – myślę na głos. – Jeśli te będą w porządku, ani dron, ani Rosh nie zauważą kradzieży...

– Bystry robocik – komentuje Twitch nie bez zjadliwości.

– Wiemy, jak chwilowo uciszyć złowioną maszynę – wtrąca Volver, pocierając stare blizny na policzku wierzchem świeżo poparzonej dłoni. – Wiemy też, jak na krótki czas oszukać Riot Shield i wkręcić mu, że dron wcale nie został zmanipulowany. Warunek jest jednak taki, że cała operacja musi zostać przeprowadzona w New Horizon, zaraz wyjaśnię dlaczego. Znaleźliśmy sposób na podsłuchanie i sfałszowanie transferu Li-

fi. – Sięga do kieszeni, po czym kładzie na stoliku maleńki statek powietrzny w kształcie ważki. Natychmiast go rozpoznaję. – Dodge wziął na warsztat jeden z twoich najnowszych łupów wyposażonych w tę technologię i przerobił go na repeater. Ten przedrzeźniacz przez ponad dwa tygodnie słuchał transmisji z wieży nadawczej Rosha, a Moira napisała program, który przekonwertował te sygnały w chaotyczny, ogłuszający stroboskop. Przetestowaliśmy go na dronach zwiadowczych latających nad Dark, durnieją momentalnie...

– Ale ponieważ znajdują się wtedy na wrogim terytorium, dyski twarde ulegają natychmiastowej autodestrukcji na polecenie Rosha – kończę za niego. – System nie ryzykuje, nie pozwala brać jeńców.

Mechanik i pajęczarka zgodnie kiwają głowami, a Twitch mruga do mnie gadzim okiem.

– I dlatego tutaj nie da rady przeprowadzić akcji – podejmuje Volver. – Zwiady są za szybkie i za krótkie, a najmniejsza anomalia w zachowaniu drona skutkuje automatyczną utratą danych. Rutynowe patrole w New Horizon to już co innego. Będziesz miała więcej czasu, żeby sczytać repeaterem transmisję z wybranej maszyny. Przedrzeźniacz skopiuje jej zaprogramowaną trasę, standardowe reakcje i sygnały raportujące, a potem potraktuje ją paralizatorem świetlnym Moiry i zacznie przesyłać sfingowany przekaz do Rosha. To powinno kupić ci dwie, góra trzy minuty na manualne scrackowanie drona...

– I tu przechodzimy do gwoźdza programu i sedna naszego problemu – oznajmia beztrąsko Twitch, odchylając głowę i wpuszczając sobie pod powiekę kilka kropel narkotyku z małej ampułki zakończonej aplikatorem. – Czyli crackowania właśnie – dodaje ze wzrokiem wbitym w diamentową kulę. – Otóż za chuja nie wiemy, jak się do tego zabrać.

– Oszukanie Riot Shield nie wystarczy, trzeba jeszcze przekonać złowioną maszynę, że wszystko gra i buczy, więc nie musi sobie fundować prania dysków. – Volver pociąga tęgi łyk z butelki. – W tym już samo sfabrykowanie transmisji nie pomoże, bo każdy

dron skanuje się indywidualnie za pomocą lokalnego oprogramowania. – Łypie na mnie ponuro spod nadpalonych brwi. – To Gina miała przygotować crack.

– Że też ten pojeb musiał zadźgać akurat ją... – warczy Moira przez zaciśnięte zęby. Nawet nie tknęła swojego piwa i tylko obserwuje krople spływające po zimnym szkle. – Przed Buntem pracowała nad softem, którego użyli przy ostatnim upgradzie Systemu, znała tylne drzwi. Zdradziła nam, gdzie ich szukać i jak je otworzyć, ale nie zdążyła napisać wirusa. Żaden pajęczarz nie może jej zastąpić, bo musielibyśmy najpierw przeanalizować kod, do którego nie mamy tu dostępu...

– A żeby uzyskać dostęp, potrzebny wam nieuszkodzony dron – wpadam jej w słowo.

– Właśnie. Błędne koło. Bez znajomości tak złożonego oprogramowania stworzenie skutecznego malware'u może zająć tygodnie, miesiące, może nawet rok. A System latają na bieżąco, jeden pechowy update i cała robota w pizdu.

– Życzę zatem udanych łowów. – Twitch saltuje mi butelką piwa. – Nie wiem, jak to zrobisz, i w sumie gównu mnie to obchodzi, ale masz załatwić nam tę maszynę, w przeciwnym razie... – urywa w pół zdania na widok mojej miny, zaczerwienione od narkotyku oczy zwężają mu się niebezpiecznie. – Czego się szczerzysz, psychopatko, powiedziałem coś zabawnego?

– Jeśli to faktycznie kwestia sfałszowania koordynatów i diagnostyki – mówię, nie przestając się uśmiechać – to wirusa biorę na siebie.

Rozdział szesnasty

May... Jesteś tego pewna?

Nie odpowiadam, tylko zdecydowanym ruchem odgarniam włosy z karku, nisko pochylam głowę. Słyszę, jak Dodge klnie i sapie z nerwów za moimi plecami. Po chwili rozlega się ciche cmoknięcie odkorkowywanej butelki, powietrze momentalnie przesiąka zapachem spirytusu salicylowego. Wzdrygam się lekko, gdy zimny, mokry wacik muska moją szyję tuż pod linią włosów. Skalpel dotyka skóry samym koniuszkiem ostrza i zaraz się cofa.

– Nie mogę... No nie mogę, psiakrew, nie zrobię tego! Nawet nie mam czym cię porządnie znieczulić!

– Nie szkodzi, wytrzymam.

– A ja?! Ja nie wytrzymam!

– Nie kroisz człowieka, Dodo – przypominam mu łagodnie, wciąż wpatrzona we własne kolana – tylko przeprowadzasz przegląd techniczny maszyny. Tak do tego podejdź.

– Akurat! Wmawiaj se, wmawiaj, już ja swoje wiem. Krwawisz? Krwawisz. Czujesz ból? Czujesz. Boisz się? I to jeszcze jak!

– Serio? – Unoszę głowę.

– A nie? – fuka na mnie z irytacją. – Dłonie ci się telepią, jesteś blada jak ściana i cała spięta, o! – W ramach demonstracji zaczyna z taką werwą masować mi barki, że aż się krzywię. – Lita skała, nie mięśnie! Co ci strzeliło do głowy, żeby zacząć ćpać akurat przed akcją?

– Nie ćpałam. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

– No więc jak to wyjaśnisz?

– Adrenalina plus rozregulowany układ вегетативны. Musiałam wiać, zanim Turvey zdążył mi go naprawić...

– Rozregulowany-srany – komentuje błyskotliwie Dodge. – Ludzki, chciałaś powiedzieć.

– Wiem, co chciałam powiedzieć.

– Przypuszczam, że wątpię. Siobhan poopowiadała mi o tobie to

i owo...

– Ha, jakżeby inaczej. Shiv to prawdziwe uosobienie dyskrekcji.

– ...i sam też już wcześniej zauważyłem, jak reagujesz na najmniejszą wzmiankę o Quinnie czy wyprawie za Mur, i to nawet wtedy, gdy myślisz, że nikt nie patrzy. Jako ekspert od maszyn pragnę cię poinformować, że anomalia, która występuje w sposób konsekwentny i przewidywalny, przestaje być anomalią, a staje się atrybutem.

– Ale...

– Ja widzę twoją aurę, May – wypala dobitnie, nie dając mi dojść do słowa. – Rozmawiasz z parapsychikiem, zapomniałaś? Aury nie oszukasz. – Szczerzy się szeroko, rad z efektu. – Co, zatkało?

– Zatkało – przyznaję szczerze.

– Twoje widmo emocjonalne jest słabe, to fakt, takie jakby mocno przytłumione. Ale jest. Reakcje masz jak człowiek, więc dla mnie jesteś człowiekiem, z reinforsyną czy bez, koniec kropka. A co do Turveya – nagle zmienia temat, oskarżycielsko dźgając palcem ilustrację w książce, którą położył sobie na krześle obok, w charakterze schematu – to ani słowem się nie zająknął o twoim modelu, opisuje tylko jakieś stare rupiecie, więc skąd wiesz, że w ogóle masz tam coś takiego? To węzowate chujwico?

– Analogowe neurozłącze awaryjne w rdzeniu kręgowym – poprawiam spokojnie.

– Jak zwał, tak zwał.

– Pogrzebałam w starych logach diagnostycznych w Animie, znalazłam parę wzmianek na jego temat. Nigdy nie było używane, ale powinno działać. – Przenoszę wzrok z książki na Dodge'a. – Wyjmiesz je w końcu czy mam to zrobić sama?

Nie odpowiada. Mamrocząc gniewnie pod nosem, dokłada do piecyka, po czym przysuwa lampę gazową do krawędzi stołu i zwiększa płomień. Gestem daje mi znak, żebym pochyliła głowę. Zmienia rękawiczki, ponownie dezynfekuje mi skórę na karku, a potem przez kilka chwil zbiera się w sobie, nim wreszcie robi pierwsze nacięcie.

Zamykam oczy, zagryzam zęby, wpijam paznokcie w udo.

Staram się nie skupiać na bólu. Czuję, jak ciepłe, łaskoczące strużki spływają mi po szyi, wślizgują się za dekolty i skapują z podbródka, słyszę miękkie pacnięcia kropel na podłodze.

– Okej, chyba coś wymacałem – odzywa się Dodge po nieznośnie długiej ciszy. – Cholera jasna, za dużo tu krwi, nic nie widać, wszystko śliskie i nie mogę złapać... Czekaj, przemyję.

Spłukuje mi kark solą fizjologiczną i na powrót pakuje palce do rany.

– Siostrzyczko, kleszcze – rzuca z przekąsem.

Podaję mu kombinerki, które przez cały czas trzymałam w kurczowo zaciśniętej dłoni.

Najpierw kojący chłód metalu, potem szarpnięcie u podstawy czaszki i intensywne mrowienie zbiegające w dół kręgosłupa. Nie potrafię powstrzymać syku, gdy Dodge jednym silnym ruchem wyrywa ze mnie neurozłaczne niczym sznurek z naciąganej pozytywki.

– U-la-la... Niezły bajer! Nanorurki węglowe, włókna optyczne, sploty optoelektroneuronowe – mruczy do siebie ze znawstwem i podziwem, po czym zaraz się reflektuje: – Masz jeszcze czucie w ciele?

– Ta-ak...

– Bardzo boli?

– Niiie... skąąd...

– Kłamczucha. Chcesz zobaczyć?

– Pokaż.

Przewód przypomina stalową linkę okrytą warstewką przezroczystej, biosyntetycznej tkanki i wypełnioną migotliwą wiązką światłowodów. Przesuwam po nim palcami, po czym sięgam za głowę i ostrożnie, delikatnie macam krawędź otworu w jednym z kręgów szyjnych, w którym znika neurozłaczne.

– Dobra, zabieraj łapy – komenderuje Dodge. – Teraz trzeba zamontować ci gniazdo w karku i założyć wtyczkę na chujwico, he, he, he...

– Widzę, że jednak dobrze się bawisz.

– Taki mechanizm obronny. Wiesz, żeby nie myśleć, że trzymam paluchy w cudzym rdzeniu kręgowym. Siostrzyczko, rozwieracz. Bo mi

się tu siostra zaraz pozasklepia.

Rzeczywiście, już czuję, że tkanki na obu końcach rozcięcia zaczynają się powoli splatać i zespalać, a brzegi rany lgną do siebie jak przeciwne bieguny magnesu. Podaję Dodge'owi instrument w kształcie nożyc z szerokimi łopatkami zamiast ostrzy, wydębiony od Siobhan razem z apteczką i środkami do dezynfekcji.

- Potrzebuję dwóch rąk, musisz mi pomóc. - Ujmuje mnie za dłoń, kieruje ją we właściwe miejsce. Wsuwam palce w pierścienie, otwieram łopatki, poszerzając ranę. - O, tak jest dobrze. Teraz nie ruszaj się przez chwilę.

Chwila trwa ładnych parę minut, podczas których Dodge klnie i utyskuje, ja staram się nie pokruszyć sobie zębów z bólu, lampa gazowa szumi sykliwie, a w piecyku wesoło strzelają płomienie. Wreszcie mechanik odkłada rozwieracz, delikatnie wsuwa zakończone interfejsem neurozłącze z powrotem do kanału rdzeniowego, po czym sięga po gniazdo - maleńką obrączkę z grafenu, protokomórek oraz polimerowej sztucznej skóry, pozyskanych z bionicznej kończyny, którą jeden z przemytników zdobył dla Dodge'a na czarnym rynku w New Horizon w zamian za wskrzeszenie kilku starych sprzętów. Słyszę, jak krążek z plaśnięciem przysysa się do tkanek. Po chwili zaczyna chciwie ssać krew i schładzać ranę lodowatym zimnem.

- No, gotowe - oznajmia Dodge z mieszaniną dumy i ulgi w głosie. Obficie obmywa mi kark solą fizjologiczną i płynem odkażającym, po czym zakłada sterylny bioopatrunek. - Teraz będziesz mogła wyciągać sobie złącze z mózgu, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Przetestujemy je później, jak już się trochę podgoisz.

Powoli prostuję plecy, z sykiem unoszę podbródek. Dopiero po kilku sekundach dostrzegam podstawione mi pod nos autostrzykawkę, jedną z antybiotykiem, drugą z nanobiotykami. Posłusznie robię sobie oba zastrzyki, a potem przez jakiś czas siedzę z dłońmi wspartymi na kolanach, starając się nie ruszać głową. Rana piecze i swędzi coraz dotkliwiej, a żołądek, jak zawsze w trybie regeneracyjnym, naraz zaczyna skręcać mi się z

głodu.

Pochwyciwszy mój nieco przymglony wzrok, mechanik bez słowa podchodzi do kuchenki, zapala gaz pod rondlem z zupą z puszki, po czym zabiera się do przyrządzania kawy.

– Wyruszam pojutrze – odzywam się kilkanaście minut później, drapiąc łyżką o dno miski. – Kiedy mnie nie będzie, miej oczy i uszy otwarte. Twitch dał mi do zrozumienia, że ty i Katie to dla niego zabezpieczenie inwestycji.

– Jak ty śmiesznie wymawiasz „zakładnicy” – prycha cicho Dodge.

Zaglądam mu w oczy.

– Potrzebujesz broni? Naboi? Uzbierałam spory zapas, powiedz tylko słowo.

– A pewnie, nie odmówię. Dzięki, dziecino.

– Jeśli coś pójdzie nie tak i nie wrócę...

– Nie martw się, damy sobie radę. Parę osób jest mi winnych przysługę, w razie czego mamy gdzie się ukryć. – Dodge opada na oparcie krzesła, wyjmując z kieszeni zapałki i papierosy, wsuwa jednego do ust. Z błogą miną przymyka powieki, głęboko zaciągając się dymem. – Swoją drogą fakt, że to właśnie ty, androidka i w dodatku abstynentka, okazałaś się jedynym łowcą w Dark, którego Twitchowi udało się w ten sposób zaszantażować, skłania do refleksji nad definicją człowieczeństwa, nie uważasz?

– Oj tam, oj tam – mruczę sceptycznie, wzruszając ramionami. – To nie tak, że inni są zimnymi draniami. Po prostu mają plecy. Ja jestem outsiderem, łatwiej mnie przycisnąć.

– Czyli przyznajesz, że jednak troszkę nas lubisz. – Dodge wcale nie pyta, tylko stwierdza fakt. Uśmiecha się pod wąsem, wielce z siebie zadowolony. – A wiesz, co to oznacza?

– Co?

Milczy długo, przyglądając mi się przez chmurę dymu.

– Że twój porucznik być może wcale nie zaprogramował cię do bezmyślnej lojalności – odpowiada wreszcie, werbalizując moje największe obawy, o których nigdy nie rozmawialiśmy wprost. – Że idziesz do niego z tego samego powodu, z którego zamierzasz

wrócić do nas.

Mimowolnie zaciskam palce na kubku, głośno przełykam ślinę.

– No i właśnie o tym mówię – komentuje Dodge z powagą i wszechwiedzącą miną telepaty, którym wszak w istocie jest. – Właśnie o tym.

I tak oto po dwóch latach, sześciu miesiącach i osiemnastu dniach wracam do New Horizon.

Jest 19 grudnia 2036 roku. Zapowiada się piękna noc.

Słońce dawno skryło się za Murem, zatapiając pogranicze w mroźnym, ciemnofioletowym półmroku. Na nieskazitelnie czystym niebie majaczy sierp młodego księżyca, tu i ówdzie migoczą już pierwsze diamenty gwiazd.

Stoimy w cieniu wymarłych budynków, ja, troje psioników, Volver i Twitch z kilkuosobową obstawą. Wpatrzni w szczyt Muru, czekamy na znak. Staram się uspokoić oddech, ale z ust wciąż uciekają mi poszarpane obłoki pary. Nerwowo poprawiam szelki sakwy na ramionach, po raz setny sprawdzam, czy skafander nie krępuje mi ruchów. Niemal nic nie słyszę przez łomot własnego serca i pulsowanie krwi w skroniach, ale zwlekam z włączeniem filtrów dźwiękowych, żeby zbyt szybko nie opaść z sił. Znajome uczucie spadania co rusz szarpie za trzewia, zimnym prądem spływa po kręgosłupie. Można by pomyśleć, że mam tremę.

Wreszcie na tle ogromnych ekranów z plazmy pojawia się drobna, ciemna sylwetka. Strażnik przez jakiś czas przechadza się w tę i z powrotem między dwiema wieżyczkami automatycznymi, po czym przystaje i parę razy błyska latarką.

– To nasz człowiek – stwierdza Volver. – Możemy zaczynać.

Nie musi dwa razy powtarzać. Psionicy natychmiast postępują ku sobie, bez słowa biorą się za ręce. Długowłosa mężczyzna o kamiennej twarzy i ślepym spojrzeniu, obojętna na wszystko dziewczyna z burzą brudnych, splątanych włosów oraz tęgi nastolatek, który bezustannie bełkocze do siebie i strzela na boki wytrzeszczonymi oczami.

– Starszy opanował energokinezę, młodszy to początkujący elektrokinetyk – szepcze Volver, nachylając się w moją stronę. – Babka nie posiada żadnych umiejętności, ale działa na innych jak wzmacniacz i soczewka. Potęguje ich energię, ułatwia skupianie woli na konkretnym ce... – milknie w pół słowa, gdy powietrze wokół całej trójki zaczyna falować, gęstnieć, nasiąkać czernią, jak gdyby ktoś wpuszczał krople atramentu do naczynia z wodą. Spod półprzymkniętych powiek psioników sączy się biały, oślepiający blask, po splecionych dłoniach pełzają wężyki światła. Po chwili nad ich głowami pojawia się świetlista sfera skwiercząca od iskier i zyzakowatych nitek energii.

Wychwytyuję suchy trzask w górze za naszymi plecami. Zerkam przez ramię, akurat by zobaczyć, jak okna jednego z domów tryskają deszczem odłamków, a latarnie po drugiej stronie ulicy, od ponad dwóch lat pozbawionej dostaw energii, rozjarzają się nagle dziwnym, niebieskawym światłem. Przenoszę wzrok z powrotem na Mur. Bariery plazmowe pulsują spazmatycznie, coraz jaśniej, coraz szybciej, w końcu zaczynają się nadymać, puchnąć, trzeszczeć jak zgniatanе szkło...

Psionicy nagle rozłączają dłonie i odskakują od siebie z krzykiem. Dziewczyna gwałtownie zgina się wpół, odbiega kawałek chwiejnym krokiem, pada na kolana i wymiotuje żółcią. Nastolatek ciężko siada na ziemi, zaczyna kołysać się w przód i w tył, zakrywając twarz roztrzęsionymi rękami, wpijając palce we włosy. Długowłosa nie rusza się z miejsca, tylko zamyka oczy i nisko pochyla głowę, a z rozchylonych warg wypływa mu strużka śliny zmieszanej z ciemną krwią.

Powietrze pachnie ozonem, dymem, rozgrzany żelazem, drży i dzwoni metalicznie jak szarpnięta struna. Nabrzmiała plazma w końcu nie wytrzymuje, ekrany pękają niczym ogromne bańki mydlane, sypiąc wokół fajerwerkami błyskawic.

Zapada ciemność i głucha, nienaturalna cisza.

Najpierw nie dzieje się nic, jakby cała okolica zastygła w bezruchu, wstrzymując oddech. I nagle daje się słyszeć szmer, jeden, zaraz potem drugi, narastający chór gorączkowych szeptów. Wyłapuję odgłos szybkich kroków, lekki tupot wielu

stóp, szelest odzieży, cichutkie pobrzękiwanie oporządzenia. Po chwili spomiędzy domów wybiegają pierwsi przemytnicy. Nietrudno odróżnić ludzi Twitcha od wolnych strzelców. Ci pierwsi nagle rozpływają się w powietrzu, włączywszy maskowanie, drudzy nie dysponują takim sprzętem i liczą na łut szczęścia – pewnie dostali cynk od swoich kretów w Equilibrium, że dzisiejsza noc będzie idealna do przeprawy. Twitchowi jest to zresztą bardzo na rękę, niewykluczone, że osobiście dopilnował, aby pogłoski o planowanym ataku na Mur trafiły do wszystkich obozów. Ciekawe, ilu spośród tych szmuglerów zdaje sobie sprawę, że ich głównym zadaniem jest odwrócenie uwagi straży granicznej i Riot Shield od właściwej części operacji. Podejrzewam, że żaden.

Obserwuję w termowizji, jak żółto-pomarańczowe sylwetki dopadają do zapory i podejmują mozolną wspinaczkę na szczyt. Nawet trochę żałuję, że dla mnie Twitch zorganizował inny, bezpieczniejszy kanał przerzutowy. Widok z wysokości Muru musi być imponujący.

Volver lekko klepie mnie w ramię, ni to popędzając, ni to życząc powodzenia. Zakładam maskę, naciągam kaptur, po czym ruszam biegiem w stronę żelbetonowej ściany, która czerni się w oddali niczym cielsko gigantycznej, martwej żmii. Sto metrów, pięćdziesiąt, dziesięć, pięć. Słyszę ciche sapnięcie pneumatycznych zawiasów w mroku po prawej, zaraz potem dostrzegam krótki błysk latarki. Docieram do otwartego przejścia w Murze, wpadam do mrocznego tunelu. Stojący w progu człowiek szybko zamyka właz, po czym odwraca się w moją stronę i bez ceregieli nadstawia dłoń.

Na mundur narzucił ortalionową kurtkę pozbawioną jakichkolwiek oznaczeń, skraj obszernego kaptura sięga mu niemal do koniuszka nosa, lecz termowizja i tak pozwala mi dostrzec jego rysy i ocenić wiek. Ma około dwudziestu pięciu lat, wysokie czoło, głęboko osadzone oczy, mocno zarysowane kości policzkowe. Nasłuchuje czujnie i co jakiś czas zerka na drugi koniec tunelu, ale nie robi żadnych nerwowych ruchów, oddycha głęboko i równo, a jego serce nie tłucze się o żebra z taką siłą jak

moje. To z pewnością nie jest jego pierwsza robota dla Twitcha.

Bez słowa podaję mu wyciągnięty z sakwy pakunek. Przez chwilę waży go w dłoni, następnie chowa do wewnętrznej kieszeni kurtki, kiwając głową na znak, że dopełniłam swojej części umowy.

– Monitoring, alarmy, wieżyczki, boty, oświetlenie, wszystko padło – mówi, nie kryjąc uznania. – Awaryjnym zasilaniem zająłem się sam, minie dobre pół godziny, zanim je odpalą. Tędy dostaniesz się do podziemnego tunelu. – Kieruje blask latarki na metalową drabinę, która znika w kwadratowej plamie czerni w surowym betonie. – Prowadzi aż za zasieki, ale uważaj, bo wyjście znajduje się tylko dwadzieścia metrów od wieży patrolowej. Jest już otwarte, wystarczy pchnąć. Oba włazy zablokuję ręcznie o wpół do pierwszej nad ranem, przed zmianą warty. Najlepiej, żebyś uwinęła się do północy. Jakies pytania? Nie? W takim razie życzę udanej zabawy, Kopciuszk.

Nie czekając na odpowiedź, wymija mnie energicznym, żołnierskim krokiem, po czym znika na schodach prowadzących na szczyt Muru.

Przez moment słucham cichego szurania butów na stopniach, a potem schodzę po wyslizganych szczeblach w gęsty, zimny mrok. Noktowizja nasycza kłębiącą się wokół czerń odcieniami szarości i chłodnej zieleni, szybki skan termowizyjny nie wykrywa najmniejszej oznaki życia, tylko bladożółte plamy wyłączonych maszyn. Kluczę między znieruchomiałymi botami bojowymi, czując na sobie ślepy wzrok kamer i działek laserowych. Do przywrócenia zasilania zostało jeszcze mnóstwo czasu, ale i tak na wszelki wypadek odpalam maskowanie. Stąpam uważnie, możliwie jak najciszej, bo każdy szmer odbija się echem w przewodach wentylacyjnych.

Po kilku minutach docieram do końca tunelu. Wspinam się po wąskiej drabinie, wymacuję właz. Strażnik nie kłamał, jedno pchnięcie i pokrywa unosi się bez oporów, aż muszę ją przytrzymać, żeby nie otworzyła się od razu na pełną szerokość. Zamieram z ręką na metalowym uchwycie, przez kilka sekund sonduję okolicę. Żadnych kroków w promieniu trzydziestu

metrów. Odgłos pośpiesznego stąpania w oddali cichnie miarowo, aż wreszcie całkiem zanika. Nikt się nie zbliża. Termowizja ujawnia sylwetki trzech strażników na balkonie ciemnej wieży patrolowej. Jeden mówi coś półgłosem do krótkofalówki i słucha zgrzytliwych odpowiedzi, pozostali obserwują okolicę przez lunety snajperek.

Pomału odsuwam pokrywę, uważając, by pneumatyczne zawiasy nie wydały najmniejszego dźwięku. Wychodzę na powierzchnię, ostrożnie zamykam właz. Nieustannie przesuwając wzrokiem między zasiekami z drutu kolczastego i wciąż martwymi zaporami elektryzowanymi a snajperami na wieży, wycofuję się na palcach poza kręgi światła z gazowych reflektorów, prosto w głęboki cień, gdzie nie można już tak łatwo zauważyć pojawiających się znikąd śladów stóp na żwirze. Kiedy uznaję, że oddaliłam się na wystarczającą odległość i nikt nie powinien usłyszeć moich kroków, a nawet jeśli, to i tak nie zdąży zareagować, obracam się plecami do Muru i puszczam sprintem w stronę najbliższych zabudowań.

Przemykając po dachach stłoczonych budynków i obserwując tętniące życiem miasto, nagle zdaję sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widziałam centrum New Horizon. W każdym razie nie na własne oczy. Przed ucieczką do Dark bywałam prawie wyłącznie na miejscach zbrodni, najczęściej w biednych dystryktach, gdzie nie ma tylu pstrokatych neonów, budynki nie przypominają płonących kryształów, chodniki nie roją się od półprzezroczystych projekcji dilerów i tancerek, a niebo od aerotaksówek, zeppelinów reklamowych i luksusowych hoverów.

Na wschodzie uliczny handel odbywa się w ciemnych zaułkach, pośpiesznie, nerwowo, ukradkiem. Tu materialne stoiska i wózki z gorącym jedzeniem walczą o uwagę z niematerialnymi holostraganami i wyświetlanymi na szybach katalogami produktów dostępnych w sieci, a między tym wszystkim poszeptują sprytnie zawoalowane oferty alfonsów, handlarzy

prochami, eksperymentalnym neurochemem oraz implantami nieznanego pochodzenia.

Mieszkańców wschodnich dystryktów nie stać na podstawową opiekę medyczną, natomiast w centrum atestowane bioniczne kończyny czy neuroupgrade'y są równie powszechne i podatne na modowe trendy jak markowe ciuchy. Luksusowe butiki i kliniki cyborgizacyjne często należą do tej samej firmy, a hasła na banerach sprowadzają się do wspólnego mianownika: wchodzisz, płacisz, wychodzisz jako nowa, lepsza wersja samego siebie.

Uboga część miasta milczy złowrogo, jakby w oczekiwaniu na kolejne nieszczęście, i tylko w dzielnicach kontrolowanych przez gangi bywa naprawdę głośno. Tam hałas jest nieomylnym zwiastunem kłopotów, a rozbłyśki świateł przed domem jednoznacznie kojarzą się z interwencją policji. Tymczasem w sercu stolicy wszystko bezustannie krzyczy obrazem lub głosem z syntezy, ruchem ulicznym zaś obok sygnalizacji zawiaduje skuteczny, acz nie do końca legalny neuromarketing.

Nawet w tak mroźną noc jak ta powietrze jest gęste, mętne, duszne od feromonów i olfaktorycznych pobudzaczy rozpylanych przez dozowniki w witrynach sklepów, nocnych klubów i barów ze striptizem. Z niezliczonych głośników jazgoczą dżingle reklamowe pełne przekazów podprogowych. Trójwymiarowe awatary sprzedawców przechodzą nieustanną metamorfozę, personalizując swój wygląd pod preferencje przechodnia, którego akurat mają na celowniku. Hologramy podpięte do mediów społecznościowych nakładają sobie maski ze zmiksowanych zdjęć przyjaciół i członków rodziny ofiary wypatrzonej w tłumie potencjalnych nabywców, by tym łatwiej zdobyć jej podświadome zaufanie i nakłonić do zakupu. Podobnie interaktywne animacje na billboardach na bieżąco dostosowują treść do każdego, kto dokonał wystarczająco wielu transakcji w Pajęczynie, aby spyware analizujący decyzje konsumenckie mógł opracować jego wnikliwy profil, po czym podsunąć mu indywidualny pakiet dóbr i usług.

Neuromarketingowe technologie istniały na długo przed

Buntem, ale wtedy nie były jeszcze tak popularne. Teraz, gdy system identyfikacji obywateli zalał bogatsze dzielnice morzem biometrycznych czujników i detektorów, korporacje, które współfinansują Riot Shield i mogą dyktować warunki jego użytkowania, bez skrupułów wykorzystują System do własnych celów.

I to tyle, jeśli chodzi o ochronę danych osobowych.

Długo podziwiam widoki ze szczytu biurowca, nie mogąc się wprost napatrzeć na tę feerię barw, chaotyczny kalejdoskop światła, niewyczerpany strumień tak doskonałych, że aż nierzeczywistych ciał. A potem zerkam przed siebie i prawie natychmiast dostrzegam drona patrolowego, który przelatuje właśnie nad jaśniejącym mroźną bielą budynkiem ratusza. Zmierza prosto na mnie. Choć kamuflaż skafandra działają bez zarzutu, instynktownie nieruchomieję, czekając, aż się oddali. Jest mały, na oko dość lekki, nie ma broni psychotronicznej. Nada się idealnie.

Wyjmuję repeater z sakwy, uruchamiam szytywanie sygnałów Li-fi. Przez dobrą godzinę wodzę wzrokiem za krążącą nad centrum maszyną, słuchając gwaru w dole, ryku klaksonów w górze, cichutkiego popiskiwania urządzenia obok. Wreszcie przedrzeźniacz krótkim sygnałem daje znać, że przechwyił dość danych, by sfabrykować dwadzieścia minut transmisji – jednak dobrze wiem, że będę miała szczęście, jeśli Riot Shield nie zorientuje się, co jest grane, po zaledwie dwóch. Z wyrzutnią siatki na ramieniu i repeaterem w wolnej dłoni, cierpliwie wypatruję momentu, kiedy maszyna znów znajdzie się nad moją głową.

A potem wszystko dzieje się bardzo szybko.

Przedrzeźniacz ogłusza drona paraliżującą migawką, natłokiem sprzecznych komend i zmiksowanych informacji, opatrzonych spektralnym watermarkiem Riot Shield. Wystrzelona siatka magnetyczna oplata mu kadłub, unieruchamia śmigła, obciążniki gwałtownie ściągają go w dół. Już pędzę w tamtym kierunku, jednocześnie aktywując repeater, który zaczyna nadawać fałszywy przekaz do wieży transmisyjnej Roshy, tym razem

podszycząc się pod drona. Maszyna spada jak kamień, potrzebuję obu rąk, żeby ją przechwycić, zanim wyrznie o dach. W biegu upuszczam wyrzutnię, ciskam repeaterem w górę; kątem oka widzę, jak rozwija błoniaste skrzydła, zawisa w miejscu niczym ważka. Wybijam się mocno z obu nóg, daję nura do przodu, wiruję w powietrzu wokół własnej osi w akrobatycznej półśrubie. Łapię drona tuż nad panelami solarnymi i ląduję na boku, amortyzując impet przewrotem w tył przez bark.

Pośpiesznie wyplątuję maszynę z siatki, sprawdzam kontrolki. Wszystko w porządku, jest sprawna, tylko oszołomiona, nadal ma połączenie z Roshem, ale przedrzeźniacz skutecznie zagłusza jej sygnały alarmowe. Z kieszeni skafandra wyjmuję śrubokręt automatyczny, odkręcam pokrywę w podwoziu. Wsuwam dłoń pod kaptur, sięgam do gniazda na karku, wyszarpuję neurozłącze, po czym wpinam się do interfejsu drona. Pole widzenia natychmiast zasypuje mi mrowie znaków alfanumerycznych i matematycznych symboli.

Instrukcje pozostawione przez Ginę są rzetelne i przejrzyste, szybko znajduję i otwieram tylne drzwi softu. Przez krótką chwilę szperam w kodzie, wreszcie namierzam rejestry wyników diagnostycznych oraz raportów nawigacyjnych, na ich podstawie modyfikuję mojego doppelgängera. Wcześniej skutecznie wywodził w pole Spectera i Angelinę, powinien bez trudu oszukać i to oprogramowanie. Muszę tylko wskazać mu dane, które trzeba podmieniać, oraz logi, z których ma czerpać fałszywe informacje o współrzędnych i stanie technicznym maszyny. Drony z nieuzbrojonych jednostek patrolowych zaczynają transmitować dźwięki i obrazy z kamer do wieży Rosh'a dopiero, gdy wykryją jakąś podejrzaną aktywność. Grunt to przekonać złowionego trutnia, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, zamknąć go w bańce cyfrowej iluzji, jego własnych zero-jedynkowych wspomnień.

Kompiluję zmiany, wstrzykuję gotowego wirusa w kod źródłowy drona.

Według zegara, który jarzy mi się czerwienią na rogówce oka,

od porażenia maszyny padaczkowymi błyskami minęło czterdzieści siedem sekund. Za moment powinna odzyskać sprawność.

I rzeczywiście, kontrolki alarmowe gasną jedna po drugiej, a dron zaczyna się szamotać w siatce. Loguję się do systemów napędowych i wyłączam mu silniki, potem wygaszam kamery. Przyjmuje to ze stoickim spokojem, nie hibernuje się, nie zrywa kontaktu z wieżą transmisyjną.

Wypinam neurozłącze, chowam je do gniazda. Przykręcam z powrotem pokrywę do podwozia maszyny. Biegnę na drugi koniec dachu, zgarniając po drodze porzuconą wyrzutnię, pakuję ją do sakwy razem ze śrubokrętem. Podchodzę do wciąż wiszącego w powietrzu repeatera, po czym delikatnie biorę go w dłoń.

Zerkam na zegar. Cała operacja zajęła siedemdziesiąt dwie sekundy.

I oto nadeszła chwila prawdy.

Przesuwam palec na panel sterujący, po krótkim wahaniu przerywam sfingowaną transmisję.

Czekam w napięciu na katastrofę.

Oddech zamiera mi w płucach, serce odmierza czas głuchym dudnieniem w piersi.

Za moimi plecami rozlega się rozdzierający ryk i już mam zrywać się do ucieczki... Ale to tylko klakson aerotaksówki.

Żadnych jednostek bojowych Riot Shield na horyzoncie. Żadnego wycia syren, policyjnych kogutów czy oślepiającego światła reflektorów.

Upolowany dron leży spokojnie, śniąc swoje maszynowe sny i ani on, ani Rosh nie odróżniają majaków od rzeczywistości.

Zamykam oczy, powoli wypuszczam powietrze.

Misja wykonana.

Minęła jedenasta. Kopciuszek już wkrótce powinien zwiijać się z balu.

Siobhan zdobyła dla mnie nowy adres Quinna, znam jego

ulubioną trasę do biegania, wiem, że nadal lubi trenować wieczorami, lecz i tak szanse na to, że wyszedł na jogging w środku nocy i zdąży go jeszcze wytropić w tej miejskiej dżungli, są raczej znikome. A nawet jeśli, takie spotkania po latach wymagają przecież czasu i odpowiedniej otoczki. Z pewnością czeka nas niełatwa rozmowa, nie chcę odbębniać jej w biegu...

Albo po prostu szukam wymówek.

Może kieruje mną atawistyczny lęk przed kolejnym głupim błędem. A może coś więcej, czego nawet nie próbuję nazwać.

Twitch obiecał, że jeśli dostarczę mu drona, będę mogła nie tylko zatrzymać skafander maskujący, ale też liczyć na pomoc jego psioników przy kolejnej przeprawie przez Mur. A zatem nic straconego – nie uda się zobaczyć z porucznikiem teraz, uda się następnym razem.

Czekałam ponad dwa i pół roku. Poczekam jeszcze trochę.

Pora wracać.

Ale najpierw odwiedzę jedno miejsce. To niedaleko. I całkiem po drodze.

Ogłuszający jazgot zatłoczonych ulic cichnie raptownie, gdy tylko wkraczam w Aleje Popiołów.

Tutaj czas stanął w miejscu. Na zawsze zatrzymał bieg wydarzeń, zatopiwszy je w szarym bursztynie z sadzy, brudu i ponurego mroku. Wszystko nadal wygląda tak, jakby przed chwilą przepłynęła tędy rzeka rebeliantów. Stłuczone okna i witryny, drzwi wyłamane z zawiasów, powyrywane hydranty, ławki i chodnikowe płyty, rozbite butelki, spalone race, kamienie poczerwiałe od starej krwi.

Przenikliwy wiatr co rusz podrywa z ziemi uwalane błotem gazety, ciska nimi o okopcone elewacje i kikuty spalonych drzew. Szelest kartek przypomina ukradkowe szept, tłumiony chichot, szmer przyśpieszonych oddechów. Termowizja nie wykrywa nawet iskry życia, ale i tak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nie jestem tu sama. Stąпам cicho pośród ślepych, głuchych domów, które czernią się w krzykliwej tkance miasta niczym źle zagojona

blizna. Zupełnie jak gdybym weszła w tunel czasoprzestrzenny, który łączy dwa obce sobie kosmosy: metropolię ze światła i szkła i mroczne ruiny Dark.

Szybko docieram na miejsce. Omiotam wzrokiem ściany pokryte sadzą i kulfoniastym graffiti, po czym zerkam w górę. Niemal od razu dostrzegam właściwe okna, nadpaloną tapetę w motyle w dawnym pokoju dziewczynek, niebiesko-zielone kafle w łazience...

Przez kilka chwil tkwię z zadartą głową pośrodku Alej Popiołów, uśmiechając się smutno do własnych myśli, gdy naraz z jednostajnego poszeptywania wiatru przebija się odgłos kroków. Miękkich, pewnych, a przy tym nieco zbyt sprężystych, by mogły należeć do człowieka.

Najciszej jak się da, przemykam na drugą stronę ulicy i chowam się w ciemnym zaułku. Przybysz przystaje raptownie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym stałam kilka chwil temu. Czyżby mnie zauważył? Nie, sekundy mijają, a on nadal tkwi nieruchomo przed dawnym domem porucznika. Słyszę jego przyśpieszone tętno i mocne bicie serca, widzę przez ścianę rozgrzane do czerwoności ciało.

Ostrożnie wyglądam zza krawędzi budynku i zaraz odskakuję z powrotem, ze świstem wciągając powietrze. Przywieram plecami do zimnego muru tak mocno, że śmigło drona boleśnie wbija mi się w kręgosłup przez materiał sakwy. Trwam nieruchomo jak porażona piorunem, a w głowie huczy mi tylko jedno słowo.

QUINN!!!

Niemożliwe, przecież...

A jednak.

Niemożliwe!

Ależ jak najbardziej.

Jeszcze raz powoli wystawiam głowę zza rogu, zerkam na szczupłego mężczyznę w termoaktywnym kombinezonie, egzoszkielecie i butach do biegania. Stoi odwrócony plecami, ale ta sylwetka...

I znowu cofam się w głąb zaułka, nie mogąc zebrać rozbieganych myśli.

To on.

To nie on.

On, jak nic!

A jeśli nie?...

Muszę się przekonać, muszę zobaczyć jego twarz.

Z trudem uspokajam oddech, ostudzam adrenalinową gorączkę w żyłach. A potem wychodzę z kryjówki cicho jak duch, podkradam się bliżej, aż za przewrócony kontener na gruz.

Nie wiem, co mnie zdradziło.

Mój własny cień widziany w podczerwieni, ledwie słyszalny chrobot trąconego stopą kamienia, nagłe zawirowanie powietrza, krótkie zakłócenie kamuflaży...

Kamienieję, gdy termowizyjny Quinn-nie-Quinn odwraca się gwałtownie i patrzy prosto na mnie, przez metalową ścianę zbiornika, przez hałdę cegieł i odłamków muru. A potem rusza w moją stronę.

O mało nie krztuszę się własnym sercem, które podchodzi mi do ściśniętego gardła.

Tylko spokojnie.

Wdech, wydech.

Żadnych gwałtownych ruchów.

Spokojnie, spokojnie... *spokojnie!*

Okrąża kontener cicho i miękko niczym nocny drapieżnik, a ja nagle podejmuję decyzję. Bezwolnie, półświadomie, pod wpływem silnego impulsu, którego nie potrafię zagłuszyć żadną rozsądną myślą.

Wyłączam kamuflaż. Ściągam kaptur i maskę, ale jakoś nie mogę się zmusić, żeby podnieść głowę. Wpatrzona we własne kolana, słyszę, jak przystaje zaledwie kilka kroków dalej.

- I tak cię widzę - oznajmia spokojnie. - Równie dobrze możesz wyjść.

Mroźne powietrze rozrywa mi płuca, jakbym wciągnęła do nich wodę zamiast tlenu. Zagryzam wargi, by powstrzymać ich drżenie, nerwowo splatam i rozplatom dłonie.

Wszędzie rozpoznałabym ten głos.

- Chodźże tu - ponagla łagodnie, acz stanowczo. - Nie chcę,

żebyś czaiła mi się za plecami, więc albo wyjdiesz sama, albo cię stamtąd wyciągnę.

Nie wątpię w to ani trochę, ale z wrażenia nie jestem w stanie się ruszyć.

– No dalej, przecież nic ci nie zrobię.

Nawet nie wie, jak bardzo chcę w to wierzyć.

Dziwne odrętwienie pomału ustępuje, ciało znów zaczyna mnie słuchać. Podnoszę się z ziemi, prostuję niepewnie, wciąż unikając wzroku porucznika.

Najwyższa pora dać za wygraną i przyznać w końcu przed samą sobą to, co dla innych od dawna było oczywiste.

Ja się naprawdę boję.

– Nie bój się – mówi.

Przymykam powieki, czując, jak całe napięcie uchodzi ze mnie wraz z cichym westchnieniem. I wreszcie unoszę głowę, pozwalam, by włosy odsłoniły mi twarz.

Miesiącami wyobrażałam sobie ten moment na tysiąc różnych sposobów i teraz, gdy na ułamek bezczasu grzęźniemy oboje między chwilą a chwilą, z całego spektrum nieskończonych możliwości zostaje tylko jedna, jedyna. Już nie przypuszczenie, nie nadzieja czy lęk, ale krystaliczna pewność, która przeszywa mi umysł zimną, ostrą błyskawicą.

Wiem, co zaraz nastąpi. Wiem to wcześniej niż sam Quinn. Widzę ruch jego dłoni, mimo że jeszcze nie zdążył mrugnąć, nie drgnął nawet, nadal stoi jak wryty i wpatruje się we mnie w bezbrzeżnym zdumieniu. Czytam przyszłość z rozszerzonych źrenic, z tęczy głębokich i gniewnych jak sztormowy ocean. Przez jedno uderzenie serca wydaje mi się, że dostrzegam w nich mgnienie ulgi, może nawet radość. Twarz wygładza mu się i mięknie, kącik ust drga nieznacznie, jakby już, już szykował się do uśmiechu...

A potem porucznik zaciska szczęki, jego oczy ciemnieją nagle, twarzonej na diament.

Odskakuję w bok w tej samej chwili, w której sięga po broń. Z lufy bryzga ogień, huk dzwoni w uszach, niosąc się echem po pustej ulicy, łuska brzękliwie toczy się po chodniku. Drugi strzał

ciska mną o kontener, aż uderzam tyłem głowy w metalową burtę. Wściekły ból rozsadza mi obojczyk, wybucha pod powiekami gejzerem czerwonych iskier.

W przebłysku przytomności zakładam kaptur, naciągam maskę na twarz, aktywuję kamuflaż. Rzucam się w stronę najbliższego zaułka, lecz kolana gną się pode mną zdradliwie. Stopy z trudem łapią oparcie na sypkim gruzie. Zahaczam butem o pręt wystający z kawałka betonowej płyty, tracę równowagę, padam jak długa. Natrafiam palcami na niewielki, wrzecionowaty przedmiot.

Przez szum krwi i świdrujący pisk w uszach, przedziera się łopotanie wirników. Reflektory przeszywają ciemność tuż nad moją głową snopami ostrego światła.

Riot Shield.

Zamykam łuskę w dłoni razem z garścią żwiru, podrywam się z ziemi i nie patrząc za siebie, uciekam w mroźną noc.

Rozdział siedemnasty

Nie pamiętam powrotu za Mur.

W jednej chwili biegłam zrujnowaną ulicą, w następnej oślepiła mnie blask lamp na sali operacyjnej w klinice Siobhan. Kiedy próbuję przywołać zdarzenia pomiędzy, widzę zaledwie parę migawek, same strzępy luźnych obrazów, które za nic nie dają się połączyć w sensowną całość, a w głowie wybuchają mi widmowe głosy, odległe, niewyraźne jak spod wody.

Pamiętam za to doskonale zapadającą co chwilę ciemność, która zaciskała się na skroniach żelazną obręczą, napierała na umysł z siłą, z jaką bezkresna toń napiera na dno morza, jakby próbowała rozsadzić mi czaszkę i zalać jaźń strugą lodowatej czerni.

Amnezja to dla mnie zupełna nowość.

I sama nie wiem, co gorsze: wspomnienia utracone czy te, które za nic nie chcą się zatrzeć.

Brutalnie odarta z własnej pamięci, muszę polegać na cudzej.

Według relacji Twitcha on i jego psionicy trwali w gotowości do pierwszej w nocy, czekając, aż prześlę repeaterem umówiony sygnał, ale nigdy nie dałam im żadnego znaku. Zdążyli już spisać mnie na straty, kiedy nagle wypadłam z przejścia w Murze, po czym nieprzytomna zwałam się na ziemię. Jakimś cudem, mimo paskudnego postrzału, udało mi się ominąć patrole straży, przemknąć między działkami i botami w podziemnym tunelu. Jakimś cudem kamery nie zauważyły krwi lejącej się obficie z pustego powietrza. Volver i Moira podejrzewają, że system zabezpieczeń nie odzyskał pełnej sprawności po wcześniejszym ataku parapsychików, i tylko dlatego jeszcze żyję. Pewnie mają rację. Pewnie powinnam uznać, że dopisało mi szczęście, ale jakoś nie potrafię myśleć o tym w ten sposób.

Co prawda dron wyszedł z całej przygody mocno poobijany, ale doppelgänger skutecznie to przed nim ukrywał, podmieniając

dane diagnostyczne, a Volver bez większego trudu zdołał usunąć wszystkie usterki. Potem razem z Moirą przez kilka tygodni próbowali wykorzystać aktywne połączenie z Riot Shield, aby zainfekować cały Rój jakimś wrednym robakiem. Gorzej ze skafandrem: pocisk uszkodził moduł holograficzny i antysonarowy, przez co maskowanie zacina się i wyłącza w najmniej spodziewanych momentach. Nie żebym miała wobec niego jeszcze jakieś plany. Nigdzie się przecież nie wybieram. Już nie mam dokąd.

Dodge, szczerze zaniepokojony stuporem, w jaki wpadłam po powrocie zza Muru, próbował podnieść mnie na duchu, ale poprawienie humoru maszynie, której jeszcze nigdy nic nie ucieszyło, okazało się wyzwaniem ponad ludzkie siły. Jego wizyty w klinice stawały się coraz rzadsze i coraz krótsze, a kiedy wróciłam do swojej biblioteki, w ogóle przestał mnie odwiedzać. Nie miałam mu tego za złe. Nikomu niczego nie miałam za złe. Tylko sobie. Wszystko.

A Siobhan jak to Siobhan. Triumfowała. Ba, podejrzewam, że triumfuje do dziś, teraz po prostu lepiej to ukrywa. Osobiście wyjęła mi pocisk ze zgruchotanego obojczyka i czuwała nade mną przez półtora tygodnia niełatwego leczenia. Strzał naderwał tętnicę, tkwiący w ciele ołów nie pozwalał porządnie zatamować przecieku i doszło do krwotoku wewnętrznego. Potem wdała się infekcja, kość nie chciała się zrastać, a do tego pojawiły się problemy z regeneracją splotu barkowego, co groziło częściową utratą czucia w całym ramieniu.

Przyjmowałam to wszystko z obojętnym spokojem, wmawiając sobie, że ból, który czuję, jest wyłącznie cielesny. Że minie, gdy tylko zabliźni się rana po kuli porucznika. Że wszystko wróci do normy, kiedy odzyskam sprawność.

Problem w tym, że do tej pory normą był dla mnie stan zawieszenia, oczekiwania, snucia planów. A po tym, jak spotkanie z Quinnem brutalnie pozbawiło mnie złudzeń, nie miałam pojęcia, co dalej. Od dawna dręczyło mnie podejrzenie, że motywy moich działań wcale nie są moje, okazało się jednak, że o wiele dotkliwszy jest brak jakiegokolwiek celu. Bo dla maszyny

cel jest wszystkim – jedyną rzeczą, która uzasadnia i definiuje jej istnienie. Maszyna musi istnieć po coś. A kiedy nie ma po co... Cóż. Wtedy z reguły trafia na złom.

Jak to szło?

Nie kaźcie mi już niczym więcej być. Nareszcie spokój.

Siobhan nad podziw długo powstrzymywała się od kąśliwych komentarzy, ale kiedy zaczęłam dochodzić do siebie i powoli szykowałam się do opuszczenia kliniki, natychmiast przypuściła atak.

– To co teraz zamierzasz? – rzuciła zaczepnie, zmieniając mi opatrunki. – Nadal będziesz siedzieć z nosem w książkach i myślami w przeszłości, zamiast zacząć wreszcie żyć własnym życiem?

Milczałam ze wzrokiem utkwionym w twarzy ciemnowłosego mężczyzny, który leżał na łóżku po drugiej stronie sali, podłączony do paru kroplówek. Miał szkliste, przeraźliwie smutne spojrzenie. Pozostali pacjenci spali lub gapili się tępo w sufit, a on przez cały czas bezgłośnie poruszał wargami, gestykulując w stronę niewidzialnego rozmówcy. W ogóle nie zwrócił uwagi na jednego z syntetyków, który pochylił się nad nim i zadał parę pytań, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zrobił mu szybki zastrzyk, po czym odszedł bez słowa.

– To nie koniec świata, May. Wręcz przeciwnie. Słyszysz, co mówię?

– Co mu się stało? – zapytałam, zamiast odpowiedzieć.

– Jemu nic – odparła sucho Siobhan. Podała mi kilka kapsułek antybiotyku i dopiero, gdy je połknęłam, obejrzała się na mężczyznę. – Ale jego kumple nie mieli tyle szczęścia. Naćpali się, spili, posprzeczali o bzdury. Poskręcał im karki i chyba nie muszę dodawać, że zrobił to bez użycia rąk. – Replikantka z westchnieniem potrząsnęła głową. – A teraz twierdzi, że tylko próbował ich odepchnąć i nie zdawał sobie sprawy z własnych zdolności.

– Nie wierzysz mu?

– Nie bardzo. Kiedy tu trafił, telekineza była już u niego mocno rozwinięta, nie mógł tego nie zauważyć. Prawdę mówiąc, dziwię się, że ludzie z jego obozu przyprowadzili go do mnie, zamiast wydać Twitchowi... – urwała, łypnęła na mnie groźnie. – A w ogóle to nie zmieniaj tematu!

– Co ty chcesz ode mnie usłyszeć, Shiv? – Gwałtownie poderwałam głowę. – Że miałaś rację? A ja jestem głupia i naiwna? No więc dobrze: miałaś rację, a ja jestem głupia i naiwna. Zadowolona?

Skrzywiła się z dezaprobatą i przewróciła oczami.

– Rany... Nawet kiedy się złościsz, to mam wrażenie, że zaraz pochlastasz sobie żyły.

– Nie złość się.

– A może właśnie powinnaś? – natychmiast odbiła piłeczkę. – Może nadszedł czas, żeby pozwolić sobie na coś więcej niż tylko... – zawahała się, po czym omiotła mnie z góry na dół nader wymownym gestem dłoni – ...niż to, co?

Cały swój komentarz ograniczyłam do wzruszenia zdrowym ramieniem.

– Nie jesteś mu już nic winna, May – rzekła twardo. – Nic. Więc przestań się zadręczać, a zamiast tego obudź w sobie gniew. I wypatruj okazji do zemsty.

Zaskoczona spojrzałam jej w oczy.

– No co tak patrzysz? Co cię nie zabije, z pewnością spróbuje ponownie, jeszcze wspomnisz moje słowa. Tym razem musisz uderzyć pierwsza. Idź za Mur i wykończ bydlaka.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Siobhan prychnęła z irytacją. W milczeniu zrobiła mi zastrzyk z nanobiotyków, podłączyła nową kroplówkę z glukozą, po czym przysiadła na krawędzi łóżka i sięgnęła do kieszeni fartucha.

– Zamknij oczy i wystaw rękę. No dalej, nie wzdychaj mi tu, tylko rób, co każe.

Zrobiłam, co kazała, nie odmawiając sobie jednak kolejnego westchnięcia.

– Spóźnione, ale szczere – mruknęła i po chwili poczułam, jak kładzie mi na dłoni mały, zimny przedmiot. – Wszystkiego

najlepszego z okazji szóstych urodzin.

Długo patrzyłam na przelewający się między palcami łańcuszek z białego złota, cieniutki jak nić babiego lata. I na wisiołek z łuski po naboju Reda.

A potem obraz nieoczekiwanie rozmazał mi się przed oczami, a w gardle urosła wielka, bolesna gula.

– „Miałem sen, nie wiem, o ile bezseny?” – szepnęła Siobhan, z niekłamaną fascynacją wpatrując się w moją twarz, a ja natychmiast rozpoznałam słowa jednego z jej ulubionych wierszy. Z trudem przełknęłam ślinę, zamrugałam szybko, aby powstrzymać to, co przecież nie miało prawa się wydarzyć.

Siobhan pochyliła się, delikatnie ujęła moją twarz w obie dłonie, po czym zaczęła recytować:

*I nie wiem, czy się zbudziłem, czy wstałem...
W usta mi tylko zaciekła kropelka
Słona... jak słone łzy bywają człeka
Co płakać może... lub pewno czeka...
Więc to nie była łza...*

– A może była? – dodała od siebie niemal bezgłośnie, ścierając kciukiem wilgoć z mojego policzka. Pocałowała mnie lekko w kącik warg. – Faktycznie słona – stwierdziła z uśmiechem pełnym tęsknoty i nieskrywanej, gorzkiej zazdrości.

Ponownie sięgnęła do kieszeni, wyjęła szklaną fiolkę z gęstym płynem koloru nocnego nieba bez gwiazd. Nie zaprotestowałam, gdy wsunęła ją do autostrzykawki, przyłożyła mi igłę do zgięcia w ramieniu pewnym ruchem wbiła się w żyłę.

– *Happy B-Day* – powiedziała cicho i uruchomiła tłok.

Nie wiem, czego się spodziewałam.

Że odurzona reinforsyną przestanę myśleć o porażce z Quinnem? Że narkotyk zdoła przebudzić we mnie jakieś ciepłe, kojące uczucia? Że to symboliczne odcięcie pępownicy będzie moim katharsis, dzięki któremu ujrzę głębszy sens w całej tej

żałosnej historii i zacznę nareszcie żyć na własnych warunkach?

Naprawdę nie wiem. Ale jedno jest pewne: cokolwiek to było, mocno się przeliczyłam.

Kolejne dwa miesiące wspominam ze wstydem i zażenowaniem. Nie lubię do nich wracać. I w zasadzie nie bardzo jest do czego. Na zmianę to ćpałam na umór, to odstawiałam lek, wyłam jak ranne zwierzę lub popadałam w apatię. Detoks wysysał ze mnie wszystko do cna, zostawiając jedynie zimną, bezbarwną wydumską, reinforsyna zaś fundowała ostry zjazd prosto w ramiona absolutnej beznadziei.

O ile zanim sięgnęłam po narkotyk, tliła się we mnie jakaś namiastka uczuć, o tyle pierwsza dawka okazała się granicą, zza której nie było powrotu. Zupełnie jakby moje widmo, zakosztowawszy ognia, nie potrafiło już rozgrzać się byle iskrą, jakby reinforsyna rozpętała w nim nieodwracalny, głodny żywioł, którego nic prócz niej nie mogło nasycić. Od tej pory miałam więc do wyboru totalną znieczulicę lub emocjonalną rozsypkę i długo, bardzo długo miotałam się bezsilnie między jednym a drugim.

I ostatecznie nie zdołałam odciąć się od przeszłości. Nawet nie byłam blisko. Zwłaszcza że to Turvey pomógł mi się pozbierać, a konkretnie to, co napisał o łzach – a tych bynajmniej mi nie brakowało. Spędziłam ponad miesiąc w laboratorium w podziemiach biblioteki, oglądając je pod mikroskopem. Porównywałam wzory z kryształków soli z ilustracjami w książce Harry'ego i powoli uczyłam się nazywać to, co czuję. I to, czego nie czuję. Przekonałam się, że bez reinforsyny moje łzy są puste. Że potrafię płakać ze smutku, tęsknoty czy frustracji jedynie pod wpływem leku.

Ciekawe, jak to było z tą pierwszą łzą.

Czy zrodziła ją autentyczna, choć przygaszona emocja, nieosiągalna już dla mnie bez narkotyku? A może była zaledwie reakcją na czysto fizjologiczny stres lub fizyczny ból? Żałuję, że nie mogę dołączyć jej do kolekcji.

Mam bowiem silne, choć niejasne podejrzenie, że w tamtej dziewczęcej kropli znalazłabym odpowiedzi na wiele od dawna

dręczących mnie pytań.

Tymczasem życie w Dark Horizon płynęło dalej, ale gdzieś obok, daleko poza mną.

Słyszałam, jak kruki stukają dziobami w okna biblioteki, bezskutecznie próbując namówić mnie na wspólne polowanie.

Słyszałam, jak do drzwi dobijają się gońcy z Equilibrium. Czytałam pozostawione przez nich wiadomości od Twitcha, który chciał, żebym udała się do New Horizon po nowego drona. Późno, bo późno, ale serwisanci Riot Shield zorientowali się wreszcie, że w Roju brakuje jednej maszyny, po czym dezaktywowali jej połączenie z Roshem, niwecząc tym samym blisko trzy miesiące pracy Volvera i Moiry. A ponieważ nie miałam już czego szukać po tamtej stronie Muru, nie odpowiedziałam na żadne wezwanie Twitcha i w końcu jego posłańcy przestali mnie nachodzić.

Słyszałam nawoływania ludzi z różnych obozów, którzy błagali o pomoc w odnalezieniu ich zaginionych bliskich. Z opowieści Siobhan, jedynej istoty zdolnej mnie przekonać, żebym wpuściła ją za próg, wiedziałam, że mieszkańcy Dark wciąż przepadali bez wieści i wybuch paniki był już tylko kwestią czasu. Coraz więcej wygnańców w desperacji uciekało za Mur bez żadnych zabezpieczeń, czy to technologicznych, czy nadnaturalnych, i najczęściej ginęło od kul przy forsowaniu zapory lub wpadało w ręce straży zaraz po przekroczeniu granicy. Equilibrium dorobiło się łatki łowców czarownic, a klinika Siobhan przeżywała prawdziwe oblężenie. Co rozsądniejsi psionicy, którzy zdawali sobie sprawę, że są zbyt słabi, by móc się obronić przed obławą z udziałem paranormali Volvera, woleli zrezygnować ze swoich zdolności niż dać się złapać hyclom organizacji. Ci mniej rozsądni wkrótce rozplýwali się w powietrzu, nie wiadomo, czy dobrowolnie, czy za sprawą osób trzecich, i to do mnie zwracano się o pomoc w ustaleniu ich losu. A ja ignorowałam te prośby. Nie, nie jestem z tego dumna. Może gdybym wtedy wzięła się w garść i zaczęła działać, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Zamiast tego całymi tygodniami wpatrywałam się w lufę

naładowanego glocka, głaszcząc palcem spust, aż wreszcie zrozumiałam, że nie mam dość odwagi, by ze sobą skończyć. Później robiłam, co mogłam, by znienawidzić Quinna za to, czym się przez niego stałam. Wyobrażałam sobie nasze kolejne spotkanie, wyobrażałam sobie, jak patrząc mu prosto w oczy, opróżniam cały magazynek, jak jego podziurawione kulami ciało zwala się na ziemię u moich stóp. Powoli, cierpliwie, metodycznie podsycalam swój gniew, karmiąc go okrutnymi fantazjami i napawając się ulotnymi chwilami pozornej ulgi, którą przynosiły obrazy martwego porucznika. Obiecałam sobie, że jeśli Red kiedykolwiek stanie mi na drodze, nie zawaham się ani chwili, bez mrugnięcia okiem pociągnę za spust.

Lecz nawet odgradzona od świata grubymi murami biblioteki czułam, jak atmosfera w Dark gęstnieje z dnia na dzień, jak wszystko wokół coraz silniej wibruje od nadnaturalnej energii. Coś bez wątpienia wisiało w powietrzu, lecz nie miałam ani siły, ani ochoty, żeby sprawdzać co.

Aż do dzisiaj.

Bo dzisiaj, po wielu tygodniach ciszy, odwiedził mnie Dodge, błądy jak duch, nieprzytomny z przerażenia, z przesiąkniętym krwią opatrunkiem na głowie. Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie. Dopiero po kilku minutach uspokoił się na tyle, żeby skupić na mnie rozbiegany wzrok i w miarę wyraźnie wyjąkać, że Katie zniknęła bez śladu.

- Twitch kazał ci przekazać, żebyś szła do diabła - rzuca chłodno kobieta z kolorowymi dreadami, która wyłania się z fosforyzującego, dudniącego od basów półmroku Hybris. Zatrząskuje za sobą drzwi i muzyka cichnie równie nagle, jak rozbrzmiała, ale powietrze wciąż rezonuje od murów szybkim, drapieżnym rytmem.

Bynajmniej nie spodziewałam się serdecznego powitania, ale zakładałam, że Twitch zgodzi się na rozmowę, choćby po to, żeby osobiście mnie zrugać, wyszydzić, po czym znowu zmusić do współpracy. Najwyraźniej jednak sprawa jest znacznie

poważniejsza, niż sądziłam.

– A co z...

– Nic nie wie o córce Dodge'a – ucina krótko strażniczką, nie dając mi dojść do słowa. Opiera się plecami o drzwi i krzyżuje ramiona na piersi. – I nie życzy sobie, żebyś weszła na jego terenie. Krótko mówiąc: masz się odpiardolić.

Mierzymy się chłodnymi spojrzeniami tak długo, aż fotokomórka wyłącza reflektor nad wejściem do klubu i zatapia nas w szarościach nadciągającej nocy. Po chwili w oczach strażniczki coś się zaczyna łamać, jednak sposób, w który zerka na boki i obraca głowę, nasłuchując dźwięków dobiegających z Hybris, podpowiada mi, że nawet jeśli miałyby dla mnie jakiś cynk, to za bardzo się boi, żeby rozmawiać o tym tu i teraz. Przegania mnie gestem, odwracając wzrok, a przebudzona tym nagłym ruchem lampa ponownie zapala się z cichym cyknięciem.

W porządku. Spróbujemy inaczej.

Odchodzę bez słowa, wspinam się po schodach z powrotem na ciemny, zastawiony ciężarówkami parking.

Mamy początek marca, zima i wiosna walczą zaciekle o panowanie nad pogodą, zsyłając na zmianę grad, śnieżyce, ulewy lub gwałtowne burze. Po kilku dniach nieustannego deszczu dziś znów chwycił mróz, mokry asfalt pokrył się warstewką lodu i pierzastego puchu. Przez jakiś czas stoję niezdecydowana, patrząc w zamyśleniu na rzędy pokrytych szronem szyb, przyprószone srebrzystą siwizną mury, wirujące wokół płatki śniegu.

Twitch już wcześniej groził, że jeśli nie przyniosę mu drona, skrzywdzi Dodge'a i Katie. Miałam nadzieję, że uprowadził dziewczynę, żeby nakłonić mnie do kolejnego polowania za Murem, ale skoro nie stawia mi żadnych warunków, tylko odprawia z kwitkiem, pewnie odkrył jej talenty i postanowił zmienić ją w żywą broń tak jak pozostałych psioników...

O ile Katie faktycznie wpadła w jego łapy, bo może znowu się mylę. W końcu przez ostatnie lata głupie, ludzkie błędy aż nadto weszły mi w krew.

Postanawiam zaryzykować i trochę się rozejrzeć. Czuję na sobie

podejrzliwy wzrok wartowniczkii, gdy zamiast jak zwykle obejść skrzydło budynku z prawej, przeciąć plac i wydostać się na ulicę przez główną bramę, wybieram okrężną drogę w lewo, która wiedzie pomiędzy wysokim ogrodzeniem z szarej cegły a tyłami rozległego gmachu.

Nie śpieszę się, idę wolno w popielatych ciemnościach, skanując teren. Mijam puste kontenery z pomocy humanitarnej, wypatroszone wraki hoverów i samochodów, walające się wszędzie stare, sflaczałe opony. Nie napotykam żywej duszy, ale w pewnym momencie po karku przebiega mi silne, nieprzyjemne mrowienie. Zerkam przez ramię, nikogo nie dostrzegam. Termowizja nie ujawnia niczyjej obecności w żadnej z ciężarówek, za to podpała budynek całą chmarą ognistych płam. Ani jedna z nich nie kręci się w pobliżu okien na piętrach ani na parterze, ale gdy spoglądam niżej, moją uwagę natychmiast przykuwa szczupła sylwetka wtulona w niebiesko-zielony mur i zatopiona do ramion w kobaltowej ziemi.

Podchodzę do niej, klękam obok zakratowanego piwnicznego okienka, przełączam się na kolorową podczerwień. Od razu rozpoznaję te ciemne włosy, szkliste oczy pełne smutku i bezustannie poruszające się wargi. Przykładam dłoń do dłoni po drugiej stronie oszronionej szyby, lecz mężczyzna w ogóle tego nie zauważa. Nie patrzy na mnie, ale przeze mnie, na przestrzał, gdzieś w inne miejsce i czas.

Już z daleka wyłapuję odgłos szybkich kroków. Nie ruszam się jednak z miejsca, bo wiem, do kogo należą. Liczyłam, że je usłyszę.

Kilka sekund później na ziemi tuż obok wykwita plama żółtego światła. Szybko omiata mur i wreszcie zatrzymuje się na mnie.

– Co ty tu jeszcze robisz? – warczy znajomy głos. – Wypad za bramę, ale, kurwa, migiem!

Podnoszę się z klęczek i wolno obracam na pięcie, unosząc ramiona na znak, że nie mam złych zamiarów. Kobieta z pstrokatymi dreadami w jednej ręce trzyma latarkę, w drugiej pistolet, ale nieodbezpieczony i wycelowany w ziemię. Dobry znak.

– Skąd on się tu wziął? – Ruchem głowy wskazują telekinetyka, którego poznałam w klinice przed trzema miesiącami. Widzę kątem oka, jak przygląda nam się przez żeliwne kraty bez śladu jakiegokolwiek emocji czy zrozumienia na niemal przezroczystej twarzy.

Strażniczka staje tuż przede mną z zaciętą miną, ale gdy zerka w dół na byłego pacjenta Siobhan, w jej wzroku nie dostrzegam wrogości czy niechęci, tylko współczucie. Może nawet troskę.

No proszę.

– A co cię to głównie obchodzi? – warczy przez zaciśnięte zęby, znów świecąc mi po oczach i próbując ukryć swój niepokój za udawanym gniewem. Mocniej zaciska palce na rękojeści beretty, lecz nadal nie unosi broni. – Spieprzaj stąd albo zawłokę cię do Twi...

– Daj spokój – przerywam łagodnie. – Dobrze wiesz, że nawet uzbrojona nie poradzisz sobie z androidem.

Parska z lekceważeniem, ale nie próbuje zaprzeczać.

– W każdej chwili mogę wezwać wsparcie. – Wymownie wskazuje podbródkiem krótkofalówkę przyczepioną do paska.

– To czemu jeszcze gadasz, zamiast to zrobić?

Zbliża dłoń do radia i zaraz ją cofa, mieląc w ustach przekleństwo.

– Potrzymam latarkę, jeśli brakuje ci rąk – proponuję uprzejmie. – Ale obie wiemy, że nie po to tu za mną przyszedłaś.

– Nie bądź tego taka pewna.

Och, ależ jestem. Uśmiecham się kącikiem ust.

– Czego od niego chcesz? – pyta nieufnie strażniczka, kierując snop światła na piwniczne okno. Mężczyzna nie reaguje, nawet nie zwracają mu się źrenice.

– Niczego. Muszę się tylko dowiedzieć, jak tu trafił, to wszystko.

– A na co ci to?

– No, ruszże głową. Na pewno słyszałaś, że zajmuję się poszukiwaniem zaginionych.

– O, tak. – Oczy zwracają jej się złośliwie. – Słyszałam też, że ci odwaliło i przez bite trzy miechy siedziałaś w zamknięciu.

– Każdy potrzebuje wakacji. – Wzruszam ramionami. Mam

nadzieję, że wyszło to przekonująco. – Zwłaszcza po wyjątkowo niefortunnym postrzale. Nazwijmy to urlopem zdrowotnym. Już doszłam do siebie i właśnie wznowiłam śledztwo.

– I że niby on jest na twojej liście?

– Punkt za domyślność – kłamię.

– No to już się znalazł, możesz go skreślić, moje gratulacje. A teraz won.

– Jeśli dowiem się, gdzie go zgarnęliście, być może natrafię na trop Katie – zmyślam dalej, choć w zasadzie to nie jest wcale takie głupie. – Psionicy często trzymają się razem, ciągnie ich do najsilniej uzdolnionych jak ćmy do płomienia – dodaję, tym razem zgodnie z prawdą. – Skoro nie ma jej tutaj, istnieje szansa, że nadal ukrywa się w pobliżu miejsca, w którym znaleźli twój przyjaciela.

Wartowniczka mruga zaskoczona na dźwięk dwóch ostatnich słów. Rysy jej twarzy nieznacznie miękną, gdy tylko przenosi wzrok na mężczyznę.

– To byłoby bardzo głupie z jej strony – mruczy pod nosem. – I z twojej strony to też bardzo głupie, że tak po prostu mi o tym wszystkim mówisz. Nie boisz się, że sprzedam tę informację Volverowi? Wiesz, ile on płaci za donosy o paranormalach?

– Gdybyś faktycznie miała taki zamiar, przecież byś mnie o tym nie uprzedzała – stwierdzam spokojnie. – Zresztą jakoś mi się nie wydaje, żebyś komukolwiek życzyła takiego losu. – Ponownie wskazuję telekinetyka. – Znasz go, prawda?

Strażniczka milczy długo, bijąc się z myślami.

– Kiedyś znałam – burczy wreszcie. Opuszcza głowę, zakłada niebieski dred za ucho. – Na samym początku trzymaliśmy się razem i byliśmy... hmm... dosyć blisko. Ale teraz to już bez znaczenia, on i tak mnie nie poznaje. – Łypie ponuro na ciemnowłosego. – O ile w ogóle coś widzi, a wątpię.

Nie odzywam się. Czekam. Wartowniczka przestępuje niepewnie z nogi na nogę, rozglądając się dookoła raz i drugi. A potem klnie pod nosem, spluwa na przyprószony śniegiem asfalt.

– Jedna z pomocniczek Volvera powiedziała mi, że wpadł podczas łapanek – mówi wreszcie z ociąganiem. – Przywieźli go

ze trzy tygodnie temu. Ponoć szlajał się po Skwerze, miotając opętańcami na lewo i prawo. Od tego czasu nie ruszył się z miejsca, mijam go tutaj na każdym patrolu... – Głos jej się łamie, oczy na moment zachodzą mgłą. – Zrobili z niego pieprzone warzywo – ciągnie przez zaciśnięte zęby, mrugając intensywnie i odwracając twarz. – Faszering psioników najróżniejszymi lekami, bo wtedy łatwiej ich kontrolować.

Przez chwilę trawię jej słowa. Do rzeczywistości przywołuje mnie trzeszczący w oddali śnieg.

– A Katie?

– Nie widziałam jej tu. Serio. Ale... – urywa, zerka przez ramię, potem znowu na mnie. – Ale nie mogę wykluczyć, że trzymają ją głębiej pod ziemią – podejmuje ciszej – albo wywieźli na pustkowia...

– Po co?

– Niektórych dla bezpieczeństwa nie szkolą tutaj, tylko na zadupiu za miastem – wyjaśnia kobieta, nie przestając strzelać oczami na wszystkie strony. – Innych zabierają tam ze sobą po odbiór pomocy z Czerwonego Krzyża, wiesz, do ochrony transportu. Nie wszyscy psionicy wracają potem do nas, bo Volver lokuje najgroźniejszych gdzieś w bunkrach na odludziu. No a córka Dodge'a to podobno niezłe ziółko, więc...

– Podobno? – Z powątpiewaniem unoszę brew. – Czy może na pewno?

– Słuchaj, ja naprawdę nic nie wiem o tej dziewczynie! – syczy rozszuszczone. Rozmawiałam z nią wcześniej na tyle często, że mam dość materiału porównawczego, by przeprowadzić analizę lingwistyczno-behawioralną i stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że niestety nie kłamie. – Znam tylko plotki, cholera wie, ile w nich prawdy.

Poskrzypywanie butów na śniegu rozlega się już znacznie bliżej.

– Co za plotki? – pytam na odchodnym, wycofując się tyłem między samochody.

Wartowniczką ogląda się nerwowo, bo i do niej dotarł właśnie dźwięk kroków.

– Ktoś ponoć widział, jak biegała po ulicach i przejmowała

kontrolę nad ptakami – wyrzuca z siebie pośpiesznie, po czym bez pożegnania robi w tył zwrot i rusza z powrotem do Hybris.

– A kiedy...

– Pojęcia nie mam! – syczy przez ramię. – Zabieraj się stąd, zanim nas nakryją!

Siobhan czeka na mnie w recepcji, jak gdyby przewidziała, że to właśnie dzisiaj wyściubię wreszcie nos ze swojej samotni i przyjdę się z nią zobaczyć. Wygląda na zaaferowaną. Bez słowa chwyta mnie za rękę, ledwo pojawiając się w progu, i ciągnie za sobą w głąb kliniki. Aby oszczędzać paliwo i solarne akumulatory, awaryjne generatory wspomagane przez panele słoneczne zasilają wyłącznie najważniejszy sprzęt medyczny, dlatego korytarze toną w pachnącym dezynfekantami półmroku i tylko w mijanych przez nas salach pobłyskują ekrany kardiomonitorów oraz diody automatów dozujących leki.

– Znalazłaś Katie? – pytam z nadzieją, gdy niemal biegiem wspinamy się po schodach na pierwsze piętro i skręcamy w stronę bloku zabiegowego.

– Co? – Siobhan zerka na mnie przez ramię, a w jej oczach pojawia się niebezpieczny błysk. – A, nie, nie... Nie o to chodzi. Ale wiem, co się stało, Dodge był tu w nocy cały roztrzęsiony. Miał nadzieję, że przyszła do mnie po pomoc, ale nigdy tu nie dotarła. – Przystaje gwałtownie i o mało nie wpadam jej na plecy. Odwraca się na pięcie i wbija we mnie wściekły wzrok. – A ty ani słowem nie wspomniałaś, że jest telepatką! – syczy oskarżycielsko.

– Obiecałam Dodge'owi, że nikomu nie pisnę słowa...

– I nie przyszło ci do głowy, że gdybym wiedziała, może znalazłabym sposób, żeby nauczyć ją kontrolować i ukrywać dar? Przecież ja się tym zajmuję już od prawie dwóch lat! Co wyście sobie myśleli, jedno z drugim?!

– To nie była moja tajemnica, Shiv. – Z niemałym wysiłkiem wytrzymuję jej spojrzenie. – Nie miałam prawa nikomu jej zdradzać.

– No to teraz możecie sobie nawzajem pogratulować głupoty – warczy mi prosto w twarz, aż cofam się o krok. – Wiesz, co ona zrobiła?

– Mniej więcej – bąkam niepewnie. – Dodge przyszedł do mnie w takim stanie, że niewiele zdołałam z niego wycisnąć.

– Nic dziwnego, dostał końską dawkę leków uspokajających i przeciwbólowych.

– Domyśliłam się, bo kiedy w końcu ochłonał, zasnął w pół słowa. A wcześniej wciąż tylko powtarzał, że to wszystko jego wina...

– A żeby wiedział, że jego! Chociaż ty wcale nie byłaś lepsza. – Siobhan szybkim ruchem głowy odrzuca czerwoną grzywkę z policzka. – Zamiast przyjść do mnie, zabronił jej wychodzić z domu i bawić się tymi twoimi przeklętymi ptaszyskami. W końcu wpadła w szal, co było do przewidzenia. Opętała go, zmusiła, żeby otworzył drzwi, a kiedy go uwolniła, padł nieprzytomny, uderzył głową w róg ściany i cały zalał się krwią. Ostatnie, co pamięta, to lawinę jej przerażonych myśli, z których zrozumiał tyle, że poszła sprowadzić pomoc. Dla niego i dla siebie. Upośledzona nastolatka o umyśle małego dziecka okazała się mądrzejsza od dorosłego chłopca i pieprzonej sztucznej inteligencji!

– Masz rację – przyznaję nie bez oporów. – To rzeczywiście był błąd.

– Cieszę się, że sama do tego doszłaś – sarka zjadliwie, przejeżdżając dłońmi po twarzy i wygolonych skroniach. – Nikt jej tu nie widział. Moi syntetycy przeczesali całą okolicę i nic. Nie chcę być złym prorokiem, ale... – wymownie zawiesza głos.

– Twitch. – Kiwam głową na znak, że podzielam jej obawy. – Miał dla mnie kolejną robotę w New, a ja... – chrząkam z zakłopotaniem.

– Nie byłaś w nastroju – podsuwa cierpko Siobhan.

– To moja wina – szepczę, unikając jej wzroku. – Gdybym się nie uparła na wycieczkę za Mur i nie poszła z tym do Equilibrium, Twitch w ogóle nie wpadłby na to, żeby szukać na mnie haków.

– A skoro raz dałaś mu się zaszantażować – podchwytuje

replikantka z miną prekognitki, która dawno już przewidziała wszystkie konsekwencje moich nierozważnych decyzji – już się od niego nie uwolnisz.

– Ha, też tak myślałam. Byłam pewna, że przetrzyma Katie, żeby znowu mnie zmusić do polowania na Roshę, ale nie. Posłałam do niego, w ogóle nie chciał mnie widzieć.

Siobhan milczy przez kilka sekund, przygryzając paznokieć kciuka.

– Czyli na bank wie już o jej telepatii – mruczy wreszcie z grobową miną. – Plus jest taki, że nie ma żadnego interesu w tym, żeby ją krzywdzić. Minus jest taki, że nie ma żadnego interesu w tym, żeby ją wypuścić.

– Lepiej bym tego nie ujęła – wzdycham, a po chwili wahania dodaję: – Schwytał też jednego z twoich pacjentów.

Siobhan zerka na mnie z zaciekawieniem.

– Kogo?

– Tego ciemnowłosego telekinetyka, z którym prawie w ogóle nie było kontaktu. Pamiętasz?

– Ja wszystkich pamiętam – oznajmia obojętnym tonem, a potem marszczy brwi, pochwyciwszy moje wyczekujące spojrzenie. – No co? Przecież nie mogę trzymać ich tu w nieskończoność! A już zwłaszcza przypadków beznadziejnych. Ten facet był całkowicie odporny na kurację, nic nie mogłam dla niego zrobić. Musiałam wreszcie pozwolić mu odejść, bo tylko marnował leki.

– I tak po prostu wypuściłaś na ulicę niezrównoważonego psionika?

– Nie – zaprzecza z pozornym spokojem, lecz w jej głosie już słyszę pierwszy trzask ścinanego mrozem powietrza. – Ktoś po niego przyszedł. Co się stało potem, nie wiem i nie obchodzi mnie to. Dlaczego miałyby? Przecież to morderca.

– Sama zabijałaś ludzi i syntetyków na reinforsynowym haju – przypominam. – A jednak masz w sobie zaskakująco mało wyrozumiałości.

– Nigdy nie byłam wyrozumiała – stwierdza gładko, wzruszając ramionami. – Zwłaszcza wobec ludzi. I nie zamierzam się z tego

tłumaczyć. To jest moja klinika, ja tu dyktuję warunki.

- Oho.

- Co „oho”?

- Mówisz jak Twitch.

Siobhan bynajmniej nie sprawia wrażenia urażonej tym porównaniem. Przygląda mi się jakiś czas, sypiąc z oczu kryształkami szronu.

- Nie będę wysłuchiwała kazań od kogoś, kto przez ostatnie dwa miesiące z okładem miał w dupie wszystko i wszystkich, a teraz raptem zaczyna biadolić nad losem jednego człowieka, dla którego zrobiłam, co tylko było możliwe – wyrzuca z siebie słowa jak z karabinu, przeszywając mnie wzrokiem niczym szpikulcem do lodu. - Ty, o ile dobrze pamiętam, nawet nie kiwnęłaś palcem, żeby mu pomóc, więc daruj sobie zgrywanie altruistki, bo zamiast tego wychodzisz na hipokrytkę.

Przez krótką chwilę pojedynkujemy się na spojrzenia. W bladym, zielonkawym blasku kardiomonitora padającym z sali, przed którą stoimy, wykrzywiona twarz syntetyczki wygląda naprawdę upiornie. Pierwsza spuszczam oczy.

- *Touché* – burczę pod nosem, bo w istocie trafiła w czuły punkt.

- Zamiast utyskiwać bez sensu nad ludzką niedolą – podejmuje Siobhan nieco łagodniejszym tonem – skup się lepiej na ochronie własnego tyłka. Zapomnij o psionikach, nawet o Katie, bo im w przeciwieństwie do ciebie nie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gwałtownie podrywam głowę.

- Wczoraj wróciłam zza Muru – oświadczam z powagą, znów biorąc mnie za rękę i ciągnąc w mrok korytarza. - Przyproceedziłam kogoś, kogo koniecznie musisz wysłuchać.

Rozdział osiemnasty

Siedzimy w sali holoprojekcyjnej połączonej z symulatorką VR, która niegdyś służyła do przeprowadzania wirtualnych wivisekcji i planowania zabiegów chirurgicznych na cyfrowych fantomach, a od dziesięciu minut pełni funkcję pokoju przesłuchań. Z raczej marnym skutkiem. Replikant o trupio bladej twarzy, oczach koloru czarnej kawy i białych jak śnieg włosach do ramion nie odezwał się jeszcze ani słowem. Nie jestem pewna, czy w ogóle zrozumiał moje pytania, a całkiem możliwe, że nawet ich nie zarejestrował.

Dwa krzesła, moje i jego, ustawiłam przodem do siebie po tej samej stronie stołu, dzięki czemu blat nie zasłania mi sylwetki syntetyka. Siobhan poprosiłam o zajęcie miejsca po stronie przeciwnej, na wysokości replikanta, tak żebym mogła swobodnie obserwować jej reakcje i w razie konieczności wymieniać z nią spojrzenia. Ot, stare nawyki.

Białowłosa siedzi przede mną skulony, obejmując się oburącz za brzuch, jakby bolał go żołądek. Nerwowo oblizuje spierzchnięte usta i wodzi czujnym wzrokiem za Siobhan, która najwyraźniej nie jest w stanie wytrzymać choćby minuty w jednej pozycji i mimo moich niemych zakazów znów zaczyna spacerować po pokoju. Syntetyk wzdryga się i chowa głowę w ramiona za każdym razem, gdy pada na niego jej cień.

I wciąż milczy jak zaklęty.

Staram się nadrabiać miną, ale nie mogę przestać myśleć o Katie. Świadomość marnowanego czasu coraz bardziej pogłębia mój niepokój. Zanim tu weszłyśmy, Siobhan uprzedzała, że rozmowa nie będzie należała do łatwych, bo jej nowy pacjent jest poważnie strauumatyzowany, ale nie spodziewałam się, że do tego stopnia. Jakikolwiek ruch czy głośniejszy dźwięk to dla niego sygnał do ucieczki. Jestem pewna, że lada moment zerwie się z miejsca i rzuci do drzwi.

Zniecierpliwiona mityguję replikantkę surowym spojrzeniem i

ruchem głowy wskazuję jej krzesło. Ostentacyjnie przewraca oczami, po czym z ociąganiem wraca na swoje miejsce. Mam ochotę wyprosić ją za drzwi, ale wiem, że i tak nie posłucha. Uparła się, że chce być obecna przy przesłuchaniu.

Już otwieram usta, by po raz kolejny zasypać syntetyka pytaniami, gdy ten raptownie podrywa głowę i wbija we mnie złąkniony wzrok.

– Mam na imię Ridley – odzywa się w końcu tak cicho, że muszę czytać mu z ruchu warg.

– Miło mi cię poznać, Ridley. – Uśmiecham się do niego, a na wypadek gdyby wcześniej nie dosłyszał mojego imienia, postanawiam ponownie się przedstawić: – Jestem...

– Maya. Wiem... Wiedziałem już wcześniej, zanim mi powiedziałaś... Bo ja... ja... – jąka się, zaczyna biegać oczami między mną a Siobhan. Napotkawszy jej zaskakująco ciepłe spojrzenie, uspokaja się nieco, oddycha głębiej, po czym wyrzuca z siebie szybko: – Ja cię znam.

– Wybacz – mówię powoli, nieco zbita z tropu. – Ale nie przypomi...

– Widziałem cię już w... w... – przerywa mi tylko po to, żeby znowu się zaciąć. – W... wizjach.

– W wizjach – powtarzam wolno, starając się nie okazywać powątpiewania.

– Ridley jest jasnowidzem – wtrąca Siobhan beztróskim tonem.

Zatyka mnie na dobrą chwilę i cały autorytet samozwańczego szeryfa diabli biorą.

– Ale... ale... – tym razem to ja nie mogę zebrać myśli ani znaleźć słów. – To przecież syntetyk! – wykrztuszam wreszcie. – Mówiłaś, że syntetycy nie rozwijają żadnych zdolności psionicznych...

– Najwyraźniej nie jestem nieomylna – stwierdza sucho, kładąc nogi na stole i splatając ramiona. – Nigdy dotąd nie spotkałam androida, na którego reinforsyna działałaby w ten sposób.

– Ale przecież...

Siobhan ucisza mnie lekceważącym gestem.

– Ridley, opowiedz jej wszystko od początku.

Replikant skwapliwie kiwa głową, odchrząkuje raz i drugi.

– Kilka tygodni temu – zaczyna nieco pewniejszym tonem – o-o-o-budziłem się w obcym mieszkaniu, bez żadnych wspomnień. Nie miałem pojęcia, kim jestem ani jak tam trafiłem. Nie rozpoznawałem własnej twarzy w lustrze, widoku za oknem... niczego. Nie znałem kodu do drzwi i nie mo-o-o-głem wyjść. Byłem uwięziony. Znalazłem zapasy jedzenia i wody, mnóstwo reinforsyny, kilka kompletów odzieży, przybory toaletowe, parę innych drobiazgów... Ale żadnych rzeczy osobistych, dzięki którym mógłbym poznać swo... swo... swoją tożsamość. A potem... – Przełyka ślinę, międląc w dłoniach przydługie rękawy bluzy. – Potem usłyszałem... głos. Głos młodej kobiety, który kazał mi zacząć sobie przypominać. W kółko rozbrzmiewał mi w myślach, tym głośniejszy, im mocniej mu się opiera-a-a-łem. Nie potrafiłem go uciszyć, przeraziłem się, że tracę rozum... I wtedy nagle zrozumiałem, do kogo należał. – Ridley milknie, zerka na mnie z przejęciem. Uśmiecham się i zachęcająco kiwam głową, pełna jak najgorszych przeczuć. – To był... – Replikant kurczy się w sobie, jakby bał się mojej reakcji. – To był... – zająkuje się znowu, a ja mam wielką ochotę podejść i nim potrząsnąć. – To był głos... Meredith Be-be-bennett.

Wzdrygam się na dźwięk tego nazwiska. Pod czaszką wybuchają mi tysiące pytań, lecz nie jestem w stanie żadnego wyartykułować, zupełnie jakby przypadłość syntetyka była zaraźliwa.

– Do dziś nie wiem, skąd ją znam – podejmuje Ridley. – Ale nie mam żadnych wątpliwości, że to właśnie ona przemawiała wtedy w mojej głowie. A później... dużo, dużo później, gdy wreszcie jej posłu-u-u-chałem i spróbowałem przywołać jakiegokolwiek wspomnienia, w umyśle pojawiło mi się jeszcze jedno nazwisko. I początkowo my-myślałem... byłem przekonany, że... że ono należy do mnie. – Replikant unosi głowę i patrzy mi prosto w oczy. – Zdawało mi się, że nazywam się Jared Quinn.

Nie mam bladego pojęcia, jak to skomentować. Siedzę i gapię się na Ridleya, pewna, że się przesłyszałam.

– Przypomniałem sobie Isobel – ciągnie replikant po chwili

taktownej ciszy. – I Sophie, i Lily, i Jolene, ludzi z wydziału zabójstw, znajomych ze studiów, kumpli z akademii... Wszystko. W kilka chwil miałem umysł pełen wspomnień twojego poru-u-u-cznika, choć wtedy jeszcze brałem je za własne. A potem... przypomniałem sobie siebie.

Zawartość żołądka gwałtownie podchodzi mi do gardła.

– Pamiętam dzień, w którym przebudził cię w Wy-wy-łęgarni – szepcze Ridley z przejęciem. – Waszą rozmowę w barze, gdy nadał ci swoje nazwisko. Pogrzeb Bena w parku pod klonem o czerwonych liściach. Prowadzone przez was śledztwa. Zamach w Beyond i śmierć waszych przy-y-y-jaciół. Rozmowę z Pomyłką w zablokowanej windzie. To, jak okłamałaś tamtego policjanta na pokładzie helikoptera. I wreszcie twoje słowa, które wyszeptowałaś Quinnowi do ucha, gdy już ogarnęła go ciemność...

Milknie nagle, przyglądając mi się z niepewnym wyrazem twarzy. Dopiero teraz się orientuję, że zaczęłam bezwiednie kręcić głową.

– „Pomyliłam się, Red” – mówi dobitnie Ridley. – „Nie t-ta-a-ką mnie stworzono. Nie jestem posłuszna i wcale nie chcę być”.

Zamykam powieki, przysłaniam twarz drżącą ręką.

To się nie dzieje, to nie może być prawda... To jakiś absurd!

Credo quia absurdum.

O mało nie wybucham histerycznym śmiechem.

– Wtedy poczułem, jak bardzo cię znienawidził... – kontynuuje replikant, a w odpowiedzi mój spokojny dotąd oddech zaczyna rwać się na krótkie, raptowne westchnienia. – To właśnie w tamtej chwili Jared postanowił cię zabić.

– I już raz prawie mu się udało – wtrąca kwaśno Siobhan.

– Tego akurat nie zobaczyłem – przyznaje Ridley strapiiony. – Nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Wszystkie moje wizje są dość wybiórcze i bardzo chaotyczne. Wciąż nie udało mi się zna... zna... znaleźć żadnej prawidłowości, prócz tej, że każda z nich dotyczy twojego byłego partnera. Ostatnim jego wspomnieniem, jakie zdołałem przywołać, był moment w szpitalu, kiedy Quinn podpisał zgodę na hibernację...

Na widok mojej miny replikant znów przerywa opowieść.

Gestem daję mu znać, żeby się nie przejmował i mówił dalej.

– Przez wiele dni starałem się przypomnieć sobie więcej, ale bez sku... skutku. Aż w końcu w moim umyśle pojawił się nowy majak i z jakiegoś powodu byłem pewny, że w przeciwieństwie do poprzednich ten nie należał do przeszłości. Nawet przez moment nie wątpiłem, że to, co widzę, dzieje się te-e-e-raz, dokładnie w te-e-j chwili... – Zaczyna drzeć na całym ciele i choć to wydaje się niemożliwe, blednie jeszcze bardziej, aż robi się niemal zupełnie przezroczysty. Raptownie potrząsa głową, jakby próbował wyrzucić z niej koszmarnie obrazy.

– Co widziałeś? – pytam słabym głosem.

Siobhan bez słowa zdejmuje nogi ze stołu, szybkim krokiem podchodzi do panelu w ścianie, po czym uruchamia symulację VR.

– Pokaż jej – przemawia do Ridleya rozkazująco. – Ona musi zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Najpierw oślepiająca jasność, ostry zapach ozonu i powietrze roztętnione nadprzyrodzoną energią. Później trzask pękającej skóry i łamanych kości, chlup rozbryzgującej się krwi.

A potem gęsty, lepki mrok, w którym majaczy czerwona rozpadlina między białymi pagórkami dziewczęcych piersi. Poszarpane brzegi rany wywinięte na zewnątrz niczym płatki szkarłatnego kwiatu, środek najeżony odłamkami zgruchotanych żeber.

Blade niteczki blasku sączą się przez szpary w nieszczelnych żaluzjach, tnąc powietrze na cienkie plastry i wyłaniając z cienia nieruchomą twarz. Pociągnięte tuszem rzęsy. Bordowy cień na powiekach. Kącik oka podkreślony czarną konturówką. Jeden z promieni światła wpada prosto w ogromną, bezdenną źrenicę, otoczoną wąziutką obwódką żółtej tęczówki i ten widok natychmiast kojarzy mi się z Wylęgarnią.

Oko bez wątpienia należy do replikantki.

Wiem to, ponieważ Ridley to wie, choć za nic nie umie wyjaśnić skąd. Twierdzi, że to przekonanie spłynęło na niego razem z

wizją.

Syntetyczka siedzi pośród skwierczących od zakłóceń cieni i wpatruje się we mnie ślepyim wzrokiem, trzymając w dłoniach swoje własne serce.

Powinnam podejść i wszystko dokładnie zbadać, ale mój awatar w ogóle nie słucha poleceń, nie jestem w stanie choćby drgnąć.

I nagle wszystko zaczyna się na nowo.

W pierwszej chwili mam wrażenie, że wizja się zapętlila, zaraz jednak dostrzegam pierwsze różnice. Tym razem strumyczki światła, choć nadal cieniutkie jak pajęczne nici, spływają z nieszczelnego spadzistego dachu. Zamiast gęstych, kasztanowych pukli zamordowana ma krótko ścięte blond kosmyki, a tęczówki otulające martwe źrenice są barwy szmaragdów. Nie licząc paru szczegółów, cała reszta do złudzenia przypomina pierwsze miejsce zbrodni.

Oglądam obie sekwencje kilka razy w zwolnionym tempie, lecz mimo zapewnień Siobhan i Ridleya nigdzie nie dostrzegam dowodu na to, że tych zabójstw dokonał Quinn.

Syntetyk, jakby czytając mi w myślach, przewija drugą wizję o parę klatek do tyłu i robi zbliżenie na twarz replikantki. Powiększa obraz wielokrotnie, aż wreszcie na rogówce jej szeroko otwartego zielonego oka, dostrzegam odbicie innych oczu. Zimnych i wściekłych jak morze podczas burzy.

Cofam się o krok.

– Oglądamy to wszystko z punktu widzenia Quinna – stwierdza z przekonaniem manifestacja Siobhan.

Gwałtownie obracam się w jej stronę.

Nigdy nie spotkała porucznika, nie pokazałam jej też swoich wspomnień o nim, ale niewykluczone, że widziała go podczas jednej ze swoich przepraw za Mur albo może znał go któryś z jej syntetyków...

– Skąd wiedziałaś, że to on?

Ku mojemu zaskoczeniu wydaje się zmieszana pytaniem, szybko jednak odzyskuje rezon.

– Wystarczy spojrzeć na twoją minę – prycha kąśliwie. W jej cyfrowym głosie pobrzmiwa osobliwa, zgrzytliwa nuta, ale

trudno stwierdzić, czy to oznaka podenerwowania, czy tylko drobne zakłócenie.

Kłękam obok wizualizacji ofiary, zbliżam twarz do jej rozpixselowanej twarzy. Symulacja pozostawia wiele do życzenia, powietrze skrzy się delikatnie, trzeszcząc i szumiąc niczym nienastrojone radio, ciało co chwilę dostaje lekkich drgawek, jakby przepływał przez nie prąd... A jednak kluczowy detal ani na moment nie traci ostrości.

- Odbicia na rogówkach rzadko bywają tak wyraźne - zauważam po chwili. Spoglądam na awatar Ridleya, a on szybko zerka na Siobhan. - Zwłaszcza że reszta jest mocno ziarnista.

- Ta-ak... bo widzisz, musieliśmy... musieliśmy... - duka zmieszany, nie wiedząc, gdzie podziać oczy ani co począć z rękami - ...wyeksponować... pewne szczegóły.

- My?

- Pomogłam mu w tym - przyznaje Siobhan, gdy replikant po raz kolejny wlepia w nią błagalny wzrok. - Chciałam mieć pewność, że to Quinn, zanim ci wszystko pokażemy.

Skóra momentalnie cierpnie mi na całym wirtualnym ciele. Symulacja może i jest dość toporna, ale trzeba przyznać, że nieźle reaguje na bodźce emocjonalne.

- Zmodyfikowałam Ridleyowi wspomnienia - stwierdzam sucho, starając się panować nad głosem.

- Nie zmodyfikowałam, tylko wyretuszowałam - poprawia z naciskiem. - A to ogromna różnica. Zastosowaliśmy jedynie prostą obróbkę cyfrową. Nie manipulowaliśmy treścią obrazu, wyłączając go jakością.

Nie podoba mi się to, ale ostrzegawcza iskra w jej oku każe mi na razie zachować ten komentarz dla siebie.

- To jeszcze nie wszystko - bąka nieśmiało Ridley, po czym zachęcony przez Siobhan zadziwiająco życzliwym uśmiechem, przewija wizję do samego końca i wznawia odtwarzanie, wczytując z pamięci dodatkowe sceny.

Z zimnym dreszczem na plecach obserwuję, jak jedna urękawiczona dłoń rozpościera arkusz czarnego papieru na popękanej, oblepionej pajęczynami ścianie, druga chwyta

czerwony długopis, po czym kreśli na kartce staranne litery.

Mrugam zdumiona, rozpoznając swój własny charakter pisma. A na widok kolejnych słów głośno nabieram powietrza.

Nie taką cię stworzono.

Ledwo łapię równowagę, kiedy nogi uginają się nagle pod moim ciężarem, jak gdyby ktoś podkreślił symulowaną grawitację.

Niczym zahipnotyzowana obserwuję dłonie w rękawiczkach, które zaczynają składać arkusz starannymi, metodycznymi ruchami. Wcale nie muszę czekać na efekt, doskonale wiem, co zaraz ujrzę. I rzeczywiście, papier przeobraża się powoli w figurkę kruka, a chwilę później znika w czeluściach przewodu wentylacyjnego pod spadzistym sufitem poddasza. Jedna ręka zasłania wylot metalową kratą, druga, uzbrojona w śrubokręt automatyczny, szybko przytwierdza pokrywę do ściany.

Wizja dobiega końca i obraz zatrzymuje się na stop-klatce w momencie, w którym wzrok sprawcy odrywa się od skrytki z origami i ponownie spoczywa na zamordowanej syntetyczce.

– Quinn nie tknąłby reinforsyny – odzywam się po długim, ciężkim milczeniu, z trudem siłąc się na spokój. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle próbuję go bronić, ale to silniejsze ode mnie. – Nie po tym wszystkim, co wydarzyło się w Beyond. A to – wskazuję serce w dłoniach ofiary – to bez wątpienia robota psionika.

Siobhan parska krótko, po czym posyła mi pełne politowania spojrzenie. I znów nie mam pewności, czy błysk, który na moment rozświetla jej złote tęczówki, to pierwszy płomyk gniewu, czy tylko drobne zniekształcenie obrazu. Znam ją jednak na tyle, by w ciemno obstawiać to pierwsze.

– Wcześniej twierdziłaś, że nie tknąłby ciebie – zgrzyta metalicznie syntetyczka, krzywiąc wargi w nieładnym grymasie. – Sentymenty odbierają ci jasność myślenia, masz ewidentnie zaburzoną ocenę sytuacji.

– Shiv, ja go nienawidzę...

– W takim razie doskonale to ukrywasz.

– ...ale znam na tyle, by wiedzieć, że nigdy by...

– A co, jeśli Quinn nawet nie wie, że przyjmuje reinforsynę? –

Siobhan nie pozwala mi dokończyć. – Skoro wbrew jego woli zafundowali mu cyborgizację, dlaczego nie mieliby jeszcze cichaczem aplikować nadludzkiego neurochemu? Może jest jednym z tych psioników, którym wystarczą śladowe ilości narkotyku, niewykrywalne dla policyjnych detektorów? Może po tym, jak nie udało mu się ciebie zastrzelić, postanowił załatwić cię w inny sposób? Zresztą sama mówiłaś, że ta cała Bennett mogła mu ostro namieszać w głowie, skąd możesz wiedzieć, do czego zdołała go przekonać? Albo zmusić?

Nie odpowiadam. Odwracam oczy, zacinam usta.

Martwa replikantka patrzy na mnie pustym wzrokiem lalki i na jedno mgnienie dostrzegam w niej samą siebie.

– Jeśli chcesz – mamrocze Ridley, mnąc w rękach skraj bluzy – mogę pokazać ci wszystkie wspomnienia Quinna, które mnie nawiedziły. Może to pomoże ci zrozumieć, kim się stał.

Waham się tylko przez chwilę, po czym bez słowa kiwam głową.

To bardzo dziwne wrażenie oglądać własne życie z perspektywy innej osoby. Patrząc na siebie cudzymi oczami i gdzieś z tyłu głowy słysząc niewyraźne mamrotanie Turveya: depersonalizacja, derealizacja, eksterioryzacja... Założę się, że gdyby technik mógł teraz pogrzebać mi w mózgu, postawiłby takie właśnie diagnozy.

Wspomnień z czasów przed moim Przebudzeniem z oczywistych względów nie jestem w stanie zweryfikować, lecz każdą kolejną rekonstrukcję wydarzeń, w których brałam udział, analizuję w najdrobniejszym detalu. Pewne szczegóły przygasły nieco, zatarły się i wypaczyły z biegiem lat, inne – zwłaszcza te silnie naładowane emocjami – pozostały jasne i klarowne jak kryształ, ale nawet one odrobinę zakłamują rzeczywistość. Nie ma w tym bynajmniej niczego dziwnego, ludzka pamięć jest niezwykle wrażliwa na upływ czasu i mocno subiektywna, podatna na sugestię, racjonalizację, autonarrację i całe mnóstwo fałszerskich sztuczek... Kiedy jednak porównuję wizje Ridleya z własnymi wspomnieniami, biorąc poprawkę na wszystko, co

wiem o poruczniku i jego obrazie świata, coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że oto faktycznie mam przed oczami skrawki umysłu Quinna.

Ale potem widzę kilka dziwacznych scen, które na nowo podsycają moje wątpliwości.

Mętny, zielonkawy półmrok kołysze się wokół niczym wzburzona woda. Ramiona zamaszystymi ruchami rozgarniają powietrze, obraz przesuwa się w rytm ich ruchu, jak gdyby płynął pośród cieni w stronę majaczącej w oddali krągłej plamy światła. I nagle dłonie uderzają w twardą pokrywę lodu, a blask po drugiej stronie przysłania niewyraźna męska sylwetka.

Na krótki moment wszystko spowija czerń.

A potem lód pęka z niskim, basowym rykiem. Ramiona rozpaczliwie młóca ciemność niczym kipiącą toń, palce wpijają się w krawędź zmrożonej tafli, rozdrapują skorupę śniegu, próbują złapać oparcie. Wszystko zalewa oślepiająca biel, skrząca się od szronu i diamentowych kropel wody.

Znów chwila nieprzeniknionego mroku, a zaraz po niej kolejne ujęcie.

Pośrodku zamrożonego jeziora stoją figury z lodu, przyprószone migotliwą warstewką białych pikseli. Posieczony pociskami Marcus Blake. Helen McKay rozlana po śniegu w kałużę bezbarwnej krwi. Turpistyczna mozaika ze skostniałych strzępów Maxwella Rosso. Lawrence O'Neill przyszpilony do bloku ściętej mrozem wody niczym spreparowany motyl. Pomyłka zapatrzona w niebo szeroko otwartymi, szklanymi oczami. Zmartwiały klon Easy Puppet, a za nim...

Za nim ja. Moje własne zamrożone widmo.

Dalej trzy kolejne kręgi rzeźb: rodzina porucznika, zespół lekarzy i pielęgniarek ze szpitala, policjanci z wydziału zabójstw.

A jeszcze dalej, tuż obok przysypanego pikselowymi płatkami przerębla, stoi lodowa Meredith Bennett.

Obraz ponownie rozplywa się w czerni, a po chwili wszystko spowija pulsujący nimb iskier i nitek świetlistej energii.

Powietrze trzaska sucho od elektrycznych wyładowań, rozwidlone jęzory błyskawic z sykiem prują ciemność na postrzępione, dygoczące cienie. Figury eksplodują nagle jedna po drugiej wśród wściekłego ryku gromów, sypiąc dookoła śniegiem i ostrymi okruciami zakrzepłej wody. Tafla lodu trzeszczy i skrzypi jękliwie, wibruje jak przy trzęsieniu ziemi, roi się od zyzgakowatych rys.

I wtedy spomiędzy rzeźb wybiega... Quinn.

Patrzy prosto na mnie. Nie, nie na mnie, na Ridleya. Na nas oboje.

Ale zaraz, przecież to my jesteśmy Quinnem!

Nie, wcale nie, niekoniecznie... Ta wizja diametralnie różni się od pozostałych, z całą pewnością nie jest zwykłym wspomnieniem, z jakiegoś powodu mógł zmienić się też punkt widzenia...

Jednak samo odwrócenie perspektywy nie wyjaśnia, dlaczego porucznik gapi się na nas jak na intruzów, z mieszaniną nienawiści i strachu w wytrzeszczonych oczach.

– Pod lód! – ryczy wściekle, po czym wyrzuca przed siebie ramiona. – Pod lód, zasrańcu! Teraz, kurwa, już!

Z palców tryska mu rozżarzony do białości piorun. Nie mamy szans uskoczyć, lód pęka z hukiem pod naszymi stopami. Jezioro połyka nas łakomie i wciąga jak bagno, zimno parzy skórę, paraliżuje mięśnie, rozpala ogień w ściśniętych płucach. Wzburzona woda zamyka nam się nad głową, po czym momentalnie zamarza. Miotamy się dziko pod lodem, waląc weń pięściami i puszczając z ust wielkie bąble powietrza.

A potem znowu ktoś gasi światło i wszystko pochłania czerń.

– Co to było?! – wyduszam chrapliwie między kolejnymi haustami powietrza. Wylogowaliśmy się z VR już parę sekund temu, ale wciąż walczę o oddech, nadal mam wrażenie, że spadam jak kamień na dno zamrożonego jeziora. – Ridley! Co to, do cholery, było?!

Zerka na mnie zakłopotany, kuląc się na krześle.

– N-nie wiem – przyznaje ze skruszoną miną. – Lodowe wizje zupełnie nie pasują do poprzednich, wciąż nie udało mi się ich rozgryźć... Ale... ale my-y-y-śle... myślę, że...

– Co? – nie wytrzymuję i zrywam się z miejsca, tracąc resztki profesjonalizmu, gdy Ridley znowu się zacina jak porysowana płyta. – No wykrztuś to wreszcie!

Spłoszony chowa głowę w ramiona, szuka wzrokiem wsparcia u Siobhan. Replikantka odpowiada mu lekkim skinieniem, posyłając kolejny krzepiący uśmiech. Takie zachowanie jest zupełnie do niej niepodobne i gdzieś z tyłu głowy zapala mi się kolejna lampka ostrzegawcza.

– Myślę, że to jezioro to coś... coś jakby Anima Quinna – wyjaśnia syntetyk. Widzę, jak wiele wysiłku wkłada w to, żeby się nie jąkać, i robi mi się wstyd. – Manifestacja jego umysłu, mentalna reprezentacja pamięci. Zobaczyłem je po raz pierwszy niedługo po tym, kiedy nawiedził mnie obraz pierwszego morderstwa. Później znowu, tuż przed drugim zabójstwem. I ponownie, gdy próbowałem sobie przypomnieć więcej szczegółów obu zbrodni. Sądzę, że wtedy twój porucznik musiał w jakiś sposób wykryć moją obecność w swojej głowie... Mu-u-siał... musiał... musiał wyczuć, że mam dostęp do jego wspomnień, i zaatakował, żeby mnie przegonić. Sama widziałaś, że on też jest psionikiem.

Długo nic nie mówię, starając się poukładać wszystkie informacje we w miarę logiczną całość, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że na siłę łączę puzzle z kilku różnych zestawów. Nadal brakuje kluczowego elementu, który rozszyfrowałby zagadkę.

– W porządku, przyjmijmy na chwilę, że masz rację – mówię ostrożnie, na co Siobhan fuka jak rozeźlona kotka. Ignoruję ją, skupiając całą uwagę na Ridleyu. – I co było dalej? Jak się znalazłeś w Dark?

– W pewnym momencie znów usłyszałem głos Meredith Bennett – podejmuje opowieść replikant. – Zwróciła się do mnie imieniem Ridley, podała kod do drzwi mieszkania i kazała mi niezwłocznie przyjść do siebie do ga... ga... gabinetu. Ale kiedy tam dotarłem, dowiedziałem się, że... że ona nie żyje. Bennett

została zamordowana.

Ze zdumienia odbiera mi głos, unoszę tylko brwi.

– Nie miałem wizji jej śmierci, ale od razu zacząłem przeczuwać, że ona również zginęła z ręki twojego porucznika. I po prostu wie... wie... wiedziałem, że będę następny. Wiedziałem, że jeśli pozostanę w New Horizon, Quinn prędzej czy później zrobi ze mną to samo co z tymi dwiema syntetyczkami i Bennett. Wpadłem w panikę i uciekłem do wschodniego dystryktu, a tam szczęśliwie natrafiłem na Siobhan...

– Ridley znalazł schronienie u jednego z moich paserów – wtrąca replikantka. – Razem przeprawiliśmy się przez Mur. A wcześniej rozpuściłam wici wśród informatorów i dowiedziałam się tego i owego o tych morderstwach. Na wszystkich trzech miejscach zbrodni doszło do niewyjaśnionych blackoutów Systemu. – Łypie na mnie roziskrzonymi oczami. – Jeśli Quinn zorientował się, że Bennett nim manipulowała, miał doskonały powód, żeby ją kropnąć. Czy nareszcie przyjąłeś do wiadomości, że on zamierza tu przyjść i dokończyć to, co zaczął?

– Z pewnością już wkrótce spróbuje – wyrokuje Ridley, zanim zdążam otworzyć usta. – Podczas sy-sy-mulacji nie mogłaś tego poczuć, ale ja dzielę z nim umysł. Uwierz mi, kiedy mówię, że ten człowiek nie spocznie, dopóki cię nie dopadnie.

Mimowolnie dotykam blizny po postrzale, w której nagle odzywa się dawny ból.

– Pomyśl tylko, May. – Siobhan zrywa się z krzesła i zaczyna spacerować po symulatorni. – Po co Quinn miałby zostawiać papierowe kruki na miejscach zbrodni i fałszować twój charakter pisma, jeśli nie po to, żeby zrobić cię w te zabójstwa i zdobyć pretekst do zorganizowania policyjnej obławy po tej stronie Muru?

– Red i fałszowanie dowodów? – mruczę sceptycznie. Chwytam się tej wątpliwości jak ostatniej deski ratunku. – To zupełnie nie w jego stylu...

– Nie w jego stylu! – Siobhan przystaje gwałtownie i robi ruch, jakby zamierzała walnąć pięścią w stół, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. – Obudź się wreszcie, do jasnej cholery!

Przekonałaś się na własnej skórze, że on już nie jest tym samym człowiekiem co kiedyś. Widziałaś, co zrobił tym replikantkom! Widziałaś, jak używa mocy! Jakiego dowodu jeszcze potrzebujesz?!

„Takiego, który nie został wyretuszowany” – mam na końcu języka, ale słowa jakoś nie chcą mi przejść przez gardło. Przed oczami znów stają mi wizje Ridleya. Przytłaczająca większość rzeczywiście wygląda jak wspomnienia Quinna. Zresztą przecież od dawna się obawiałam, że mój widok zadziała na porucznika jak zapalnik i zdetonuje tłumiony miesiącami gniew – wydarzenia z Alej tylko to potwierdzają. Bardzo możliwe, że kiedy związałam mu sprzed nosa, zaczął układać nowy plan zemsty, wyładowując się przy tym na innych replikantkach. No i faktycznie mógł odkryć, że Meredith Bennett maczała palce w jego cyborgizacji i zrobiła z niego swoją marionetkę, dlatego postawił ją sprzątnąć...

– Czyli nie udało ci się dowiedzieć, czego Bennett od ciebie chciała – mówię wolno, zwracając się do Ridleya. – Ani dlaczego nie masz własnych wspomnień. Ani skąd właściwie wzięło się to połączenie z umysłem Quinna.

Replikant potrząsa głową z przepaszającą miną i bezradnie rozkłada ręce.

– To pewnie część jakiegoś chorego eksperymentu – orzeka Siobhan cierpko. – Ludzie to sadyści, im bardziej coś jest popieprzone, tym chętniej to robią. Opowiadałaś mi kiedyś, że Bennett miała zaprojektować sny terapeutyczne dla Quinna, może to ona ich jakoś... – omiata Ridleya nieokreślonym gestem dłoni – ...zsynchronizowała. Zabawy z ludzką świadomością są nielegalne, ale przecież...

– Przecież mówimy o kobiecie, która bez skrupułów złamała prawa pacjenta, pomogła nakłonić Isobel do popełnienia fałszerstwa i najwyraźniej podaje androidom nielegalny lek, podczas gdy oficjalnie od samego początku jest jego zagorzałą przeciwniczką... – kończę za nią posępnym tonem. – Po kimś takim można się spodziewać wszystkiego.

– I po Quinnie też – podchwytuje z zapalem Siobhan. – On tu po

ciebie przyjdzie, i to już niedługo. Jesteś na to gotowa?

Po osobliwej nucie w jej głosie poznaję, że pytanie ma drugie dno. Nie myślę się.

– Jesteś gotowa go zabić?

Wbrew wszystkim złożonym sobie obietnicom przez ułamek sekundy zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Tak – mówię zdecydowanym, twardym głosem, lecz Siobhan i tak spostrzega moje wahanie. Zaciska wargi w bladą linijkę, a złote oczy tryskają iskrami zimniejszymi od lodowych okruchów.

– Tylko jedno z was wyjdzie z tego żywe – wyrokuje cierpko, świdrując mnie wzrokiem pełnym wzdargi i ponurej dezaprobaty. – A jeśli nadal masz nadzieję na szczęśliwe zakończenie, to jesteś większą idiotką, niż sądziłam.

Rozdział dziewiętnasty

Wciąż niczego nie czujesz? – pytam bez szczególnej nadziei, przytupując w miejscu dla rozgrzewki.

Dodge podciąga szalik pod sam nos, ciasniej opatula się kurtką i smętnie kręci głową. Po chwili odpoczynku ponownie wprowadza się w trans.

Pierwszy dzień wiosny dawno już przeminął, lecz panująca w Dark aura przypomina raczej późny listopad niż początek kwietnia. Ze skotłowanych granatowych chmur siąpi nieprzyjemna mżawka, porywisty wiatr wdziera się pod ubranie, ścina skórę w lód, przenika aż do kości.

Kolejny raz myślę o ogniu w piecyku, gorącym posiłku i kawie, po czym szybko przywołuję się do porządku. Powinnam teraz skupić się na Katie.

Zerkam na Dodge'a i aż ściska mnie w dołku. Przerażliwie blade, wychudły, z ciemnymi workami pod oczami oraz pierwszymi nitkami siwizny w dotąd nieskazitelnie rudej brodzie wygląda, jakby w niecały miesiąc postarzał się o dziesięć lat. Nie mogąc znieść bezczynności, od trzech tygodni dzień w dzień łazimy po pustkowiu i bezskutecznie próbujemy namierzyć owe tajemnicze bunkry, o których wspominała wartowniczką Twitcha. Przeczesujemy dzielnicę za dzielnicą, aby ustalić okoliczności zaginięcia dziewczyny, lecz dotąd nie natrafiliśmy na żaden, nawet już zupełnie zimny trop. Nikt z nią nie rozmawiał, nikt jej nie widział, nie udało nam się znaleźć ani jednego świadka jej uprowadzenia przez ludzi Volvera. Jeszcze trochę i będę skłonna uwierzyć, że Katie po prostu wyparowała, rozprysła się w nicość niczym bańka mydlana.

Jak każdego wieczoru po kilkugodzinnych poszukiwaniach zakradliśmy się pod mur na tyłach siedziby Equilibrium, skąd Dodge z rozpaczliwym uporem próbuje wskrzesić telepatyczną więź z córką. Stoi obok mnie, zlany potem i wyprężony jak struna, błyskając białkami spomiędzy drgających spazmatycznie

powiek. Po kilkunastu minutach z sapnięciem zwiesza głowę, ramiona opadają mu bezwładnie wzdłuż boków, jakby mózg odciął im zasilanie. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby zaraz wydał z siebie bezsilny ryk albo zaczął walić głową w szare cegły.

– To na nic – mamrocze cicho, wpatrzony w czubki własnych butów. – Obawiam się, że ona... – Słowa zamierają mu na wargach. Przełyka ślinę, krzywiąc się boleśnie, jakby miał gardło pełne szkła. – May... Ona chyba nie żyje.

W milczeniu spoglądam na kruki. Siedzą na dachu jednego z najwyższych budynków w okolicy, nieruchome i ciche jak gargulce z czarnego kamienia. Trwają tak od zniknięcia Katie. Powinny już dawno zdechnąć z głodu lub wychłodzenia, lecz nadal dostrzegam delikatne obłoczki pary ulatujące z półotwartych dziobów. To może być zarówno dobry, jak i bardzo zły znak: albo to odurzony farmaceutykami umysł dziewczyny wpędził ptaki w ten dziwaczny trans, albo mentalna więź została zbyt brutalnie zerwana w chwili śmierci telepatki i kruki zapadły w letarg, z którego miały się już nigdy nie wybudzić.

– Pewnie trzymają ją zbyt głęboko pod ziemią – mruczę pocieszającym tonem, kładąc Dodge'owi dłoń na ramieniu. – Sam mówiłeś, że twój dar nie jest tak silny jak jej i musisz być bardzo blisko, żeby ją wykryć. Gdybyśmy podkradli się pod sam gmach...

– Jeśli nie przestaną jej faszerować lekami, mogę się do niej nie przebić bez względu na odległość – wyrokuje z żalosną miną. – Pewnie jest tak otumaniona, że nie rozpoznaję jej jaźni. Ale czuję przez skórę, że ktoś ją skrzywdził, i nigdy sobie tego nie wybaczę, May... – Chowa twarz w dłoniach. – Powinienem był od razu zabrać ją do kliniki, a nie czekać, aż Siobhan wróci z pościgu...

– Z jakiego pościgu? – pytam, a nieokreślony lęk uderza mnie pięścią prosto w żołądek.

– Pognała za Mur za zbiegami ze swojego obozu. – Dodge zerka na mnie półprzytomnie oczami załzawionymi od wiatru i przekrwionymi z wyczerpania. – Nie mówiłem ci o tym? Parę dni przed zniknięciem Katie poszedłem zobaczyć się z Shiv, ale jej nie zastałem. Katie była już wtedy mocno podminowana, a ja jak ostatni dureń stwierdziłem, że nic złego się nie stanie, jeśli

jeszcze trochę zacze...

Przerywam mu niecierpliwym machnięciem ręki.

– Nie wspominałeś wcześniej o żadnych zbiegach!

– Nie sądziłem, że to ważne – przyznaje, natychmiast zarażając się moim niepokojem. – Podobno dwie replikantki ukradły jakiś sprzęt czy leki z kliniki i dały nogę z Dark, a Shiv ruszyła w ślad za nimi. Nie było jej blisko trzy tygodnie...

Alarmowa lampka w mojej głowie w jednej chwili zmienia się we wściekle czerwoną flarę, a przywoływane z pamięci informacje zlewają się w ogłuszający szum:

Moja tajemnicza amnezja.

Zakłopotanie Siobhan, gdy spytałam, skąd wiedziała, jak wygląda Quinn.

Wyretuszowane wspomnienie Ridleya.

Wiadomość origami z moim charakterem pisma.

Shiv polująca za Murem na dwie syntetyczne uciekinierki.

Upór, z jakim mnie przekonywała, że porucznik jest mordercą dwóch replikantek...

Myśli zajmują się ogniem jedna od drugiej, płomień pędzi z sykiem po lonce faktów, domysłów i skojarzeń. I wreszcie następuje wybuch, a ja z wrażenia zapominam, jak się oddycha.

– Co ci jest, dziecino? Źle się czujesz?

Nie zdążam odpowiedzieć.

Podsakujemy oboje i gwałtownie unosimy głowy, gdy krucze posążki naraz odrywają się od dachu i z opętańczym krakaniem odlatują w stronę Muru. Deszcz zmienia się w lód, rozpryskuje o ziemię na kryształowe drobiny, kałuże zamarzają ze zgrzytliwym trzaskiem, a na ścianach i oknach pobliskich budynków wykwitają srebrzyste wachlarze szronu.

– Co się dzieje?! – woła Dodge, próbując przekrzyczeć wycie wichru, który uderza w nas jak młotem i o mało nie zwała z nóg.

– Wracaj do domu, szybko! – wrzeszczę mu prosto do ucha. – Czeka tam na mnie, rozumiesz?

– Nie! Nic nie rozumiem! – Łapie mnie za rękaw, lecz jego dłoń ześlizguje się z pokrytego szadzią materiału kurtki. – May, dokąd ty...

– Uciekaj, Dodo!
– A ty?! Zwariowałaś?! Wracaj tu! May! MAAAY!!! Wracaj natych...

Dalsze krzyki Dodge'a giną wśród szaleńczego wycia wiatru.

Biegnę ulicami, walcząc z zamiecią, która miota mną na wszystkie strony jak szmacianą lalką. Docieram na posterunek wykończona, przemoczona, zmarznięta na kość. Wpadam do środka wraz z tumanami kurzu i lodowego deszczu. Huraganowe podmuchy z siłą tarana uderzają w drzwi, muszę naprzec na nie całym ciałem, żeby je zamknąć i odgrodzić się od wichury. Przez chwilę dyszę ciężko, z rękami opartymi o kolana, po czym puszczam się sprintem do jednego z gabinetów.

Z całego arsenału, jaki udało mi się zgromadzić w sejfie wmurowanym w podłogę pod wielkim biurkiem z syntetycznej dębiny, wybieram granaty EMP, glocka i kilka pudełek amunicji. Szybko ładuję zapasowe magazynki, pakuję wszystko do plecaka i wybiegam z powrotem na ulicę, prosto w zawieruchę.

Dopadam do schodów pożarowych sąsiedniego budynku, wspinam się na sam szczyt, gdzie wiatr, o dziwo, jest znacznie słabszy. Z góry mam doskonały widok na ogromną kopułę naelektryzowanego powietrza, która odcina Skwer Szaleńców od reszty Dark. To tylko kilka przecznic stąd, a domy stoją bardzo blisko siebie, znam je wszystkie jak własną kieszeń. Przeskakuję z dachu na dach, wdrapuję się po rynnach i drabinach ewakuacyjnych, kluczę wśród nadbudówek. Docieram na miejsce w parę minut. Zaczynam właśnie kombinować, co dalej, bo od pola siłowego dzieli mnie już tylko jeden rząd zabudowań...

I wtedy bariera gaśnie bez uprzedzenia, a moim oczom ukazują się zdezelowane, przerdzewiałe hovery lewitujące ponad czterdzieści metrów nad ziemią. Przez ułamek sekundy cały ten balast wisi w powietrzu, po czym spada ciężko, jakby nagle zerwał się z niewidzialnych lin. Wraki znikają za gmachami i uderzają o beton z potwornym łoskotem, który niknie w ryku nawałnicy.

Przeszklonym łącznikiem między domami przedostają się na szczyt budynku na samych obrzeżach Skweru. Przypadam do niskiego muru, który okala krawędź dachu, zrzucam plecak z ramion, robię szybki skan termowizyjny. W dole szaleje ogień, strzelający iskrami szkarłat miesza się z mroźnym kobaltem wiatru i skłębionej mgły. Wśród płomieni dostrzegam ponad dwadzieścia stygnących ciał, mnóstwo rozbitych dronów, porzuconego mecha z pancerzem rozsuniętym na plecach jak nietoperze skrzydła. Tu i ówdzie migają wielkie humanoidalne, granatowe plamy uzbrojone w rozgrzane do czerwoności działka i granatniki. Kolejna maszyna leży bezwładnie obok wejścia do podziemnej kolejki. Paru miejscowych szaleńców biega na oślep po placu, wpadając jeden na drugiego, potykając się o zwłoki, wrzeszcząc wniebogłosy. I tylko dwie sylwetki stoją w absolutnym bezruchu, obojętne na toczącą się wokół walkę.

Jeden z opętańców przystaje raptownie, po czym rzuca się w pogoń za drobną, kobiecą postacią, która wyskakuje niespodzianie z atramentowej nicości i zaczyna kuśtykać w stronę najbliższego domu. Nie ma szans uciec, mocno powłóczy zranioną nogą, biegnie zgięta w pół, gubiąc krople gorącej krwi z paskudnego rozcięcia w podbrzuszu, a tymczasem do pościgu dołącza drugi szaleniec... Naraz rozlega się huk, zaraz potem kolejny. Czaszki obu obłąkańców bryzgają wokół kawałkami kości i mózgu, bezgłowe ciała miękko osuwają się na ziemię.

Skanuję domy naprzeciwko i w jednym z okien dostrzegam człowieka uzbrojonego w karabin snajperski. Przez kilka sekund obserwuję, jak jego ranna towarzyszka z zadziwiającą sprawnością wspina się po gładkiej ścianie budynku, a potem ostrożnie wystawiam głowę ponad mur. Dezaktywuję termowizję, przybliżam obraz i włączam filtry, żeby nie oślepiła mnie blask ognia.

Zauważam go już po chwili i natychmiast rozpoznaję, mimo że zwłoki są mocno poparzone, a zamiast głowy na betonie widnieje bezkształtna, krwawa miazga. Widzę płatek ucha rozciągnięty szerokim, czarnym tunelem. Widzę kolorowe tatuaże na częściowo zwęglonych ramionach: płonące sztylety, cierniowe

pędy, łeb kobry o rozwartej paszczy, z kroplami jadu spływającymi po ostrych zębach...

Michael Wayne. Zaginiony pirokinetyk, którego zdjęcie od kilku miesięcy wisi na mojej tablicy na posterunku.

Omiotam wzrokiem cały plac. Nie kojarzę twarzy żadnego z dwóch mężczyzn, którzy tkwią jak posągi pośród ognistego tornada, ale od razu wiem, że też są psionikami. Powietrze wokół nich burzy się i paruje niczym wrząca woda, tęczęwki zasnuwa im migotliwa, diamentowa, bardzo znajoma mgła...

I wtedy kątem oka łowią ruch na dachu budynku po drugiej stronie skweru. Obracam głowę w tamtym kierunku, a to, co się dzieje w dole, momentalnie przestaje się liczyć.

Dumnie wyprostowana, z rozwianymi włosami i płonącym spojrzeniem, Siobhan wygląda jak bogini zemsty. Katie klęczy obok, szarpana silnymi torsjami. Z nosa płyną jej ciemne, gęste krople, przysłonięte srebrzystą szadzią oczy wpatrują się w przestrzeń, palce szarpia zaciekle za skołtunione loki, do krwi rozdrapują skórę na skroniach. Replikantka łapie dziewczynę za ramię, podrywa ją w górę, mówi szybko parę słów, wskazując plac. Katie próbuje się wyrwać, na oślep tłucze pięściami, po czym znów zgina się wpół i gwałtownie wymiotuje żółcią. Siobhan chwytą ją za włosy na karku, a ja chwytam za broń.

Jakby wyczuwając, że do niej mierzę, syntetyczka zasłania się ciałem telepatki, przywiera do jej pleców. Szepcze coś Katie do ucha, oczy dziewczyny uciekają w głąb czaszki, rozjarzają się bielą.

Zerkam w dół.

Pożar i zawierucha zdążyły już mocno osłabnąć. Płomienie pełgają niemrawo, tumany kurzu kłębią się przy samej ziemi. I nagle nieruchomi dotąd psionicy podrywają głowy. Ich ciałami wstrząsają drgawki, spod półprzymkniętych powiek tryska oślepiający blask. Jeden z nich lekko unosi dłoń i ogień strzela wyżej, wiatr uderza ze zdwojoną siłą. Drugi porusza ustami w bezgłośnej mantrze, a w odpowiedzi nieliczni pozostali przy życiu szaleńcy obracają się jednocześnie w stronę ogromnej sterty roztrzaskanych hoverów, która wybrzusza się i trzęsie,

jakby coś próbowało się spod niej wydostać.

Katie krzyczy rozpaczliwie, przyciska dłoń do twarzy, spomiędzy palców bucha czarna krew. Siobhan nie przestaje wydawać dziewczynie poleceń, szarpiąc ją za włosy i przyciskając jej lufę pistoletu do podbródka.

Napędzane adrenaliną myśli skwierczą i syczą w mojej głowie niczym rozprzestrzeniający się płomień.

To replikantka steruje psionikami za pośrednictwem telepatki.

Nadprzyrodzony żywioł lada moment wybuchnie na nowo.

Dziewczyna wyje jak żywcem obdzierana ze skóry, kurczowo przyciska dłoń do skroni, jakby czaszka miała jej zaraz eksplodować z hukiem. Jeszcze chwila i mentalne połączenie zmieni Katie w warzywo.

Siobhan, wciąż ukryta za jej plecami, pozostaje poza moim zasięgiem, nie mam szans na bezpieczny strzał...

Waham się tylko przez ułamek sekundy.

Pociągam za spust dwukrotnie, raz za razem. Obaj parapsychicy padają na ziemię z dziurami w czołach.

Wichura natychmiast zamiera, płomień topnieją z sykiem, rozpływają się w kłębach dymu. Zapada mrok i dzwoniąca w uszach cisza.

Spoglądam na dach naprzeciwko. Ani śladu po Siobhan i Katie. Już mam rzucać się w pogoń, gdy z dołu dobiega mnie ogłuszający, metaliczny rumor. Sonda ultradźwiękowa wyłuskuje z ciemności mecha oraz mężczyznę z karabinem snajperskim na ramieniu – syntetyka, sądząc po jego sile – którzy rozkopują górę wraków, wydobywając spod niej jeszcze jedną smoliście czarną humanoidalną maszynę.

Całym ciałem przywieram do muru, nie mogę oderwać wzroku od kombinezonu replikanta: policyjnego uniformu Guardian Angel.

Czyli jednak...

Zaciskam dłoń w pięści, po raz pierwszy nie ze strachu, lecz z czystej, kipiącej furii.

Jednak przyszedłeś po mnie, draniu.

Na placu boju pozostała jedynie ta trójka, reszta ich ekipy

musiała się ewakuować. Obserwuję z ukrycia, jak odgruzowana maszyna dźwiga się na nogi, postępuje kilka chwiejnych kroków, z trudem utrzymując równowagę. Przez kilka chwil nic się nie dzieje, policjanci stoją w ciszy, od czasu do czasu gestykulując, jakby pochłaniała ich niema rozmowa. Wreszcie oba mechy opuszczają ramiona, po czym bezgłośnie rozwijają skrzydła pancerza. W jednym siedzi chorobliwie szczupły nastolatek. W drugim...

Quinn.

Krew zaczyna się we mnie gotować, niemal nic nie widzę przez czerwoną mgłę, która momentalnie zalewa mi oczy.

– Dobrze strzelasz, Jeremy – mówi z uznaniem porucznik, wyplątując się z uprzęży.

Replikant unosi brwi.

– Sir?

– Pięknie położyłeś tych dwóch psioników.

– Myli się pan. To Proxy ich załatwił.

Chłopak, który właśnie schodzi po ażurowej nodze swojego mecha, zerka przez ramię na androida, a na jego twarzy pojawia się wyraz zaskoczenia. Nie mówi ani słowa, ale wnosząc po minach replikanta i porucznika, musiał jakoś udzielić im odpowiedzi i ta odpowiedź bynajmniej im się nie spodobała.

– Więc kto...

Nie czekam, aż syntetyk zwany Jeremym dokończy pytanie. Ciskam w dół granatem EMP, potężny impuls zmiata replikanta z nóg. Konsole otwartych mechów spluwają iskrami i jęzorami błyskawic, rozmigotane monitory gasną ze skwierczącym trzaskiem. Maszyny drepczą w miejscu i machają rękami, za wszelką cenę próbują utrzymać się w pionie. Nic z tego, sfajczona elektronika zaburzyła im zmysł równowagi, odebrała kontrolę nad zwiotczalymi ciałami. Mechy padają na kolana, ciężko przewalają się na bok, wzbijając chmury popiołu i kurzu.

Przez kilka sekund obserwuję całą scenę z mściwą satysfakcją i gniewem buzującym w trzewiach jak ładunek termitu.

A potem zarzucam plecak na ramiona, jednym susem przesadam mur otaczający krawędź dachu, ląduję z łomotem na

metalowym balkonie piętro niżej. Wpadam na klatkę schodową razem z szybą, osłaniając twarz połami kurtki. Szkło kaleczy mi grzbiet dłoni, ale nie czuję bólu. Jestem zła. Jestem wściekła i mam ochotę kogoś zabić. Tak się szczęśliwie składa, że ten ktoś sam do mnie przyszedł.

Błąd, Red. Głupi, ludzki błąd.

Nadszedł czas, by wyrównać rachunki.

Przeskakuję po kilka stopni, docieram na parter, z rozbiegu wykopuję drzwi. Przemierzam plac szybkim, zdecydowanym krokiem, przestępując nad ciałami zabitych. Mijam oszołomionego replikanta, potem chłopaka, który leży nieprzytomny, zalany krwią z szerokiego rozcięcia na skroni. Nie obchodzi mnie ani jeden, ani drugi. Nawet na moment nie odrywam oczu od Quinna. Właśnie próbuje pozbiierać się z ziemi, lecz sił wystarczy mu zaledwie na tyle, by z jękiem przeturlać się na wznak i chrapliwie łykać powietrze.

Staję nad nim okrakiem, wyciągam broń, celuję w głowę. Czekam, aż na mnie spojrzy.

Spójrz na mnie, sukinsynu!

Rozbiegany wzrok porucznika ogniskuje się powoli, a ja powoli przesuwam palec w kierunku spustu.

A kiedy Quinn wreszcie dostrzeża moją twarz, z ust wyrywa mu się westchnienie pełne niedorzecznej ulgi i nagle cała determinacja ulatuje ze mnie wraz z długo wstrzymywanym powietrzem.

Znów oboje zatapiamy się w bezdźwięku, grzęzniemy w beczasie, dryfujemy w próżni między wymiarami. Znów mam wrażenie, że Red lada moment uśmiechnie się jednym kącikiem ust, że zaraz rzuci z przekąsem: „Uwielbiam twoje wyczucie chwili, May”.

Tak, z wściekłości aż się cała trzęsę.

Tak, mam ochotę rozszarpać go na strzępy gołymi rękami za to, co nawyrabiał w Alejach. Za to, że przylazł za mną aż tutaj, bo przecież zrobił to z jednego z dwóch powodów: albo jest mordercą, albo myśli, że ja nim jestem, i sama nie wiem, która możliwość doprowadza mnie do większego szału.

Ale nie, nie potrafię go zabić. Mimo wszystko.

Adrenalina wyparowuje mi z żył, furia stygnie prędko jak rozżarzona stal wbita w tafłę lodu, przywracając trzeźwość myślenia i przywołując obrazy, które na chwilę rozplynęły się całkiem w czerwonej mgle.

Bo przecież nie wierzę już wcale, że to on dezaktywował te replikantki i wykończył Bennett. Nie wierzę też, że byłby gotów dezaktywować mnie. Jest świetnym strzelcem, a jednak w Alejach spudłował, i to dwukrotnie. Skoro stał się psionikiem, dlaczego teraz nie użył swoich mocy w walce? Dlaczego chował się w mechu? Czemu jeszcze nie przywalił mi jednym ze swoich piorunów?

Nie mogę wykluczyć, że gnany żądzą zemsty porucznik wykorzystał śmierć syntetyczek i psychoterapeutki, żeby zwalić na mnie winę i załatwić sobie nakaz ścigania, bez którego nie mógłby legalnie przekroczyć Muru. Lecz gdyby sam był zabójcą o paranormalnych talentach, nie musiałby wcale organizować oficjalnej misji, tylko przeprowadziłby się sam...

Po tym, co zrobiła Siobhan, nie ufam żadnemu jej słowu, nie ufam wizjom Ridleya. Z oczywistych powodów nie ufam Quinnowi, a po wszystkich błędach, jakie popełniłam, nie ufam nawet sobie.

I tylko jedno wiem na pewno: jeśli teraz pociągnę za spust, być może nigdy nie dowiem się prawdy.

Rozluźniam uścisk na rękojeści, nieznacznie opuszczam glocka.

Ale porucznik nie zamierza bynajmniej niczego mi ułatwiać.

– Na mocy Aktu o bytach syntetycznych – szepcze i krzywiąc się z wysiłku, zaczyna niezdarnie rozpinąć kaburę na biodrze – oraz prawa danego mi przez Zjednoczony Rząd Wspólnoty... i władze New Horizon... – Broń wyslizguje mu się z palców, upada na chodnik. Posyłam ją stopą daleko w mrok i dochodzę do wniosku, że jednak nie będę zbyt miła.

– Ty sobie chyba jaja robisz, Red – syczę przez zaciśnięte zęby.

Nie, nie jestem w stanie go zabić.

Ale z dziką przyjemnością spuszczę mu łomot. Zapracował sobie na to z nawiązką.

Kopię go po żebrach, wkładając w to całe tłumione od miesięcy rozgoryczenie. Wzrok mu mętnieje i mięknie, z gardła wydobywa się przeciągły skrzek. Chwytam Quinna za uniform na piersi, jednym szarpnięciem podrywam z ziemi, zmuszając, by usiadł. Przyciskam mu lufę do policzka, mocno, brutalnie i... jakoś wbrew sobie. Chcę, żeby przestraszył się tego, do czego i tak nie byłabym zdolna, ale w pociemniałych z bólu oczach dostrzegam tylko potworne zmęczenie i coś na kształt ukojenia, jakbym właśnie wybawiła go od przykrego obowiązku.

– Dobranoc, poruczniku Quinn – warczę wściekle, zadowolona i rozczarowana zarazem. Uderzam go glockiem w twarz, aż kość jarzmowa pęka z trzaskiem, a z rozerwanej skóry tryska krew.

Porucznik traci świadomość, zwala się na ziemię u moich stóp, a ja przez parę ładnych minut stoję nad nim dziwnie zagubiona, zachodząc w głowę, dlaczego nie czuję się ani trochę lepiej.

Rozdział dwudziesty

Dodge musiał już z daleka słyszeć moje kroki, bo pojawia się w drzwiach garażu, zanim docieram do furtki. Dostrzegłszy bezwładną postać, którą niosę na ramieniu, robi krok w naszą stronę tylko po to, by zaraz cofnąć się gwałtownie na widok policyjnego uniformu i krwi.

– Chryste... Kto to jest?!

– Quinn – burczę pod nosem, mijając Dodge'a w progu.

Mało delikatnie zrzucam nieprzytomnego porucznika na podłogę między zagraconym stołem a rozpalonym piecykiem. Przez parę sekund pochylam się nad nim z zaciętą miną, rozdarta między złością a poczuciem winy. Wreszcie daję za wygraną i klękam obok. Krwiak pod okiem jest pierwszorzędny, w ranie widać odłamki kości, może nawet zostanie mu blizna. Staram się napawać tą myślą, ale z marnym skutkiem. Wymacuję przycisk z tyłu jego uniformu, na wysokości karku. Ze stojkowego kołnierza natychmiast wysuwa się moduł medyczny, zakrywając głowę Quinna całunem z węglowych nanorurek.

Mechanik gapi się to na mnie, to na Reda i niemal słyszę wrzawę myśli, które kłębią mu się pod czaszką, tak chaotycznych, że za nic nie potrafi ich zwerbalizować:

– Skąd on się... Jak wyście... Coś ty mu...

– Dostał tylko po głbie, wyliże się – przerywam, zanim mechanik na dobre się zapłacze. – Angelina zaaplikowała mu tyle morfiny, że nieprędko się obudzi.

Bez ceregieli porywam ze stołu kubek Dodge'a, wypijam duszkiem chłodną już kawę, po czym od razu zabieram się do pochłaniania prawie nietkniętej porcji gulaszu z puszki. Jedzenie wygląda nieapetycznie, jest całkiem zimne i pozbawione smaku, lecz czuję tak dokuczliwy, ssący głód, że w ogóle mi to nie przeszkadza.

– Zamierzasz mi wyjaśnić, dlaczego...

– Później. – Przełykam ostatni kęs, z brzękiem wrzucam łyżkę

do miski. – Teraz mamy ważniejszy problem. – Ściągam pilotkę Dodge’ a z oparcia krzesła i podaję mu ją bez słowa.

– Ważniejszy niż półżywy policjant z New Horizon w moim garażu? – Wciąż jest lekko oszołomiony, ale posłusznie wkłada kurtkę. Zerka na mnie z napięciem i ostrożną nadzieją. – Błagam, powiedz, że...

– Tak, Dodo. Chyba wiem, gdzie jest Katie.

Zakradamy się do kliniki Siobhan od strony lądowiska dla ambulansów powietrznych, przemykając między przeżartymi rdzą wrakami. W budynku panuje niemal zupełna cisza, od czasu do czasu zakłócana bełkotliwymi majaczeniami pacjentów i miarowym cykaniem aparatury. Za większością okien czerni się mrok, tylko z niektórych bije słaby, zielonkawy poblask monitorów.

– Od zniknięcia Katie przychodziłem tu wiele razy – mruczy szeptycznie Dodge, z trudem przeciskając się pod skrzydłem przechylonego na bok hovera. – Gdyby Shiv trzymała ją w klinice...

– Sam niedawno twierdziłeś, że kiedy jest odurzona lekami, nie umiesz rozpoznać jej umysłu – wpadam mu w słowo, po czym gestem daję znać, żeby się zatrzymał, i pośpiesznie skanuję teren. Droga wolna. Ruszamy dalej. – Siobhan pewnie znowu ją czymś naszprycowała, ale Katie niedawno była w miarę świadoma i używała mocy – dodaję, gdy wślizgujemy się między wielkie klimatyzatory pod samą ścianą budynku. – Chyba dasz radę wykryć... bo ja wiem... jej sygnaturę energetyczną czy coś w tym stylu?

– Aurę – poprawia machinalnie.

– Właśnie. Aurę.

Dodge bez słowa siada na ziemi, przylega plecami do muru. Ledwo zamyka oczy, zaraz jak oparzony zrywa się na równe nogi i o mało nie wpada na maskę aerokaretki.

– Zabiję tę sukę! – krzyczy szeptem, z wrazenia dławiąc się własnym oddechem. – Czy ty wiesz... co ona... co ona zrobiła

Katie?! – Rozwścieczony zaczyna łązić w kółko i wymachiwać rękami. – Co ja właśnie... zobaczyłem w głowie mojej...

– Ciszej! – syczę. Szarpię go za kurtkę, zmuszam, by przykucnął obok i przestał hałasować. – Katie jest przytomna?

– Nie wiem... Chyba nie całkiem. – Dodge posłusznie siada z powrotem, ale nadal jest cały roztrzęsiony. – Jezu... – Przejeżdża dłonią po pobladłej twarzy. – Zabiję...

– To potem. Teraz się skup i spróbuj obudzić córkę.

Rzuca mi spojrzenie pełne lęku i gorącej nienawiści, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Kilka razy głęboko nabiera powietrza, dla dodania sobie otuchy bierze mnie za rękę, wreszcie znów opuszcza powieki. Po paru chwilach na czoło występują mu wielkie krople potu i sinoniebieskie żyły, całe jego ciało zaczyna podrygiwać konwulsyjnie jak kopane prądem. Przywykłam do podobnego widoku, lecz tym razem trans trwa tak długo, że zaczynam się niepokoić. Dodge z każdą sekundą coraz ciężiej oddycha, coraz mocniej ściska mi dłoń, serce szaleńczo tłucze mu się w piersi, co rusz gubiąc rytm. Już mam chwycić go za ramiona i potrząsnąć, przestraszona, że zaraz dostanie zawału, gdy naraz gdzieś w głębi budynku rozlega się metaliczny rumor, brzęk tłuczonego szkła, krótkie, zduszone okrzyki.

Dodge łapie mnie kurczowo za poły kurtki, wytrzeszcza przerażone oczy, po czym schyla się gwałtownie w odruchu wymiotnym, wstrząsany silnymi, suchymi torsjami.

Tymczasem dobiegający z kliniki wrzask przechodzi nagle w histeryczny chichot, a ten ginie wśród odgłosów gwałtownej szarpaniny. Ogłuszający łomot przewracanych sprzętów niesie się echem po korytarzach, a potem...

Zapada cisza.

Dodge spluwa w bok, ociera rękawem czerwoną z wysiłku twarz.

– W porządku? – pytam, pomagając mu się podnieść. – Co to by...

Ściana twardego jak stal powietrza uderza na nas z siłą huraganu, odrzuca od budynku na ładnych parę metrów,

zasypując odłamkami zgruchotanych okien. Przywalam plecami w drzwi ambulansu, bez tchu osuwam się na ziemię. Przed oczami wykwitają mi ciemne plamy, widzę same rozmyte kontury, jakbym oglądała świat zza brudnej, zaparowanej szyby. Przeraził mnie dzwoniący w uszach przeszywa mózg rozpaloną szpilą. Czaszka trzeszczy i chrupie głośno niczym pękające szkło. Gdzieś z boku majaczy niewyraźny kształt, który chyba jest Dodge'em. Tak, to on, słyszę, jak sapie i pojękuje z bólu.

Mija cała wieczność, zanim udaje mi się nieco ustabilizować obraz, zmusić mięśnie do w miarę skoordynowanego ruchu. Unoszę się na łokciach tylko po to, by natychmiast upaść z powrotem. Mam wrażenie, że wszystko we mnie połamano na kawałki, że gdyby nie skóra, rozsypałabym się po betonie jak strzaskana rzeźba z lodu. Dopiero po paru chwilach znajduję dość sił, żeby przewrócić się na brzuch. Na czworakach podpełzam do Dodge'a i nie zważając na protesty, ostrożnie obmacuję mu bark, na którym kurczowo zaciska dłoń.

– N-ne jessss... wybyty... – mamroczę niewyraźnie, po czym ciężko siadam obok. Czuję, że nadal coś mi się w środku kruszy i rwie, kości zdają się miękkie jak roztopiony воск. Nagła senność wypełnia umysł płynną watą. Od zawrotów głowy dostaję mdłości, kwaśno-gorzka zawartość żołądka co rusz podchodzi do ściśniętego gardła. – Mmm-moszszz... – Skołowaciały język plącze się w ustach i za nic nie chce uformować słów. – Możesz. Wstać? – artykułuję z przesadną starannością, jak pijany udający trzeźwego.

– Chyba tak...

Dodge zbiera się z ziemi pomału, niezdarnie, stękając, posykując, klnąc plugawie i z pasją. Trwa to tak długo, że zdążam już odpłynąć w aksamitną półświadomość, wypełnioną białym szumem i zapachem burzy. Wyrwana z nicości silnym szarpnięciem, z trudem unoszę ołowiane powieki. Ze zdziwieniem stwierdzam, że stoję chwiejnie na miękkich nogach, a Dodge obejmuje mnie w talii.

– Co to było? – pyta chrapliwym szeptem.

– Ty mi powiedz.

Spoglądamy w stronę kliniki zatopionej w ciemnościach i niepokojącej ciszy. Kiedy w końcu udaje mi się zogniskować wzrok, aktywuję termowizję. Przez granatowo-błękitne ściany przebijają żółtawe zarysy aparatury oraz ogniste sylwetki leżących bez ruchu postaci. Pełna złych przeczuć przybliżam obraz i wzdycham z ulgą, widząc, jak ich klatki piersiowe unoszą się i opadają nieznacznie, w rytm sennych oddechów.

– Wygląda na to, że wszyscy są nieprzytomni.

Wchodzimy do środka przez roztrzaskane drzwi. Wokół panuje gęsty mrok, znikąd nie dochodzi najmniejszy nawet szmer. Z początku stąpamy powoli, spięci i czujni, starając się nie robić hałasu, ale w pewnym momencie Dodge zapomina o ostrożności, gwałtownie przyśpiesza kroku.

– Czuję ją – szepcze z przejęciem.

Po chwili pędzimy już głównym holem, odbijamy w jeden z bocznych korytarzy. Dodge biegnie na oślep i wyznacza kierunek, ja manewruję wśród przeszkód, to ciągnąc go za ramię, to spychając w bok. Lawirujemy między ciałami ludzi i replikantów, omijamy poprzewracane wózki inwalidzkie, leżanki, parawany, stojaki na kroplówki, szafki na leki... Klinika wygląda tak, jakby przeszło przez nią tornado, które wymiotło sprzęty z sal, po czym z bezbłędną celnością ciskało nimi w pacjentów i syntetyczny personel.

Skrećamy w stronę schodów, zbiegamy kilka poziomów niżej. Gnamy podziemnym korytarzem, aż docieramy do pancernych drzwi, zabezpieczonych z zewnątrz stalowym rygłem i wielką szyfrową kłódką. Bez specjalnego zdziwienia stwierdzam, że nie jestem w stanie przeniknąć ich wzrokiem ani sonarem.

– Dźwiękoszczelny, termoizolowany, ekranowany schron w podziemiach starego szpitala – mruczę ponuro. – Idealne miejsce do przetrzymywania psioników, nie uważasz?

Dodge w odpowiedzi tylko zgrzyta zębami. Naraz prostuje się jak struna, oczy uciekają mu w głąb czaszki. Po chwili głośno nabiera powietrza i dla złapania równowagi opiera dłoń o ścianę.

– Wiem, jak to otworzyć – stwierdza z niejakim zdziwieniem. – Katie mi pokazała...

Zataczając się lekko, podchodzi do drzwi, drżącymi palcami wprowadza kombinację. Kłódka z hukiem łąduje na podłodze, zawiasy protestują jęklonie, gdy Dodge szarpie za ciężkie, stalowe skrzydło i otwiera je na pełną szerokość. Wpadamy do środka.

Bunkier jest przestronny, grube betonowe filary porośnięte bioluminescencyjną pleśnią podtrzymują nisko sklepiony sufit. Pod jednym z nich siedzi Katie, a obok niej drobna, rudowłosa kobieta, którą w mig rozpoznaję, mimo jej podkrążonych oczu i zapadniętych policzków.

Emily Dormer, zaginiona telekinetyczka.

Dodge przypada do córki, bierze ją w objęcia, szepcze coś długo łamiącym się głosem. Katie w pierwszym odruchu szarpie się w tył i próbuje go odtrącić. Przez ładnych parę sekund patrzy na ojca jak na zupełnie obcego człowieka i nagle zarzuca mu ręce na szyję, wybuchając strasznym, spazmatycznym szlochem.

Przyglądam im się przez chwilę z mimowolnym uśmiechem, po czym ruszam w głąb bunkra. Przebiegam wzrokiem od twarzy do twarzy i liczę: trzech mężczyzn, pięć kobiet, siedmiu nastoletnich chłopców, sześć dziewcząt. Większość wygląda znajomo, ich fotografie wciąż wiszą na mojej tablicy w pokoju odpraw.

Wyrwani z farmakologicznego letargu psionicy leżą na materacach zawinięci ciasno w bure koce, siedzą pod ścianami, kołysząc się katatonicznie w przód i w tył lub w skupieniu badając palcami nierówności betonowej podłogi, łążą wokół filarów, chlipią, chichoczą, rozmawiają z powietrzem... Tylko parę osób zauważa moją obecność i odprowadza mnie obojętnymi, zięjącymi pustką oczami, jakby w ich ciałach nie było już ludzi, jakby zostały same pokurczone wylinki.

Wracam do Dodge'a i Katie. Dziewczyna wyplątuje się z objęć ojca, szczyrzy się od ucha do ucha. Nie mogę nie odwzajemnić tego uśmiechu, kiedy widzę, jak w jej niebieskich tęczęwkach na powrót zapalają się figlarne ogniki.

– Ty to zrobiłaś? – zagaduję z udawaną surowością, biorąc się pod boki i ruchem podbródka wskazując sufit.

Potrząsa głową. Wymownie zerka na Emily i na żylatego

mężczyznę o jajowatej, łysej czaszce, który siedzi po turecku parę kroków dalej i sprawia wrażenie, jakby medytował.

– Katie obudziła ich wszystkich, tak jak ja obudziłem ją – oznajmia z dumą Dodge, po czym zaraz poważnieje. – Twierdzi, że Greg... czyli tamten facet – macha ręką w stronę łysogo – wysmażył Siobhan.

– Gdzie ona jest? – pytam sucho.

Mechanik zerka na córkę, a ta w odpowiedzi krzywi usta w nieładnym grymasie.

– W magazynie na końcu korytarza.

Siobhan leży wśród rozbitych fiolek z lekami, tępo zapatrzona w sufit. Ma wybałuszone oczy, wyszczerzone zęby, gęstą, różowawą pianę na ustach. Czerwone włosy rozsypane po podłodze przywodzą na myśl kałużę krwi. Zesztywniałe palce wpijają się w chropowaty beton, paznokcie są połamane, skóra na opuszkach zdarta do żywego mięsa. Z pewnością nie spotkała jej szybka ani tym bardziej bezbolesna śmierć i skłamałabym, gdybym nie przyznała, że ta świadomość nieco poprawia mi humor.

Nigdy nie sądziłam, że mogę mieć w sobie tyle okrucieństwa.

Odrywam wzrok od dziko wykrzywionej twarzy, rozglądam się po magazynie. Moją uwagę przykuwają skrzynie ustawione w głębi pod ścianą, wciąż zapieczętowane plombami ze znakiem Czerwonego Krzyża. Podchodzę do jednej z nich, zgarniając po drodze oparty o ścianę łom, wbijam go między deski, podważam wieko. Drewno skrzypi płaczkliwie, wygina się pod naporem, wreszcie gwoździe i zabezpieczenia puszczają, pokrywa z impetem uderza o ścianę, spada między paczki. Zaglądam do środka.

Pręt wyslizguje mi się z palców i z metalicznym brzękiem ląduje na podłodze. Przysiadam ciężko na kontenerze obok.

– Cholera jasna, jaka ja byłam ślepa...

Zaniepokojony moją reakcją Dodge zbliża się niepewnym krokiem. Zerka do skrzyni. Przez kilka sekund nie może

wykrztusić słowa.

– O kurwa mać – kwituje wreszcie zduszonym głosem. Sięga do wnętrza, wyciąga kilka foliowych torebek pełnych ampułek z płynem koloru indygo.

– No to już znamy odpowiedź na pytanie, skąd Equilibrium bierze reinforsynę. – Przysmykam powieki, czując, jak ogarnia mnie potworne zmęczenie. – Przyjeżdża do nich razem z resztą pomocy humanitarnej... – Otwieram oczy i prostuję się, uderzona nagłą myślą. – A teraz zastanówmy się wspólne, kto ją tu dostarcza, w jakim celu i co takiego Twitch może mieć do zaoferowania w zamian. Czy raczej: kogo. Kogo Volver rzekomo przenosi do bunkrów na pustkowiu w tym samym czasie, w którym przybywają towary zza Muru?

Dodge obraca się na pięcie i spogląda na mnie ze zgrozą.

– Rany boskie... – szepcze niemal bezgłośnie, biegnąc wzrokiem od fiolek w swojej dłoni do stojącej w progu Katie, która robi taką minę, jakby chciała skopać ciało replikantki albo przynajmniej na nie napluć. – Chcesz powiedzieć, że Equilibrium... że oni...

– Nie inaczej, Dodo. – Ponuro kiwam głową. – Wszystko wskazuje na to, że handlują psionikami z kimś z New Horizon. Z kimś, kto po cichu produkuje ogromne ilości neurotransmitera, ma łatwy dostęp do konwojów Czerwonego Krzyża i potrafi tak zorganizować kolejne transporty, by nielegalne towary oraz przemycani ludzie bez problemu przeszli odprawę celną.

Dodge milczy długo, próbując jakoś przetrwać to, co właśnie usłyszał.

– Mafia? – strzela w końcu. – Tajne służby wojskowe?

– Jedno w zasadzie nie wyklucza drugiego – stwierdzam po krótkim zastanowieniu. – Pomyśl tylko: podczas Buntu armia nie wkracza od razu, tylko czeka na stosowny moment, aż zamieszki rozprzestrzenią się na całe miasto i padnie dość trupów, aby wygnanie rebeliantów, budowa Muru oraz wprowadzenie systemu kontroli obywateli były w pełni uzasadnione. A potem przysłała tu zinfiltrowanych członków Equilibrium, którzy mają proste zadanie: hodować parapsychików, zalewać reinforsyną czarny rynek w New Horizon, destabilizować sytuację w stolicy.

W rezultacie wojsko wykorzystuje wygnańców i reinfeksiistów z biednych dzielnic jako szczury laboratoryjne, prowadząc przez nikogo nienadzorowane, szeroko zakrojone badania nad zdelegalizowanym neurochemem po obu stronach Muru i zyskując cennych paranormali. A jednocześnie dzięki przemytnikom, niewyjaśnionym awariom zabezpieczeń na granicy oraz tajemniczym kradzieżom dronów Rosh'a może łatwo podtrzymywać poczucie zagrożenia ze strony wrogo nastawionych banitów terrorystów, co z kolei daje doskonały pretekst do ciągłego rozbudowywania Riot Shield...

Dodge opada na skrzynię naprzeciwko, jakby przygnieciony ciężarem roztoczonej przeze mnie wizji.

- Tymczasem Twitch przejmuje kontrolę nad Dark - podchwytuje grobowym tonem. - Rozprowadza reinfeksiistę, czeka, aż pojawią się pierwsi uzdolnieni, po czym zaczyna ich wyłapywać, zasłaniając się bezpieczeństwem reszty rebeliantów. Wie, że prędzej czy później kolejne zaginięcia sprawią, że ludzie zaczną się bać i unikać Equilibrium, potrzebuje więc współnika. Kogoś, u kogo psionicy będą szukali pomocy...

- Przychodzi ci do głowy łatwiejszy sposób na pozyskiwanie nowych obiektów do eksperymentów niż prowadzenie kliniki uzależnień? - podsuwam.

Katie wbija w ojca wymowny wzrok.

- Zamiast pomagać reinfeksiistom wyjść z nałogu, Siobhan dalej szprycowała ich narkotykiem - odzywa się cicho Dodge, wypowiadając na głos myśli dziewczyny i potwierdzając moje własne podejrzenia. - Tych, u których pojawiały się nadprzyrodzone umiejętności, przekazywała Twitchowi, a on wymieniał ich na reinfeksiistę i resztę zaopatrzenia. Pozostałych dla niepoznaki leczyła z nałogu i puszczała wolno.

- Moje pożałowania godne śledztwo musiało ją przy tym niezwykle bawić - stwierdzam samokrytycznie. - Bardzo chętnie udzielała mi szczegółowych informacji na temat swoich zaginionych pacjentów, jakby mnie testowała, jakby liczyła na to, że ją zdemaskuję... - Zażenowana chowam twarz w dłoniach. - Powinnam była już dawno się zorientować, co jest grane,

przecież porywała ludzi tuż pod moim nosem! Co ze mnie za szeryf, do diabła?!

Dodge taktownie powstrzymuje się od komentarza. Odczekuje stosowną chwilę, po czym pyta:

– A co z Katie i resztą przetrzymywanych tu psioników? Dlaczego nie oddała ich w ręce Equilibrium? – Wyczekująco spogląda na córkę, ale ona tylko wzrusza ramionami na znak, że w żadnym z umysłów, których zdążyła dotknąć przed atakiem Emily i Grega, nie natrafiła na nic, co mogłoby rozwiązać te wątpliwości.

– Siobhan bez przerwy mówiła o zemście – myślę na głos, masując palcami skronie. – Idę o zakład, że kiedy się przekonała, że nie będzie żadnej Nowej Rewolucji, bo Twitchowi wcale się nie śpieszy, by ruszyć na New Horizon z armią paranormali, postanowiła stworzyć sobie własną. Trzeba będzie przesłuchać wszystkich psioników, pacjentów i syntetyków, jak już dojdą do siebie, a w międzyczasie sprawdzić zawartość czarnej skrzynki Shiv, może coś się na niej zachowało... No i przeświecić umysł Ridleya, bo głowę dam, że nie jest wcale żadnym jasnowidzem... – Zrywam się z miejsca. – Mamy cholernie mało czasu, zaraz ktoś doniesie Equilibrium, co tutaj zaszło, i zrobi się gorąco...

Katie posyła nam jeden ze swoich chytrych uśmiechów i mruga łobuzersko.

– Mówi, że Emily i Greg zadbają o to, żeby nie dostał się tu nikt niepożądany – tłumaczy Dodge, a w jego głosie znów pobrzmiwa nuta ojcowskiej dumy. – A Phil, jeden z telepatów, już patroluje okolicę oczami twoich kruków.

Zerkam na dziewczynę z uznaniem.

– No to do dzieła.

Parę minut później wszyscy troje pochylamy się nad stołem w symulatorni VR. Na obszernym blacie leży ciało Siobhan, nieprzytomny Ridley, zestaw narzędzi chirurgicznych, strzykawki, leki znieczulające, gaza opatrunkowa, środki do dezynfekcji, butelka soli fizjologicznej, paczka papierowych

ręczników i pudełko lateksowych rękawiczek. Dodge, który w zbryzganym czerwienią fartuchu przywodzi na myśl raczej rzeźnika niż lekarza, kończy właśnie podpinając neurozłaczne replikantki do holoprojektora, podczas gdy Katie robi, co może, by ocucić replikanta.

– Czytanie z nieświadomego umysłu jest piekielnie trudne – wyjaśnia Dodge, ubiegając moje pytanie. – A już zwłaszcza w przypadku syntetyków. Ja w ogóle nie potrafię ich przejrzeć, a Katie nie ma już na to dość sił. Jeśli Ridley się nie ocknie i wszystkiego nie wyśpiewa, jego też z przyjemnością podłączę do projektora – odgraża się z zawziętą miną, po czym wraca do majstrowania przy sprzęcie.

Telepatka otwiera oczy, zerka na mnie zawiedziona i bezradnie rozkłada ręce. A potem nogi uginają się pod nią jak złamane zapałki, krew tryska jej na usta i podbródek. Łapię dziewczynę tuż nad podłogą, delikatnie sadzam na krześle. Pochłonięty pracą Dodge obraca się dopiero, gdy zabieram mu sprzed nosa czysty tampon z gazy. Na widok córki momentalnie robi się biały jak kreda, narzędzia wypadają mu ze zmartwiałych palców.

– Jest wycieńczona. – Odchylam dziewczynie głowę do tyłu. Opatrunek, który przytknęłam jej do nosa, natychmiast nasiąka ciemną czerwienią, dokładam więc kolejny. – Powinna się położyć i przespać kilka godzin. Zaraz znajdę dla niej jakieś łóżko.

Katie, o dziwo, nie próbuje protestować, ale z właściwym sobie dziecięcym uporem nie pozwala mi sobie pomóc. Przyciskając gazę do twarzy, wstaje o własnych siłach, chwiejnym krokiem wychodzi na korytarz. Podążam za nią do gabinetu zabiegowego, patrzę, jak z niemałym trudem wdrapuje się na fotel, po czym zdejmuję fartuch lekarski z wieszaka na drzwiach, okrywam ją troskliwie. Dziewczyna dziękuje mi bladym uśmiechem. Rozglądam się po pomieszczeniu, na moment zatrzymuję wzrok na zlewie za parawanem. Klinika ma własny system sanitarny, lecz instalacja nie była odpowiednio konserwowana już od blisko trzech lat i z kranów leci teraz mętna ciecz, której w żadnym wypadku nie powinno się brać do ust. Na szczęście w szafce na

leki znajduję nieotwartą butelkę wody mineralnej. Katie posłusznie wypija parę łyków i niemal natychmiast odpływa w twardy sen.

Wracam do symulatorni.

– Co z nią? – pyta z niepokojem Dodge.

– Zasnęła. Po wszystkim, co dzisiaj przeszła, aż dziw, że wytrzymała tak długo.

Mechanik gromi Siobhan nienawistnym spojrzeniem, odkłada szczypcę na stół i zdejmuje rękawiczki.

– No dobra, to zobaczymy, co siedzi w tej popieprzonej głowie. – Sięga do konsoli, uruchamia projektor, wciska parę przycisków.

Nad stołem wykwita trójwymiarowe logo producenta czarnych skrzynek. Przez pół minuty wiruje leniwie w powietrzu tuż nad głową Siobhan, po czym holograficzny obraz rozmywa się w świetlisty śnieg zakłóceń. Z głośników płyną same trzaski i szumy, tylko od czasu do czasu przerywane czymś niezrozumiałym mamrotaniem. Dodge klnie pod nosem, przebiega palcami po klawiaturze. Przewija nagranie w tę i z powrotem, starając się namierzyć choćby strzęp wspomnienia, i już ma dać za wygraną, gdy naraz pośród śnieżycy majaczy moja własna sylwetka.

Leżę dokładnie nad materialnym ciałem Siobhan, ułożona w tej samej pozycji na boku, na hologramowej reprodukcji tego samego stołu, w ten sam sposób podpięta do projektora. Widmowe dłonie syntetyczki błędzą po przyciskach konsoli, a w tle migają niewyraźne kadry oglądanych przez nią retrospekcji. Obraz faluje i skacze coraz silniej, po czym rozplywa się w diamentowy pył i znów zaczyna śnieżyć.

Dodge chrząka, spogląda na mnie z zaniepokojoną miną.

– Tego się właśnie obawiałam – cedzę zimno po kilku chwilach ciężkiego milczenia. – Siobhan nieraz próbowała zajrzeć mi do głowy i wreszcie znalazła świetną okazję. Przejrzała moje wspomnienia, kiedy trafiłam do niej po postrzale... – Zaczynam nerwowo spacerować wokół stołu. – Idę o zakład, że to właśnie stąd wzięła się ta moja amnezja: Shiv musiała celowo wykasować mi zapisy pamięciowe, żeby zatrzeć po sobie ślady włamania.

Albo może próbowała odczytać informacje zaszyfrowane sygnaturą Quinna i w rezultacie sfajczyło mi parę układów w mózgu...

- I to w ten sposób dowiedziała się o Katie? - zgaduje Dodge głosem drżącym od tłumionego gniewu.

- Niewykluczone... - Zatrzymuję się raptownie, obracam na pięcie. - Chociaż z drugiej strony wtedy zapewne pogrzebałyby głębiej i dowiedziałyby się także o tobie. I raczej nie czekałyby całych trzech miesięcy, żeby ją uprowadzić.

Przez jakiś czas wpatruję się w śnieżący hologram, a potem przenoszę wzrok na Ridleya.

- Podejrzewam raczej, że prześwietlając mój umysł, Shiv szukała wspomnień o Quinnie. Mam powody, aby przypuszczać, że to ona go tutaj sprowadziła...

- Jak? - Dodge unosi brwi. - I przede wszystkim: po co?

- Żeby go zabić - oznajmiam dobitnie. - Czy raczej, żebym to ja go zabiła. Odkąd pamiętam, Shiv próbowała mnie chronić, na swój pokręcony sposób przez cały czas się mną opiekowała. Od samego początku uważała porucznika za zagrożenie, a mnie za skończoną kretynkę, która z uporem pcha się w paszczę lwa... I poniekąd miała trochę racji.

- Poniekąd - przytakuje Dodge bezbarwnym głosem i choć na samą wzmiankę o Quinnie cały aż się zjeżył, wspaniałomyślnie nie drąży tematu. Zamiast tego wraca do przeglądania zapisu z czarnej skrzynki.

- Po tym, co wydarzyło się w Alejach - podejmuję w zamyśleniu, znów krążąc w kółko po symulatorni - miała nadzieję, że przejrzę na oczy i odpłacę porucznikowi za to, co mi zrobił, tak jak ona odpłaciła swojemu partnerowi. A kiedy zorientowała się, że wcale nie zamierzam polować na niego za Murem, wzięła sprawy w swoje ręce: wykorzystała moje oraz własne wspomnienia do spreparowania wizji Ridleya i w ten sposób chciała mnie przekonać, że Quinn zamordował już dwie replikantki i wkrótce będzie następna...

- Zaraz, chwila. - Dodge unosi głowę znad konsoli. - Jak to: wykorzystała twoje i własne wspomnienia? A niby które z jej

wspomnień mogły pomóc w sfingowaniu tych wizji?

– Te o zabójstwach.

– Co? Ale...

– Sądzę, że obie syntetyczki zginęły na rozkaz Siobhan – wpadam mu w słowo. – Przyszło mi to do głowy, kiedy wspomniałeś, że ruszyła za Mur w pogoń za uciekinierkami. Pewnie zabrała ze sobą któregoś ze swych psioników i kazała mu je załatwić.

– Meredith Bennett też? – Dodge krzywi się sceptycznie.

– A dlaczego nie? Shiv mogła z powodzeniem zaaranżować wszystkie trzy zabójstwa, miała dość czasu, sam mówiłeś, że spędziła w New Horizon ponad dwa tygodnie. Tym samym upiekła trzy pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, odegrała się na uciekinierkach. Po drugie, aby ściągnąć tu Quinna, podłożyła na miejscach zbrodni dowody sugerujące, że te morderstwa to moja robota... Podrobienie charakteru pisma to przecież dla syntetyka żadne wyzwanie, a wszystko, czego potrzebowała, żeby mnie wrobić, znalazła w moich zapisach pamięciowych. I wreszcie, po trzecie, sfałszowanymi wizjami Ridleya próbowała z kolei wmówić mi, że sprawcą jest porucznik. Słowem, napuściła nas na siebie nawzajem, a kiedy spostrzegła, że się waham, nie do końca wierzę w winę Reda i wbrew zapewnieniom wcale nie jestem gotowa go zabić, postanowiła załatwić go sama.

Dodge milczy długo, szarpiąc się za brodę.

– Zdajesz sobie sprawę, że trochę to wszystko naciągane? – pyta ostrożnie. – Skąd Siobhan mogłaby wiedzieć, że właśnie Quinn będzie prowadził to śledztwo?

– Nie musiał przecież dostać tej sprawy, żeby prędzej czy później się o niej dowiedzieć, prawda?

Mechanik przytakuje, ale bynajmniej nie wygląda na przekonanego. Spogląda na drgający konwulsyjnie hologram, jakby miał nadzieję, że lada moment wyświetli obrazy, które udzielią nam wszystkich odpowiedzi.

– Nawet jeśli było tak, jak mówisz – odzywa się po dobrej minucie ciszy – nie zmienia to faktu, że porucznik z pewnością

nie przybył tu, żeby błagać cię o wybaczenie. Widzę, jak bardzo próbujesz przekonać samą siebie, że Ridley został podstawiony przez Siobhan, a jego wizje to jedno wielkie oszustwo, ale jeśli się mylisz... Ten człowiek do ciebie strzelał, May.

Łuska po naboju Reda zaczyna mi nagle ciążyć na szyi, a blizna pulsować tępym bólem.

– Zaraz powinien się obudzić – mruczę, wyświetlając sobie zegar na rogowce oka, a Dodge w mig pojmuję, że bynajmniej nie mam na myśli Ridleya. – Muszę do niego wracać.

Mechanik przez jakiś czas taksuje mnie z nieodgadzionym wyrazem twarzy, po czym pochyla się nad konsolą.

– No jasne, że musisz – burczy pod nosem. – Ale może chociaż weź ze sobą któregoś z psioników? Wiesz, na wypadek, gdyby...

– Emily, Greg i Phil muszą zostać tutaj, potrzebujecie ich dla ochrony – przerywam mu szybko. – A reszta... sam widziałeś, w jakim są stanie.

– Mogłabyś...

– Co? – pytam znacznie ostrzej, niż zamierzałam. – Naćpać któregoś lekami i zawlec do Quinna siłą? Chyba pomyliłeś mnie ze Siobhan.

Dodge unosi ręce w obronnym geście.

– Miałem raczej na myśli, żebyś przyprowadziła Quinna tutaj.

– Nie, Dodo. To sprawa osobista, chcę załatwić ją sama. Wiesz, że nie potrafię inaczej.

Nabiera powietrza, by zaprotestować, ale dostrzega moją minę i zrezygnowany macha ręką.

– W porządku. Idź – wzdycha, jakby z ciężkim sercem udzielał mi ojcowskiego błogosławieństwa. – Ja tymczasem przejrzę nagrania i spróbuję jakoś ogarnąć cały ten bajzel... – Rzuca mi zmartwione spojrzenie znad klawiatury. – Tylko postaraj się wrócić w jednym kawałku, dziecino.

Odpowiadam mu bladym uśmiechem, a potem bez słowa ruszam w stronę drzwi.

Niczego nie mogę obiecać, staruszk.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Siedzę na parapecie mojego ulubionego okna biblioteki i patrzę na Mur. Pogrążona w mroku budowla wije się na horyzoncie niczym gigantyczny wąż, mocno kontrastując z rozjarzoną światłami zachodnią częścią wyspy. New Horizon wygląda, jakby płonęło, a tańcząca nad nim luna przywodzi na myśl zorzę polarną.

Ciaśniej opatulam się śpiworem, przyciskam książkę Turveya do piersi. Z mieszaniną lęku, zdenerwowania i nadziei czekam, aż Red, którego przed chwilą przyniosłam od Dodge'a, wreszcie odzyska przytomność. Zastanawiam się, jak to wszystko rozegrać, którą Mayą powinnam teraz być, żebyśmy oboje wyszli żywi z tego spotkania po latach. Aktorstwo mam we krwi, a do wyboru całe spektrum ról i scenariuszy, szeroki wachlarz masek – lecz na razie wiem jedynie, jakiej nie założę. Zbyt wiele razy moja uczciwość okazywała się zwykłą naiwnością i kończyła totalną klęską. Dla własnego dobra nie wolno mi odkrywać od razu wszystkich kart, w końcu bez względu na to, jak bardzo nie chcę wierzyć w winę Reda, zamierzam właśnie rozmawiać z potencjalnym mordercą i moim niedoszłym zabójcą. Muszę być czujna, muszę być sprytne, muszę go podejść, złamać i skłonić do mówienia. Muszę wątpić w każde jego słowo i umiejętnie balansować między prawdą a kłamstwem.

Przez moment rozważam, czy nie wykorzystać faktu, że został scyborgizowany, i nie zhakować nafaszerowanego elektroniką umysłu, ale nijak nie potrafię się do tego zmusić. Siobhan z pewnością nie wahałaby się ani chwili i sama myśl o niej skutecznie odwodzi mnie od tego pomysłu.

Wzdrygam się, gdy spomiędzy książek dochodzi mnie pierwszy szmer. Słyszę, jak Quinn dźwiga się na nogi, szurając butami po posadzce. Półki, o które musiał się oprzeć, pojękują i skrzypią pod jego ciężarem. Red postępuje kilka niepewnych kroków, z trudem utrzymując równowagę, po czym ostrożnie wygląda zza

regału.

– Ładnie tam u was – mówię spokojnie, wciąż zwrócona twarzą do okna. Czekam, aż ledwie widoczne odbicie porucznika w szybie wejdzie w krąg lustrzanego ognia.

Rusza chwiejnie w moją stronę, ale szybko opada z sił, bez tchu opiera się o pierwszą napotkaną kolumnę. Jedno oko przysłania mu piracka opaska, drugie wciąż jest nieco przymglone od morfiny. Po krótkim odpoczynku Quinn podchodzi bliżej i przysiadła na blacie stołu, ciasno oplatając rękami kamienny słup.

Przez parę chwil słychać jedynie trzaskanie ognia w koksowniku i nasze niespokojne oddechy.

– Dlaczego darowałaś mi życie, May?

– Dlaczego przyszedłeś mnie zabić, Red?

Odpowiadamy sobie zgodnym milczeniem. Trwa ono tak długo, że w końcu zaczynam niespokojnie wiercić się pod śpiworem. Odwracam głowę i spoglądam porucznikowi prosto w zdrowe oko. Widzę, jak spina mięśnie, czekam, aż na mnie skoczy, gotowa znów mu przyłożyć, jeśli będzie trzeba, ale Quinn nie rusza się z miejsca. Posyłam mu lekki, pobłażliwy uśmiech i brodą wskazuję gablotę z zabytkowym manuskrypcem, na której wcześniej położyłam jego glocka.

– Jest nabity – oznajmiam. – Wystarczy wymierzyć i strzelić.

Mimo wyraźnych starań nie udaje mu się ukryć zdumienia.

– Wiesz, że to zrobię.

– Wiem, że spróbujesz.

Zataczając się nieco, podchodzi do broni, sprawdza magazynek, przeładowuje. Przez cały czas zerka na mnie kątem oka, jakby się bał, że zaraz zaatakuję. Obserwuję go bacznie, opierając podbródek o książkę, którą zasłaniam się niczym tarczą. Mimowolnie zauważam, że prawie w ogóle się nie zmienił, wciąż wygląda jak dawniej.

– I wiesz za co – ni to stwierdza, ni pyta.

– Red, odczuwanie emocji nie zredukowało mi IQ – mruczę, choć ostatnie wydarzenia sugerują coś wręcz przeciwnego. – Naprawdę nietrudno odgadnąć, co sobie musiałeś pomyśleć po mojej ucieczce. Jednak zważywszy na timing tej wizyty, to

oczywiste, że obarczasz mnie winą także za trzy blackoutowe morderstwa. Kolejną zbrodnię, której nie popełniłam.

Przez twarz porucznika przebiega skurcz, mięśnie szczęk grają pod pobladłą skórą.

– Jak na niesłusznie oskarżoną, jesteś świetnie poinformowana o tym, co się dzieje w mieście.

– Wszyscy w Dark Horizon są na bieżąco z tym, co się dzieje w mieście – wyjaśniam cierpliwie. A po krótkim wahaniu, ciekawa, jak na to zareaguje, dodaje: – Mamy swój wywiad. Mamy ludzi widzących rzeczy, które dopiero nastąpią. Albo takie, które dzieją się teraz, lecz wiele mil stąd.

Quinn poprawia dłoń na rękojęści pistoletu. Przebiega mnie zimny dreszcz.

– Skoro już o tym mowa – mówi przez zaciśnięte zęby, z trudem tłumiąc gniew. – Po co to zrobiłaś? Po co zsyłałaś mi wizje wygaszonych replikantek?

Patrzę na niego zdziwiona, a w głowie aż mi huczy od natłoku myśli.

Quinn też miał wizje! Czyżby jednak wykształcił psioniczne zdolności?

Czy to oznacza, że dar Ridleya jest autentyczny i wszystko, co widziałam w VR, to prawda?

Może psionik Siobhan zabił obie androidki, a Ridley – nie żaden jasnowidz, tylko telepata – fundował porucznikowi transmisję na żywo?

A może syntetyk jest parapsychikiem o wielu talentach i sam dokonał tych zabójstw na polecenie Shiv?

A co, jeśli to naprawdę porucznik je zamordował i z jakiegoś powodu tego nie pamięta? Co, jeśli próbuje jakoś racjonalizować przebłycki wspomnień ze zbrodni, wmawiając sobie, że to ja wykończyłam obie replikantki i podsuwałam mu te obrazy...? Ale dlaczego ani on, ani Ridley nie widzieli śmierci Bennett?

Cholera jasna, o co w tym wszystkim chodzi?!

Cisza, która zapada po słowach Quinna, szybko staje się nie do zniesienia i w końcu muszę coś powiedzieć, żeby nie implodować pod jej ciężarem.

- Ty naprawdę w to wierzysz - mówię cicho, starając się panować nad głosem i miną. - Naprawdę nie masz o niczym pojęcia.

Wydaje się zaniepokojony moimi słowami.

- Oświeć mnie zatem.

- Nie potrafię zsyłać wizji - wyjaśniam łagodnie, niemal przepraszając. - Nie potrafię czytać w myślach, wywoływać pożarów ani martwych stref. Żaden replikant nie wykształca psionicznych zdolności ani nie traci zmysłów od reinforsyny.

Z pewnym wyjątkiem, szepcze złośliwy głos w mojej głowie, ale uciszam go szybko, zduszam w sobie tę myśl, zanim iskra zaproszy ogień, którego nie zdołam już ugasić. Półprawda pali mnie w gardle, lecz przecież nie mogę teraz powiedzieć Quinnowi o Ridleyu. Dopóki nie ustalę, jak to właściwie jest z tym syntetykiem, nawet o nim nie wspomnę, inaczej porucznik gotów pomyśleć, że sama mam dar.

- Żaden się od niej nie uzależnia - kontynuuję, siląc się na swobodny ton. - Neurotransmitter pozwala nam czuć. Tylko tyle.

Quinn przygląda mi się w ciszy.

- Kłamiesz - wyrokuje zimno. - Podczas Buntu sztuczni wpadli w szal tak samo jak ludzie.

- Jak miło, że znalazłeś coś, co nas łączy. - Uśmiecham się z drwiną. - Tyle że rebelianci przyjmowali wtedy końskie dawki leku. Różne rodzaje o sprzecznym działaniu naraz. Syntetycy nie poradzi sobie z mieszanką emocji, zwłaszcza że poczuli je po raz pierwszy w samym środku rozruchów. Nic dziwnego, że na chwilę stracili nad sobą kontrolę...

- Na chwilę! Walki trwały trzy dni!

- Ludzie zareagowali na farmaceutyk znacznie gorzej i dobrze o tym wiesz. Żaden z was po tej ulicznej uczcie nie wrócił do pełni władz umysłowych, a androidy owszem, co do jednego, i to bardzo szybko.

- Przestań usprawiedliwiać sztuczniaków i mów wreszcie, po co mnie tu ściągnęłaś.

- Ja cię ściągnęłam? - Unoszę brwi. - Że niby z własnej woli nigdy byś nie przyszedł, tak? Nie udawaj. Tylko czekałeś na

pretekst, żeby mnie wykończyć.

– Więc dlaczego mi go dałaś?

On naprawdę jest przekonany, że to moja robota, myślę, czując narastający niepokój. Z westchnieniem kręcę głową.

– Sęka w tym właśnie, że nie dałam żadnego. Nie słuchasz mnie, Red. To nie byłam ja. Ani w Beyond, ani teraz.

– Kłamiesz.

– Mówię prawdę. I nie wypieram się reszty. Mam na rękach krew dwóch policjantów: detektywa Thomasa Flynna i sierżanta Howarda Attenborough, którzy zaprowadzili mnie na egzekucję tylko dlatego, że jako jedyna broniłam twojej decyzji i nie chciałam się zgodzić, żeby zrobili z ciebie cyborga...

– Kłamiesz! – krzyczy, a w jego spojrzeniu widzę tylko zimną wściekłość.

Przymykam powieki, pod którymi coś mnie nieoczekiwanie zapiekło.

Nie uwierzy mi. Nawet jeśli pokażę mu teraz zaszyfrowane wspomnienia, uzna, że je sfabrykowałam...

Szybko przecieram kącik oka wierzchem dłoni, wmawiając sobie, że to tylko drobinka kurzu. Biorę się w garść.

– No tak – mruczę ze znużeniem i bardzo przy tym uważam, żeby nie zadrżał mi głos. – Skoro zażywam lek, który pozwala mi mijać się z prawdą, to z pewnością nie robię nic innego. Bo przecież każdy człowiek bezustannie łże jak z nut tylko dlatego, że umie.

– Nie jesteś człowiekiem.

– Do tego zmierzam. Wyczuwaj ton, reaguj na sarkazm, bo jeszcze pomyślę, że za mocno ci wlałam. Nie ma dla ciebie większego niebezpieczeństwa niż inteligentna maszyna obdarzona zdolnością czytania ludzkich dusz i pełną swobodą działania. Z góry wiesz, jakiego dokona wyboru. Czyli, paradoksalnie, w twoich oczach nawet z wolną wolą nie mam wolnej woli, bo zawsze postępuję niemoralnie, bez względu na opcje. Bo chociaż mogę, to nie potrafię inaczej. Tak sobie powtarzaj. Zatkaj uszy, zasłoń oczy i powtarzaj ze ślepym uporem i wiarą, że Maya nie jest człowiekiem. Ale i tak niczego to

nie zmieni, nie zdołasz oszukać ani mnie, ani siebie. Głęboko w duszy znasz prawdę, tylko nie umiesz i nie chcesz jej nazwać.

Quinn przesuwając palec w kierunku spustu, ale cofa go szybko. Czyżby wreszcie zaczął się wahać?

– A prawda jest taka – ciągnę, uważnie obserwując jego twarz – że przestałeś mi ufać nie dlatego, że ujrzałeś we mnie zbuntowanego robota. Przestałeś mi ufać, ponieważ zobaczyłeś ludzką istotę, która skłamała ze strachu o własne życie. Maya android była bezpiecznie przewidywalna, bezgranicznie posłuszna i bezwzględnie niezawodna. Nie musiałeś się zastanawiać, czy można na niej polegać, nie musiałeś robić nic, żeby zaskarbić sobie jej lojalność. Zmieniając się w Mayę człowieka, zmieniłam się w jedną z tych, co łżą i nie dotrzymują obietnic. Tak jak Isobel. Tak jak Francis Kerr. Jak Jolene, która z właściwym sobie wyczuciem chwili musiała po raz kolejny zaćpać się i trafić na odwyk, zamiast ratować brata przed cyborgizacją. To w ten sposób cię zdradziłam. To za to tak mnie nienawidzisz. Bo stałam się ludzka. Ułomna, słaba i samolubna jak wszyscy, którzy cię zawiedli.

Jared zaciska palce na rękojeści pistoletu, a drugą dłoń zwija w pięść, wbija paznokcie w skórę, jakby próbował się obudzić, tak jak ja niegdyś.

– Zdradziłaś mnie i moich ludzi na długo przed Beyond – odzywa się chrapliwie. – Miałeś reinforsynę we krwi już podczas zamachu, inaczej wtedy w helikopterze musiałabyś powiedzieć prawdę...

– I posłusznie zginąć – podchwytyję szybko, wpadając mu w słowo. – Mylisz się, Red. Pierwszy raz przyjąłam lek dopiero tutaj, wiele miesięcy po zażegnaniu Buntu. Nie współpracowałam z Equilibrium. Podczas B-Day byłam czysta.

– Jakim cudem?

– Nareszcie zadałeś właściwe pytanie. Jakim cudem?

Z satysfakcją dostrzegam cień niepewności w jego zdrowym oku.

– Chcę wiedzieć, dlaczego zlikwidowałaś te dwie replikantki – upiera się, z trudem wyduszając kolejne słowa. – Chcę wiedzieć,

czy miałaś jakiś związek ze śmiercią Meredith Bennett. I przede wszystkim po co wysyłałaś mi wiadomości. Po co mnie tu zaprosiłaś?

– Nie zapraszałam cię, do cholery! – wybucham nagle, zła na siebie, że tak łatwo straciłam całą cierpliwość i opanowanie. W tej samej sekundzie uświadamiam sobie, że przecież niczym nie ryzykuję, bo bez względu na to, co teraz nastąpi, koszmar, w jakim tkwię od trzech lat, właśnie doczekał się wielkiego finału. Tu i teraz.

Odrzucam książkę, zrywam z siebie śpiwór i zeskakuję z parapetu. Quinn natychmiast bierze mnie na celownik.

No dalej, Red. Do trzech razy sztuka.

Jeśli strzeli lub ciśnie piorunem, wtedy to wszystko nareszcie się skończy. Skoro aż tyle w nim nienawiści, z ulgą przyjmę nieistnienie, nie mam ochoty dłużej trwać w świecie, w którym wciąż, mimo wszystko, najbliższy mi człowiek uważa mnie za wroga. Ostatnie trzy lata były jedną wielką serią katastrof i rozczarowań, więc po co dalej to ciągnąć, po co się męczyć? Sama nie umiem odebrać życia ani sobie, ani jemu, a zatem jeśli mam zginąć z ręki porucznika, to niech tak będzie. On mnie przebudził i on ułoży z powrotem do snu, historia zatoczy koło.

Lecz jeśli nie strzeli albo znowu spudłuje, będzie to najlepszy dowód na to, że wcale nie zależy mu na mojej śmierci tak bardzo, jak mu się zdaje.

A to już jakiś początek.

– Trzymałam się z daleka i miałam nadzieję, że robisz to samo! – krzyczę, krążąc między regałami. – Świadomość, że tak łatwo spisałeś mnie na straty, jest po prostu nie do zniesienia. Przez trzy lata co rusz ratowałam ci dupę, a ty przy pierwszej nadarzającej się okazji bez mrugnięcia okiem uznałeś mnie za wroga! Widzę to w twoich oczach równie wyraźnie co przy naszym ostatnim spotkaniu.

– Jakim ostatnim spotkaniu?

Ignoruję pytanie, zbyt nim zaskoczona, żeby odpowiedzieć. Czyżby nie pamiętał?

Porucznik ledwo trzyma się na nogach, ramiona zaczynają mu

dygotać z wysiłku, koniec lufy wodzi za mną coraz wolniej.

– Stój spokojnie, bo cię zaraz odpalę.

Akurat. Gdybyś tego chciał, już dawno byś to zrobił.

Gwałtownie obracam się na pięcie i piorunuję go wzrokiem.

– A proszę bardzo! – wrzeszczę, ruszając w jego kierunku z rozpostartymi ramionami. – Czy nie po to tu jesteś? Strzelaj! No strzelaj! Skoro mi nie wierzysz, to na diabła chcesz rozmawiać? Naciśnij spust i skończ to, co zacząłeś!

– Co ja zacząłem? Ja?

Wygląda na autentycznie zagubionego. Jak to możliwe, że zapomniał o Alejach?

Bez słowa sięgam do szyi, wkładam dłoń pod koszulę, by odświeżyć mu pamięć.

Quinn szarpie za spust, huk wystrzału niesie się echem wśród wysokich ścian, łuska z brzękiem toczy się po podłodze. Z ust wyrывa mi się krzyk, zataczam się na stół, wywracam razem z krzesłem.

Do trzech razy sztuka, Red.

Wciąż tu jestem. Wygrałam.

Psiakrew, gdyby to jeszcze tak piekielnie nie bolało...

– W chwilach takich jak ta naprawdę cię nienawidzę – cedzę.

Dźwigam się na łokciach, siadam z sykiem. Jared podchodzi wolno i ostrożnie, nie przestając do mnie mierzyć. Patrzymy w milczeniu, jak rana na moim udzie wypływa zdeformowaną grudkę ołowiu i zasklepia się bez śladu.

– Nie sięgałam po broń – informuję go sucho. – Sam sprawdź.

– Nie omieszka. Tylko drgnij, a cię zabiję.

Uśmiecham się smutno.

– Na pewno spróbujesz. Tylko jakoś ciągle zapominasz celować mi w głowę. A przecież wiesz, że inaczej nic z tego.

Jared przykłęka obok, przykładając mi pistolet do skroni i zagląda w oczy. Obszukuje mnie starannie wolną ręką i nie potrafi ukryć zaskoczenia, że nie mam przy sobie żadnej broni.

– Widzisz? – mruczę z pretensją. – Androidy czasem mówią prawdę.

– Co chciałaś wyjąć?

– Sam zobacz. Noszę to na szyi.

Po chwili wahania rozchyła mi koszulę, ostrożnie przesuwając palcami po szyi i obojczyku. Drzę mimowolnie pod tym dotykiem, skóra ledwo muśnięta samymi opuszkami pali żywym ogniem. Wreszcie porucznik natrafia na łańcuszek, wyjmując go ostrożnie i ze świstem wypuszcza powietrze z ust na widok wisiorka z łuski po naboju.

– Zatrzymałam ją po naszej przygodzie w Alejach Popiołów – odzywam się cicho, wypowiadając na głos jego własne myśli. – Tamtej nocy pierwszy i ostatni raz przekradłam się na waszą stronę Muru. Długo zbierałam się na odwagę, żeby to zrobić, nie miałam pojęcia, gdzie cię szukać. Zawędrowałam w okolice twojego starego mieszkania bez żadnej nadziei, że cię tam znajdę. A jednak znalazłam. Byłeś jedyną osobą, dla której zaryzykowałam wyprawę do miasta, więc wyobraź sobie, co poczułam, gdy na mój widok wyciągnąłeś broń.

– Androidy nie...

– Nie kończ! – syczę. – Nie kończ, bo, słowo daję, znowu dam ci po pysku.

– Nie zdążysz.

– Na to liczę.

Zatyka go zupełnie. Nieznacznie odsuwa pistolet od mojej głowy i próbuje wstać, ale jestem szybsza. Chwytam za glocka obiema dłońmi i przyciskam sobie lufę do podbródka.

– Pociągnij za spust – szepczę chrapliwie. – Właśnie tak, prosto w mózg, inaczej znów spartolisz robotę. Bo jak dotąd wychodzi na to, że wcale nie pragniesz mojej śmierci. W przeciwnym razie w Alejach nie spadłobyś z trzech metrów! W przeciwnym razie teraz nie trafiłobyś mnie w nogę, tylko między oczy! Proszę, dopiąłeś swego, możesz mnie sprzątnąć, więc na co jeszcze czekasz? Zdecyduj się wreszcie, co chcesz zrobić, Red! Pokaż, co to znaczy być człowiekiem, i rozwal mi łeb, nie zważając na to, co ci powiedziałam! Skończ to, co zacząłeś, i strzelaj, do diabła!

Gapi się na mnie w zupełnym osłupieniu, niezdolny do żadnego ruchu. Prycham pogardliwie i odtrącam jego dłonie. Odwracam głowę, szybko oplatom kolana ramionami, żeby nie spostrzegł, że

cała dygoczę z emocji, których do końca nie rozumiem. Quinn wstaje, postępuje kilka kroków na miękkich nogach, wydaje się, że zaraz zwali się na podłogę. Przysuwa sobie krzesło i opada na nie z impetem, przodem do oparcia, jak to ma w zwyczaju.

Pojedynkujemy się na spojrzenia, a ruchliwe odbłaski ognia ożywiają nasze nieruchome twarze. Milczenie wisi między nami jak burza, w zgęstniałym od napięcia powietrzu zaczyna brakować tlenu. Jeszcze chwila i podusimy się oboje od wzajemnej wrogości.

– Co to wszystko znaczy? – pyta wreszcie Quinn. – Czego ty chcesz, May?

– Już niczego. Zbyt wiele razy dawano mi do zrozumienia, że nie mogę tego mieć. Mogę za to dokładnie powiedzieć ci, czego nie chcę.

Niezdarnie zbieram się z podłogi. Red nie protestuje, tylko unosi broń, pilnując, żeby wciąż mieć mnie na celowniku.

– Nie chcę tu być – wyznaję mu wreszcie, z trudem przetykając bolesną kulę w gardle. – Nigdy nie chciałam. Jednak kiedy przyszło mi wybierać między Murem a egzekucją, wybrałam Mur i teraz za to płacę. Nie chcę, żebyś uważał mnie za zdrażczynię tylko dlatego, że wciąż żyję. Nie chcę faszerować się lekami, żeby cokolwiek czuć. Czasem wolę nie czuć nic, bo znam jedynie smutek, rozgoryczenie i żal. Ale kiedy odstawiam reinforsynę, pustka jest nie do zniesienia i jej też nie chcę. Żałosne, prawda? Przez całe życie marzyłam o emocjach, a kiedy w końcu mogę je czuć, popadam w depresję, bo okazuje się, że straciłam wszystko, co niegdyś dało początek temu marzeniu. Jestem tu cholernie, do bólu nieszczęśliwa. Nie chcę być nieszczęśliwa, Red. Teraz myślę sobie, że powinnam była dać się zastrzelić temu glinie. Wtedy w helikopterze. Żebyś nigdy nie patrzył na mnie tak jak teraz.

Porucznik milczy bezradnie. Poznają po minie, że nie ma pojęcia, jak się zachować, co powiedzieć, czy w ogóle coś mówić.

– Ty przed chwilą naprawdę próbowałaś mnie sprowokować – szepcze.

– Tak.

Milczy długo, niemal słyszę, jak bije się z myślami.

– Dlaczego... – zaczyna, lecz nie ma odwagi dokończyć.

– Dlaczego czekałam na ciebie? – podchwytyję, domyśliwszy się, o co chciał zapytać. – Dlaczego po prostu sama nie odebrałam sobie życia?

Niemal niezauważalnie kiwa głową, głośno przełyka ślinę. Przygląda się, jak skubię rękaw koszuli, zginam i prostuję palce, i pewnie próbuje sam siebie przekonać, że moja nerwowość to tylko sztuczka.

– Bo się boję – wyznaję w końcu, unikając jego wzroku. – Reinforsyna zrobiła ze mnie pieprzonego tchórza. – Wcale nie miałam zamiaru mu tego mówić, ale gorzkie słowa same cisną mi się na usta. – Po tym, co zaszło między nami w Alejach, obiecałam sobie, że kiedy przybędziesz za Mur, zgotuję ci równie wystrzałowe powitanie. Przeczynałam, że wkrótce znowu się spotkamy. I oto jesteś. Godzinę temu na Skwerze Szaleńców mogłam uczynić z tobą dosłownie wszystko. Leżałeś ogłuszony, wystarczyło postać ci kulkę. Jedną jedyną. Miesiącami wyobrażałam sobie, że opróżnię na tobie cały magazynek, a gdy wreszcie miałam okazję to zrobić, nie potrafiłam. Wiedziałam, że na mnie polujesz, a mimo to nie umiałam cię zabić. Okazuje się, że nawet czujący android nie przekroczy pewnych granic, żeby zadbać o własne przetrwanie. Wtedy pomyślałam, że skoro nie umiem skończyć ani z tobą, ani z sobą, to może lepiej... – znacząco zawieszam głos, wzruszam ramionami.

– Może lepiej dać mi to, po co przyszedłem – kończy za mnie zduszonym głosem.

Potwierdzam leciutkim skinieniem głowy.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu. Czy jakoś tak.

Quinn długo patrzy w ogień, nim wreszcie pierwszy przerywa milczenie.

– Obawiam się, że nic z tego, May.

Unoszę na niego szeroko otwarte oczy, wzdrygam się, gdy z trzaskiem odkłada pistolet na stół.

– Miałaś rację – mówi, zmęczonym ruchem przecierając twarz. – Ja też nie przekroczę pewnych granic. Gdybym umiał cię zabić,

nie byłoby nas tutaj.

Obezwładniająca ulga wypełnia mnie ciepłem od stóp aż po czubek głowy, czuję, że nie wytrzymam i lada moment się uśmiechnę. Aby nieco ochłoniąć i przypomnieć sobie, z kim mam do czynienia, sięgam do szyi, zaczynam obracać w palcach łuskę po jego naboju. Zwlekam z odpowiedzią, widząc kątem oka, jak Quinn wpatruje się w moje wargi, jak w napięciu czeka na słowa.

„Tęskniłam za tobą, Red” – mam na końcu języka, lecz zdecydowanie za wcześnie na podobne wyznania, więc zamiast tego mówię:

– Jak miło, że znalazłeś coś, co nas łączy.

Na twarz porucznika wypląwa zapowiedź niepewnego uśmiechu, a ja odruchowo spodziewam się najgorszego, szybko zerkam w kierunku jego dłoni i leżącego obok glocka.

Do trzech razy sztuka, myślę i zaraz oddycham głębiej, bo Red jednak wcale nie sięga po broń, tylko unosi lekko jeden kącik ust.

Zawsze to jakiś początek.

Kiedy tuż przed brzaskiem odprowadzam porucznika w stronę Muru, mam w głowie jeszcze większy zamęt niż przed naszą całonocną rozmową.

Po tym, jak już odhaczyliśmy wszystkie punkty z długiej listy zarzutów wobec mnie, Quinn nieoczekiwanie wyznał, że zanim wraz ze swoją nową partnerką, detektyw Umą Haskel, znalazł kruki origami na miejscach zbrodni, przez co nabrał przekonania, że to ja zabiłam obie syntetyczki, miał poważne powody, by podejrzewać samego siebie o dokonanie tych zabójstw. Opowiedział mi o szczegółach dochodzenia, o wieszczych snach, w których nawiedzały go obrazy zamordowanych replikantek, o problemach z pamięcią, z jakimi wciąż boryka się od przebudzenia z komy, oraz o swoich przypuszczeniach, że Meredith Bennett go zmanipulowała lub kontrolowała dzięki neuroimplantom. A potem nawet zgodził się zejść ze mną na jedno z niższych pięter biblioteki i pokazać mi to wszystko w symulatorze VR.

Skany z miejsc zbrodni idealnie pasują do obrazów, które pokazał mi Ridley, oraz do snów Reda, z tą jednak różnicą, że koszmary porucznika okazały się znacznie krótsze niż domniemane wizje replikanta: Quinn ujrzał w nich jedynie ciała replikantek, nie miał żadnych przebłysków z chwili ich śmierci czy z jakichkolwiek działań zabójcy.

Sprawa Meredith Bennett, mimo pewnych oczywistych analogii, jak choćby nagość, upozowanie ciała i ewidentny udział psionika, tak bardzo różni się od pozostałych dwóch morderstw, że należało brać pod uwagę teorię o naśladowcy lub zabójczym duecie. Wszystko dodatkowo komplikuje fakt, że syntetyczne ofiary nosiły pod skórą szpiegowskie implanty zmieniające tożsamość, a sprawca pierwszą z nich ogolił na łyso i założył jej perukę, a kolejną ostrzygł. Co więcej, System zdołał zidentyfikować drugą ofiarę jako Alice O'Brien, pacjentkę Meredith Bennett, a to oznacza, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamordowane replikantki nie są żadnymi uciekinierkami z Dark...

Nadal nie mogłam wykluczyć, że za tymi morderstwami stała Siobhan i nie jeden, ale aż dwóch z jej psioników, co pasowałoby do scenariusza o naśladowcy lub partnerach w zbrodni, lecz to właśnie informacja o pogoni za zbiegami pozwoliła mi wcześniej połączyć Shiv ze śmiercią syntetyczek – bez tego elementu cała moja hipoteza śledcza zaczęła walić się w gruzy. Na dodatek w świetle informacji o związku między Meredith Bennett a pozostałymi ofiarami wyglądało na to, że w słowach Ridleya kryło się jednak jakieś ziarno prawdy: faktycznie coś mogło go łączyć z psychoterapeutką, faktycznie mógł znajdować się w identycznej sytuacji jak te nieszczęsne replikantki...

Biłam się z myślami, czy powiedzieć o wszystkim Quinnowi już teraz, czy dopiero po tym, jak przesłucham Ridleya, prześwietlę umysł Siobhan, ustalę wszystkie fakty i zdobędę dowody. A kiedy właśnie zbierałam się na odwagę, by wyznać Redowi, że nie byłam z nim do końca szczerą, pokazał mi swój Ogród Wspomnień – wirtualny konstrukt psychiczny, dzięki któremu miał nadzieję odzyskać pamięć. W chwili, w której ujrzałam

Animę porucznika, wszelkie moje dotychczasowe założenia całkiem straciły sens i teraz sama już nie wiem, co mam myśleć o całej tej pokręconej sprawie.

Moim oczom ukazały się bowiem kolejne znajome obrazy: zamarznęte jezioro, lodowe rzeźby, pikselowy śnieg. Ogród Quinna wyglądał identycznie jak zimowe wizje białowłosego replikanta, z tą tylko różnicą, że tym razem widziałam te sceny z punktu widzenia porucznika, a między figurami grasował topielec bez twarzy, który wynurzył się z jeziornej toni i wylazł z przerębla...

I tak oto moja teoria, że Siobhan spreparowała jasnovidzkie majaki Ridleya, przestała trzymać się kupy. O ile bowiem Shiv mogła sfalszować migawki z przeszłości Quinna, wprowadzając odpowiednie zmiany do skopiowanych ode mnie wspomnień, a niby-wizje o zbrodniach zmontować z własnych zapisów pamięciowych, o tyle obrazy znad jeziora uważałam dotąd za totalny wymysł, który miał na celu przekonać mnie, że Red zażywa reinforsynę i wykształcił psioniczne zdolności. Ale skoro ten Ogród naprawdę istnieje w umyśle porucznika i skoro Ridley zdołał mi go pokazać, wniosek nasuwa się sam: połączenie między ich jaźniami jest autentyczne, replikant to topielec spod lodu, a jego wizje wcale nie zostały sfingowane...

Porucznik miewał regularne koszmary o pierwszej ofierze przez ponad miesiąc, zanim zginęła, tymczasem Ridley widział morderstwa tylko raz, w czasie rzeczywistym. Sam Quinn obawiał się, że podświadomie fantazjował o śmierci tych replikantek i stąd wzięły się te sny. Twierdził też co prawda, że detektyw Haskel osobiście zbadała mu krew i nie wykryła w niej reinforsyny, a wcześniej posunęła się nawet do tego, by go śledzić, i stąd wiedziała, że w noc drugiego zabójstwa nie ruszał się z domu, lecz w głowie wciąż pobrzmiwały mi słowa Siobhan: niektórym parapsychikom wystarczą śladowe ilości narkotyku i być może policyjne detektory po prostu nie są dość czułe, aby je wykryć... Shiv miała niestety rację, widziałam takich uzdolnionych na własne oczy.

Co, jeśli porucznik rzeczywiście jest psionikiem i mordercą, tak

jak od początku podejrzewał? Co, jeśli prócz manipulowania polem elektromagnetycznym potrafi też oszukiwać ludzkie zmysły, a zabija w jakimś głębokim transie i dlatego nie ma wspomnień z dokonanych przez siebie zbrodni? W obliczu jego problemów z pamięcią, wieszczych snów i powiązań z nieobliczalną Bennett nie wyglądało to zbyt dobrze.

I dlatego ostatecznie postanowiłam na razie trzymać język za zębami.

Idziemy teraz ramię w ramię cichymi ulicami Dark Horizon, noc różowieje nad nami, z ociąganiem ustępując miejsca brzaskowi, a ja wciąż nie mam pojęcia, w co wierzyć ani komu ufać.

W pół godziny docieramy na miejsce. Quinn otwiera włącz do kanałów, znajduje skrzynkę centrali światłowodowej, melduje swoją pozycję oficerowi dyżurnemu straży granicznej i poprosi o przysłanie ekipy ewakuacyjnej.

Z jednej strony nie mogę się już doczekać, aż wróci za Mur, a sama pognam do kliniki i przemagluję Ridleya, z drugiej – czuję się paskudnie ze świadomością, że ukryłam przed nim tyle ważnych faktów. Unikam jego spojrzenia jak ognia, udając, że całkowicie pochłania mnie skanowanie okolicy.

Po kilku minutach Quinn podrywa głowę, wzrok mętnieje mu lekko.

– Dobrze cię słyszeć, Haskell – mówi, odebrawszy połączenie przez wewnętrzny komunikator. – Jak mnie namierzyłaś? Ja byłem pewien, że już po tobie. – Zerka na mnie przez ramię. – Można tak powiedzieć.

Z lekkim ukłuciem zazdrości przyglądam mu się kątem oka, gdy rozmawia ze swoją nową partnerką, i mimo usilnych starań nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby komukolwiek wyrwać serce...

– Co się stało? – pyta porucznik z niepokojem, a potem zaraz się rozluźnia i uśmiecha pod nosem. Uśmiech jednak szybko spełza mu z warg. – No i? – Kolejne słowa Haskell robią na nim takie wrażenie, że o mało nie krztusi się własną śliną. – Słucham? –

Czeka na odpowiedź ze zmarszczonymi brwiami. – No wyrzuć to z siebie, dziewczyno! Kto to był?

Quinn głośno nabiera powietrza i opiera się plecami o mur budynku, bo nogi nagle odmawiają mu posłuszeństwa. Już mam zadać pytanie, ale on nie czeka, sam zaczyna mówić, jakby informacje od Haskel były tykającą bombą, jakby musiał natychmiast wyrzucić z siebie wszystko, czego się dowiedział, żeby nie wybuchnąć.

– Mamy wreszcie wyniki DNA – oznajmia słabym głosem. – Serca replikantek to ludzkie organy. Należały do McKay i Blake’a... – To mówią, osuwa się wolno po ścianie domu.

Dopiero po kilku sekundach odzyskuję zdolność ruchu. Podchodzę do porucznika i siadam obok, starając się jakoś uporządkować rozpędzone myśli.

– Przed dwiema godzinami doszło do następnego zabójstwa – dodaje cicho Quinn. – Haskel twierdzi, że miejsce zbrodni i zwłoki wyglądają tak samo jak w przypadku dwóch pierwszych morderstw. Czyli to jednak nie twoja sprawka – kwituje, siłąc się na żartobliwy ton.

– Ani nie twoja – stwierdzam z ulgą, której nawet nie staram się ukryć.

Ani nie Siobhan, ani nie Ridleya...

Głowa o mało nie pęka mi na kawałki od nadmiaru nowych pytań. I nagle doznaję olśnienia.

– Helen miała kasztanowe włosy – mówię wolno, obserwując twarz porucznika. – A Marcus był blondynem.

Quinn patrzy na mnie przez moment zupełnie oniemiały.

– No oczywiście... – szepcze z przejęciem. – To dlatego sprawca zmienił ofiarom fryzury. I dlatego wybrał właśnie te replikantki, musiał wiedzieć, że wszczepiono im serca naszych ludzi... Rozumiesz coś z tego?

– Chyba powoli zaczynam rozumieć – przyznaję niepewnie. – Muszę ci się do czegoś przyznać, Red... – urywam, wyłamując sobie palce. – Kilka tygodni temu poznałam Ridleya, replikanta, który twierdzi, że jest uciekinierem z New Horizon i... jasnowidzem. – Quinn chce coś wtrącić, ale uciszam go gestem. –

Tak, okłamałam cię, ale zaraz wyjaśnię dlaczego, proszę, wysłuchaj mnie do końca. Żaden inny znany mi android nigdy nie wykształcił najmniejszych zdolności psionicznych, dlatego uznałam dar Ridleya za zwykłe oszustwo. Powiedział, że ma dostęp do twojego umysłu, i pokazał mi swoje wizje: obrazy z twojej przeszłości, sceny sugerujące, że to ty zabiłeś obie syntetyczki, zamarznięte jezioro i rzeźby z lodu... Do niedawna sądziłam, że ktoś to wszystko sfałszował, by utwierdzić mnie w przekonaniu, że wpadłeś w morderczy szal i wkrótce przyjdiesz zapolować na mnie... To długa historia, kiedyś ci opowiem – dodaję szybko, gdy porucznik pytająco unosi brew. – W każdym razie miałam powody, by nie wierzyć Ridleyowi. Lecz kiedy zobaczyłam twój Ogród Wspomnień...

– Musiałaś wziąć pod uwagę możliwość, że ten syntetyk faktycznie potrafi zaglądać w mój umysł i to jednak ja jestem sprawcą – domyśla się Red. – On rzeczywiście widział... mnie? – pyta ponuro, pocierając dłonią piracką opaskę. – Widział, jak je zabijam?

– No właśnie nie do końca. Jego wizje to jeden wielki chaos, seria wymieszanych migawek, a jedyny kadr, na którym widać fragment twojej twarzy, został wyretuszowany, a zatem nie możemy się na nim opierać. Zwłaszcza że doszło przecież właśnie do kolejnego zabójstwa, a ty jesteś tutaj... – zająkuję się, gubiąc na moment wątek w natłoku skojarzeń. – A teraz, kiedy już wiemy, że ktoś z jakichś chorych pobudek wyhodował serca Helen i Marcusa i wszczepił je androidom... – Unoszę głowę i zaglądam Quinnowi prosto w zdrowe oko. – Ridley twierdzi, że przed swoją ucieczką do Dark miał mentalny kontakt z Meredith Bennett.

– Co takiego?

Opowiadam mu pokrótce o tym, jak białowłosy replikant obudził się w obcym miejscu bez własnych wspomnień i usłyszał głos psychoterapeutki. Jak zaczęły nawiedzać go obrazy z przeszłości porucznika, które wziął za własne i które kazały mu myśleć, że on sam jest Jaredem Quinnem.

– Wygląda na to, że wszyscy bierzecie udział w jakimś

popieprzonym eksperymencie – dodaję na koniec, z pewną niechęcią przytaczając słowa Siobhan. – Wygląda na to, że replikant jest twoim topielcem, i sędzę, że ma dostęp do twojego umysłu, ponieważ... – zacinam się i odchrząkuję, bo kolejny absurd jakoś nie chce mi przejść przez gardło – ...ponieważ...

– Ponieważ wszczepili mu moje serce – podchwytuje porucznik z taką miną, że tylko czekam, aż wybuchnie śmiechem. – A mnie dla niepoznaki wyposażyli w bioniczny zamiennik. Albo... – Z trudem przełyka ślinę i krzywi się z niesmakiem, jakby wyjątkowo obrzydliwa myśl spłynęła mu z czaszki prosto do gardła. – Albo trzymają gdzieś nasze... klony. I to z nich pobierają organy do badań nad... bo ja wiem? Zbiorową jaźnią? Pamięcią genetyczną? Pamięcią narządów?

Kiwam głową, w zamyśleniu bawiąc się łuską na łańcuszku.

– Jeśli istnieje jeszcze jeden taki Ridley, jeśli wszyscy trzej macie połączone umysły i jeśli ten gość ma coś wspólnego ze śmiercią syntetyczek, to by wyjaśniało, dlaczego Ridleya nawiedziły wizje o zbrodniach, a ciebie wieszczę sny... A właśnie, kiedy byłeś nieprzytomny, nic ci się nie przyśniło?

Zastanawia się przez chwilę.

– Majaczą mi chyba jakieś urywki... – stwierdza powoli. – Angelina podała mi za dużo morfiny, żebym zdołał teraz sklecić z nich cokolwiek sensownego.

– Dzwon do Haskel – mówię stanowczo. – Niech ci opiszę miejsce zbrodni albo najlepiej przyśle zdjęcia. Zobaczę, czy Ridley widział coś podobnego. On też oberwał wczoraj mocno po głowie, ale może zdążył odzyskać przytomność i miał kolejną relację na żywo.

Quinn bez chwili zwłoki nawiązuje połączenie.

– Haskel? Wybacz, wiem, że powinnaś teraz odpoczywać, ale... Okej, no to słuchaj. Czy ekipa Ryana sfotografowała już miejsce zbrodni? Zadzwoń do niego, niech zeskanuje polaroidy i mi je podeśle, tylko migiem! Aha, jeszcze jedno: sprawdź, która z syntetyczek miała serce McKay, a która Blake'a, to bardzo ważne... Świetnie, czekam na informacje.

Już po niespełna trzech minutach porucznik odbiera

wiadomość z załączonymi zdjęciami, wzrok zachodzi mgłą, gdy zaczyna przeglądać pliki.

- Serce Helen zidentyfikowali u pierwszej replikantki, tej z peruką, Marcusa u drugiej, tej ostrzyżonej - referuje, wyświetlając sobie obrazy na siatkówce oka. - Czyli chyba dobrze kombinujemy... O, proszę, kolejna ofiara tym razem jest płci męskiej. Ogolona na zapałkę... Ryan nie ma wątpliwości, że to robota sprawcy, znaleźli świeżo ścięte włosy na ciele i na podłodze.

Patrzemy na siebie przez krótką chwilę.

- O'Neill - wyrokujemy zgodnym chórem.

- Zwłoki nagie i upozowane identycznie jak poprzednie - ciągnie porucznik. - Oczy ciemnobrązowe, prawie czarne, szeroko otwarte powieki. Wyrwane serce w dłoniach, ale przez te cholerne psioniczne blackouty minie trochę czasu, zanim zdołają zbadać DNA... Wciąż szukają origami.

- Gdzie znaleziono ciało?

- W suterenie budynku mieszkalnego na zachodnim wybrzeżu. Jeden pokój bez mebli, aneks kuchenny, maleńka łazienka, niski strop z gołą żarówką i odpadającym tynkiem, na ścianach zacieki i odłóżka tapeta w abstrakcyjne wzory, brudne, zakratowane okna pod samym sufitem... Sprawca zostawił zwłoki na rozkładanym fotelu naprzeciwko wejścia.

- Dobra, to mi na razie wystarczy. Plan jest taki: ty wracasz za Mur i kontynuujesz śledztwo w New Horizon, ja idę przesłuchać Ridleya. - Zrywam się na równe nogi.

- Eee... Tak jest? - mruczy porucznik z przekazem.

- Spróbuję cię informować na bieżąco i chyba nawet mam już pomysł, jak to zorganizować...

Podaję mu rękę, pomagam dźwignąć się z ziemi. Staje naprzeciwko mnie, ale wciąż nie puszcza mojej dłoni, przytrzymuje ją i mocniej zaciska palce, kiedy próbuję się cofnąć.

- Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? - pyta poważnie.

Potwierdzam skinieniem, zakłopotana odwracam wzrok.

- Red, chyba rozumiesz, dlaczego...

– Rozumiem, dlaczego mnie okłamałaś – wpada mi w słowo. – Po wszystkim, co między nami zaszło, nie mam prawa się niczemu dziwić. Ja sam sobie nie ufałem, May, doskonale wiem, co... – waha się przez ułamek sekundy – ...poczułaś... i co pomyślałaś, gdy okazało się, że Ridley rzeczywiście widział mój umysł. Skoro jednak znowu mamy być zespołem – podejmuje po chwili, gdy wreszcie zbieram się na odwagę, by na niego spojrzeć – muszę wiedzieć wszystko. Minie jeszcze parę minut, zanim po mnie przyjdą.

– Obawiam się, że parę minut może nie wystarczyć – bąkam pod nosem.

Porucznik parska krótkim śmiechem, szczerze rozbawiony, i dopiero teraz rozluźnia uścisk, pozwalając mi zabrać dłoń.

– Tak właśnie podejrzewałem.

Zastanawiam się, jak i od czego zacząć. Od Siobhan, Twitcha i zaginionych psioników? Od ampułek z neurotransmiterem w paczkach z pomocy humanitarnej? Od wspomnień, które dla niego zaszyfrowałam? Od tego, że nie tykałam używek przez grubo ponad dwa lata, aż do naszego spotkania w Alejach, a mimo to już wcześniej, na długo zanim po raz pierwszy zażyłam reinforsynę, tliła się we mnie owa tajemnicza iskra emocji, przez którą tak mi go brakowało? A może najpierw powinnam mu powiedzieć, ile dla mnie znaczy, że znów jesteśmy partnerami?

Przez moment nie potrafię wydusić z siebie głosu, a potem nagle przestaję analizować, układać scenariusze, rozpisywać własną przeszłość na precyzyjnie zredagowane kwestie. Zamiast tego głęboko nabieram tchu i pozwalam słowom płynąć.

Tak po prostu.

I oto ja.

Maya, która nie musi już niczego grać.

Rozdział dwudziesty drugi

Kruki dostrzegają mnie od razu, ledwo wyłamiam się z bocznej uliczki. Kilka z nich przysiadła na latarniach przed kliniką i wodzi za mną oczami roziskrzonymi od diamentowej mgły, reszta nadal kołuje wysoko ponad dachami, zajęta przepatrywaniem okolicy. Telepata, który kontroluje skrzydlatych zwiadowców, musiał mnie rozpoznać, bo gdy wkraczam na lądowisko dla aerokaretek i ruszam w stronę budynku, nie obrywam prądem zgęstniałego powietrza ani innym psionicznym pociskiem. Zatrzymuję się na moment przed zgruchotanymi drzwiami, dla pewności robię kolejny skan, po czym wchodzę do środka.

W salach oraz na korytarzach nadal panuje bałagan, lecz nigdzie nie dostrzegam żadnego pacjenta czy syntetyka, którzy wcześniej leżeli ogłuszeni wśród porzucanych sprzętów. Od ataku Emily i Grega minęło parę godzin, wszyscy poszkodowani zapewne już dawno odzyskali świadomość. Przeczესuję cały parter, ale nie wykrywam niczyjej obecności i dopiero na półpiętrze natykam się na Dodge'a.

- May... - wzdycha z ulgą, po czym zerka ponad moim ramieniem, jakby spodziewał się zobaczyć tam kogoś jeszcze. - Gdzie Quinn?

- Wrócił za Mur, zaraz wszystko ci opowiem. Jak sytuacja?

- Na razie pod kontrolą. Psioników i pozostałych reinforsynistów ulokowaliśmy na samej górze, w zachodnim skrzydle. Przemarzli na kość, a tylko tam uchowało się kilka sal z całymi oknami.

- A replikanci?

- Przenieśliśmy ich do bunkra, gdy jeszcze byli nieprzytomni. Raczej nas za to nie pokochają, ale nie miałem lepszego pomysłu. Jeśli chodzi o zaopatrzenie, jesteśmy nieźle urządzeni: w magazynie znalazłem koce termiczne, samonagrzewające się racje żywnościowe, mnóstwo leków, zapasy wody, broń, amunicję, trochę wojskowych sprzętów...

– Nie było żadnych nieproszonych gości?

– Żadnych i jakoś mi się nie wydaje, żeby to był dobry znak – mruzczy strapiiony, bębniąc palcami w poręcz schodów. – Szpicle Twitcha musieli już dawno donieść mu o tym, co zaszło tutaj i na Skwerze, i boję się pomyśleć, co ta gnida teraz kombinuje. Katie uważa, że bez problemu poradzimy sobie z pozostałymi syntetykami Siobhan, o ile w ogóle zdecydują się na odbijanie kliniki, na razie się na to nie zanoszą, ale jeśli Volver przyprowadzi tu swoich paranormali... – Ponuro kręci głową. – Większość naszych wciąż jest w kiepskiej formie, a Emily i Greg mogą nie dać rady odeprzeć ataku we dwoje, więc czarno to wszystko wi... – urywa w pół słowa, zbity z tropu moim szerokim uśmiechem. – A tobie co tak wesoło?

Ściągam plecak z ramion i podaję mu bez słowa. Zaintrygowany Dodge zagląda do środka, po chwili wahania zaczyna przetrząsać zawartość. Wyjmuje niewielki wrzecionowaty pocisk, przygląda mu się z bliska z zawodową ciekawością.

– Broń antypsioniczna – wyjaśniam, zanim zada pytanie. – Policyjni chemicy z New Horizon wynaleźli antidotum, które w ciągu paru minut neutralizuje działanie reinforsyny. Ekipa Quinna przyniosła tu ze sobą cały arsenał, znalazłam na Skwerze kilka niewypałów, a Red wyjaśnił mi, jak ich użyć. Powinny wystarczyć do unieszkodliwienia parapsychików Volvera, ale trzeba zachować ostrożność. Granaty rozpylają w powietrzu bardzo silną neurotoksynę, konieczne będą jakieś maski ochronne...

– Mamy pełno masek chirurgicznych – mówi z ożywieniem Dodge, któremu momentalnie poprawia się humor. Chowa pocisk i zarzuca plecak na ramię. – Chodźmy do magazynu, może znajdziemy tam coś lepszego...

– Najpierw muszę porozmawiać z Ridleyem. Co z nim?

– Jest cały i zdrowy – zapewnia szybko, a potem robi w tył zwrot i zaczyna wspinać się po schodach. – Odzyskał przytomność niedługo po tym, jak poszłaś do Quinna. Katie go pilnuje, czekają na ciebie w symulatorni.

– Znalazłeś coś w czarnej skrzynce Siobhan? – pytam, gdy po

dotarciu na piętro skręcamy w stronę bloku zabiegowego.

– Niestety niewiele. Większości nagrania w ogóle nie można odczytać. Udało mi się tylko ustalić, że faktycznie wymieniała psioników na narkotyk i inne zapasy. Namierzyłem kilka w miarę wyraźnych kadrów, na których Shiv wydaje pacjentów ludziom Twitcha, a na drugim planie widać, jak jej syntetycy wyładowują skrzynie z ciężarówki Equilibrium. Nawet bez fonii scena jest dość oczywista.

– I nie przetrwało nic więcej?

– Nic, co potrafiłbym jednoznacznie zinterpretować. Będziesz musiała sama rzucić okiem, zgrałem wszystko na dysk twardy projektora. Jej syntetycy też z pewnością będą mieli coś ciekawego do powiedzenia.

Dodge otwiera drzwi do symulatorni i puszcza mnie przodem.

Katie siedzi po turecku na podłodze, wśród papierków po batonikach energetyzujących i pustych butelkach po wodzie mineralnej. Wciąż ma mocno podkrążone oczy, jednak sen zrobił swoje i jej policzki nabrały zdrowszych kolorów, a na ustach znów błąka się cień psotnego uśmiechu.

Ridley z kolei wygląda tak, jakby w ciągu tej jednej nocy stracił kilka kilogramów oraz całą chęć do życia. Stoi ze smętnie zwieszoną głową, wciśnięty plecami w kąt ściany po drugiej stronie stołu, i zdaje się w ogóle nie zauważać naszego przybycia.

– Miałeś kolejną wizję? – pytam bez zbędnych wstępów, podchodząc bliżej.

Syntetyk prostuje się raptownie, mruga zaskoczony.

– Skąd... skąd ty...

– Czyli miałeś. Dodo, odpalisz symulację?

– Się robi.

Mechanik odkłada plecak na blat, podchodzi do konsoli. Przez blisko minutę klika przełącznikami, mamrocząc coś pod nosem.

– Generator jedzie na oparach – oznajmia wreszcie po odczytaniu komunikatów z monitora. – Przeszedł w tryb oszczędzania energii i odciął zasilanie w tym skrzydle. Symulatornia pobiera teraz moc z paneli na dachu, zapasu wystarczy na jedną krótką sesję.

- Powinniśmy zdążyć. Możemy zaczynać?
- Tak.
- Podłączaj się, Ridley.

Replikant posłusznie opada na krzesło i zamyka powieki. Szybko idę w jego ślady.

Wskakujemy do VR.

Lewituję w bezkresnej, głuchej nicości i dopiero po kilku sekundach dostrzegam majaczącą w oddali półprzezroczystą sylwetkę syntetyka. Jego awatar i zdigitalizowane wspomnienia wczytują się kawałek po kawałku, stopniowo zapelniając pustkę trójwymiarowymi, mocno ziarnistymi grafikami. Zerkam w dół, na własne cyfrowe ciało. Zamiast dłoni mam dwie zamazane bryły, tors i uda całe dziurawe od martwych pikseli, a gdy próbuję coś powiedzieć, z gardła wydobywa mi się metaliczny, zgrzytliwy, nieartykułowany skrzek. Nieznośnie wolno nabieramy kształtów, szczegółów i w miarę rzeczywistych barw.

I naraz nie wisimy już w cyfrowym powietrzu, tylko stoimy na zbryzganej krwią wykładzinie, obok fotela, na którym siedzi nagi mężczyzna z krwawą wyrwą w klatce piersiowej i własnym sercem w dłoniach. Rozjaśniam lekko panujące wokół ciemności, podchodzę do zwłok. Włosy ciemne, ogolone niemal przy samej skórze, oczy prawie czarne, jak u Ridleya, rozszerzone źrenice...

Rozglądam się wokół.

Małeńkie, zaniedbane mieszkanko w suterenie: jeden nieumeblowany pokój, aneks kuchenny z lewej, po prawej niewyraźny zarys łazienkowych drzwi. Fotel z ciałem ustawiony naprzeciwko wejścia. Na suficie naga żarówka i łuszczący się tynk. Na ścianach rude plamy oraz zwijająca się na rogach, napuchnięta tapeta w ekspresyjne, niegdyś kolorowe wzory. Zakratowane okna z brudnymi szybami tuż pod niskim stropem...

Wszystko się zgadza.

Lustruję uważnie każdy kąt, szukając skrytki z wiadomością origami, lecz im bardziej oddalam się od zwłok, tym obraz

mocniej mętniej i skacze od zakłóceń. Wracam do ofiary i kłękam obok, starając się dojrzeć w jej oczach twarz mordercy. Po chwili zauważam jedynie ciemną, rozpikselowaną postać w progu mieszkania, za którym kończy się wirtualna makieta miejsca zbrodni, a zaczyna cyberprzestrzenna próżnia.

Jeszcze raz omiatam wzrokiem całe mieszkanie. Nie ma tu ani jednej lustrzanej powierzchni, okna są za wysoko, kafelki w kuchni pokrywa gruba warstwa kurzu...

Odwracam się do Ridleya, gestem proszę, aby podszedł bliżej.

– Zakładam, że we własnej Animie widzisz to wszystko dużo wyraźniej. – Wskazuję odbicie w oczach zamordowanego mężczyzny. – Rozpoznałeś sprawcę?

Syntetyk zatapia się na moment we wspomnieniach, po czym zaprzecza ponuro.

– Kiedy dokładnie to zobaczyłeś?

– Niecałe trzy godziny temu. – Na dowód wyświetla stempel czasowy na pstrokatej tapecie obok fotela.

Przywołuję fragment rozmowy z Redem i stwierdzam, że godzina pasuje do przybliżonego czasu zgonu ofiary.

Znów pochylam się nad zamordowanym. Powiększam obraz, ale rozdzielczość jest fatalna, tajemnicza sylwetka odbita w martwych oczach rozmazuje się w kanciaste kleksy.

Myszkuje po suterenie, dopóki podłoga nie zaczyna wibrować mi pod stopami, a ściany falować jak fatamorgana. Drobinki kurzu w powietrzu zamieniają się w skwierczące iskry, zalegające w kątach cienie gęstnieją i puchną gwałtownie, uśmiercając kolejne piksele, pełznąc po grafikach niczym rozlany atrament.

Lada moment padnie zasilanie.

– Wracamy.

Wylogowuję się z sesji. Czekam, aż replikant zakotwicy się jaźnią we własnym ciele, i dopiero wtedy odpowiadam na pytające spojrzenia Dodge'a i Katie.

– Ridley naprawdę widzi umysł mordercy – stwierdzam krótko.

– Za Murem doszło właśnie do kolejnego zabójstwa...

Opowiadam im o szczegółach śledztwa w New Horizon i

wiadomości od Haskel o sercach oraz nowej zbrodni, a potem przytaczam wnioski, które wysnuliśmy wspólnie z Redem przed niespełną godziną.

Gdy kończę, syntetyk siedzi nieruchomo z dłonią przyciśniętą do piersi, potem długo obmacuje sobie tył szyi, jakby próbował wyczuć, czy rzeczywiście nosi biohakerski implant pod skórą. Zerka na Dodge'a, Dodge na mnie, ja na Ridleya. Wszyscy troje kiwamy głowami, a Katie zaczyna wiercić się niespokojnie, bez wątpienia czytając nam w myślach.

Niecały kwadrans później Dodge odkłada skalpel na tacę z narzędziami chirurgicznymi i sięga po szczypce. Powoli, ostrożnie wyjmuje maleńką, zakrwawioną płytkę z rozcięcia na karku replikanta, wrzuca ją do stalowej nerki, po czym od razu zabiera się do opatrywania rany.

Opłukuję mikrochip solą fizjologiczną, otwierając wirtualny katalog dowodów rzeczowych, który Quinn pokazał mi w symulatorze. Wyświetlam skan programatora tożsamości na rogówce oka, przez kilka sekund porównuję budowę obu układów.

- Tak, to z całą pewnością jeden z tych chipów - orzekam. - Przecucie cię nie myliło, Ridley. Gdybyś nie uciekł z New Horizon, prawdopodobnie już byłbyś trupem.

- Nie miałem po... pojęcia, że wszczepili mi coś takiego - szepcze replikant. - Kiedy się obudziłem w tamtym mieszkaniu, wyglądałem już tak jak teraz, musiałem przejść metamorfozę, zanim odzyskałem przytomność. - Z sykiem unosi głowę, dotyka świeżo założonego bioplastra na karku. - Dodge powiedział mi o twoich podejrzeniach, Mayu, ale zapewniam, że ani razu cię nie okłamałem. Byłem prze... przekonany, że uczucie, które spłynęło na mnie wraz z wizjami, to nienawiść Quinna do ciebie i tamtych replikantek. Nie przypuszczałem, że mogę mieć dostęp do jeszcze jednej jaźni, że ta nienawiść pochodzi od kogoś innego...

Zerkam na Katie, która nie unosząc powiek, potwierdza słowa Ridleya krótkim, zdecydowanym skinieniem.

- A oczy porucznika odbite w oczach ofiary...
- Sam już nie wiem, kogo wtedy widziałem - przyznaje ze skruczą syntetyk. - Siobhan trwale nadpisała ten fragment mojej pamięci, nie da się cofnąć wprowadzonych przez nią zmian.
- Dłaczego jej na to pozwoliłeś?
- W ogóle nie pytała o pozwolenie - wzdycha replikant. - Postawiła mnie przed faktem dokonanym. Opowiedziałem jej o moich wizjach jeszcze w New Horizon, a potem, jak już przeprawiliśmy się przez Mur i dotarliśmy tutaj, dała mi coś silnego na uspokojenie, po... poczekala, aż zasnę... Wyznała mi, co zrobiła, gdy tylko się przebudziłem. To właśnie dlatego nie wątpiłem w jej intencje, bo mogła przecież nic nie mówić i nawet bym się nie zorientował, że zmodyfikowała mi pamięć. Twierdziła, że uwierzysz w grożące ci niebezpieczeństwo jedynie wtedy, gdy po... pokażemy ci niezbity dowód...
- Ironia losu, bo właśnie ten „niezbity” - robię w powietrzu znak cudzysłowu - dowód wzbudził moje podejrzenia. Co ona sobie myślała? Że nie zauważę obróbki?
- Ridley zerka na mnie przepraszająco.
- Nie potrafię powiedzieć, czy z premedytacją dokonała fałszerstwa - mówi cicho - czy wyretuszowała mi to wspomnienie pod z góry obraną tezę, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo jest uprzedzona. Nie próbuję jej usprawiedliwiać, tylko po prostu... chyba rozumiem, co nią kierowało. Siobhan bała się o ciebie i za wszelką cenę chciała ratować, Mayu. Oboje byliśmy przekonani, że to Quinn stoi za tymi zabójstwami i to on pragnie cię dopaść.
- Milczę długo, spacerując w tę i z powrotem po symulatorni.
- Myślisz, że potrafiłbyś przesłać obraz do umysłu mordercy? - pytam replikanta, gdy w mojej głowie krystalizuje się pewna ryzykowna myśl. - Czy ta transmisja działa tylko w jedną stronę?
- Nie mam pojęcia - mówi syntetyk wolno, z widocznym niepokojem. - Nigdy nie próbowałem...
- Podchodzę do Katie i przyklękam obok.
- Mogłabyś mu pomóc? Potrafiłabyś wykorzystać to połączenie między ich jaźniami?

Dziewczyna zastanawia się przez kilka chwil, intensywnie wpatrując się w syntetyka, a jej lekko przymglone oczy podpowiadają mi, że sonduje mu mózg, szukając mentalnej więzi ze świadomością zabójcy. Wreszcie telepatka przenosi wzrok na mnie i mruga porozumiewawczo.

– Świetnie. Mam pewien pomysł...

W zdezelowanym gabinecie lekarskim na końcu korytarza panuje chłodny półmrok. Przez przymknięte żaluzje sączą się cieniutkie, migoczące od kurzu strużki słonecznego blasku. Odgarniam stopą odłamki szkła z roztrzaskanej gabloty na leki i siadam na podłodze pod ścianą.

– Wkurzysz go – ostrzega Dodge z przekonaniem, krążąc nerwowo między drzwiami a biurkiem. – Sprovokujesz.

– Taki właśnie mam zamiar – odpowiadam spokojnie. – Skoro faktycznie chodzi mu o mnie, to po tej wiadomości być może przestanie mordować syntetyków, tylko przyjmie wyzwanie i od razu przybędzie do Dark.

– Wyśmienity plan, doprawdy. I jakże rozsądny. Że też sam na to nie wpadłem!

– Słuchaj, jeśli istnieje chociaż cień szansy na powstrzymanie tych zabójstw, to przecież muszę z niej skorzystać. Tak czy nie?

Mechanik już nabiera powietrza, żeby wznowić protesty, ale zamiast tego raptownie obraca głowę, gromiąc córkę wzrokiem. Katie bynajmniej nie sprawia wrażenia przejętej tą niemą reprimendą, siedzi na blacie biurka i demonstracyjnie macha nogami.

– O, patrzcie ją, następna mądrała – sarka na nią Dodge. – Namówiłaś Emily i Grega do pomocy w przygotowaniu zasadzki na mordercę? Gratuluję. Ale nawet jeśli wszyscy paranormale Siobhan zgodzą się nam pomóc, a to wcale nie jest takie pewne, nie mamy żadnej gwarancji, że zdołamy pokonać tak potężnego psionika. Żadnej!

– Ja jestem gotów zaryzykować – odzywa się Ridley, gwałtownie odwracając od okna. – Mam dość przyglądania się

bezczyinnie, jak ten drań patroszy kolejnych replikantów. Połączenie z jego umysłem uratowało mi skórę, a teraz może ocalić pozostałych. Traktuję to jak dług życia, który muszę spłacić. Tak po prostu trzeba.

Nie tylko ja zauważyłam, że wygłaszając tę mowę, syntetyk ani razu się nie zająknął. Katie uśmiecha się do niego z aprobatą.

Dodge, nie znalazłszy żadnych kontrargumentów, wzdycha ciężko i podnosi ręce w geście kapitulacji.

– A zatem do dzieła. – Przesuwam się bliżej okna tak, by jeden z promieni światła wpadał mi prosto w źrenicę. Przyjmuję pozę, w jakiej morderca zostawia swoje ofiary. – Gotowi?

Ridley bez słowa podchodzi bliżej, dla lepszego ujęcia klęka naprzeciwko mnie. Katie zeskakuje z biurka, staje tuż za syntetykiem i kładzie mu dłonie na skroniach. Już po chwili oddech zaczyna jej się rwać na gwałtowne westchnienia, a oczy szybko poruszają pod powiekami. Na czoło dziewczyny występują ogromne krople potu, żyły na szyi nabrzmiewają z wysiłku, każdy mięsień jej ciała drży spazmatycznie, napięty do granic.

Mija ładnych parę minut, zanim Katie odsuwa się od replikanta, rozgląda wokół z niewyraźną miną. Napotkawszy moje spojrzenie, lekko wydyma wargi i wzrusza ramionami.

Wszyscy wyczekująco zerkamy na Ridleya.

– Nie mam pojęcia – odpowiada na niezadane pytanie. – Niczego nie poczułem, więc chyba nic z tego...

– No i bardzo dobrze – komentuje Dodge, nie kryjąc ulgi ani zadowolenia, po czym żwawym krokiem rusza w stronę drzwi. – Koniec zabawy, dzieciaki, mamy masę roboty.

Gdy dwie godziny później obładowani paczkami wychodzimy z podziemnego magazynu i zaczynamy wspinać się po schodach na parter, do moich uszu dobiega nagle stłumiony, jazgotliwy dźwięk. Zastygam w pół kroku, a Dodge wpada mi na plecy, muszę go przytrzymać, by nie runął na podążającą za nim Katie.

– Co do...

– Ćśśś.

Podkręcam fonię. Hałas ustaje na kilka sekund, po czym znów się rozlega, przerywając ciszę długimi, miarowymi sygnałami. Odpalam wizualizację fal akustycznych, namierzam źródło.

– Budka wideofoniczna przed budynkiem – ubiega mnie Ridley.

Patrzemy po sobie w ciężkim milczeniu. Jedno po drugim odkładamy pakunki na stopnie, wbiegamy na górę, skręcamy w korytarz prowadzący do wyjścia.

Po chwili stoimy półkolem przed dzwoniącym niecierpliwie wideofonem, wpatrując się w rozbity wyświetlacz, dziurę po wymontowanym panelu i najeżone miedzianymi drucikami końcówki powyrywanych kabli.

– Ten złom nie ma prawa działać... – stwierdza oczywistość Dodge, z przejścia zniżając głos do szeptu. – Nie bez modułu zasilającego i przewodów transmisyjnych... Katie!

Zaskoczona jego krzykiem dziewczyna zatrzymuje dłoń, ale tylko na moment. Zdejmuje słuchawkę z widełek, przerywając kolejny świdrujący sygnał, po czym celuje nią we mnie jak z pistoletu. W jej oczach nie znajduję nawet cienia wahania. Nagląco kiwa na mnie podbródkiem, gdy nadal nie ruszam się z miejsca.

Z ociąganiem wchodzę do budki, przykładam słuchawkę do ucha. Przez parę sekund dochodzą z niej same trzaski i szумы, a potem...

– Kopę lat, May – odzywa się znajomy, kobiecy głos, od którego jeżą mi się włosy na karku. – Miło cię było dziś zobaczyć. Prawie nic się nie zmieniłaś.

– Ellen... – szepczę z niedowierzaniem. Zerkam na strzaskany ekran, jakby lada moment miał ożyć i wyświetlić jej twarz.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś nazwał mnie tym imieniem – stwierdza z żalem. – Teraz mówią na mnie Misty. Zdrobnienie od Miss Take, urocze, prawda?

Nie potwierdzam, nie zaprzeczam, nie znajduję słów. Opieram czoło o ścianę budki, bezmyślnie obserwując, jak szyba matowieje od pary w rytm mojego niespokojnego oddechu.

– Nie masz pojęcia, z kim zadarłaś, May. To był bardzo, bardzo głupi pomysł.

– Głupie pomysły to ostatnio moja specjalność.
– Tym gorzej dla ciebie. Obawiam się, że nie warto było płacić takiej ceny za człowieczeństwo. Ludzkie błędy nader często bywają śmiertelne.

– To chyba nie jest rozmowa na telefon, co? – przerywam jej, uśmiechając się cierpko. – Rozumiem, że wkrótce się spotkamy?

– Prędeż, niżbyś tego chciała – z każdym słowem jej głos coraz bardziej zanika wśród narastających zakłóceń. – Do zobaczenia, May.

Trzaski i szumy milkną raptownie. Jeszcze przez parę chwil stoję z martwą słuchawką przy uchu, zanim wreszcie odkładam ją na widełki. Nogi miękną pode mną jak rozgrzany воск, gdy tylko wychodzę z budki. Osuwam się plecami po szybie, siadam na krawężniku.

Ridley i Dodge robią krok w moją stronę, lecz żaden o nic nie pyta, czekają w napięciu, aż sama zacznę mówić. Katie zostaje z tyłu i nadal świdruje wideofon zimnym, wściekłym wzrokiem.

– Kto to był? – nie wytrzymuje replikant.

Biorę głęboki wdech, wolno wypuszczam powietrze z ust.

– Pomyłka – wyduszam w końcu.

A potem parskam krótkim, gorzkim śmiechem, zdawszy sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało.

Koniec tomu drugiego